

MIROSLAV ŽAMBOCH
OSTATNI BIERZE WSZYSTKO



**OSTATNI
BIERZE** **WSZYSTKO**





MIROSLAV ŽAMBOCH

**OSTATNI
BIERZE WSZYSTKO**

przełożył
Andrzej Kossakowski

ilustracje
Vladimir Nenev

fabryka słów

Lublin – Warszawa



Kłęczałem nad bratem i lzy cisnęły mi się do oczu. Był martwy. Zwykły, najzwyklejszy upadek z konia, a on nie żył. Głowę miał nienaturalnie wykręconą, kręgi szyjne złamane. Płakałem i narzekałem, ale gdzieś wewnątrz pomału, pomału i niechętnie, wracałem do rzeczywistości. Nie o to chodzi, że go tak kochałem. Mój brat, ksiązę Maxmilian, był czasami bardzo arogancki, ale kto by nie był na jego miejscu? Od małego karmili go papką z byczych i tygrysiich jąder, każdy jego posiłek sprawdzał królewski toksykolog, a odkąd nauczył się czytać, spędzał sześć godzin w towarzystwie czarodziejów swego ojca. Rezultat był taki, że mierzył siedem stóp, ważył przeszło trzysta funtów i w wieku

dwudziestu siedmiu lat posiadał umiejętności dziewięćdziesięciu ośmiu procent czarodziejów z całego Kontynentu. A teraz leżał tu nieżywy. Za siedem tygodni miał zostać koronowany. To z tego powodu się martwiłem. Następstwo tronu przeszło na mnie. Brat przygotowywał się do owego wydarzenia przez całe życie, a mnie pozostało czterdzieści dziewięć dni.

Wróciłem na zamek i oddałem stajennemu konie wraz z ciałem brata. Dziedziniec natychmiast wypełnił się ludźmi, ale nikt nie odważył się rozmawiać zbyt głośno. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w centrum uwagi i nie było to nic przyjemnego. Staralem się nie zauważać mnóstwa spojrzeń oscylujących pomiędzy profesjonalną oceną rzeźnika starającego się określić wytrzymałość sztuki przeznaczonej na rzeź a rozbawionym zastanawianiem się bukmachera typującego kurs dotyczący wyrzutka. Engod, najmłodszy członek osobistej straży ojca, wykrzywił się do mnie wyzywająco. Jego ród należał do jedenastu, spośród których wybierało się nowego króla, jeśli książę został zabity podczas koronacji. Engod miał dwóch starszych braci. Obaj przeszli takie same przygotowania jak Max, obaj należeli do elity czarodziejów i byli zabójcami. Mieli trzydzieści dni na to, żeby wziąć mnie na cel.

Schowałem się do swojej wieży, główne drzwi zamknąłem na zawore. Nie posiadałem własnej straży. Żaden zawodowiec nie przyjąłby służby dla księcia narodzonego jako drugi syn, a najmowanie do tego nieprofesjonalistów z zewnątrz miało się z celem. Takich nawet ja zdołałbym załatwić. Kiedy potrzebowałem podeprzeć swój autorytet, pożyczalem go od brata. Jaki był, taki był, ale żyliśmy w zgodzie.

Pokoje wyglądały tak samo przytulnie jak wcześniej, ale czułem się tak, jakbym już do nich nie należał, jakbym przybył tu tylko z wizytą. Z wściekłością zdarłem ze ściany plany winnic i sklepów winiarskich. Od osiemnastu lat starałem się pozbyć przeznaczonej mi roli królewskiego pomagiera, chłopaka do najbrudniejszych zadań, który będzie zakulisowo wspierać niezakłócony tok władzy. Postarałem się o to, żeby uważano mnie

za głupka, który nic nie wie i którego nie ma sensu wciągać w polityczne intryki. Klany przestały mnie zapraszać na coroczne bale, na których zawiązywano i zrywano tajne pakt, wymieniano informacje i typowano ogiery rozplodowe dla poprawy genetycznego potencjału klanów. Przeżywałem mnie zielarzem lub też kupczykiem. Moim marzeniem było stworzenie winnic produkujących lepsze wino niż czerwone, jakie dostarczali nam handlarze. W tym roku uzbierałem kilka pierwszych koszyków. Otworzyłem butelkę białego i nalałem sobie pełny puchar. Schowałem je na jakąś uroczystą okazję, ale ponieważ w najbliższej przyszłości żadnej takiej okazji nie będzie, nie było sensu dłużej go oszczędzać. Obserwowałem przez okno maskaradę na dworze. Kapitan straży ojca witał właśnie grupkę dyplomatów guunskiego cesarza. Wszystko odbywało się bezbłędnie, nawet śmierć następcy tronu nie zdołała zakłócić biegu kółek mechanizmu. Cesarz władał połową Kontynentu i według wszystkich znaków na ziemi zaczął ostrzyć sobie zęby na resztę. Ta reszta oznaczała z tuzin większych królestw i dziesiątki małych niezawisłych państw albo towarzystw handlowych. Na pierwszy rzut oka była to łatwa zdobycz dla liczącej dwieście tysięcy żołnierzy cesarskiej armii. Jednak tamtejsi władcy mieli należytą wiedzę dotyczącą prowadzenia wojny. Jeden zespół składający się z czarodzieja bojowego i dwóch specjalnie wyćwiczonych rycerzy zdołałby w okamgnieniu zmieść z tego świata nawet tysiąc ludzi. Cesarz oczywiście wiedział o tym i posłał emisariuszy, żeby wyjednać u ojca ograniczenia w użyciu siły podczas ewentualnej wojny.

Nagle zjeżyły mi się włoski na potylicy. Ktoś stał tuż za mną. Dla człowieka, który skrycie zachodzi cię od tyłu, była w Vegasz tylko jedna odpowiedź. Kabura spleciona z włókien szialinu zareagowała na znany jej wzór napięcia ścięgien, w dłoń wśliznęło mi się wąskie ostrze. Uniosłem puchar ku ustom, wykorzystując ten ruch do przeniesienia ciężaru ciała na drugą nogę. Odwróciłem się piruetem, ostrze ze świstem przecięło powietrze. Zauważyłem tylko niewyraźną sylwetkę, coś lekko mnie dotknęło,

zmieniłem się w wirującą frygę i straciłem równowagę. Tuż przed tym, jak wpadłem na ścianę, odrzuciłem nóż. Trochę niepewnie wstałem i odwróciłem się ku swemu ojcu.

- Niewiele brakowało, a bym się pociął - powiedziałem zamiast pozdrowienia.

Ubrany był jak zwykle w luźne czarne spodnie, szarą bluzę i skórzaną kamizelkę. Na nogach miał lekkie buty. Zawsze chciałem się dowiedzieć, z czego mają zrobione podeszwy. Jeśli nie patrzyło się na twarz ojca, łatwo było wziąć go za koniuszego albo łowczego. Żyłasty, włosy przetykane siwizną, skóra na twarzy i rękach ogorzała od słońca i wiatru.

- Tak myślałem, że możesz się pociąć.

Nie cierpiałem tego tonu. Jakby każde słowo przed wypowiedzeniem precedził przez pół tuzina filtrów. Głos doskonale pozbawiony emocji, stworzony do rozkazywania i czarowania. Nienawidziłem jego pewności siebie i arogancji. Bałem się go.

- Jak na staruszka, jesteś całkiem szybki - powiedziałem, napełniłem dwa puchary i podałem jeden ojcu.

Dziwne, ale go przyjął.

- Nie. Wkrótce nie będę miał dość sił, żeby utrzymać porządek na swoich ziemiach.

Kpił sobie. Miał pięćdziesiąt lat i każdego mężczyznę ze swojej osobistej jednostki wyniosłby z areny w zębach. Przestało go to po prostu bawić, a myślał, że mój brat jest wystarczająco przygotowany do przejęcia korony.

- A czy nie mógłbyś swojej abdykacji odłożyć na kilka miesięcy?

- Nie.

To była iście królewska odpowiedź.

- A czy jesteś świadomy, ojcze, że mogę nie przeżyć koronacji? Nie przygotowywaliście mnie do niej już od dzieciństwa jak Maxa. Trochę więcej czasu by mi pomogło.

Milczał.

- Zabiją mnie i królem zostanie ktoś inny. Skończy się

dynastia Maatenów.

Wzruszył ramionami.

- Taki jest zwyczaj. Ceremonia koronowania rozpocznie się zgodnie z planem. Tutaj masz klucze do komnat Maxa. Może tam znajdziesz coś, co ci pomoże.

Odwrócił się, aby odejść, w drzwiach zatrzymał się jeszcze na moment.

- Zażądałem próbki z twoich zbiorów. Całkiem niezłe. Z radością powitałbym, gdybyś mnie w przyszłości dopisał do listy swoich uprzywilejowanych klientów.

Poczekalem, aż zamknie za sobą drzwi, i rzuciłem pucharem o ziemię.

- A to łajdak, niegodziwiec!

Kiedy byłem już pewny, że ojciec wyszedł na zewnątrz, z wściekłością kopnąłem w drzwi. Aby się uspokoić, wypilem duszką puchar wina i nalałem sobie kolejny. Brat nie uznawał zwyczajnych kluczy. Twierdził, że można je łatwo dorobić. Zamiast nich używał doskonale wyszlifowanych wałeczków z niebieskiego szafiru. Pęk leżący na moim stole liczył ich cały tuzin. Nie było w nich nic magicznego - aby otworzyć drzwi, wystarczył właściwy rozmiar i właściwy materiał. Nie mogłem sobie wyobrazić nikogo, kto miałby dostęp do tak wielkich klejnotów i nie wahał się ich zniszczyć. Oczywiście oprócz księcia z Vegasz. Nie miałem ochoty na wizytę w komnatach Maxa. Nie lubiłem czarodziejów ani ich przyborów, a co więcej, Max bez wątpienia przygotował dla nieproszonych gości mnóstwo oryginalnych zasadzek. Nie miałem nastroju do pełnego mitręgi przechodzenia przez teren najeżony pułapkami.

Dolałem sobie do kielicha i zacząłem przemyśliwać nad przyszłością. Życie jest pełne niespodzianek. Wstajesz rano, mając mnóstwo planów, a wieczorem dostrzegasz kostuchę za rogiem. W zasadzie miałem trzy możliwości. Uciec, zostać albo samemu poderżnąć sobie gardło. Ostatni wybór prawdopodobnie oszczędziłby mi mnóstwa zmartwień, ponieważ przy dokładniejszym rozważeniu wszystkie możliwości sprowadzały

się do jednej. Nawet gdybym uciekł, nadal pozostałbym formalnym następcą tronu Królestwa Vegasz. Mogłem stroić sobie żarty z cesarskich szpiegów, grać fałszywymi kośćmi w półświatku jakiegokolwiek miasta na Kontynencie albo utrzymywać się z udzielania lekcji miejscowym nauczycielom szermierki, ale przed zabójcami nasłanymi przez jedenaście rodów bym nie uciekł, w najgorszym wypadku posłałby kogoś za mną mój własny ojciec. Lub też z powodów rodzinnych pofatygowałby się sam.



Przez otwarte okno wpadł powiew wiatru, woskowa świeca, którą zawsze zostawiałem zapaloną, zgasła. Ściemniało się, w mieście stopniowo zapalały się różne światła. Tysiące, dziesiątki tysięcy świateł. Otaczały stary zamek jak morze. Skalne ściany, wznoszące się z trzech stron na tysiące stóp, dokładnie określały przestrzeń zamieszkałą przez ludzi. Tutejsza przyroda nie dawała zbyt wielkich możliwości, jeśli chodziło o środki utrzymania. Tylko na wschodzie kotlina otwierała się i rozciągała na podobieństwo ogromnej doliny, były to pozostałości po wyschniętej przed wiekami rzece. W dolinie panował specyficzny mikroklimat, a na jej brzegach znajdowała się żyzna, czerwona gleba, która tak doskonale służyła winnej latorośli. Północna strona pozostawała przez większość dnia w cieniu. Gdyby oba brzegi obsiać zbożami, można by wyżywić większą część ludności miasta. To jednak stałoby w sprzeczności ze starym prawem. Vegasz nie mogło produkować własnej żywności, musiało polegać na dostawach z nizin. Każdego roku przybywali delegaci nawet od tych najmniejszych władców na Kontynencie, aby skontrolować, czy prawo nie zostało złamane. A mój ojciec zawsze nadzwyczaj chętnie im to umożliwiał. Nawet przydzielał im przewodników, którzy prowadzili delegatów po skalistych górach na wysokość dwóch tysięcy stóp, żeby na własne oczy zobaczyli, iż na górskich płaskowyżach nie ma żadnych wielkich pól uprawnych.

Jedynymi mieszkańcami niekończących się pustkowi były ogromne tury, pasące się porostami, którymi gardziły wszystkie inne zwierzęta.

Odstawiłem kielich i wróciłem do podziwiania światła miasta. Miałem już dość swojego smutnego nastroju. Tak się to kończyło, kiedy człowiek pił sam. Założyłem cywilne ubranie, nie chciałem, żeby ktoś po półwojskowym stroju odgadł moją przynależność do zamku, i wyszedłem do miasta. Miałem ochotę popatrzeć na swoich przyszłych poddanych. Jedyne, czym odróżniałem się od bajkowych władców, jacy w przebraniu mieszały się z ubogim ludem, był pas wypchany złotem. Nie miałem zamiaru naprawiać krzywd wyrządzonych prostym ludziom, szedłem się zabawić. Nie zważając na to, że w Vegasz żadnych prostych ludzi nie było. Co drugi to oszust, co trzeci to złodziej, co czwarty to zabójca, a co piąty to czarodziej. Żyło się tu dobrze i wesoło, często jednak zbyt krótko.

Strażnicy u bramy przyjrżeli mi się z zainteresowaniem większym niż podczas moich poprzednich nocnych wypraw do miasta, ale nie wykraczało to poza normalną kontrolę. Szedłem pieszo, bo nie przypuszczałem, że podczas drogi powrotnej mógłbym martwić się okoniem.

Zamek-forteca znajdował się na stromym pagórku pośród miasta. Od zachodu i północy był dostępny drogą wijącą się po częściowo zalesionym, częściowo trawiastym stoku, na wschodzie i na południu oddzielała go od miasta pionowa skała. Całą kotlinę wypełniały domy. Cisnęły się obok siebie bez ładu i składu, dwupiętrowe, trzypiętrowe i czteropiętrowe, najróżniejszych wielkości i kształtów. Vegasz, cierpiące na niedostatek przestrzeni, w wielu miejscach pożerało samo siebie. Ponad małymi parterowymi domami na ogromnych palach wznosiły się kamienne budowle, w niektórych kwartałach ulice były zadane tak, że przechodzień nie mógł dostrzec nieba nad głową. Taki sam, o ile nie większy chaos panował pod ziemią. Królowały tam kamień, cegły, drewno, wypalana i surowa glina. Ulice nie miały nazw, tylko niektóre domy można było zidentyfikować po

niewzyczajnych cechach. Czasem z dnia na dzień nie dawało się poznać okolicy, ponieważ ktoś usunął starą iluzję, którą przyjęło się za rzeczywistość. Innym razem wchodziło się do domu, w którym poprzedniego dnia jadło się kolację z partnerem handlowym, a witała cisza, ponieważ wszyscy zniknęli, a tylko bogowie i demony wiedzieli, gdzie się podzieli. Jeśli ktoś zamierzał udać się do miejsc, w których nie był stałym gościem, opłacało się nająć przewodnika, który powiódł przez miejski labirynt i oszczędził mnóstwa kłopotów. Prawie nikt nie znał całego miasta. Nawet największy biedak mógłby gdzie indziej żyć jak król. Zapłata srebrem uważana była za śmiertelną obrazę, złoto płynęło strumieniem, przechodziło z kieszeni do kieszeni. Ale nie było najważniejsze, tak samo jak klejnoty, drogie materiały czy kobiety. W Vegasz oszukiwało się, zabijało i kradło z powodu przepisów zielarskich, wyrobów rzemieślniczych, formuł magicznych. Z powodu informacji. A zabijało się często i szybko. Według statystyk mego ojca rocznie rodziło się tu około setki dzieci, ale pięćdziesiąt tysięcy ludzi przybywało do miasta i tyłuż w ciągu roku umierało. Zbieracze trupów mieli tu na długo zapewnioną pracę. Ostatnio zaczęli się nawet specjalizować co do rodzaju zwłok. Likwidacja podgniętego czarodzieja mogła być niekiedy niebezpieczna.

Wszedłem pomiędzy domy i wraz z zapachem sto razy zużytego powietrza poczułem zbliżający się atak klaustrofobii. Gorączkowo zacząłem grzebać w kieszeni i na szczęście znalazłem szklaną fiolkę z tabletkami. Dla pewności wziąłem aż trzy. Uczucie nacisku i paniczna groza stopniowo ustępowały, pozostał tylko cień oszołomienia. Gdzie indziej pewnie bym nie wiedział, że cierpię na klaustrofobię, ponieważ zwyczajne miejsca i domy mi nie przeszkadzały, lecz ściśnięte i przepelnione Vegasz zawsze potrafiło mnie zdominować. Gorzej wyglądała sprawa ze smrodem. Zapomniałem nałożyć maseczkę i nie wziąłem nawet chusteczki, ale w listopadzie powietrze było najczystsze i nie groziło mi podtrucie. Szedłem szybko, żeby umknąć wszechobecnym ulicznym sprzedawcom, lecz kiedy na moment

przystanąłem, żeby zdecydować, do którego ze znanych mi lokali wejść, natychmiast zjawił się obok pokrzywiony chłopina. Śmierdział, jakby gnął za życia, a gdy na chwilę zająrzałem mu pod kaptur, zobaczyłem na twarzy czerwone plamy pleśni.

- Nie potrzebowalibyście, panie, jakiegoś lekarstewka? Na spanie, na długie spanie, na sny?

Długie spanie oznaczało śmierć.

- Nie, ale może byś sobie oskrobał trochę tego, co ci rośnie na pysku. Ile za to chcesz?

Coś zabełkotał i zniknął w cieniu. Ruszyłem ku Bezdennemu Wiadru. Ta karczma nie miała najlepszej opinii, ale znajdowała się najbliżej i właśnie o niej myślałem jeszcze na zamku. Otworzyłem żeliwne drzwi i wszedłem. Dwóch mężczyzn spojrzało na mnie ze znużeniem w oczach i pokazali mi kierunek ku małemu grubasowi siedzącemu za kratą z drucianej siatki. Obejrzał mnie dokładnie przez cwikiery z tak zatłuszczonymi szklami, że jego oczy wyglądały za nimi jak wielkie śnięte ryby. Kilka razy zamrugał, szkła za każdym razem zmieniały kolor. Właściciel

Bezdennego Wiadra nie wpuszczał do środka gości posiadających broń. Czyste szkło pokazywało broń: niebieskie - truciznę, brązowe - czar działający na przedmioty i ciała, zielone - struktury dynamiczne służące do ukierunkowywania mocy. W końcu zostałem przepuszczony.

Po przejściu krótkiego korytarzyka służącego do łapania niebezpiecznych gości wyszedłem na kamienne schody wiodące na górę i w dół. Poręcz była rozchwiana, na niektórych odcinkach brakowało jej zupełnie. Zewsząd rozbrzmiewał hałas, powietrze było niebieskie od dymu. Poszedłem na dół. Wydawało mi się, że w drodze powrotnej bezpieczniej będzie wspinać się po schodach.

Na pierwszym podziemnym piętrze rozsiadło się wesołe towarzystwo, w większości konserwatywni asasyni, żyjący z uczciwej stali. Kelnerki nie nadały rozności napojów, ludzie się przekrzykiwali i gadali na wyścigi, czasem wybuchała krótka bójka, szybko likwidowana przez porządkowych. Panienki

siedziały razem w kącie i zniechęcone popijały coś z porcelanowych filiżanek. Źle wybrały salę, bo tu odbywała się czysto pańska zabawa, w której człowiek starał się tylko być głośniejszy od pozostałych, a kiedy rano budził się z monstualnym kacem, do śmierci opowiadał, jak to się świetnie ubawił. Postanowiłem, że wrócę tu, jeśli nie znajdę niczego lepszego.

Drugie i trzecie piętro należały do ćpunów i miłośników urojeń. Spostrzegłem dwóch pijaków niebieskiego aronu, zaczynających seans urojeniowy. To jeden z najgorszych narkotyków, który w krótkim czasie niszczył komórki mózgowe. Na początku uzależnienia pomagał materializować wyobrażenia. Później nie dawało się już odróżnić rzeczywistości od urojeń. To nie było dla mnie.

Zszedłem na czwarty, ostatni poziom. Pomieszczenie było niewielkie, ale wygodnie urządzone. Ściany ozdobiono malowidłami wykonanymi na kamieniu, obrazów nie ograniczały ramy, płynnie przechodziły jeden w drugi. Pod warstwą farby zauważyłem cienie zakłęk izolujących salonik od wpływów zewnętrznych. Nic więcej nie było mi potrzebne. Znalazłem się w jaskini hazardu. Gra jeszcze się nie zaczęła, więc salonik nie został zamknięty. Uświadomiłem sobie, że od samego początku miałem na uwadze właśnie to miejsce. Pośrodku stał okrągły stół z błyszczącym palisandrowym blatem, a wokół niego w fotelach siedziało sześć osób. Sprzeczały się.

- Z kobietą nie gram - powiedział energiczny młody człowiek o wąskich ramionach i blisko osadzonych oczach.

Uznałem go za czarodzieja. Młodego czarodzieja.

- No to masz pecha. To ja wynajęłam salon - odrzekła spokojnie kobieta, sądząc po konfiguracji siedzących przy stole, jego partnerka w grze.

Mówiła cicho, jej głos był nieco niższy niż u większości kobiet, ale miał aksamitny ton, który zdawało się, że głaskał słuchacza. Nie była ani stara, ani młoda. Ubrana w zwyczajne spodnie, niebieską delikatną bluzkę i skórzaną kurteczkę. Luźne odzienie

nie ukrywało jednak bujnych kształtów. Mnie zafascynował jej głos. Siedziała odwrócona do mnie bokiem, z ręką na podłokietniku.

- Czy ktoś ma ochotę na zmianę partnera? - zapytała, przyglądając się pozostałym.

Gdy poruszyła głową, dostrzegłem znak wytatuowany za lewym uchem. Kobieta okazała się kurtyzaną certyfikowaną przez czarodziejski klan Maleveriatu. Znak nie fosforyzował, pozostawał szary. A więc nie była w pracy, bawiła się. O takich kurtyzanych mówiło się, że są uzależniające jak najtwardsze narkotyki. Znałem kilku bogatych mężczyzn, którzy daliby wszystko, żeby ta, której kilka razy zapłacili, zechciała z nimi żyć. W większości przypadków bez sukcesu.

Na jej pytanie nikt nie odpowiedział.

Wzruszyła ramionami.

- No to wszyscy mamy pecha. Do gry w stadź musi nas być szóstka.

Chcieli grać w stadź, odmianę brydża, w której partnerzy porozumiewali się telepatycznie, a przeciwnicy starali się przechwycić informacje. To bardzo wymagająca gra, tym bardziej że toczyła się o duże sumy. Sam uczestniczyłem w kilku partiach.

- Poczytałbym sobie za zaszczyt, gdybym mógł z wami zagrać, pani.

Nie wiem, dlaczego użyłem tak ceremonialnego sformułowania, ale wyraźnie zadziałało. Kobieta odwróciła się do mnie z uśmiechem i przez chwilę mi się przyglądała. Na moment jej oczy zmrużyły się w szparki.

- Muszę was uprzedzić, panie, że gramy o wysokie stawki.

Wziąłem to pod uwagę. Klanowe kurtyzany były na ogół bardzo bogate. Wysokość stawek nie stanowiła dla mnie problemu, ale być może nie granot tutaj na pieniądze.

- Ojak wysokie?

Uśmiechnęła się, oczy jej zabłysły. Rzeczywiście, takie kobiety były uzależniające.

- Gramy o ciało. O jakkolwiek część ciała.

No jasne. Trafiłem na najtwardszych karciarzy. Nie wydawało mi się, żeby któremuś z nich brakowało jakiejś części ciała. To znaczyło, że byli dobrymi graczami.

- O jakąkolwiek?

- Tak, zaczynając od małego palca u nogi.

Zamyśliłem się. Nie wydawało mi się, żebym do czegoś potrzebował małego palca u nogi. Jeślibym przypadkiem przegrał, oszczędziłoby mi to czasu przy pielęgnacji stóp.

- I jeszcze coś, panie. - Jej uśmiech był przez chwilę prawie figlarny. - Wszyscy jesteśmy znakomitymi graczami.

- Jeśli zgadzacie się, pani, abym był waszym partnerem, warunki przyjmuję.

- To zaszczyt dla mnie.

Miałem pewność, że mnie poznała, choć to nic niezwykłego. Gdzieś indziej niż na królewskim zamku certyfikowana kurtyzana mogła być częstym gościem? Po pierwszym rozdaniu kart poczułem emocje związane z grą. Przede wszystkim nie miałem ochoty odcinać sobie palca. Grało się twardo, bez błędów. Niektóre ataki telepatyczne graniczyły z hipnozą. Gdyby mnie kilkakrotnie nie podtrzymała, chybaby mnie dostali. Po północy widziałem tylko karty i pięcioro ludzi wokół stołu. Zajmowaliśmy ostatnie miejsce ze stratą trzech punktów. O czwartej rano gra była skończona. Wygraliśmy. Przegrana dwójka, niewątpliwie para kupców, niechętnie zdjęła buty i onuce. Jednemu i drugiemu brakowało już po dwa palce. Obaj przynieśli ze sobą drewnianą płytkę jako podkładkę, dłuto oraz młotek. Narzędzia były pięknymi dziełami sztuki. Ciekawiło mnie, ile palców u nóg ma kurtyzana. Kupcy zręcznie pozbyli się swoich i dość bladzi na twarzach pożegnali się. Odchodząc, czule się nawzajem podpierali. Wspólne przeżycie zbliża ludzi.

Gracze odeszli i zostaliśmy tylko we dwoje. Przyglądała mi się zamyślona, popijając zamówione przeze mnie grzane wino. W saloniku było chłodno podczas gry nieco zmarzliśmy.

- Czy zastanawialiście się, książę, dlaczego tu dziś przyszliście?

Wiadomości rozchodziły się w Vegasz szybciej niż wiatr. Kurtyzana oczy miała czarne i zamyślane, wokół ust dwie zmarszczki, świadczące o zmęczeniu.

- Chyba chciałem się przekonać, czy ma sens walczyć o dalsze życie - odparłem.

- Chyba - przytaknęła. - A jakie są wnioski?

- Że bym z wami, pani, w przyszłości chętnie jeszcze kiedyś zagrał. Oczywiście, jako partner.

Zaśmiała się tym swoim aksamitnym śmiechem, dopiła wino i wstała.

- Umiecie prawie komplementy, panie. Z pewnością się odezwę. Gdzieś na jesieni.

W drzwiach się zatrzymała.

- Czy wiecie, że Max, mam na myśli waszego brata, miał wkrótce zostać ojcem?

Wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia, ale ona już wyszła. Zmęczenie opadło ze mnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Max ojcem? Nie wydawało mi się, żeby kłamała, ale zakrawało to na absurd. Potomkowie władców Vegasz zaraz po narodzeniu byli sterylizowani. Stosowało się w tym przypadku najbardziej złożony i najstabilniejszy czar, jaki stworzono od czasu wojny. Po koronacji syn odzyskiwał zdolność płodzenia. My, pozostali, musieliśmy pogodzić się z tym, że nigdy nie zaznamy ojcostwa. O ile oczywiście nie chcieliśmy zaryzykować skomplikowanego zabiegu chirurgicznego o fatalnych skutkach w przypadku niepowodzenia. Taka ostrożność miała bardzo prostą przyczynę. Przed stu pięćdziesięciu laty brat ówczesnego króla postanowił założyć nową dynastię. Był wyćwiczony i przygotowany tak samo jak prawowity władca i doskonale znał tutejszy system. W wyniku tego wybuchła wojna trwająca dwadzieścia lat, która rozszerzyła się na pół Kontynentu. Samozwaniec zwyciężył, ale jego potomkom brakowało zdecydowania, które umożliwiałoby przeżycie pomiędzy drapieżcami w Vegasz. Członkowie jedenastu rodów obalili rządy następców samozwańca i powrócili do dawnego systemu. Postarali

się również o to, żeby podobna sytuacja już się nie powtórzyła. Władcy Vegasz na ogół przygotowywali trzech męskich potomków do objęcia tronu. To, że ja zostałem pozbawiony treningu, było wyjątkiem od tej reguły. Kiedy dopytywałem o przyczynę, zostało mi zakomunikowane, że utraciłem nawet te podstawowe zdolności, które umożliwiały opanowanie treningu, a co więcej, Max już od dzieciństwa przejawiał nadzwyczajny talent.

Zostawiłem rozmyślania o słowach kurtyzany na później i wyszedłem z budynku.

Na zewnątrz było ciemno i wilgotno. Powietrze śmierdziało śmiercią. Nie rozkładem ciała, nie świeżymi zwłokami, tylko oczekującą śmiercią. Ktoś sprawił, żeby latarnie na słupach oświetleniowych umieszczonych na większości skrzyżowań zgasły. I ten ktoś czekał na mnie. Wyczuwałem go. Chłodne poczucie niebezpieczeństwa łaskotało mnie w potylicę, jeżyły mi się wszystkie włoski. Po całonocnym telepatycznym skupieniu byłem zmęczony, ale wewnętrzne zmysły pozostały czujne. Zauważyłem ich.

Jeden ukrywał się w podcieniach po prawej stronie, drugi przykucnął w drzwiach domu naprzeciwko, trzeci stał pod murem zaledwie trzy kroki ode mnie. Słyszałem bicie jego serca. Nie starali się ukrywać swych myśli. Przeważały w nich chciwość, strach i okrucieństwo. Gdzie indziej może ludzie by się ich bali, ale tutaj przypominali jagnięta rzucone wilkom na pożarcie. Nowicjusze, przybyli do miasta najdalej przed tygodniem, zapach rozległych równin, jakim nasiąknęły ich ubrania, był jeszcze świeży. Trzeci po cichu przysunął się bliżej z zakrzywionym nożem w ręce. Drugi podniósł coś do twarzy. Odgłos strzału z kuszy ostrzegłby nawet głuchego. Przykucnąłem nisko, ale mimo to coś nieoczekiwane uderzyło mnie w bok, inny bełt świsnął w powietrzu i odbił się od żelaznych drzwi gospody. Kopnąłem poziomo, nisko nad ziemią, w kierunku trzeciego i trafiłem go w kostkę. Noga ugięła się pod nim i upadł prosto na mnie. Raz tylko drgnął i był martwy. Mężczyzna pod arkadami zawył boleśnie, jego świadomość zgasła. Ubranie miałem całe we krwi. Cudzej i

własnej.



W ciemności krył się jeszcze jeden. Ten był zawodowcem. Te dwa barany popsuły mu akcję przez swoje amatorstwo. Odepchnąłem trupa i ruszyłem biegiem. Jeżeli napastnik miał trzystrzałową kuszę, podpisałem na sobie wyrok. Usłyszałem ciche przekleństwo. Mężczyzna był pewny, że drugą strzałą mnie dostał. Skręciłem za róg, a potem za kolejny. Słyszałem tylko swój świszczący oddech, ale wiedziałem, że jego kroki były sprężyste i bezbłędne oraz że biegł jak najszybciej mógł w pokręconych uliczkach. Przemknąłem pod okazałym domem, przewinałem się pomiędzy żelaznymi prętami, uniemożliwiającymi żebrakom sporządzenie sobie legowiska. Miałem coraz krótszy oddech i kręciło mi się w głowie. Mocno krwawiłem. Pomyślałem, że jeśli to się szybko nie skończy, będę mieć pecha. Przedemną pojawił się niski wiadukt. Podskoczyłem i uwiesiłem się ogrodzenia, mój bok ostro zaproteutował. Ostrożnie zsunąłem się na drogę poniżej. Nagle zerwał się wiatr, przynosząc ze sobą obłok mgły. Leżałem na chłodnych kamieniach, wstrzymując oddech. Już go słyszałem. Trzy kroki przed wiaduktem zatrzymał się, mgła jeszcze bardziej zgęstniała. Był wysoki i szczupły, ubrany w czerwoną bluzę i luźne spodnie z jedwabiu. Ręce miał puste, ale wiedziałem, że za szarfą, którą był przepasany, skrywało się kompletne wyposażenie zabójcy. Zresztą na pewno mógł mnie zabić gołymi rękami. Teraz jednak stracił koncentrację, emanowały z niego wściekłość i gniew. Rozumiałem go. Profesjonaliści nie byli przyzwyczajeni chybiać dwukrotnie. Jego obraz się rozplątał, zdławiony bólem szerokiej, krwawej rany w moim boku. Zrobiła ją strzałka z cienkim liściastym grotem, który łamie się w ciele. Tkanka była rozcięta jak zwierzęcym pazurem, wypływająca krew miała jasnoczerwoną barwę i pulsowała. Przybywało jej na chodniku wokół mnie. Spróbowałem utworzyć właściwe zakłęcie lecznicze. Struktura czaru rozplątywała się jednak. Do licha, że też zawsze miałem naukę w nosie. Wiedziałem, że za chwilę stracę przytomność, zacząłem więc improwizować. Czar był nieuporządkowany, część jego funkcji nakładała się na siebie, niczego nie mogłem uzyskać. Czułem, że długo już nie

wytrzymam. No wreszcie. Uwolniłem zakłęcie i straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem oczy, na dworze świeciło. Pochylała się nade mną łysa głowa zbieracza trupów.



- Jeszcze nie wyzionąłem.

Zmarszczył się zaskoczony, machnął ręką.

- Wybaczcie, przyjdę później.

Znowu postarałem się wywołać zakłęcie lecznicze, ale cała czarodziejska inwencja mnie opuściła.

Kiedy obudziłem się po raz drugi, było już jasno, po wiadukcie przejeżdżały wozy ze zbożem. Zamiast zbieracza trupów stał nade mną mały chłopiec. Chciałem mu powiedzieć, żeby mi załatwił transport, że mu za to zapłacę, lecz nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Przyglądał mi się przez chwilę, kopnął mnie na próbę, a kiedy oprócz wybałuszania oczu nie zdobyłem się na żadną reakcję, zręcznie mnie przeszukał. Znalazł pieniądze w pasie, jak też te, które miałem schowane w butach. Rodzice mogli być z niego dumni.

Trzecie przebudzenie było decydujące.

O jedenastej przed południem dowlokłem się na zamek. Straż u bramy z początku nie chciała mnie wpuścić, czemu się raczej nie dziwiłem. Po małym chłopcu obrobił mnie jeszcze ktoś inny, zostawiając mi tylko bieliznę, a nawet obciął mi włosy. To też można przecież spieniężyć. Cieszyłem się, że mnie nie oskalpował.

- Nigdy nie byliście na porządnym lumpowaniu? - wybełkotałem.

Strażnik wyższej szarży wybałuszył oczy i niepewnie zasalutował.

- Ee, wybaczcie, panie, nie poznaliśmy was.

Powlokłem się do swojej wieży. Miałem nadzieję, że będzie ciepło, ale wychodząc, zapomniałem zamknąć okna i w komnacie było tak samo zimno jak na zewnątrz. Nieporządek w pokojach

wydał mi się większy niż zwykle. Zawsze panował tu bałagan, ponieważ nigdy nie wpuszczałem do środka służby. Miałem mdłości i bolała mnie głowa, jak po tygodniowym picu. Posłałem po zamkowego lekarza, żeby obejrzał moją ranę. Im bardziej skomplikowane było zranienie, tym bardziej złożone stawało się zbudowanie czaru leczniczego. Jeśli ranę zasklepiło się tylko z grubsza, bez stwierdzenia, jaka krew z niej cieknie, zdarzało się, że organizm odrzucał powstającą tkankę i należało zacząć leczenie od nowa. Albo, co było bardziej niebezpieczne, a często fatalne, komórki na pograniczu starej i nowej tkanki wariowały i zaczynały rozrastać się w sposób niekontrolowany. Widziałem kiedyś nieszczęśnika, którego felczer nieźle urządził. Miał mu wyleczyć wrzody żołądka, a skończyło się na tym, że biedak na brzuchu miał nieogojącą się ranę, z której bez ustanku wyciekał żółty śluz.

Leżałem na łóżku nagi do pasa, nade mną pochylał się doktor. W lewym oku miał selektywny monokl, w prawej ręce diamentową igłę, którą grzebał w jeszcze wilgotnej bliźnie.

- Jak to wygląda? Czy da się to jakoś porządnie naprawić? - zapytałem, ale w tym momencie ukłuł mnie tak mocno, że aż mi język skołowaciał.

Stłumiłem przekleństwo i zapatrzyłem się w sufit. Całymi dniami nie zamykałem okien i kasetony popękały od wilgoci. Nad miejscami, gdzie ustawiałem świece, widniały duże ciemne plamy o nieregularnych kształtach. Na zamku używało się zazwyczaj świec bezdymnych, ale nie pachniały tak mocno jak te zwyczajne. Cały czas zamierzałem wymienić sufit, używając jakiegoś trwalszego materiału. Sięgnąłem po kielich wina i spróbowałem wypić je na leżąco. Oczywiście oblałem się, choć mojej brudnej pościeli to nie zaszkodziło. Jednak leżąc, nie mogłem sprawdzić koloru trunku. Na przedmieściu znalazłem szklarza, który zajmował się wykonywaniem lustrzanych, hiperboloidalnych naczyń dla czarodziejów. Powiedziałem mu, że jeśli wykona dla mnie cienkościenną szklaną czaszę według mojego gustu, będę regularnie odbierał od niego wyroby. Przed

tygodniem pokazał drugi puchar, który mi się spodobał. Wystarczyło usunąć kilka drobnych błędów.

- Jak to wygląda? - odezwał się ojciec już od drzwi.

Pierwszy raz zainteresował się moim zdrowiem.

Doktor odsunął się, żeby mógł sam popatrzeć.

- Wydaje się w porządku.

Ojciec spojrział na mnie badawczo.

- Jak głęboka była rana?

Wzruszyłem ramionami i nalałem sobie ponownie lekko trzęsącą się ręką. Połowę zawartości rozlałem, ale tylko prymitywy piją wino prosto z butelki.

- Moim zdaniem śmiertelna. Dziwię się, że Jego Wysokość zdołał tak długo uciekać - odparł doktor.

Ojciec sprawiał wrażenie zamyślonego i przyglądał mi się, jakbym był jakimś niezwykłym nabytkiem do jego kolekcji sów.

- A jak to można wyjaśnić?

Doktor podrapał się po nosie. Ojciec był prawdopodobnie lepszym lekarzem, ale meldunek cechowi lekarskiemu będzie musiał złożyć właśnie on, i nie mógł powiedzieć królowi A, a radzie medyków B.

- Szczęśliwy przypadek. W krytycznej sytuacji ludzie czasem potrafią przekroczyć wszystkie znane bariery, kierując się po prostu podświadomością. Rzadko się tak dzieje, ale pewna liczba takich przypadków została zapisana.

- A czy obowiązuje to w stosunku do człowieka, który na co dzień nie zajmuje się magią i jest z nią zapoznany tylko częściowo?

- Tak, Wasza Ekscelencjo. Może taki skrót podświadomości występuje właśnie u tego typu ludzi. Nie posiadają wyuczonych sposobów tworzenia czarów.

Doktor wyraźnie był zadowolony, że rozmowa zeszła na opisane przypadki. Stało się oczywiste, że wspomni o tym również w swoim sprawozdaniu. Wiedziałem, że ojciec celowo naprowadził go na ten temat, jednak nie byłem pewny, z jakiego powodu.

- Dziękuję wam.

Zostaliśmy sami. Z dołu rozległo się głośne trzaśnięcie drzwi,

które przeciąg wyrwał doktorowi z rąk. Patrzyłem na ojca, a on na mnie. Po raz pierwszy się go nie bałem. W dzieciństwie był dla mnie jedynie widmową figurą, którą czasem spotykałem i która nigdy mnie całkowicie nie zauważała. Dotychczas miałem z tego powodu tylko kłopoty. Później uświadomiłem sobie, że był jednym z najmocniejszych czarodziejów na Kontynencie, i bałem się go jeszcze bardziej. Prawie jąkałem się w jego obecności. Mój strach skutkowało pogardą ze strony emisariuszy innych władców lub wysłanników czarodziejskich klanów. Jakby ojciec nie mógł mi darować, że nie odziedziczyłem po nim talentu do władania mocą i jestem tylko zwyczajnym człowiekiem. Odplącałem mu totalną pogardą dla magii i wszystkiego, co z nią związane. Wiek, słońce i wiatr upodobiły jego twarz do plastycznej maski, oczy miał czarne i głębokie, a sieć okalających je zmarszczek powodowała, że wydawały się większe i wyraźniejsze niż w rzeczywistości. Z czasem nauczyłem się unikać towarzystwa ojca i najwyższym zadośćuczynieniem było, kiedy przed jakąś uroczystością poprosił mnie o wino z mojej piwnicy. Odmówiłem, jednak za swoje zuchwalstwo zapłaciłem całym miesiącem nocnych koszmarów. Dziś po raz pierwszy w życiu nie bałem się ojca i czułem się w jego towarzystwie swobodnie. Chyba dlatego, że za czterdzieści osiem dni powinienem umrzeć.

Cisza się przedłużała. Był najmocniejszym człowiekiem na Kontynencie, zdolnym do zniszczenia całej armii zwykłych ludzi. Mógł zatopić wyspę, przebudzić wulkan, zmienić klimat na wielkim terytorium. Mógłby zostać władcą całego świata, sam przeciw wszystkim. Gdyby chciał. Moja matka opuściła go w rok po moim narodzeniu. Miała nadzieję, że ojciec zadowolony się trzema synami, których mu urodziła, i zostawi ją w spokoju. Nigdy nie myślałem o matce jako o tej, która uciekła, raczej podziwiałem ją za to, że się o mnie martwiła jeszcze przez cały rok.

Wskazałem ręką jedyny wolny fotel. Na pozostałych leżały książki, szklanice, ubrania.

- Może usiądziesz?

Zawahał się na moment i lekko pokręcił głową.

- Nie, pojutrze przyjedzie sześciu mistrzów. Muszę się przygotować do ich wizyty. Licz się z tym, że zechcą się z tobą zobaczyć.

Odszedł tak samo cicho, jak przyszedł. Sześciu pojawiała się w Vegasz raz lub dwa razy na trzy lata. Byli to przedstawiciele najsilniejszych klanów na Kontynencie. Oficjalnie spotkania służyły potwierdzeniu i odnowieniu wzajemnej współpracy, w rzeczywistości kontrolowali, czy władca nie staje się zbyt mocny nawet dla ich zjednoczonych sił. Równowaga mocy to delikatna sprawa.

Wstałem i przeciągnąłem się. Nadeszła stosowna pora, żeby zajrzeć do komnat mojego drogiego brata.

Onieżywych mówiliśmy tylko dobrze.

Brat nie mieszkał w wieży tak jak ja, ale w lewym skrzydle głównego budynku zamku. Lokalizacja ta pozornie nie zapewniała żadnego bezpieczeństwa, ponieważ do wnętrza wiodły liczne drzwi i dojścia z kilku korytarzy łączących komnaty Maxa z częścią zajmowaną przez ojca, jednak w rzeczywistości było inaczej. Poszczególne wejścia były przeznaczone dla konkretnych osób. Mógł wejść kuchmistrz i jeden kuchcik, dwie szwaczki, stajenny, łowczy i zbrojmistrz. I oczywiście trzy czy cztery bliżej nieokreślone damy. Często naśmiewałem się z brata, że powinien być mniej powierzchowny, bo tracił za dużo czasu na zmiany czarów identyfikacyjnych. Goście mogli dostać się do środka tylko głównym wejściem. Albo w towarzystwie Maxa, albo dzięki posiadaniu pęku szafirowych kluczy.

Uważnie wsuwałem walce do otworu w zamku.

O tym, który jest właściwy, decydowały zaledwie setne części cala i należało mieć naprawdę czułe palce, żeby to rozpoznać. Mechanizm szczęknął, udało się. Mimo to jeszcze raz sprawdziłem, czy wszystkie klucze wsuwają się dokładnie. Wyobraziłem sobie, że drzwi otwierają się skutkiem kilku możliwych kombinacji, ale tylko jedna wyłącza pułapki przygotowane dla nieproszonego gościa. Jednak wszystko było w porządku, nie znalazłem żadnej nieprzyjemnej niespodzianki.

Kiedy wszedłem do środka, ciemny przedpokój się rozjaśnił. Jednak nigdzie nie paliły się łuczywa, natomiast w kasetonowym suficie mlecznym światłem rozżarzyło się kilka wapiennych płyt. Poczulem pot na czole, oddychałem głęboko. Widziałem kilku złodziei, którzy przez pomyłkę włamali się do pomieszczeń czarodzieja, a nie byłem pewny, czy jestem tu miło witany gościem. Może rozsądniej byłoby wyjść i wrócić później w towarzystwie profesjonalisty, który by wszystko przejrzał? Drzwi zamknęły się z takim trzaskiem, że aż podskoczyłem. Przeciąg czy coś innego? Zamek krótko zawarczał i walce pojawiły się po wewnętrznej stronie. Wyciągnąłem je i włożyłem do kieszeni. Co dalej?

Najlepiej było zacząć od pracowni. Powoli, ostrożnie przechodziłem przez pokoje. Ostatni raz wizytowałem brata przed kilkoma miesiącami i wyposażenie wydawało mi się nieco inne. Gdzieś zmienił się kolor dywanu, gdzie indziej przybyło tapet na ścianach, w lichtarzach dostrzegłem zwyczajne świece, a w kominku ogień palił się jeszcze przed kilku dniami. Max nigdy nie rozpalał kominka, wydawało mu się to brudnym zajęciem, używał raczej czystszych środków. Może to była reakcja mieszkania na śmierć brata? Czarodzieje często podświadomie podprogową magią przysposabiali swój dom tak, aby idealnie odpowiadał wszystkim ich wyobrażeniom. Ciekawe, że oni sami nie rejestrowali tych zmian. Kiedy odeszli lub umierali, mieszkanie pomału wracało do poprzedniego stanu, ale już nigdy nie było takie samo. Chyba w ten sposób powstały opowieści o złych miejscach, w których straszy, lub odwrotnie: o uzdrowicielskich świątyniach. Moim zdaniem dom brata wyglądał teraz na bardziej zamieszkały, przytulniejszy.

W końcu dotarłem do pracowni. Składała się z laboratorium chemicznego, magicznej komory służącej do eksperymentów i właściwej pracowni z książkami, stołem i mnóstwem drobnego wyposażenia. Przeszedłem obok półek z książkami. Sięgały aż do sufitu. Wiedziałem, że znajdowało się tu około dwunastu tysięcy tomów. Sądząc po tytułach, ani jednego w obecnym języku.

Przeważał swaglisz, mowa czarodziejów, i trzy inne zapomniane już języki. Pozostałych nie znałem. Usiadłem na krześle przy stole. Leżała na nim książka bez tytułu. Otworzyłem ją na pierwszej stronie. Była pusta, pożółkła ze starości. Odwróciłem kilka kart i zauważyłem, że do papieru tuż u grzbietu książki wciśnięty jest mały kryształ służący do zapisków. Max prawdopodobnie nigdy nie otwierał pierwszych stron i kryształ tkwił na swoim miejscu od nie wiadomo jak dawna. Takie kryształy są rzadkością i człowiek się z nimi często nie spotykał. Istniały dwa ich rodzaje, jeden tylko dla konkretnego odbiorcy, a drugi dla grupy ludzi zainteresowanych tekstem. Kryształ dla odbiorcy aktywowało się, po prostu ujmując go w palce. Bez zastanowienia złapałem klejnot między kciuk i palec wskazujący i nagle znalazłem się w podziemnej hali treningowej. Żadna symulacja nie była zainstalowana, a sala przypominała rozległą podziemną kryptę z wysokim stropem. Pośrodku na kamiennej podłodze stał Max. Był nagi, w obu rękach trzymał miecze. Ostrze broni w lewej było dłuższe i smuklejsze niż zazwyczaj, miecz w prawej odwrotnie, cięższy, z krótszym ostrzem, garda niezwykle duża, z wielkimi zębami dołamania kling przeciwników. Max był młodszy, niż go pamiętałem, po krótkich włosach odgadłem, że zapis powstał co najmniej pięć lat temu. Iluzja nagle się rozplynęła, ojciec niezbyt uprzejmie wdarł się do mnie telepatycznie, nie czekając na potwierdzenie, że jestem przygotowany do komunikowania się.

- Sześciu chce cię o coś zapytać. Teraz.

Poczekaj, aż minie ból głowy spowodowany silnym kontaktem, i posłuchałem polecenia.

Oczekiwali na mnie w saloniku heksagonalnym. Swoje miano zawdzięczał kształtowi, a służył do rozmów władcy z przedstawicielami klanów. Ściany obłożone były sześcioma warstwami płyt granitowych, grubych na dłoń. Na powierzchni każdej z nich wyryto magiczne diagramy likwidujące każdą próbę użycia mocy w pomieszczeniu. Początkowo wykładzina ścian była prostsza, ale aż pięciokrotnie znalazł się mądrała, który zdołał

obejść taki system obronny. Dlatego zastosowano aż sześć warstw. Max twierdził, że operowanie mocą w tym saloniku stałoby się czystym wariactwem. Kumulacja mocy wytworzona nagromadzeniem formuł magicznych była zbyt blisko granicy stabilności. Wyjaśniał to dokładniej, ale mnie wydawało się to za bardzo teoretyczne i skomplikowane.

Zwyczaj w każdym rogu stał tu fotel. Tego dnia przybył jeden dodatkowy. Stał pośrodku i nie miał oparcia. Zapewne test numer jeden, do kogo odwrócę się plecami. Zatrzymałem się w drzwiach i bez pośpiechu przyjrzałem się wszystkim czarodziejom po kolei. Byłem zaskoczony własną zimną krwią. Jeszcze niedawno drżałbym ze strachu. Nic tak człowieka nie uspokajało jak świadomość nieodwołalnego końca.

W powietrzu czuć było napięcie i jeszcze coś innego. Nie byłem mocnym telepatą, ale nawet bez treningu wyczuwałem drobne zmiany nastroju osób towarzyszących, prędzej można było mnie nazwać empatą. Wszyscy czarodzieje okazali się starsi od ojca i sprawiali wrażenie jeszcze twardszych i bardziej nieokiełzanych niż on. Może w ich twarzach brakowało jakiejś harmonii, która powodowała, że na ojca po czterech szklankach wina dało się patrzeć bez uczucia mrozu na plecach. Wybrałem jednego z nich, najbliższego po lewej, i skupiłem na nim uwagę. Z wyglądu podobny do ojca, spokojnie dałoby się ich nazwać braćmi. Już kiedyś zauważyłem, że od pewnego poziomu poczynając, wszyscy czarodzieje byli tacy sami. Moc przetwarzała ich na swój obraz, w tym przypadku musiała się charakteryzować potwornie złym gustem. W porównaniu z ojcem miał więcej zmarszczek, podobne, prawie szalone oczy, chyba jeszcze bardziej szalone. Takie same ostre rysy, a nawet powiedziałbym, że ostrzejsze. Czegoś mu brakowało, a czegoś miał w nadmiarze. Jego twarz i postać zawierały ważną informację, ale nie umiałem jej rozszyfrować. Ukrywała się gdzieś głęboko w podświadomości, gdzie nie mogłem jej odnaleźć. Zostawiłem to na później i usiadłem naprzeciw czarodzieja, któremu tak się przyglądałem.

- Czy możecie nam opowiedzieć, jak umarł wasz brat?

Przeszli od razu do rzeczy. Posłusznie powtórzyłem całą historię.

- Jaki był wasz stosunek do brata?

To pytanie mnie zaskoczyło. Stłumiłem chęć od-szczeknięcia, że nic im do tego, i postarałem się wyjaśnić, że go kochałem, ale równocześnie nienawidziłem, trochę nim pogardzałem, trochę mu zazdrościłem i trochę się go bałem. Był to długi monolog, lecz nikt mi nie przerywał. Kiedy skończyłem, przyszło mi na myśl, że nie czarodziejom to wyjaśniałem, tylko sobie. Zrozumiałem również, że naprawdę kochałem Maxa i był mi najbliższy ze wszystkich ludzi na świecie. Nie było przyjemnie stwierdzić coś takiego, dopiero kiedy ten ktoś nie żył. Nie czułem się najlepiej.

- Jak bardzo byliście sobie bliscy?

Tym razem zapytał mnie ten, któremu się poprzednio przyglądałem.

Zirytowała mnie głupota tego pytania. Przecież mówiłem o tym przez godzinę.

- Nastęrczaliśmy sobie nawzajem dziewczyny - odpowiedziałem z uśmiechem. Było to tylko pół prawdy. Kiedy miałem piętnaście lat, ktoś rozpuścił plotkę, że jestem homoseksualny. Nikomu by to nie przeszkadzało, ale jeszcze bardziej umocniłoby na zamku moją pozycję odludka. Max zatem pomógł mi zorganizować wizyty dziwek i postarał się, żeby zaczęto o tym mówić. Od tej pory miałem spokój i nikt się już moimi intymnymi sprawami nie zajmował. Nie było czym. - Chcielibyście poznać jakieś szczegóły?

Nie poruszył się ani jeden mięsień w twarzy czarodzieja, ale go przejrzałem. Człowiek może się bronić przed telepatą, jeżeli sam jest lepszym, ale symulować emocje wewnętrzne jest znacznie trudniej, zdaniem niektórych to nawet niemożliwe.

Moje pytanie mu się nie spodobało.

- Czy myślicie, że śmierć waszego brata była naturalna?

- Jak każdy wypadek. Koń wpadł do zakrytego trawą dołu, złamał nogę, a Max w wyniku upadku złamał kręgosłup o głupi żwir. Niezwykły zbieg okoliczności, ale to się zdarza.

- Naprawdę się to zdarza?

- Całe miasto dokładnie zbadano. Gdyby to była celowa pułapka, stwierdzono by to. Werdykt brzmi: nie była. Pewnego razu grałem w pokera w mieście i przez całą noc wygrywałem. Wszyscy myśleli, że blefowałem lepiej od nich, ale to nie była prawda. Miałem tylko szczęście. Po prostu niezwykle zbieg okoliczności.

Zaczął mnie bawić udawanie jeszcze większego prymitywa niż ten, za jakiego mnie uważali.

Wypytywali mnie jeszcze ponad godzinę, ale nie wydawało mi się, żeby poszukiwali czegoś ważnego, raczej jedynie węszyli na ślepo. Tej rozmowy użyli oczywiście dla sporządzenia mojego profilu psychologicznego. Później byłoby mi bardzo trudno kłamać choćby w części tak wiarygodnie, ale miałem to za nic. Zdecydowałem, że żadnego później nie będzie.

W końcu zostałem stosunkowo uprzejmie zwolniony. Cały ten seans porządnie mnie zmęczył, a do tego zgłodniałem. Poszedłem na dół do kuchni, nakazałem kuchcikowi, żeby mi przyniósł dzban piwa, bochenek chleba i kawał wędzonej koniny. To bardzo prostackie jedzenie i na zamku nigdy nie było oficjalnie podawane, ale ja takie lubiłem. Czekaając na posiłek, powróciłem do przeglądania kryształu.

Znów znalazłem się w hali ćwiczeń. Max nieruchomo czekał w tym samym miejscu. Przez minutę nic się nie działo, potem zabrzmiał gong i z czworga drzwi umieszczonych w narożnikach sali weszły cztery grupki liczące po czterech mężczyzn każda. Wszyscy byli uzbrojeni, a ich broń była bardzo różnorodna, jak mówi przysłowie: każdy pies - inna wieś. Bez pośpiechu ruszyli naprzód i obstąpili Maxa szerokim kręgiem. Kiedy na pancerzu jednego z nich dostrzegłem wygrawerowany znak Vegasz, zrozumiałem, że chodzi o z góry przygotowany pojedynek. Mistrz broni zapłacił szesnastu najemnikom, żeby spróbowali usunąć Maxa. Żaden z nich nie był miejscowym zabójcą, ale i tak wydawało mi się to nie w porządku.

Mężczyzna w krążkowej zbroi, z tarczą i toporkiem zaatakował

pierwszy, po nim jak spóźniona fala ruszyli pozostali. Wiedziałem, że walka toczyła się w dalekiej przeszłości, lecz i tak wstrzymałem oddech z emocji. Max prawie się nie poruszył, ale toporek go ominął. Lekkim uderzeniem obronnego miecza z nieoczekiwanego kąta popchnął napastnika w kierunku jego ruchu i natychmiast zwrócił się ku następnemu. W chwili, kiedy wydawało się, że Max zapomniał o pierwszym najemniku, wrócił do niego pozornie przypadkowym obrotem i uderzył z odkrytej strony, ucinając mu rękę. I tak to przebiegało. Nie poruszał się prawie wcale szybciej niż przeciwnicy. Przypominał baletmistrza przepływającego między taktami pieśni, której muszą słuchać zwyczajni tancerze. Stracił kontrolę nad sytuacją dopiero wtedy, kiedy na nogach trzymało się ostatnich dwóch napastników. Pośliznął się w kałuży krwi, przez moment wydawało się, że utrzyma równowagę, ale jeden z leżących złapał Maxa za kostkę i przewrócił. Obaj najemnicy zareagowali prawidłowo. Błyskawicznie zaatakowali, tnąc z niskiego wypadu bez straty czasu na zbliżenie. Jeden mierzył w nogi, drugi w głowę. Pierwszy trafił Maxa w podbicie stopy, lecz zaraz zwałił się z krótkim mieczem w brzuchu, a co się przydarzyło drugiemu, tego w ogóle nie rozumiałem. Jego miecz bez wyraźnej przyczyny zatrzymał się w powietrzu, a on sam łukiem przeleciał nad Maxem w długim koziółku i obalił jednego ze swych zataczających się kompanów.

Szczęściem na kryształach wszystko było nagrane jeszcze raz, ale w zwolnionym tempie: Max przewraca się, wyrzuca prawą rękę, chcąc odzyskać równowagę, i jakby wiedząc, że trzymany w niej miecz nie przyda mu się do niczego, jeszcze upadając, go upuszcza. Jednocześnie ruchem przedramienia ciska miecz obronny w żołnierza u swych nóg. Klingę tamtego odbija kopnięciem z boku. Ale wtedy ma już przed sobą zbliżające się ostrze drugiego z nich. Nagle wyciąga ręce przed siebie i klaśnięciem łapie klingę w dłonie. Krótki moment bezruchu, obraz się wyostrza, jakby został wyryty w brązie. Następuje niezwykle szybkie targnięcie obu dłońmi i żołnierz, który nie zdążył puścić broni, wylatuje w powietrze i koziółkując, znika z pola widzenia.

Iluzja nagle zniknęła i znalazłem się znowu w kuchni.

Oszło mi nie do wiary, że coś podobnego leżało w ludzkich możliwościach. Nie przypuszczałem, że Max był w stanie poradzić sobie z szesnastoma przeciwnikami, ale to, że opanował krytyczną sytuację. Znałem z teorii możliwości wyszkolonych asasynów, lecz to było coś więcej.

- Nie ma koniny, panie.

Spojrzałem na kuchcika ze zdumieniem. Siedziałem tak zamyślony, że nie usłyszałem, kiedy nadszedł.

- Jak to nie ma? Przecież wczoraj przywieźli konia mojego brata.

- Nie... wiem.

Chłopiec zdenerwował się i zaczął jąkać. Kucharz miał umowę z pracownikami stajni, którzy przekazywali mu wszystkie utracone konie. Dzielił je na porcje i sprzedawał do miasta za stosowną cenę, jako mięso z zamku, co oznaczało pewne pochodzenie. Możliwe, że jakiś doktor przystawiał mu na mięsie pieczęć jakości, co dla niektórych miało swoje znaczenie.

Machnięciem ręki oddaliłem kuchcika i poszedłem szukać głównego stajennego.

Przez całą drogę miałem przed oczami obraz dłoni chwytających miecz. Człowiek, który potrafił zrobić coś takiego, nie mógł sobie po prostu złamać kręgosłupa, spadając z konia.

Główny stajenny, Kemor Tresdan, był ogromnym chłopiskiem z kwadratową, chmurną gębą. Nawet nie starał się udawać, że lubi konie. Zwierzęta się go bały i dlatego słuchały. Taką miał metodę. Poprzednio pracował dla mojego ojca, jako ten, który sprawiał łomot zbyt nieustępliwym indywiduom, jednak nie aż tak ważnym, żeby się nimi zajmował sam wielki mag. Potem go przejął Max, ale w wyniku jakiegoś nieporozumienia Kemor stracił lewą nogę i dlatego teraz krzyczał tylko na konie. I na innych służących.

Kemora znalazłem w ujeżdżalni. Na stole przed sobą rozłożył tuzin nowych podków i przeglądał je jedną po drugiej. Przywitał mnie, nie odrywając się od pracy.

- Bądźcie zdrowi, księżę. Co was tutaj sprowadza?

W pierwszym momencie chciałem powiedzieć, że przyszedłem obejrzeć zwłoki konia mojego brata, ale się rozmyśliłem.

- Szukałem w kuchni wędzonej koniny i żadnej tam nie ma. Kiedy dasz kucharzowi konia mojego brata?

Na jego twarzy pojawił się cień zdziwienia, ale udawał. Wyczuwałem go cały czas tak samo, spokojnego jak głaz.

- Tego zwierzęcia wcale tu nie przywieźli. Myślałem, że księżęcego konia czeka bardziej godny los.

Kpił. Godność nie miała tu żadnego znaczenia.

- Oczywiście - przytaknąłem.

- Właśnie przywieźli dwie kobyły. Kucharz będzie mógł wkrótce spełnić wasze życzenie, panie.

- Dziękuję - powiedziałem zamiast pożegnania i odwróciłem się, aby odejść.

Ten łajdak łąał, a ja nie miałem żadnej możliwości zmuszenia go do powiedzenia prawdy. Strzemiona Maxa wisiały na ścianie wraz z innym ekwipunkiem. Poznałem je dzięki otworom na sprzączki. Max musiał je wykonać sam, ponieważ rymarz nie zdawał sobie sprawy, że wysocy ludzie mają długie nogi.

Dlaczego ktoś zadał sobie trud, aby usunąć okulawione zwierzę? Gdyby Kemor nie był zawodowcem, spróbowałbym go przycisnąć, ale na pewno bez skutku.

W jaki sposób najłatwiej pozbyć się konia? Sprzedać go rzeźnikowi. Poszedłem do wieży, wziąłem pieniądze, przebrałem się i użyłem wszystkich kamieni do zaklęć, jakie miałem. Mało kto wiedział, że to kamienie były głównym źródłem dochodów czarodziejskich klanów. Można było sobie kupić kawał krzemienia, który dziesięć razy wyleczył z kataru, lub żwir, który pozbawiał pecha, jakim wcześniej obdarował partner handlowy. W kieszeni można było nosić obsydian, który umożliwiał wyrzucenie z siebie długiego płomienia topiącego szkło. Taki kosztował nieco więcej. Mając solidnie wypchany trzos, można było uzyskać wyposażenie przeciętnego czarodzieja średniej klasy. Ale to wszystko. Czarodzieje nawet za górę złota nie sprzedawali niczego

lepszego. Moje kamienie zawierały w większości czary ochronne. Neutralizacja trucizny, zwiększona odporność na alkohol, zwiększenie satysfakcji seksualnej. Kosztowały mnie majątek. Jeśli unikałem magii, gdzie tylko mogłem, to w interesach na ogół nie dało się bez niej obejść. Przeciwno truciznom odpornym na działanie czarów nosiłem ze sobą zazwyczaj skrzyneczkę pierwszej pomocy. Nosiłem też skrzyneczkę ostatniej pomocy, przeciwdziałającą ożywianiu po śmierci. Wskrzeszani umarłacy pozbawieni byli własnej woli i z zasady stawali się niewolnikami swoich niby-ratowników. Przypuszczałem, że najlepiej być porządnym nieboszczykiem.

Skończyłem przygotowania i wyszedłem do miasta. Minęła trzecia po południu i ruch na ulicach się zwiększał. Teraz odbywał się handel, który można było nazwać prawie legalnym. W niekończącej się karuzeli przechodziły z rąk do rąk towary, złoto, pieniądze, niewolnicy, zwierzęta, informacje i wszystkie produkty ludzkiego rozumu. Przeciskałem się przez pełne ludzi ulice, sprytnych handlarzy i paserów odstręczałem wyrazem twarzy, na głupców warczałem. Po upływie pół godziny już tylko charczałem. Po dwóch godzinach dotarłem do bramy, przez którą poprzedniego dnia wróciłem do miasta. Mój plan był prosty - chciałem rozejrzeć się po wszystkich firmach rzeźniczych, garbarniach i rakarniach znajdujących się pod drodze. Chciałem też przejrzyć przyległe ulice, którymi dawało się przejechać koniem. Na szczęście w Vegasz mało było szerokich ulic, tworzyły one dwa współśrodkowe okręgi z zamkiem w centrum. Zakładałem, miałem nadzieję, że nieznany sprawca był wygodny i pozbył się konia w najbliższym z możliwych miejsc. Przypuszczałem, że rakarnie i garbarnie odnajdę najłatwiej na podstawie oznaczeń cechowych, ale już pierwszy kram wyprowadził mnie z błędu. Najlepiej było polegać na własnym nosie.

Kramik okazał się czymś pośrednim pomiędzy rakarnią a zbiórką zwłok. Żeby było jasne, co właściciel oferował, obok ludzkich kości wisiała wysuszona głowa prosiaka. Pracownia znajdowała się dwa piętra pod ziemią. Uznałem, że właściciel

mieszkał na pierwszym, a podłoga na drugim należała do kogoś innego. Zszedłem po kręconych schodach i stanąłem przed drewnianymi, prawie rozpadającymi się drzwiami. Cytryn współpracował z zapachowym zakłębieniem nawet przez podszewkę kieszeni kabata, a mimo to czułem taki smród, że aż mnie mdliło. Słyszałem, że ludzie zajmujący się zwłokami i padliną decydowali się wypalić sobie komórki zapachowe. Ci, którzy osiągnęli sukces, kazali później wszczepić je z powrotem.

Ostrożnie nacisnąłem klamkę. Pomieszczenie oświetlało tylko jedno długie łuczywo. Na dwóch stosach leżała padlina. Zauważyłem tam prosięta, gęsi, a nawet, jak mi się wydawało, leżące na samym dole ludzkie zwłoki. Na pierwszy rzut oka były to ofiary zakazanych zakłęb psujących mięso. Jeśli się chciało, żeby sąsiadowi zdechła koza, nie należało życzyć sobie, aby ją potem zjadł ze smakiem. Czar powodujący gnienie mięśni kosztował tylko parę groszy. Stwierdziłem, że podłogę tworzyło coś na kształt rusztu, a pod nim znajdowały się duże drewniane zbiorniki, do których ściekały gnijące resztki. Świadomość, że moje wymioty dołączyłyby do nich, pomogła mi utrzymać żołądek w ryzach.

Przeszedłem obok rozkładających się truchel i dotarłem do drugiego pomieszczenia. Było dość duże, dwadzieścia na dwadzieścia stóp, i mimo że nie paliła się nawet jedna pochodnia, było w nim jasno. Wokół ścian stały duże kadzie napelnione świecą na zielono cieczą. Właściwie to nie ciecz świeciła, tylko miliardy pływających w niej mikroorganizmów. Bardzo szybko rozkładały mięso, a przy tym jeszcze świeciły. Najłatwiejszy, a zarazem najniebezpieczniejszy sposób likwidacji. Żaden czar nie składał w całość czegoś, co przeszło wielokrotną przemianę. A gdy naruszyło się z tuzin zakazów i stworzyło sobie te małe potworki, można było rozpuścić stal, kamień, po prostu wszystko. Oczywiście posiadanie takich maluchów obłożone było śmiertelną klątwą. Właściciel wyraźnie nic sobie z tego nie robił, ponieważ jedna z kadi, stojąca w rogu, świeciła jadowicie na niebiesko.

Bardzo ostrożnie przeszedłem przez pomieszczenie i zajrzałem do małej komórki na jego końcu. Obnażony do pasa mężczyzna

pochylał się nad pieńkiem i ćwiartował byka, który mógł zdechnąć przed trzema lub czterema dniami. Poza nim wolno obracało się kilka maszyn do mielenia mięsa. Czar napędzający był już na wyczerpaniu, mechanizm pracował nierównomiernie, czasem zatrzymywał się, żeby po chwili ruszyć z odgłosem miażdżonych kości i rozrywanych ścięgien.

- Halo? - odezwałem się podczas jednej z przerw w pracy maszyn.

Mężczyzna wyprostował się. Był nieco wyższy ode mnie i o co najmniej czterdzieści funtów cięższy. Pod błyszczącą od potu skórą falowały mięśnie, lecz nie sprawiał wrażenia zbyt silnego. Był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałem. Zbudowany prawidłowo i kształtnie. Jako męska prostytutka mógłby zarobić dziesięciokrotnie więcej. Przyjrzałem się jego twarzy i korzystne wrażenie przysło. Żadna kobieta nie poszłaby z nim dobrowolnie do łóżka. Gdyby nie oczy, byłby bardzo przystojny, ale to właśnie oczy czyniły z niego karykaturę człowieka. Widzące, ale martwe. Było w nich tylko umiłowanie pieniądza. Należał do tych, których strawiła gorączka złota. Ludzie zazwyczaj przyjeżdżali do Vegasz z powodu pieniędzy, chcąc urwać choć kawałek z tego strumienia monet, jaki tutaj płynął. Szczęśliwcom się to udawało i mieli ich całe skrzynie. Ale niewielu potrafiło powiedzieć „dość” i powrócić do normalnego świata, gdzie mogliby ich użyć. Chcieli mieć więcej i więcej, tracili instynkt samozachowawczy i umierali. Nie wątpiłem, że ten też miał kilka skrzyń złota, cały dom należał do niego, ale wynajmował go, żeby mieć jeszcze więcej, a sam gnieździł się w podziemiu. Nie miał rodziny, nie pił, nie spotykał się z kobietami. Jedyne, co mu przypominało o posiadanym bogactwie, to masywne bransolety na nadgarstkach i złoty łańcuch. Migotał w zielonkawym świetle, w każdym ogniwie osadzony był brylant.

- Czego chcecie?

Patrzył na mnie nieprzyjaźnie, stanowiłem dla niego przeszkodę w gonitwie za bogactwem.

- Szukam pewnego konia. Jeśli go tutaj masz, dobrze zapłacę.

Milcząc, podejrzliwie mnie obserwował.

- Tysiąc w złocie. W szczerym złocie z próbą czarodzieja.

Prawie usłyszałem, jak załała go fala żalu.

- Nie mam tu żadnego konia. Nawet kawałka.

- Szkoda.

Wycofałem się tyłem na bezpieczną odległość i odwróciłem, żeby odejść.

- Ale gdybyście czegoś potrzebowali, to przyjdźcie - usłyszałem jeszcze za sobą.

Słońce prześwitujące przez wąską warstwę smogu wydawało mi się wspaniałe, a pokrzykiwania handlarzy, oszustów i złodziei brzmiały w mych uszach jak rajski śpiew.

Z takim samym skutkiem odwiedziłem pięć podobnych przedsięwzięć, ale żadne nie było tak ponure jak to pierwsze. Po sześciu niepowodzeniach byłem zmęczony, głodny i spragniony jak gąbka. U ulicznego sprzedawcy kupiłem sobie pieróg z kapustą. Podjadałem swój zasłużony posiłek obok jego stoiska, kiedy nagle zwrócił się do mnie z prośbą:

- Nie miejcie mi za złe, panie, jednak może bylibyście tak łaskawi i stanęli nieco dalej. Psujecie mi interes.

Zdziwiło mnie to. Nie wyróżniałem się wprawdzie elegancją stroju, ale przecież nie byłem obdarty.

- Doprawdy bardzo mi przykro, ale płacę za to miejsce spore pieniądze i muszę zarabiać.

- W jaki sposób psuję wam interes?

- Śmierdzą.

Musiał to być naprawdę poważny fetor, skoro przebijał się przez smród ulicy.

- Dajcie mi pieroga za darmo, to zniknę.

Nie zawahał się ani chwili. Dostałem pieróg z nadzwyczaj szczerą porcją nadzienia i odszedłem w inne miejsce. W punkcie handlowym mojmskiego klanu kupiłem sobie kamień likwidujący smród. Zapłaciłem tyle, ile sprzedawca pierogów zarabiał przez tydzień, ale zakładałem, że będzie mi jeszcze potrzebny. O ósmej wieczorem po dziesięciu kolejnych wizytach

miałem nadzieję, że nareszcie uśmiechnęło się do mnie szczęście. Stałem przed jatką Pod Dębowym Stołem, jak głosił wielki szyld. Najpierw tylko przeszedłem obok niej i stwierdziłem, że nad wejściem wisi zaklęcie uczuciowe. Miało w sobie zakodowane zepsucie, ból, niepewność, gniew, a było niesłychanie silne i złożone. Słabsze, prostsze zaklęcia bywały używane do odpędzania żebraków i trędowatych, na silne mogli sobie pozwolić tylko kupcy posiadający luksusowe towary, którzy towarzyszyli swoim klientom przy wejściu do środka firmy, co neutralizowało działanie czaru. Takie zaklęcie musiało odstręczać wszystkich przypadkowych klientów, a to zwróciło moją uwagę. Zaklęcia uczuciowe były na ogół źle odbierane, mnie natomiast pomogły zdolności empatyczne. Pomimo to zmianę nastroju zauważyłem dopiero po opuszczeniu granicy oddziaływania czaru.

Przeszedłem przez bramę. Na podwórzu pracowało kilku czeladników. Zapytałem o mistrza i wszedłem w drzwi, które mi wskazali. Pomieszczenie znajdowało się pod poziomem ulicy, a jego ściany zostały obłożone lodem. Na hakach wisiały wielkie kawały mięsa, przeważnie wołowego. Niewielki człowieczek w białym, poplamionym krwią fartuchu pochylał się nad stołem roboczym. Grzebał w rozsypanych na stole kamykach. Wchodząc, zauważyłem jeszcze jednego, podobnego mężczyznę.

Człowieczek wyglądał jak jeden z niezbyt uczciwych przedsiębiorców w Vegasz. Już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że coś go niepokoiło, że czegoś się obawiał. Zdecydowałem się porzucić wszystkie opowieści o tym, dlaczego szukam konia, i od razu przejść do rzeczy.

- Wczoraj przywieźli wam pewnego wierzchowca. Muszę go zobaczyć.

Wyskoczył na trzy stopy w górę, aż mu się rozsypały kamyki. Patrzył na mnie jak na węża schowanego w misce toaletowej.

- N-n-nie wiem o żadnym wierzchowcu!

Zamknąłem drzwi, wziąłem jeden z noży wiszących na ścianie i usiadłem na stole.

- Naprawdę?

Trwało to prawie kwadrans, zanim wszystkiego się dowiedziałem, wystarczyło parę razy znacząco spojrzeć na nóż. Poprzedniego dnia po obiedzie jakiś mężczyzna przywiózł kulawego konia, życząc sobie, żeby go dobić. Raczej nakazał to pod niewypowiedzianą groźbą. Aby rzeźnikowi nikt w najbliższych dniach nie przeszkadzał, zaczarował bramę. Jako rekompensatę zapłacił podwójną kwotę miesięcznego obrotu. Rzeźnik okazał się tak chętny do współpracy, że pokazał mi resztki, jakie zostały z konia. Kopyta i czaszkę. Kazałem je zapakować do worka i zapłaciłem człowieczkowi tak, jakby mi sprzedał połowę całego zwierzęcia. Śmiertelnie zmęczony wróciłem na zamek.



W kuchni kazałem sobie przynieść skrzynię lodu i zaniósłem do piwnicy mojej wieży. Nie chciałem, żeby ktoś wypytywał, do czego mi ta skrzynia, więc wszystko zrobiłem sam. Nigdy bym nie uwierzył, że zamrożona woda jest taka ciężka. Końskie resztki obłożyłem lodem i wszystko zakryłem słomą. Po dwóch godzinach ciężkiej pracy dobrnąłem do swoich pokoi i nie zapalając światła, zacząłem się rozbierać. Już w bieliźnie zdałem sobie sprawę, że nie byłem sam. Pstryknięciem palców zapaliłem świecę. W fotelu dla gości siedział ojciec. Wyglądał na równie zmęczonego jak ja. Postawiłem przed nim ostatnią butelkę mojego wina i puchar.

- Muszę się wykąpać, zaraz wrócę.

Nie poruszył się, jakby mnie nie usłyszał. Myjąc się, doszedłem do wniosku, że moje stosunki z ojcem bardzo się zmieniły. Znalazłem się w centrum wydarzeń, których nie rozumiałem, a on zajął stanowisko neutralnego obserwatora, który dotrzymywał zasad i przymuszał do tego pozostałych. Myliłem się, jak zwykle. Kiedy wróciłem po kąpieli, siedział w tej samej pozycji, tylko butelka była w połowie pusta, lub też w połowie pełna, co zależy od punktu widzenia. Nalałem sobie i usiadłem.

- Upłynęły dwa dni, pozostał ci czterdzieści siedem.

Nie miałem nic do powiedzenia. Spędziłem wprawdzie

pracowity dzień, ale dla zwiększenia prawdopodobieństwa swojego przeżycia nie zrobiłem nic.

- Czy chcesz zostać Czarodziejem, władcą Vegasz?

W głosie ojca czuć było zmęczenie, a gdy na mnie patrzył, białka oczu świeciły mu różowym kolorem. Był to efekt uboczny związany z dysponowaniem mocą. Występował tylko u najsilniejszych czarodziejów i powodował, że mogli się ukryć przed przypadkowymi obserwatorami.

- Nie - odpowiedziałem, choć pytanie było retoryczne. - Ale nie mam wyboru. Jeśli ucieknę, będziesz pierwszy, który pośle za mną zabójców. A po tobie inni. Nikt w Vegasz nie pozwoli sobie na pozostawienie potencjalnego pretendenta do tronu żywego.

Przytaknął.

- A gdybym ci zaręczył, że nikogo za tobą nie pošle?

- Mógłbym się postarać o jakąś tajną służbę, ale nie jestem czarodziejem. Na samym Kontynencie jest masa czarodziejskich klanów, nie licząc rodów z Vegasz. Będą się ściagać o to, komu się uda przybić moją czaszkę na bramie cytadeli.

Przytaknął ponownie. Nasza rozmowa ojca i syna nie rozwijała się w przyjemnym kierunku, ściągnąłem z półki dwie butelki wina myocerskiego czerwonego i obie otworzyłem.

- A gdybym ci obiecał, że zabiję przywódców trzech klanów, którzy jako pierwsi posłają za tobą swoich łowców?

Prawie się zakrztusiłem. Dlaczego, na bogów, miałyby to zrobić? Nie było łatwo zabić przywódcę klanu czarodziejów.

- Dlaczego byś to zrobił?

Jeśli czegoś się nie wie, warto zapytać.

- Wydziedziczyłbym cię, pozbawił nazwiska. Prześladowaliby cię, choć bez zawziętości. Po śmierci trzech wielkich mistrzów przestaliby zupełnie.

Być może miał rację, ale na pytanie nie odpowiedział.

- Po roku urządziłbyś nową koronację. Przedstawiciele jedenastu losowałiby między sobą, jeden z nich musiałby zdać egzamin.

Obserwowaliśmy się wzajemnie, ale spojrzenie ojca stało się

bardziej przenikliwe. Jeszcze kilka razy tej nocy podchodziłem do półki po wino. Starał się na wszystkie sposoby przekonać mnie do uciezki. Niestety, nie wyjaśnił, dlaczego to robił, więc się wahałem.

Kiedy obudziłem się rano na kanapie, byłem w pokoju sam. Obok baterii pustych flaszek leżała karteczka z napisem: „Znakomite wino”.

Szkoda, że takich nocnych posiedzeń nie zaczęliśmy wcześniej. Być może przywykłym do ojca, a z czasem nawet go polubił. Wypiłem trzy filiżanki kawy, z piwnicy wydobyłem schłodzone końskie resztki i przeszedłem do laboratorium brata. Do czynności czarodziejskich było ono o wiele lepiej wyposażone niż mój przybytek.

Na podwórku spotkałem Engoda. Ubrany był w rodowe barwy i rozmawiał z nieznanym mi mężczyzną.

- Bądź zdrow - powitał mnie z pozoru przyjacielsko, lecz wyczułem w jego tonie sarkazm, kpinę i jakąś perwersyjną zawiść.
- Wyglądasz na gotowego do akcji. Szybko zaczęłeś swoje przygotowania, co? - zaśmiał się.

Był młodszy ode mnie, utalentowany, zachowywał się jak mieszkaniec miasta i charakteryzował nieznośną pewnością siebie. Poniekąd słusznie, ponieważ z całej gromady kandydatów do swojej funkcji był najlepszy. Skinąłem mu z uśmiechem i szybko zniknąłem za drzwiami. Nie chciałem, żeby zaczął mnie wypytywać, co niosę w worku.

W laboratorium wyłożyłem swój ładunek na stół i przyjrzałem mu się dokładnie. Wiele mi to nie dało. Trzy mniej lub bardziej połamane końskie nogi z resztkami mięsa, które pomimo moich starań zaczynało już nieźle śmierdzieć. Szukałem triku, który spowodował, że koń złamał nogę. Po dwóch godzinach pracy z lupą i skalpelem znalazłem. Struktura lewej przedniej i lewej tylnej nogi została zmieniona tuż pod stawem kolanowym, a właśnie tam tylna noga uległa złamaniu. Płaszczyna pęknięcia była szorstka, jakby wytrawiona kwasem. Zwyczajnymi metodami więcej nie udało mi się stwierdzić. Przez chwilę rozważałem, czy

do zbadania magicznego charakteru tego zdarzenia nie nając profesjonalisty, ale w końcu porzuciłem ten zamiar. Z tą sprawą musiał być związany ktoś niezwykle mocny, a nie mogłem ufać nikomu. Pierwszy raz w życiu pożałowałem, że obcowaniu z magią, które mi się należało jako synowi Czarodzieja, nie poświęcałem większej uwagi. Jedno wiedziałem na pewno. Śmierć Maxa nie była wynikiem wypadku, ktoś go zabił w sposób wielce wyrafinowany. Nie miałem pojęcia, jak temu komuś udało się oszukać instynkt mojego brata, zdolność przewidywania i unikania niebezpieczeństwa, jednak nie miałem złudzeń, że mógłbym to stwierdzić.

Czułem się jak ślepa sowa w południe wśród stada głodnych sokołów. Jeśli chciałem mieć choćby nadzieję na przeżycie, musiałem zacząć szybko się uczyć.

Chociaż nie lubiłem magii i nigdy nie zmusiłem się do tego, żeby studiować umiejętność manipulowania mocą, z punktu widzenia teorii miałem jasność. W kręgach, wśród których się obracałem, była to konieczna podstawa przeżycia. Znałem korzystne i niekorzystne strony wynikające z podstawowych formuł magicznych, ograniczenia różnych typów czarów, ich czasowe i energetyczne wymagania, a ponadto miałem w głowie prywatny spis kwalifikacji czarodziejów i ich ceny obowiązujące na rynku usług magicznych. Jeśli w grę wchodził nieczysty interes za dziesięć tysięcy złotych, a w Vegasz inne niż nieczyste interesy nie miały miejsca, mogłem się spodziewać, ile druga strona zażąda zaliczki, i przygotować się na to. Teraz jednak odczuwałem pilną potrzebę przeniknięcia głębiej i jeśli to możliwe, odkurzenia jak najwięcej starych umiejętności praktycznych.

Przeszedłem do biblioteki i zastanowiłem się, od którego z dwunastu tysięcy tomów zacząć. Wszystkie traktowały o magii.

Usiadłem przy stole i powróciłem do niezwykle grubej książki, w której znalazłem zapomniany kryształ. Była wypełniona niepewnym, jakby dziecinnyim pismem. Nagle zrozumiałem, że to rękopis mojego brata sprzed około dwudziestu laty. Miałem

szczęście, przede mną leżał dziennik Maxa, księga, której każdy czarodziej strzeże jak źrenicy oka, ponieważ zdradza ona aż nazbyt wiele o jego stylu myślenia i zdolnościach. Przebiegłem wzrokiem zapis o pierwszej godzinie nauki, zatrzymując się na krótkiej uwadze.

Tek (moje pełne imię brzmi Tekuard) cały czas nie umiał się skupić. Chyba jest jeszcze za mały na naukę. Wolał się bawić muchami.

Naraz wszystko sobie przypomniałem. Początki nauki Maxa i przykazanie ojca, żebym się uczył razem z nim, chociaż byłem o trzy lata młodszy. A muchy? Obrywałem im skrzydełka i czekałem, kiedy wyrosną nowe. Nie wyrastały, ale muchy, zamiast latać, całkiem szybko biegały, a mimo to mogłem je łatwo złapać, co mi się podobało. Wykład nauczyciela odbierałem jako szum gdzieś w tle.

Potrząsnąłem głową, aby odpędzić wspomnienia, zdjąłem kabat, przygotowałem pióro i papier na notatki i zabrałem się do nauki. Zapiski Maxa od początku były przejrzyste i logicznie uporządkowane, już w dzieciństwie potrafił z wykładu wydobyć i zrozumieć kluczowe punkty, które były podstawami manipulowania mocą. Powiadało się, że znajomość struktur, umiejętność ich używania i pełne zrozumienie oraz identyfikacja poszczególnych czarów były jednymi z najważniejszych wskaźników ukazujących potencjał czarodzieja. Tak mi to przynajmniej wyjaśnił będący raczej sybarytą mistrz klanu Aguupu, z którym spędziłem noc, dzień i noc w swojej prywatnej składnicy win. Szeregowy czarodziej potrafił użyć około dwudziestu struktur, z czym wiązał wszystkie swoje umiejętności. Max od pierwszej lekcji zbierał je skrzętnie, jakby nawlekał koraliki na nitkę. Umiał również w sposób zrozumiały wyjaśnić je nawet mnie.

Nagle zdałem sobie sprawę, że bolą mnie plecy. Stwierdziłem, że się garbię, ponieważ w zapadającym zmroku starałem się przysuwać oczy jak najbliżej tekstu. Ściemniło się. Dzień upłynął, nawet nie wiedziałem kiedy. Pozostało czterdzieści sześć dni.

Zastanawiałem się, czy tak samo je zmarnuję. Byłem zmęczony, głodny i piekły mnie oczy. Potrzebowałem wszystko przemyśleć, popatrzeć na to z dystansu i zdecydować, co dalej. Zaledwie trzy dni pośmierci Maxa czułem się jak zużyta onuca.

Wyszedłem na zewnątrz. Było chłodno, kotlinę już od tygodnia pokrywały chmury i śmierdzący smog z miasta zaczynał sięgać aż tu. Przerwałem dwójce pachółków grę w kości i kazałem, żeby przygotowali mi konia. Na pieńku służącym do gry pozostawili kilka złotych monet. W każdym dużym mieście na Kontynencie byłaby to poważna suma, która wystarczyłaby na zakupienie paru sztuk bydła. Tutaj niewarta nawet schowania. Na zamku różnica w stosunku do świata zewnętrznego zaznaczała się jeszcze wyraźniej. Sprytni chłopcy zgarnęliby roczną wypłatę i ulotnili się z miasta. Gdzie indziej mogliby kupić sobie za to łan ziemi i założyć gospodarstwo. Sam spryt jednak nie wystarczał, człowiek musiał być jeszcze mądry. Oparłem się o brzeg kamiennego żłobu. Większość okien zamku była oświetlona. Obecność sześciu wielkich mistrzów i przygotowania do koronacji zwiększyły intensywność zakulisowych intryg i politykowania do maksimum. Okna pracowni ojca pozostawały ciemne.

Wreszcie przyprowadzili mi konia. Wskoczyłem na siodło i ruszyłem klusem. Przejechałem przez miasto i wydostałem się na wolną przestrzeń. Koń parskał zadowolony, że znalazł się na świeżym powietrzu, wcale go nie musiałem popędzać. Biegł w ciemności szybciej, niż pozwalały na to moje umiejętności jeździeckie, ale nie wstrzymywałem go. Mniej więcej dwie mile za miastem kotlina przechodziła w głęboką dolinę, rozszerzającą się ku południowi. Światła na niebie przybywało, jakbym jechał naprzeciw świtowi, choć było to złudzenie. Wysokie ściany skalne z czarnego bazaltu i grzebień górski na zachodzie powodowały, że w Vegasz ściemniało się przynajmniej o godzinę wcześniej niż poza miastem. Tutaj słońce nadal oświetlało wierzchołki okolicznych wzgórz, a to czyniło cień, w którym jechałem, jeszcze ciemniejszym.

Skierowałem wierzchowca w górę na ledwie widoczną ścieżkę.

Już mogłem rozróżnić ciemne pasy winnic i jaśniejsze pasy ziemi między nimi. Koń miał swój dobry dzień i nie ustawał, ale do farmy obaj dotarliśmy zdyszani. Zaprowadziłem go do stajni dla gości. Nikt nie oczekiwał mojego przyjazdu, sam musiałem go wytrzeć i wyszczotkować. Niewolnicy nie wrócili jeszcze z pracy, ponieważ chciałem, żeby w jak najkrótszym czasie zakończyli wrywanie chwastów w winnicy. Nie kupowałem ludzi na targu w Vegasz, tylko na drogach, wybierając tych, którzy mieli coś wspólnego z uprawami. Kupiłem nawet trzy pełne rodziny z małymi dziećmi i to mi się opłaciło. Ojcowie zdawali sobie sprawę, że po raz drugi takie szczęście raczej by ich nie spotkało, i starali się, żeby moje żądania były spełnione w terminie, przez co gospodarstwo kwitło, a ja byłem zadowolony. Ostatnio myślałem o tym, żeby dać im wolność i zacząć płacić w zależności od jakości wina. Jeśli chciało się mieć grona o stałej jakości, należało je szybko zebrać. Każdy dzień zwłoki dawał o sobie znać. Szczególnie wtedy, gdy ciepła jesień bardzo nagle przechodziła w zimowy chłód. Jednego dnia przestawał wiać ciepły i suchy wiatr z południa, później następowały dwa lub trzy dni bezwietrzne, robiło się chłodno, pojawiały się poranne przymrozki, a potem zwałało się lodowate powietrze z gór. Jeśli chciało się wyrabiać rzeczywiście dobre wino, należało poszczególne kiście winogron sortować już podczas zbioru. Na niewolniku można było polegać tylko wtedy, kiedy za plecami miał dozorcę. Musiałbym zatrudnić ich całą armię i jeszcze każdego wyszkolić w sztuce winiarstwa.

Spostrzegłem, że siedziałem na ogrodzeniu, mechanicznie poklepywałem konia po boku i rozmyślałem o czymś całkiem innym, niż powinienem. Nie było zbyt prawdopodobne, żebym posmakował wina z nowych zbiorów. W Vegasz oczekiwało mnie jedenaście rodów, których bogactwo oraz siła wynikały z doskonałego opanowania magicznej i klasycznej sztuki walki. Wiedziałem, że ruszą na mnie czarodzieje, poszukiwacze, profesjonalni zabójcy, bojownicy.

Ród, któremu uda się mnie zabić, wystawi swojego kandydata do korony, mając nadzieję, że to właśnie on zasiądzie na tronie. Już

teraz były prawdopodobnie sporządzone moje portrety i wymieniona wysokość nagrody dla tego, który naprowadzi ich na mój ślad. Nie bawiła mnie perspektywa zostania Czarodziejem, tym najsilniejszym, jedynym, czuwającym nad równowagą na Kontynencie. Przyjrzałem się takiemu wyobrażeniu ze wszystkich stron, skonfrontowałem je z innymi możliwościami, poszukiwałem drogi ucieczki. Zdecydowałem, że jutro zapytam ojca, czy jego oferta jest nadal w mocy.

Stajnię przesycił przyjemny zapach koni, było w niej ciepło i pachniało suchym sianem. Po podjęciu decyzji uspokoiłem się. Nie chciało mi się nawet myśleć o stosownym, pełnym szacunku powitaniu, z towarzyszącymi mu ciekawymi spojrzeniami. Nie chciałem również wchodzić do niezamieszkałego domu, jaki tu dla mnie stale utrzymywano w gotowości. Ułożyłem się na sianie i natychmiast zasnąłem.

Obudziło mnie trzaskanie drewna, równocześnie zarejestrowałem dym i usłyszałem krzyki. Wybiegłem ze stajni. Paliła się stodoła na prawo ode mnie. Nie tyle się paliła, co stała w słupie białego płomienia, nagle zniknęła i została po niej tylko czarna plama na ziemi. Jakby ją ktoś zamienił w popiół. Pochwili zapłonął dom stojący nieco dalej. Błysk ognia i zniknięcie. Połowa budynków została już obrócona w popiół. Kilku wystraszonych ludzi wybiegło z chałupy, która natychmiast za ich plecami zmieniła się w słup oślepiającego żaru. Zatrzymali się szokowani, przyglądając się płomieniom.

- Uciekajcie! - ryknąłem, ale mnie nie słyszeli.

Ściany popękały od implozji, ludzie objęci niedokładnie skoncentrowaną siłą czaru zniknęli razem z domem. Postąpiłem zgodnie z własną radą i rzuciłem się do ucieczki. Stajnia za mną zapłonęła, ale nawet się nie obejrzałem. Biegłem jak na wyścigi, wiedząc, że to będzie długi bieg. Czar mnie odkrył i jak pies gończy ruszył za mną w pogoń. Został stworzony w celu likwidacji osoby przebywającej w budynku. Ogień prawdopodobnie niszczył osobiste bariery ochronne, a implozje powodowały śmierć. Wielki głaz przede mną zmienił się w kulę białego ognia. Złąkłem się,

zatrzymałem z poślizgiem, przewróciłem i na czworakach dalej uciekałem. Powiew mocy musnął mnie po plecach, przez chwilę nie mogłem złapać tchu, skała z ogłuszającym trzaskiem zapadła się w sobie.

O bogowie, użyli tyle siły! Ale moc musiała się skoncentrować na materii nieożywionej. Bezpośrednio nie mogli mnie osiągnąć.

Kluczyłem, wokół mnie implodowały większe i mniejsze obiekty - drzewa, kamienie, kopy siana. Musiałem się wydostać na wolną przestrzeń albo wytrzymać do chwili, kiedy czar wyczerpie całą energię. Lecz to mogło długo potrwać. Czar był tylko częściowo kierowany. Najpierw na budowlę, prawdopodobnie dom, w którym zwykle przebywałem, skierował go czarodziej, potem reszta następowała już konsekwentnie, a każdy atak służył zarówno do rozejrzenia się, jak i poszukiwania ofiary. Uprzątnięte pole zbożowe, mignęła mi myśl, jednak napastnik dobrze znał to miejsce i nie pozwolił mi pobiec w tamtą stronę. Później już nie starałem się utrzymać właściwego kierunku. Uciekałem, cały czas klucząc. Był tylko gwiazdzisty horyzont, moje płuca i nogi przenoszące mnie przez dziury, kamienie i wyboje.

Z opóźnieniem uświadomiłem sobie, że już od dawna nie widziałem żadnego błysku i nie słyszałem huku. Zatrzymałem się i padłem na kolana. Znajdowałem się na łące, pięć mil od gospodarstwa. Zarośla dzikiej róży okazały się na tyle gęste, żeby uchronić mnie przed przypadkowym atakiem. Nic się nie działo. Spojrzałem przed siebie. Skraj lasu oddalony był o jakieś sto pięćdziesiąt jardów. Pomału zacząłem rozróżniać poszczególne uderzenia zwalniającego serca, ogień w płucach też gasł powoli. Chwiejnie stanąłem na nogi. Może ostrzegła mnie zmiana szumu traw poruszających się w nocnym powiewie. Zanim garota owinęła się wokół mojej szyi, zdążyłem ochronić się rękami. Refleks okazał się szybszy od mózgu. Dzięki bogom, ale i niestety. Drut wbił się w przedramiona. Uświadomiłem sobie swój błąd - powinienem był chronić się jedną ręką, a drugiej użyć przeciw napastnikowi. Kwestią czasu było, kiedy garota przetnie mi ręce i gardło. Pobiegłem po stoku, jedyną nadzieję spostrzegłem w

odległości krótkiego strzału z łuku. Poprzednia ucieczka okazała się przechadzką w różanym ogrodzie, teraz był to bieg przez piekło. Nogi załamywały mi się pod podwójnym ciężarem, drut wrzynał w przedramiona, krew ciekła z przeciętych żył. Napastnik na szczęście nie zorientował się, co chcę zrobić, inaczej ściągnąłby mnie na ziemię. Opuszczały mnie siły, drut był tuż przy krtani. Jeszcze krok, jeszcze jeden. Nogi mnie zawiodły, zacząłem upadać. To oznaczało koniec. Spadałem długo, a spadając, zrozumiałem, że jednak mi się udało. Dobiegłem do pionowego, głębokiego na pięćdziesiąt stóp uskoku, który oddzielał granicę moich posiadłości od ojcowych.

Samego upadku nie zapamiętałem.





Otworzyłem oczy. Niebo pojaśniało, zbliżał się świt. Byłem mokry od rosy, coś ostrego kłuło mnie w plecy i trząsałem się z zimna. Zdumiało mnie, że w ogóle się pozbierałem, powinienem był się wykrwawić, leżąc bez przytomności. Rana na prawej ręce zasklepiąta się, po uczuciu palenia w tkankach poznałem swój własny czar. Lewa ręka też była częściowo w porządku, natomiast wydawało mi się, że zamiast pleców i lewej nogi mam kupę połamanych kości. Spróbowałem

usiąć i, o dziwo, udało się to. Ostrożnie obmacałem całe ciało, które wydało mi się jakby cudze, w niektórych miejscach kończyny były gorące, a naskórek nienaturalnie napięty, jakby przez całą noc pracowało nade mną troje uzdrowicieli. Poczułem wdzięczność dla swojej podświadomości. Wyleczyłem się tak samo jak na moście w Vegasz, chociaż tym razem było ze mną jeszcze gorzej.

Ktoś jęknął. Wstałem ostrożnie i ruszyłem w kierunku dźwięku. Napastnik leżał niedaleko, ręce i nogi miał powykręcane pod nienaturalnymi kątami, nie ruszał się, ale białka jego oczu błyszczały w świetle brzasku, a powieki się poruszały. Był nieco mniejszy ode mnie, żyłasty, jego twarz przypominała jastrzębia.

- Kto cię najął?

Wywrócił oczami, ale oprócz tego leżał bez ruchu.

- Masz złamany kręgosłup, wiesz o tym?

Powieki dwukrotnie mrugnęły.

- Pracujesz dla kogoś, kto zdoła złożyć cię do kupy?

Znów dał znać, że tak.

- Nie będzie miał okazji. Jak się rozwidni, przylecą ptaki.

Nic nie odpowiedział.

Zszedłem po stoku na drogę i poszedłem pieszo do Vegasz. Z początku trochę się zataczałem, ledwie wyleczone kończyny powoli odzyskiwały sprawność, lecz przed miejskimi bramami zapomniałem o urazach i zacząłem rozmyślać nad tym, kto i dlaczego próbował mnie zabić. Za czterdzieści pięć dni otrzymałby na to oficjalne zezwolenie i ponadto sowitą nagrodę. To nie miało sensu. Myślałem też o tym, czy oferta ojca jest nadal ważna. Im szybciej pokazałbym temu miastu plecy, tym lepiej byłoby dla mnie.

Wkrótce po nastaniu świtu przeszedłem przez bramę. Nie obawiałem się powtórnego ataku. Nieznany sprawca potrzebowałby trochę czasu, aby przekonać się, że jego zamiar się nie powiódł. Pogoda się nie poprawiła, smog nad miastem jeszcze zgęstniał. Pomiędzy domami wznosiła się nierównomiernie gęsta mgła i można było obserwować mikroklimat w poszczególnych tunelach i przejściach. Nie miałem ze sobą chusteczki ani pieniędzy na zakup zakłęcia i musiałem walczyć z odruchem wymiotnym. Na ulicach szybko przybywało ludzi i

wkrótce tłum zgęstniał. Mimo to szedłem szybko, jakby przede mną posuwała się para zawodowych rozganiaczy. Z początku nie rozumiałem dlaczego, ale kiedy przejrzałem się w oknie jednego z wytworniejszych domów, wszystko stało się jasne. Brwi i połowę włosów miałem spalone, w poprzek gardła ciągnęła się krwawa pręga, czar gojący powodował, że przedramiona miałem granatowe, jakbym cierpiał na jakąś egzotyczną chorobę.

Do zamku dotarłem krótko przed wschodem słońca znad skalnej ściany kotliny. Przygotowałem się na długą rozmowę z wartownikami na bramie, ale żadnych wartowników nie było. Wszedłem na dziedziniec. Ludzie beładnie biegali w różne strony, w trzech miejscach niżsi rangą dowódcy starali się zaprowadzić porządek, ale rezultatem ich nieskoordynowanych wysiłków był jeszcze większy chaos. W ostatniej chwili uskoczyłem przed wyładowanym wozem wyjeżdżającym na zewnątrz. Szczury opuszczają okręt, pomyślałem, jednak zaraz zmroziła mnie inna myśl. To wszystko mogło oznaczać tylko jedno. Wbiegłem do budynku i pognałem na górę do komnat ojca. Zapomniałem o zakłęciach bezpieczeństwa, lecz nic mnie nie zatrzymało. Przebiegłem przez pierwszy pokój, drugi, trzeci. Mimo że ostatnim razem byłem tu jako mały chłopiec, dokładnie pamiętałem drogę do pracowni ojca.

Zdyszany wpadłem do środka. Stało tam chyba sześciu ludzi, ale nie przyglądałem się im. Ojciec siedział na swoim krześle, rękę trzymał na orzechowych poręczach. Był ubrany w biały kaszmirowy sweter i białe spodnie z delikatnego płótna, ale strój był teraz raczej ciemny niż biały, czyste pozostały tylko rękawy i nogawice. Najpierw poszukałem rany w piersi, potem zauważyłem ciemną krechę na szyi. Drut garoty wciął się aż do kręgosłupa. Pochyliłem się nad raną, doszedł mnie zapach prawie zaschniętej krwi. Świeżości już w niej nie czułem, ale nie rozpoczął się jeszcze rozkład tkanek. Cera ojca była gruba i porowata, pomiędzy zmarszczkami dostrzegłem ślady dawno wyleczonych, ukrytych blizn. Białka oczu miał matowe, ale nadal białe. Przytłumiłem natłok beładnych myśli i skupiłem uwagę na garocie. Mosiężny uchwyt pokrywały skomplikowane rysunki, a struna była tylko trochę grubsza od włosa. Czułem, że to nie było zwyczajne narzędzie

asasy na czy też przyrząd z wbudowanym czarem. Garota okazała się artefaktem, czarem samym w sobie i jako realny przedmiot w ogóle nie istniała. Pomyślałem, że być może ojca zabił ten sam człowiek, który zaatakował mnie, ale szybko odrzuciłem tę myśl. W takim przypadku leżałbym zimny gdzieś na dnie jakiejś zapadliny.

Z rozmyślań wytrącił mnie szelest papieru. Wysokie, barczyste chłopisko bezceremonialnie panoszyło się przy stole ojca. Albo poczerwieniałem, albo zbladłem, w każdym razie obecni w pokoju aż się cofnęli. Odetchnąłem głęboko. Pierwszy raz w życiu miałem problem z opanowaniem się. Mężczyzna kartkował kolejną książkę, sprawdził, czy nic w niej nie zostało schowane, i odłożył na rosnącą stertę. Nie wiedziałem, dla kogo pracuje, ale mogłem się założyć, że był zawodowcem. Łatwo dało się w nim rozpoznać zabójcę, a nie sądziłem, żeby ojciec zezwolił komuś takiemu przebywać na zamku. Ponadto ich usługi sporo kosztowały i na wolnym rynku było ich tylko kilku. W rodzinach, które miały na to środki i nie bały się ryzykować (modyfikacje ciała i kompletne szkolenie miawały nieprzewidywalny wpływ na psychikę), był to przywilej, który otrzymywali tylko najzdolniejsi potomkowie, nie wyłączając kobiet. Ten był typem z normalnym wyszkoleniem, ale i tak nie ufałem swoim siłom w starciu z nim.

Popatrzyłem po ludziach w pomieszczeniu. Znajdowali się tu: lekarz, którego ojciec utrzymywał raczej jako dobrego rozmówcę podczas dyskusji, dwóch asystentów administracyjnych, osobisty pokojowiec i Zephyr, mistrz broni Maxa. Byli prawie przyjaciółmi ojca, o ile można mówić o przyjaźni pomiędzy Czarodziejem a jego sługami. Zachowanie intruza chyba nie przeszkadzało Zephyrowi, był zawodowcem, śmierć ojca uwolniła go od wszelkich zobowiązań, a w kontrakcie miał napisane, ile powinien otrzymać za swoją służbę. Właściwie nie miałem prawa rozkazywać nikomu z obecnych. Przybysz przejrzał kolejną książkę i rzucił ją na podłogę. Dobrze wiedział o mojej obecności i kpił sobie ze mnie. Głośno odetchnąłem, stłumiłem falę wściekłości i podszedłem do niego. Podświadomie zdawałem sobie sprawę, że robię błąd. Powinienem wziąć nogi za pas i jak najszybciej zniknąć. Bez treningu, bez noża, miecza lub samostrzału. Kolejny krok,

kolejna książka na podłodze.

- Wynoś się - wyplułem z siebie.

To zapewne też był błąd, ponieważ zawodowiec wyczuł strach nawet po tonie mowy. Mężczyzna błyskawicznie przyjął postawę bokerską i mocno uderzył pięścią, mierząc w żebra. Nagle trzymałem jego atakującą rękę pod ramieniem, lekkim obrotem ciała nacisnąłem na jego łokieć. Spróbował się przybliżyć, ale moja noga podcięła go w idealnym momencie; kiedy padał, zdążyłem złamać mu rękę w łokciu i już na podłodze piętą strzaskalem mężczyźnie grdykę. Stałem przez pewien czas bez ruchu. Ciało posłuchało mnie bez żadnych kłopotów. Odwróciłem się do pozostałych.

- Postawcie żołnierzy w bramie i przy każdym wejściu do budynku - rozkazałem jednemu asystentowi. - Zostańcie gdzieś w pobliżu, będę chciał, żebyście mi pokazali, gdzie znajdę potrzebne mi rzeczy - poleciłem drugiemu. - Wy, doktorze, usuniecie zwłoki i zajmiecie się tym, żeby już nikt go nie ożywił. Nie chodzi mi o ojca, ale o tego drugiego.

Łatwo jest rozkazywać, jeżeli ludzie się boją. W tej chwili się bali, ale nie wiedziałem, jak długo to potrwa.

Poczekalem, aż pozostali wyjdą, i zwróciłem się do Zephyra, stojącego spokojnie w pobliżu.

- Miałbym dla was ofertę. Czy nie zechcielibyście podjąć się mojego szkolenia i zostać choćby czasowo moim mistrzem broni?

Spojrzał mi w oczy. Był nieco starszy od ojca, dawało się to poznać po jego twarzy. Po bliznach, których nie próbował zamaskować, nawet na czole miał różne szramy, struktura naskórka również wydawała się w niektórych miejscach inna. Był to rezultat wielokrotnego używania czarów uzdrawiających niejednakowej mocy. Lewe oko miał brązowe, prawe niebieskie. Prawdopodobnie transplant. Staralem się zbadać emocje Zephyra, ale żadnych nie znalazłem. Wydawał mi się czymś na kształt martwego, czarnego głazu.

- Na przygotowania zbyt wiele czasu wam nie pozostało - powiedział.

- To prawda.

- Nie będę miał dużej szansy, jeśli polegniecie. Mistrz broni w

większości przypadków odchodzi wraz ze swoim panem.

- To też prawda.

- Wasz ojciec złożył wam pewną ofertę. Czy zdecydowaliście się ją przyjąć?

Zaskoczyło mnie, że o tym wiedział.

- Tak.

- Dlaczego?

- Zapewniała największą szansę przeżycia. Teraz to wy jesteście moją największą szansą.

- Co mi zaoferujecie?

Co powinienem mu zaoferować? Postawiłbym dziesięć do jednego, że służąc mojemu ojcu, stał się bogatszy niż większość królów na Kontynencie. Obserwowałem go. Miał opinię człowieka o najzimniejszej krwi na świecie, był telepatą i prawdopodobnie magiem. Pracował dla ojca od młodości i o ile wiedziałem, miał udział w wielu jego decyzjach. Gdyby miał rodzinę lub choćby potomka, na którym by mu zależało, może znalazłbym coś, co by go zainteresowało. Ale tacy ludzie jak on są samotni.

- Wybierzcie sobie sami. Wszystko, co jest w mocy Czarodzieja i władcy Vegasz, stanie do waszej dyspozycji.

Uśmiechnął się. Jego pustkę uczuciową zastąpiło rozbawienie. Trwało to tylko przez moment, później szybko zniknęło. Ludzie są na ogół wypełnieni całą gamą różnych emocji, czasem któraś z nich na krótko przeważa. Nigdy nie spotkałem człowieka, który przez większość czasu miałby te same uczucia. Chyba na tym polega siła człowieczeństwa.

- Czy mógłbym wybrać swoją nagrodę dopiero po koronacji?

Nasza rozmowa zaczęła zmierzać w absurdalnym kierunku. Nie wierzyłem, że uda mi się przeżyć, a tymczasem zachowywaliśmy się jak przekupnie na targu. Postanowiłem jednak kontynuować tę zabawę.

- Oczywiście. Jakiej gwarancji sobie życzycie?

- Żadnej. Wystarczy mi wasze słowo.

Spojrzałem na mistrza zdziwiony. Po raz pierwszy słyszałem, że komuś wystarczy moje słowo. W Vegasz spora gromada czarodziejów utrzymywała się z potwierdzania umów i budowania czarów, których

spełnienie zależało od dotrzymania kontraktów.

- Jutro o szóstej rano w sali treningowej, panie.

Wyszedł, nie czekając na moją odpowiedź.

Aż do pory obiadowej przeglądałem wraz z asystentem przedmioty należące do ojca. Wybierałem te, i które mogły mi się przydać, i odnosiłem do komnat Maxa, będących teraz moją bazą. O wpół do pierwszej przybyli lekarz i czarodziej, specjalista od artefaktów. Oczekiwałem od nich dokładnych informacji o śmierci ojca i o samej garocie. Nie spodziewałem się rewelacji, ale nie powiedzieli mi nic nowego. Musieli mnie uważać za półdiotę, ponieważ nie próbowali nawet budować jakichś teorii. Ktoś im już z góry zapłacił za ich niewiedzę. Najpierw chciałem im zaoferować więcej - w tym momencie miałem do dyspozycji wszystkie pieniądze królestwa. Potem doszedłem do wniosku, że mijałoby się to z celem. Proces koronacyjny w rzeczywistości już się rozpoczął i moje pieniądze traciły na wartości. Byłem odludkiem, nikt nie wierzył, że zdołam przeżyć, i ludzie woleli raczej dać się przekupić przyszłym władcom Vegasz.

Obiad zjadłem w pracowni ojca przy jego stole do pracy. Nie zdążyłem jeszcze wszystkiego przejrzeć, a nie chciałem, żeby podczas mojej nieobecności ktoś obcy tu grzebał. Jadłem powoli, przyglądając się ojcu. Zapach krwi przyciągnął do okna rój much, ale czar nie wpuścił ich do środka. Nigdy nie jadłem obiadu w towarzystwie ojca. Z pewnością ze strachu nie przełknąłbym ani kęsa. Teraz stało się to łatwiejsze.

Nie chciałem, żeby ktoś próbował na nim czarów ożywiających. Na pewno był na coś takiego dobrze przygotowany, ale człowiek nie powinien kusić losu. Dawniej martwych Czarodziejów palono na zamkowym podwórku, to jednak wymagało czasu i sporej liczby ludzi. Oficjalnie aż do chwili koronacji byłem namiestnikiem, lecz nie chciałem wypróbować swojego przywódczego autorytetu wcześniej, niż stanie się to niezbędne. Zdecydowałem, że spalimy ojca w jego pracowni, bez ceremonii. Czegóż więcej mógłby sobie życzyć, jak nie pogrzebu przeprowadzonego osobiście przez kochającego syna? Pokojowcowi, staremu Coinowi, rozkazałem naznosić drewna. Natychmiast zrozumiał, co chcę zrobić, ale poszedł spełnić rozkaz.

Coin był jednym z moich wychowawców, a mimo to respektował moje polecenia. Z powodu bezpieczeństwa komnaty ojca zostały zbudowane jak ogniotrwałe skarbcce i nawet przypadkowa eksplozja nie mogła ich uszkodzić. O pożarze w jednym pokoju nie było sensu nawet mówić.

Zapełniliśmy pracownię drewnem, wrzuciłem do wnętrza zapalone łuczywo i zamknąłem ognioodporne drzwi. Po dwóch godzinach pozostała z ojca tylko kupka popiołu, a garota zniknęła zupełnie. Teraz dopiero nabrałem przekonania, że śmierć ojca była definitywna. Dotychczas podświadomie oczekiwałem, że ożyje i na swój zwykły, sarkastyczny sposób pouczy mnie o tym, co zrobiłem niewłaściwie. Żartakiem jednak nie był, żeby powstać z popiołów. Może mimo wszystko powinienem był wygłosić choćby krótką mowę pogrzebową? Z zamyślenia wyrwało mnie stukanie. Za drzwiami znów stał Coin.

- Wielki mistrz Stoomag prosi o audiencję, panie.

Po co? - pomyślałem natychmiast, ale pytać o to pokojowca nie miało sensu. Nie chciało mi się zaczynać rozmowy z wielkim mistrzem. Z pewnością nie byłoby to tak męczące jak krzyżowy ogień pytań całej szóstki, ale nie wierzyłem, że zdołałbym ukryć przed nim wszystko, co mi było wiadomo i co sobie myślałem.

- Co dokładnie powiedział Stoomag?

- Zapytał mnie, czy wiem, gdzie jesteście. Powiedziałem mu, że tutaj. Potem chciał wiedzieć, do czego potrzebowaliście tak dużo drewna. Wyjaśniłem mu to. Wydało mi się, że to go nie zadowoliło, i kazał przekazać, że chce z wami mówić.

- Dziękuję. Przekażcie mistrzowi przez kogoś, że jestem niedysponowany i pogrążony w żałobie po swoim zmarłym ojcu. Ale sami mu się po jakimś czasie wymknijcie.

Coin przytaknął.

- Czy ten dzwoneczek jest przeznaczony dla was?

Wskazałem mały malachitowy dzwonek stojący na półce.

- Tak, panie. Zadzwoncie, a ja usłyszę i jeśli tylko będziecie na terenie zamku, zorientuję się, gdzie właśnie jesteście.

- Znakomicie.

Nie poczekał, aż go zwolnię, i odszedł. Coin był doskonałym empatą i posiadał wprost nieocenioną umiejętność - potrafił stać się niemal

niewidzialny. Ojciec zdołał otoczyć się ludźmi najlepszymi w swojej specjalności.

Jeszcze około godziny przeglądałem pokoje ojca. Nie tak dawno temu przeglądałem rzeczy Maxa, a teraz ojca, i zdumiało mnie, jak bardzo różnili się od siebie. Max miał swoje rzeczy metodycznie i logicznie uporządkowane, ojciec natomiast, podobnie jak ja, wolał chaos. Jedno mieliśmy wszyscy trzej wspólne. Żaden z nas nie otaczał się niepotrzebnym luksusem, a jeśli już, to tylko celowym. Co drugi mieszkaniec Vegasz miał w domu więcej złota niż my trzej razem wzięci. Do komnat Maxa wróciłem okrężną drogą, przez kuchnię, a potem wąskimi korytarzykami używanymi wyłącznie przez służbę. Nie chciałem „przypadkiem” spotkać Stoomaga.

Poczęstowałem się szklanką wina z zapasów brata i usiadłem w saloniku do gry w karty. Pokój służył przeważnie do odpoczynku i zabawy. Wokół okrągłego stołu z lśniącym marmurowym blatem stało pięć wygodnych foteli, które na subwokalnie wyrażone życzenie rozkładały się, przyjmując kształt dużych kanap, świece w lichtarzach wyglądały na normalne, lekko dymią, a ich płomień migotały w powietrzu. Miały jednak trzy poziomy jasności oraz zapalały się i gasły po prostym pstryknięciu palcami. To samo dotyczyło kominka. Na zewnątrz powoli się ściemniało i wino opalizowało w świetle ognia. Salonik pogrążony był w spokoju. Sprawdziłem, czy dobry nastrój nie został spowodowany czarami, ale niczego nie odkryłem. Ktoś tutaj doskonale zgrał kolory, wytłumił dźwięki. Ktoś, kto znał się na takich sprawach.

- Co ja tu robię, do licha?

W tym głośno wypowiedzianym pytaniu słyhać było zaledwie połowę moich obaw i brak pomysłu na wyjście z zaistniałej sytuacji. To absurd. Dwaj najmocniejsi i najniebezpieczniejsi ludzie na świecie, mój brat i mój ojciec, zostali zamordowani, a ja rozmyślałem nad estetyką umeblowania. Postawiłem szklankę i odsunąłem mocno, aż kropla wina kapnęła na lśniący kamień. Właśnie teraz kilkudziesięciu ludzi planowało moją śmierć, a najpilniejsi już nad tym pracowali. Całe życie przygotowywali się do tego, a ja, do czego ja się przygotowywałem? Dlaczego na moim miejscu nie stał mój

nieustraszony brat? Wszystkie wewnętrzne monologi, jakie prowadziłem ze sobą, były tylko żartami. Nigdy nie pogodziłem się ze śmiercią. Chciałem żyć bardziej niż kiedykolwiek. Przez całe życie zazdrościłem ludziom na niższych stopniach drabiny społecznej, których los był już z góry zaplanowany i kontrolowany. Powinienem być rezerwowym szeregowcem wielkiego czarodzieja, figurką używaną przy zakulisowych targach. Prawie dziesięć lat zajęło mi choćby częściowe pozbycie się swego dziedzictwa, przekłętej więzi z tronem Vegasz i stworzenie sobie niezależności. Nie tęskniłem do posiadania mocy, nie fascynowały mnie czary, nie chciałem kąpać się w złocie. Nauczyłem się żyć wśród drapieżników bez cienia swojego wielkiego ojca za plecami, chodziłem na palcach i tańczyłem pomiędzy ich interesami, powoli promując własne. Bez czarów, bez magii, bez zabójców. Zawsze polegałem tylko na swojej głowie i instynkcie i w końcu udało mi się w Vegasz, pępku świata, zacząć żyć swoim własnym nieskomplikowanym życiem. Minęły tylko cztery dni, a wszystko to rozpadło się na kawałki. Stałem się źdźbłem trawy na wietrze, drewnkiem w nurcie rzeki, która wylała z koryta. Nie lubiłem czarodziejów, nie lubiłem tego potwornego miasta, nie lubiłem żyjących w nim ludzi i praw, którymi się rządzi. I nie mogłem stąd odejść.



Mimo że byłem zmęczony i marnie się czułem, nie poszedłem spać. Przez całą noc przeglądałem zapiski Maxa. Wszystko, co czytałem, wydawało mi się znajome i każdy zapis wywoływał we mnie jakieś wspomnienie. Widziałem siebie, jak się zabawiam, nie poświęcając większej uwagi wykładowi nauczyciela. Początkowo przynosiłem ze sobą zabawki, kociaki, myszy, szarańcze w szkatułkach, później książeczki z obrazkami opisujące obce kraje, podkradane w zamkowej bibliotece. A jeszcze później w ogóle nie chodziłem na nauki, ponieważ zabawiałem się z dziewczynami - nowicjuszkami burdelowej szkoły w pobliżu

zamku. W zasadzie wśród czarodziejów i ich sług przeminęło moje szczęśliwe, niczym niezmałcone dzieciństwo.

Jedynym okresem, jakiego nie wspominałem miło, były trzy miesiące spędzone w kwarantannie. Zaraziłem się śmiertelnie niebezpieczną czarną wysypką. Do dziś dziwiłem się, dlaczego ojciec nie kazał mnie po prostu spalić, jak to powszechnie praktykowano we wszystkich miastach Kontynentu. Leżałem sam w małym, zamkniętym pokoju i tylko raz w ciągu dnia odwiedzał mnie lekarz w ochronnym płaszczu i masce na twarzy. Sufit tego pokoju wspominałem ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami. Ta choroba stała się tylko małą plamą na całym moim dzieciństwie, a i nauka była dla mnie źródłem gier i zabaw. Nauczyciele nie reagowali na moje zachowanie i nie pamiętałem, żeby kiedykolwiek skarżyli się ojcu na moją nieobecność. Całą uwagę skupiali na moim bracie, nie dając mu ani chwili odpoczynku. Mimo to, czytając jego dziennik, miałem wrażenie, że częśćka mojego ja była obecna na każdej lekcji i zapamiętywała wykład lektora.

Przed piątą obudziłem się, siedząc nadal przy stole nad otwartym notesem. Nie miałem pewności, ile naprawdę przeczytałem, ale posunąłem się o dwadzieścia stron. Byłem zmęczony, oczy piekły mnie z niewyspania, bolała głowa i czułem się tak, jakby przebiegło po mnie stado młodych kobyłek. Byłem więc w idealnej formie do pierwszej treningowej lekcji z Zephyrem. Postawiłem wodę na ogniu i zabrałem się do przeszukiwania laboratorium chemicznego. Max miał tu wszystko, od kehllotskiego medykamentu powodującego, że płodziło się tylko dziewczynki (o ile było się mężczyzną) aż po truciznę działającą po upływie piętnastu lat. W końcu znalazłem footę. Był to najsilniejszy środek pobudzający niepowodujący fatalnych następstw. Jedynym nieprzyjemnym objawem po używaniu footy przez kilka tygodni było nasycenie czopków siatkówki oka i człowiek tracił zdolność rozpoznawania kolorów. Na szczęście było to zjawisko tymczasowe, jeśli odstawiło się specyfik. W przeciwnym razie groziła trwała ślepotą. Powszechne użytkowanie ograniczały cena i nietolerancja footy na inne narkotyki. Jeśli chciało się zmienić w śliniące się zwierzę, należało wziąć kilka ziarenek footy, a do tego na przykład kokę. Sukces

gwarantowany. Nabrałem żółtego proszku na czubek noża i wyspałem do gorącej wody. Smakowało jak gorąca woda w garnuszku.



Stałem w podziemnej sali treningowej, którą pamiętałem z zapisu w kryształach, i czekałem. Nałożyłem zwykłą płócienną bluzę i lniane spodnie. Przypuszczałem, że Zephyr powiedziałby mi, gdybym miał przywdziać specjalny strój. Powietrze było chłodne i nieco wilgotne, ale bez śladu stęchlizny. Oświetlenie zapewniały dwie kule z rybnich pęcherzy wypełnione świecącym planktonem. Podłogę tworzył materiał podobny do porowatego piaskowca, ale w odróżnieniu od Prawdziwego piaskowca nie kruszył się i lekko sprężynował. W chwili, kiedy zacząłem się rozglądać za Zephyrem, stwierdziłem, że stoi przede mną i patrzy na mnie. Nie słyszałem, jak nadszedł, i nie zauważyłem jego obecności. Bez słowa podał mi miecz jelicem naprzód. W Vegasz używano się lżejszej broni niż w innych miastach Kontynentu, ale ta sprawiała wrażenie prawie delikatnej. Klinga była smukła, lekko wygięta, ze skośnym, bardzo ostrym grotem. Ostrze było pozbawione wrębów i gdybym nie używał kremów depilujących, mógłbym się nim śmiało ogolić. Uchwyciłem jelec i poczułem chwilową słabość, jakby metal na moment pozbawił mnie sił, ale potem czułem już tylko zwyczajny chłód. Nie znalazłem żadnego śladu czarów, miecz był czysty. Spojrzałem na Zephyra. Oczekiwałem, że wyposaży mnie w coś lepszej jakości.

- Z lewego górnego krycia przejdź do ataku i zakończ go w niskiej, środkowej postawie.

Podbechtało mnie, że zaczął od najzwyklejszego elementu, lecz szybkość ćwiczenia nie pozwoliła na pokazanie niezadowolenia.

- Wystarczy.

Zaskoczony zatrzymałem się w ruchu i rozejrzałem. Zephyr stał pięć kroków przede mną i obserwował mnie uważnie. Teraz dopiero

zdałem sobie sprawę, że o nim zapomniałem i przez cały czas uważałem jego słowa za swoje własne myśli. Zastosował najprostszą, a równocześnie najskuteczniejszą formę hipnozy, kiedy hipnotyzer utożsamiał się z myślami obiektu tak doskonale, że obiekt przestawał go uważać za inną osobę i traktował jak samego siebie. Przeciwno takiemu sposobowi manipulacji nie istniała jednoznaczna obrona. Gdyby kazał mi odejść, nie przebudziwszy z transu, nie potrafiłbym sam się z niego przebudzić. Na szczęście tak utalentowanych hipnotyzerów było niewielu. Kiedy miałem dziesięć lat, stwierdziłem, że jeśli się skupię i przygotuję, zdołam ukraść kucharzowi słodczyce sprzed samego nosa. Kiedy miałem dwanaście, zacząłem swój talent świadomie rozwijać, a kiedy piętnaście, ta moja tajna umiejętność pomogła mi pokonać ciężki kompleks niższości związany z dojrzwaniem płciowym. Wydawało mi się, że jestem jedynym, który coś takiego potrafi. Myliłem się, ale na szczęście wtedy o tym nie wiedziałem.

- Odetchnijcie chwilę, książę.

Przyciągnąłem do siebie rękę z bronią i rozluźniłem się. Pot wsiąkał w bluzę, kolana mi się trzęsły i kłuło mnie w boku. Właściwie byłem zupełnie wyczerpany. Ile czasu tak naprawdę upłynęło?

- Możecie odłożyć miecz, będziemy ćwiczyć bez niego.

Nigdzie nie widziałem stołka, więc położyłem ostrze na podłodze i stanąłem przed Zephyrem.

- Stójcie swobodnie i myślcie o małym palcu u lewej ręki.

Przez pierwsze dwadzieścia minut byłem zadowolony, że mogę tak stać, przez drugie starałem się myśleć o małym palcu, potem zamiast tego ukradkiem obserwowałem Zephyra. Stał jak posąg i jeśli o czymś myślał, musiał to być mały palec lewej ręki. Po godzinie znów spróbowałem skupić się na tym idiotycznym palcu. O wpół do trzeciej po południu zastałem siebie siedzącego w pracowni Maxa, spoconego i brudnego, rozmyślającego o małym palcu lewej ręki. Znałem każdą jego linię papilarną, każdą bruzdę, każdy fragment skóry czy plamkę brudu. Hipnoza Zephyra znów zadziałała, tylko nie było dla mnie jasne, w czym mi pomoże doskonała znajomość małego palca. Gdyby zaszła taka konieczność, spokojnie bym się go pozbył.

Zarejestrowałem działanie zaklęcia identyfikacyjnego, w chwilę później otworzyły się drzwi na dole. Musiał to być jeden ze służących Maxa, mający prawo wstępu. Słyszałem, jak wchodził po schodach. Sądząc po ciężkim, niepewnym stąpaniu, oczekiwałem kogoś starszego.

Mylłem się, do komnat wszedł niespełna trzynastoletni chłopiec o bladej twarzy. Niósł dużą tacę z obiadem. Hipnoza miała swoje granice. Może nie wziąłem prysznic, ale obiadu zamówić nie zapomniałem.

- Wasz posiłek, panie.

Chłopiec miał spuszczone oczy i drżący głos.

- Dziękuję.

W chwili, kiedy nabiłem na widelec kawałek soczystej wieprzowiny, czar zapowiedział kolejnego przybysza. Kilka razy się zmienił, jakby nie był pewny pozwolenia wstępu gościa, a kiedy nieznajomy zdecydował się i tak wejść, nagle go wpuścił.

- Czy jedzenie jest niedobre, panie? - zapytał chłopiec z niepokojem.

- Nie. - Uśmiechnąłem się do niego. - Ktoś przyszedł.

Mało mi ślinka nie ciekła, ale nie chciałem powitać gościa z pełnymi ustami. Coin. Kiwnąłem mu ręką, po czym włożyłem mięso do ust. W powietrzu mignęła stal i głowa kuchcika wpadła pomiędzy kapustę i pieczeń wieprzową.

- Nie jedzcie tego, książę.

To oświadczenie nie było potrzebne, musiałem zapanować nad żołądkiem, żeby nie wyleciało z niego coś, co zostało w nim po treningu. Kęs, z którego tak się cieszyłem, wylądował na przeciwległej ścianie.

- Jedzenie jest zatrute? - zapytałem.

- Prawdopodobnie. Zephyr przygotował dla was specjalny jadłospis i poszedł do kuchni po garnki. Powiedzieli mu, że już sami zamówiliście swoje jedzenie. Z kuchni by nie zdążył, ja byłem bliżej i zdołałem dotrzeć na czas.

Uważnie obejrzałem głowę. Wyglądało na to, że to rzeczywiście był ulubiony kuchcik Maxa, albo jego doskonały sobowtór, ale tego czar w drzwiach by nie wpuścił.

- Pomóżcie mi z nim.

Rozebraliśmy ciało i bardzo dokładnie zbadaliśmy. Wziąłem silne szkło powiększające i między trzecim a czwartym kręgiem lędźwiowym odkryłem miniaturową czarną kropkę. Usunąłem ją małymi kleszczykami i okazało się, że była to nieco grubsza od włosa igła długości kciuka. Coin ze zdumieniem patrzył na moje znalezisko.

- Ten chłopak był już martwy - wyjaśniłem mu. - Podobna do igły Bogdana. Wbija się ją w rdzeń pacierzowy i łączy w ten sposób z mózgiem. Czar wymaże świadomość i pozostanie tylko rozum wraz z sumą nagromadzonych umiejętności, inny czar wprowadzi stosowne rozkazy. W zależności od talentu czarodzieja takie ciało zdolne jest do dość długiego przeżycia.

Coin patrzył na mnie z uznaniem. Uwaga, jaką poświęcałem czarom i gromadzeniu pozornie nieważnych strzępków informacji, zaczynała mi się opłacać.

- A dlaczego właściwie przyszliście mi z pomocą?

Uważnie mnie obserwował.

- Zephyr twierdzi, że jesteście dobrzy i macie szansę.

Byłem tak dobry, że mistrz przeprowadził ze mną tylko podstawowy trening z mieczem, a potem zajął się ćwiczeniem pewności siebie. Głośno tego oczywiście nie powiedziałem.

- To nie jest najważniejszy powód. Nic was tutaj nie zatrzymuje.

Pokręcił wolno głową i podał mi cienki zwitek.

- To jest kopia na karcie akalowej, obchodźcie się z nią ostrożnie.

Najpierw przejrzałem rękopis. Energicznie, z rozmachem kreślone litery, mocno pochylone w prawo. Piszący nie oszczędzał miejsca, na końcu tekstu zostawił sobie kilka wolnych wierszy na podpis, którego wyraźnie brakowało. Skupiłem się na znaczeniu zdania:

*Po zakończeniu pracy zlikwiduj wszystkie
sługi Cz. Zadbaj o maksymalne utajnienie.
Współpraca będzie kontynuowana zgodnie
z umową.*

- Praca oznacza moje zabójstwo, wy należycie do sług - powiedziałem.

Przytaknął.

- Zdecydowałem, że mamy większą szansę, jeśli pomożemy wam odbyć obrzędy koronacyjne.

Zaskoczył mnie. Postawiłbym na siebie najwyżej mocno obciążoną złotą monetę, a Coin postawił na mnie swoje życie. Ufność była piękną rzeczą, choć niewiele mnie teraz cieszyła.

- Nasz przeciwnik czy też przeciwnicy są silni. -Wskazałem zwłoki. - I prawdopodobnie mają zamek pod obserwacją. Będziemy się starali nasz sojusz utajnić.

- To właśnie chciałem zaproponować, książę.

- Ale musimy mieć między sobą łączność, żebyśmy mogli szybko reagować. Pomoże nam w tym dzwoneczek.

Wyjąłem z kieszeni dzwonek ojca.

- Mamy tylko jeden, książę - zwrócił mi uwagę Coin.

Położyłem dzwonek na stole, przykryłem serwetką i uderzyłem w nią ciężarkiem z brązu. Podniosłem serwetkę, na blacie leżało kilkanaście większych i mniejszych kawałków. Pokojowiec uśmiechnął się i powoli, dobrze się przyglądając, wybrał pięć największych.

- Ja, Zephyr, Deneb, kucharz, Deloin. Mam nadzieję, że bez trudności nawiążecie z nami kontakt.

Też miałem taką nadzieję. Jako chłopiec pewnego razu zabawiałem się dzwoneczkami Maxa i udało mi się wytropić wszystkich jego nauczycieli i sługi. Nie widziałem w tym niczego niezwykłego, dopiero później dowiedziałem się, że takie przedmioty zostały specjalnie przypisane do konkretnych osób i nikt poza nimi nie potrafiłby ich użyć. Prawdopodobnie udało mi się, ponieważ byliśmy braćmi.

Coin odszedł. Poczekałem jakiś kwadrans i odciągnąłem ciało po schodach aż przed zewnętrzne drzwi. Przykazałem jednemu ze strażników, żeby usunął zwłoki, i wróciłem do pracowni. Usiadłem w fotelu i zauważyłem, że ze srebrnej tacy nadal gapi się na mnie głowa. Wyrząłem przez okno, ale wszyscy wartownicy zniknęli z pola widzenia. Zapewne nie zależało im na dalszych podobnych zadaniach. Zostawiłem to na później i zająłem się podsumowaniem wydarzeń.

Zabili brata, zabili ojca, próbowali zabić również mnie. I to dwukrotnie. To nie miało sensu. Max jako nowy Czarodziej nie musiał nikomu przypadać do gustu. Niech będzie. Ale dłaczego zlikwidowali

również ojca? Chciał ustąpić ze swojego stanowiska, a chociaż pozostałyby mu znaczne wpływy, nie można było tego porównywać z okresem, kiedy pełnił funkcję Czarodzieja. A już zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić powodu, dla którego chcieli zabić mnie. Miałem nikłą szansę na przeżycie koronacji. Jeśli ktoś aż tak bardzo mnie nie lubił, wystarczyłoby mu poczekać kilka tygodni i miałby kłopot z głowy. Moja wcześniejsza śmierć nie uprościłaby niczego, raczej odwrotnie. Zaczęłyby się kłótnie pomiędzy jedenastu rodami o przy wilej ustanowienia nowego księcia, następcy tronu. Jednak być pierwszym to jeszcze nie sukces, bo przeciwnicy pozostawali w pełnej sile. Pierwszy musiał w tym przypadku znaczyć najsilniejszy. Obecnie najsilniejszymi byli Guonowie i Paacycy. I dlatego chcieli zlikwidować zasłużone sługi ojca?

Jeszcze ze dwie godziny biłem się z myślami, ale nie doszedłem do żadnych logicznych wniosków. Najlepszym rozwiązaniem z punktu widzenia wszystkich zainteresowanych (mnie wyłączając) było spokojnie przygotować się do ceremonii koronacyjnej, a mnie podczas niej zabić. To nie byłby żaden problem. Gdzieś musiało się ukrywać coś ważniejszego, co zmieniało układ sił sposobem, którego nie rozumiałem. Obecna sytuację polityczną w Vegasz miałem w małym palcu (lewym) i dobrze znałem historię ostatnich piętnastu lat. Już wielokrotnie przyglądałem się utarczkom, sporom i urazom pomiędzy możnymi rodami. Przyczyna całego galimatiasu musiała leżeć głębiej, w przeszłości.

O ile taka przyczyna istniała.

Nasunął mi się pewien kierunek działania: poszukiwanie kochanki Maxa, która miała mu urodzić dziecko. Gdybym się tego dowiedział od kogoś innego niż od certyfikowanej kurtyzany, nie uwierzyłbym. Ale te kobiety były piekielnie sprytne i niczego nie robiły bez potrzeby. Musiała mieć jakiś powód, żeby mi o tym wspomnieć. Był to słaby punkt oparcia, ale wszystko było lepsze niż nic.

Ktoś zapukał do drzwi. Przyszedł kucharz z dwoma pomocnikami. Nieśli tace pełne misek, miseczek i garnuszków z polewkami, kaszami i podejrzanie wyglądającymi substancjami w różnych kolorach.

- Co to jest? - zapytałem. - Akcesoria malarskie?

- Nie, książkę.

Kucharz skinął na pomocników, żeby weszli do komnaty. Miał przy sobie kawałek dzwoneczka.

- Wasz posiłek, panie. Przygotowałem go osobiście według zaleceń Zephyra. Naczynia są oznaczone cyframi. Poszczególne dania należy jeść w kolejności. Nie jest istotne, czy zjecie od razu wszystko, czy rozłożycie to na kilka części, ale do jutra do godziny drugiej po południu musicie zjeść wszystko. Jedzenie jest przygotowane z uwzględnieniem potrzeb jutrzejszego treningu.

Poczekalem, aż pomocnicy odejdą, i zatrzymałem kucharza na chwilę.

- Czy możecie zorganizować paru ludzi, którzy zbieraliby w Vegasz informacje o tym, co się dzieje? Na co szczególnie mają zwracać uwagę, wyjaśnię im później.

Przytaknął.

- Już o tym pomyślałem, ale potrwa to dłużej niż zazwyczaj. Gdyby ktoś się domyślił, że pracują dla was, byłby to koniec. Pieniądze przepływają zwykłym sposobem. W ciągu dnia znajdziecie mnie w kuchni.

Nie domyśliłem się, że poprzednim zajęciem kucharza było szpiegostwo. Ale przypuszczałem, że ojciec wiedział, co robi.

Z pierwszej miski zjadłem wszystko ze smakiem. Jej zawartość przypominała kaszę jaglaną i tak też smakowała. Druga wyglądała bardzo podobnie, ale jej smak nazwałbym gliną zmieszaną z wodą. Naczynie numer trzy było półlitrowym garnuszkiem zawierającym żółtą, ostro woniejącą ciecz. Gdybym nie musiał jej pić, nazwałbym ją wielbłądzim moczem. Przy dalszych daniach odpuściłem sobie kulinarną fantazję. Byłem bardzo głodny i skończyłem na numerze czternaście. Po dawce footy, która pomogła mi opanować odruch wymiotny i zwalczyć senność, wróciłem do studiowania dziennika Maxa.

O wpół do trzeciej rano zdałem sobie sprawę z jakiegoś dziwnego zapachu. Był słodkawy i ledwo wyczuwalny, ale szybko zorientowałem się, co to było. W saloniku do gry w karty na tacy nadal leżała głowa kuchcika. Stęzenie pośmiertne zastąpiły początki rozkładu i rysy

twarzy miękły. Do połowy wysunięty język przypominał grubego fioletowego robaka. Nie chciało mi się po nocy wynosić tej głowy, ale wiedziałem, że z czasem smród się nasili, więc wewnątrz też pozostać nie mogła. Wpadłem na pomysł wykorzystania czaru konserwacyjnego. Niczego podobnego nie znalazłem w dzienniku Maxa, w rzeczywistości nie zostały tam opisane procedury konstruowania konkretnych czarów. Tylko proste elementy budowy i uwagi o tym, jak je układać. Usiadłem przy stole, głowę wysunąłem do przodu i skupiłem się. Przed chwilą wszystko wydawało mi się jasne, ale naraz nie wiedziałem, od czego zacząć. Byłem jak budowniczy, który nie ma pojęcia o różnicach pomiędzy kamieniem, drewnem, wypalaną lub niewypalaną cegłą, granitem a piaskowcem, jesionem a lipą. Trzykrotnie udało mi się skonstruować prostą strukturę, ale za każdą próbą ożywienia jej mocą rozpadała się jak domek z kart. Niepowodzenia odczuwałem niczym ogniowe smagnięcia w umyśle. Za czwartym razem wreszcie się udało, struktura wytrzymała. Powoli, stopniowo, wstrzymując oddech, otwierałem coraz więcej źródeł energetycznych, aż dotarłem do granicy, po której przekroczeniu nagły kolaps struktury związany z uwolnieniem energii zmieniłby mój mózg w bezładną masę zwęglonych komórek.

Utknąłem w martwym punkcie, czar rezonował mocą i tracił synchronizację. Nie wiedziałem, co robić dalej, brakowało mi wiedzy, informacji i doświadczenia. Pot ściekał do oczu, walczyłem o kontrolę nad mocą. Było jej już za dużo. Spanikowałem, zwinąłem się w myślach w kłębuszek i oczekiwałem końca. Z tego stanu wytrącił mnie narastający ból naprężonych mięśni. Skoncentrowana moc zniknęła, stres minął. Starąłem się przypomnieć sobie cały proces, ale moje wspomnienia okazały się jedną czarną dziurą. Znowu zadziałała moja niezwykła podświadomość, wyciągając mnie z kłopotów, jakich przysporzyłem sobie przez własną lekkomyślność. Zmęczony rozsiadłem się wygodnie w fotelu. Głowa wyglądała tak samo jak dwie godziny temu. Teraz zrozumiałem zdumienie ojca i doktora, kiedy się dowiedzieli, że uleczyłem się sam. Obcowanie z magią oparte było na woli i intuicji, przy poparciu logiką i racjonalnością, i najbardziej przypominało mi żonglowanie wirującymi dyskami. Gdybym wtedy o

tym wiedział, zostałbym na moście jako zimny trup, bo nie spróbowałbym żadnych czarów.

Na dalsze rozważania na szczęście nie miałem czasu, ponieważ zegar wskazywał trzy kwadranse na szóstą, za piętnaście minut miałem spotkanie z Zephyrem. Wziąłem kolejną dawkę footy i przygotowałem się.



Tym razem cały trening przypominał gimnastykę. Nie wpadłem w trans od razu na początku, zamiast tego przez dłuższy czy krótszy okres gubiłem się podczas ćwiczenia. Nie wiedziałem, co wtedy robiłem, prawdopodobnie wciąż to samo. Trening skończył się tak jak poprzednio, o drugiej. Nie miałem nawet tyle siły, żeby powiedzieć do widzenia, a po schodach pełzłem jak starzec.

Pod drzwiami oczekiwał mnie kucharz z posiłkiem. Odrętwiały otworzyłem i wpuściłem go do środka. Padłem na dywan, czekając, aż się choćby trochę wzmocnię. Wziąłem wreszcie prysznic i podwójną dawkę footy, zabrałem się do jedzenia. O ile poprzedniego dnia nie byłem zadowolony ze smaku dań, o tyle teraz wszystko mi smakowało. Po śniadaniu, obiedzie i kolacji w jednym poszedłem na obchód zamku. Chciałem się spotkać z archiwistą ojca, Deloinem. Kiedy byłem chłopcem, uczył mnie wyszukiwać informacje i znajdować je między rzędami starych ksiąg. Nigdy nie dziwił się moim zainteresowaniom głębą i winiarstwem, pomógł mi uzyskać kontakt z kilkoma prywatnymi archiwami na Kontynencie. Bardzo go lubiłem. Przez ostatnie trzy lata nie widywaliśmy się, ale pamiętałem go jako starego człowieka z dużą łysiną, przypominającą dobrze wyprawioną bawołą skórę.

Miał doskonałą pamięć i niezwykłą intuicję przy poszukiwaniu czegokolwiek. Był też bardzo dobrym telepatą. Kawałki dzwonka okazały się zbyt małe, żeby zapewnić połączenie telepatyczne, ale mimo to słyszał mnie, gdy próbowałem je nawiązać. W stosunku do

pozostałych musiałem się zadowolić tym, że wiedziałem, gdzie się znajdowali.

Na spotkanie z Deloinem wybrałem pomieszczenie w pierwszej suterenie obok pralni. Oprócz służby nikt tam nie chodził i mieliśmy dobry widok na ojcowe imperium. W narożnikach zgromadził się kurz, na dywanie leżały kawałki potłuczonego szkła z rozbitego żyrandola, przed drzwiami do pralni stały trzy kosze z brudną bielizną. Przez pozabawione szyby okienko pod sufitem ciepło i woda zdążyła już zniszczyć biały tynk na jednej ścianie. Większość służby, zapewniającej normalną eksploatację zamku, uciekła po śmierci ojca. Zostali żołnierze, personel kuchenny, połowa stajennych oraz ci, którzy mieli w umowach o pracę klauzulę stanowiącą o jej kontynuowaniu nawet po śmierci władcy. Zakazałem przyjmowania nowych pracowników, nie chcąc mieć na zamku jeszcze więcej szpiegów. Wystarczyło mi, że musiałem się skutecznie chować przed szóstką wielkich mistrzów.

Podstawową zaletą pomieszczenia nie była jego bezludność, ale liczba doprowadzających do niego korytarzy. Można było stąd wyjść aż w pięciu kierunkach, a także bezpośrednio do pralni. Deloin przyszedł z drugiej sutereny, gdzie prawdopodobnie pracował w archiwum. Zupełnie się nie zmienił.

- Życzyliście sobie mówić ze mną, książę.

Lekko się skłoniłem.

- Tak. Na zamku jest duża biblioteka, o którą się troszczycie - powiedziałem.

Poczekał chwilę, czy dodam coś jeszcze, a potem odpowiedział:

- W większości są to dokumenty urzędowe. Umowy, porozumienia, dokumenty majątkowe, zobowiązania, dane na temat mieszkańców. Wszystko zarchiwizowałem i skatalogowałem. Istnieje ponadto kilka prywatnych zbiorów księzek o magii i naukach powszechnych. Nie należały do zakresu moich obowiązków, ale pomagałem w ich napisaniu i dlatego wiem, co zawierają.

- Jak obszerne jest archiwum?

Wzruszył ramionami.

- Należą do niego również materiały poprzednich władców. Może jest to sto tysięcy archiwaliów, liczących zaledwie jedną kartkę lub

księgę zawierającą dwa tysiące stron.

- Czy ojciec miał swoją prywatną bibliotekę?

- Jeśli tak, to nic o niej nie wiem.

- Ktoś stara się mnie zabić. Jeszcze przed koronacją. Środki, jakich używa, świadczą o tym, że jest bardzo mocny. Biorąc pod uwagę aktualny układ polityczny, byłby to postępek nielogiczny. Moja śmierć przed koronacją nikomu nie przyniesie żadnej korzyści. Szukam jakiegoś śladu odpowiedzi na pytanie, o co chodzi. Chociażby jakiejś oznaki, czegokolwiek podejrzanego lub niezwykłego. Zakładam, że nie ma sensu zajmować się okresem przed wstąpieniem mojego ojca na tron. Niewiele sobie obiecuję po poszukiwaniach w archiwum, ale to jedna z prób.

Deloin przytaknął.

- To dla mnie jasne, książę. Będę swoje zapiski codziennie zostawiać...

- W pracowni ojca - dokończyłem. - Była już co najmniej dziesięć razy przejrzana i na pewno nikt już się nią zajmować nie będzie.

Przytaknął i lekko się skłonił.

- Miło mi, książę.

Poczekalem, aż jego szurające kroki przebrzmiały na schodach, i poszedłem szukać ostatniego z mojej drużyny konspiratorów - Deneba, asystenta ojca. Oprócz bieżących funkcji administracyjnych na zamku miał jeszcze w obowiązkach śledzenie intryg wewnątrz Vegasz, co było często bardzo niebezpiecznym zajęciem. Kręciłem się po zamku prawie dwie godziny, aż w końcu, posługując się kawałkiem dzwonka, znalazłem Deneba w chlewach. Chciałem od niego dostać dokładny plan zamku, a oprócz tego możliwie jak najdokładniejsze informacje o burdelach i certyfikowanych domach publicznych w królestwie. Znalazłem też Coina i poprosiłem o wykaz wszystkich prostytutek najmowanych do pracy na zamku. Specjalną uwagę powinien zwrócić na te z nich, które wyróżniał Max. Zmęczony ciągłym ukrywaniem się przed wielkimi mistrzami, wróciłem do swojej bazy w pomieszczeniach brata.

Przyjrzałem się głowie w nadziei, że czar zadziałał z opóźnieniem, ale czekało mnie rozczarowanie.

Wyglądała tak jak rano i nadal z lekka śmierdziała. Zdecydowałem się spalić ją wieczorem. Zjadłem resztę kaszy i wróciłem do studiów. Kiedy o północy brałem kolejną dawkę footy, nie mogłem się doliczyć, która to była. W każdym razie przestałem rozróżniać kolory niebieski i zielony.



Trzy dni minęły bez jakichkolwiek wydarzeń. Ośmiogodzinne treningi pozbawiały mnie resztek pewności siebie i energii, pozostałe szesnaście godzin poświęcałem na studia i konsumpcję dziwnie skomponowanych potraw. Zmusiłem się, żeby przygotowywane dla mnie posiłki nazywać jedzeniem. Pomagało mi to utrzymać zawartość żołądka na wodzy. Trzeciego dnia otrzymałem od asystenta opracowanie dotyczące burdeli i certyfikowanych domów publicznych, a od Coina wykaz prostytutek. Patrząc na długi rząd nazwisk, zrozumiałem wreszcie, dlaczego nikt z wizytujących nas polityków nie protestował przeciw sztywnemu protokołowi, jaki narzucał ojciec. Kompensował to bowiem w inny sposób. prostytutki z Vegasz miały opinię najlepszych na świecie, i słusznie. Zdecydowałem, że najwygodniej byłoby najczęściej bywające na zamku damy przesłuchać osobiście i zapytać je o kilka szczegółów. Kawałek dzwonka poinformował mnie, że Deneb jest u siebie.

Znalazłem go za stołem roboczym. Siedział przywiązany do masywnego fotela, głowę ujmowało imadło z dębowymi szczękami. Lewą dłoń miał zaciśniętą w pięść, prawą rozluźnioną, jednak pozostały w niej ślady wbitych w ciało paznokci. Spojrzałem wyżej. Ktoś nadzwyczaj ostrym narzędziem gładko odciął ciemię i tylną część czaszki, rozciął opony mózgowie i obnażył powierzchnię mózgu, w którym tkwiły dwa złote druciki. Deneb był prawdopodobnie nieczuły na tortury fizyczne, jak też odporny na hipnozę. Spróbowali więc dostać się bezpośrednio do jego wspomnień. Przeszukałem go, ale nie wydawało mi się, żeby coś mu zabrali, w prawej kieszeni znalazłem nawet kawałek dzwoneczka. Na stole leżał jego notes z zapiskami, ktoś

wyrwał z niego kilka ostatnich kartek. Napastnik był staranny, zadbał o to, żeby na poprzedniej stronie nie pozostał odcisk pisma.

Na korytarzu dały się słyszeć kroki. Szybkie i długie. Zbliżyły się. Miałem dwie możliwości - wybiec wrogowi naprzeciw albo się ukryć. Ciężkie drzwi do przedsionka zaskrzypiały. To zdecydowało. Drzwi do przyległego pokoju były zamknięte. Wśliznąłem się za wieszak na ubrania stojący w rogu, przesunąłem jeden z kabatów i ciemną chustką zakryłem twarz. Coś wewnątrz mnie krzychało, że to nie może się udać, ale nic innego mi nie pozostało. Było ich dwóch. Mniejszy poruszał się krokiem tancerza, jak zawodowy zabójca. Bałem się zakłócić atmosferę w pomieszczeniu, mój oddech powinien brzmieć jak ich oddech, mój puls jak jednego z nich. Wybrałem zabójcę i skupiłem się na nim. Nastąpiła przerwa długości dwóch uderzeń serca. Czas stanął. Nie spuszczałem z asasyna oczu, ale widziałem tylko jego aurę, nie istniał dla mnie jako osoba fizyczna. Zanurzyłem się w autotransie hipnotycznym i nawet gdyby mnie odkryli, nie zdołałbym natychmiast zareagować. Moje mięśnie same się rozluźniły, zmieniłem pozycję i przeniosłem ciężar ciała z palców na całe stopy. Na razie zabójca stał zwrócony do mnie plecami, ale pomału się odwracał.

- Mogę wejść głębiej, ale niczego nie gwarantuję. Ten chłop ma mózg zapieczętowany na pięć różnych sposobów i nawet może mieć zabezpieczenie samounicestwienia. Jeśli nawet dostanę się do jego wspomnień, to może być tylko niezrozumiały galimatias - mówił do towarzysza.

Modelowałem słowa razem z nim i dusiłem je w gardle. Wieszak prawie mnie nie zakrywał, mężczyzna powinien mnie zobaczyć. Jego oczy prześliznęły się po mnie bez zainteresowania. Nadal zajmował się torbą, którą przyniósł ze sobą. Próbę autosugestii przeprowadziłem idealnie. Będę dla niego niewidzialny aż do chwili, kiedy coś zwróci mu na mnie uwagę.

- Weźcie się za to, płacę wam dobrze.

Głos drugiego mężczyzny brzmiał płasko, nie znalazłem w nim żadnych cech charakterystycznych. Kiedy odwrócił się do mnie profilem, rozumiałem dlaczego. Rysy jego twarzy były rozmazane, jakby płynne, w nieregularnych odstępach czasu przelewały się,

tworząc coraz to nowe, niewyraźne oblicza. Znałem mnóstwo czarów maskujących, ale ten był o klasę wyżej niż najlepsze z nich. Asasyn specjalista zabrał się do pracy. Położył na stole malachitową kulę, odkrytą część mózgu przykrył metalową siateczką o oczkach różnej wielkości i po dłuższym namyśle wbił w mózgzcztery igły. Jego skupienie przenosiło się na mnie i szybko mnie zmęczyło. Zanim skończył, upłynęła wieczność.

- Jestem gotowy, zaczynamy.

Kula pomału bladła, aż zrobiła się biała jak kość słoniowa.

- Gotowe. Wasze wspomnienia, panie - powiedział, podając kulę zamaskowanemu. - Przesłuchania, a szczególnie przesłuchania pośmiertne, są najdroższą służbą, jaką oferujemy. O ile dobrze rozumiem sytuację, wszystko to robicie z powodu księcia. Zabilibyśmy go za piątą część ceny tej roboty.

Asasyn zapakował swoje rzeczy i starał się uzgodnić szczegóły interesu. Nie wiedziałem, czy wycenienie mojej głowy na jedną piątą najwyższej taksy to słuszna cena, czy też nie.

- Księcia ochrania Zephyr - odparł zamaskowany.

- Czarodzieja też ochraniał. - Zabójca wzruszył ramionami.

- Myślałem, że pierwszą zasadą w waszej branży jest dostateczna informacja o przeciwniku - powiedział zamaskowany. Wydawało mi się, że w jego głosie pobrzmiwała nutka kpiny. - Radzę wam zasięgnąć takiej informacji o Zephyrze. Wasze bractwo załatwił by w porze śniadaniowej, a do wieczora pogrzebałby i waszych konkurentów.

Asasyn schował swoje narzędzia. Z pozoru nic się w jego wyglądzie nie zmieniło, ale aura wskazywała, że ta uwaga go wzburzyła.

- Ale wy załatwiłście wszystko bez problemu - powiedział z pozoru spokojnie.

- Nie. Użyliśmy unikatowego artefaktu, stworzonego już przed stuleciem do zabicia tego, który jest najsilniejszy - wyjaśnił zamaskowany z zamyśleniem.

- I teraz macie kłopot, ponieważ księżę nie jest najsilniejszy - stwierdził zabójca.

- Tak jakby. Zorganizujcie wszystko, jak się umówiliśmy, pozostała część zapłaty nadejdzie zwykłym kanałem.

Zamaskowany ruszył do wyjścia. Przez chwilę stał w zasięgu ręki od wieszaka i obserwował zabójcę. Dysponowali takimi środkami, że było tylko kwestią czasu, kiedy to ja będę siedział w fotelu z odpiłowaną pokrywą czaszki. Żeby móc się skutecznie bronić, musiałem więcej wiedzieć. W lewej ręce nadal trzymałem kawałek dzwonka Deneba. Ryzyko to zysk albo... Zamaskowany nadal pozostawał odwrócony plecami, asasyn patrzył prosto na mnie. Powoli, przestraszony własną odwagą, wyciągnąłem rękę, prawie dotykając płaszcza zamaskowanego, i włożyłem mu kawałek dzwonka do kieszeni. Miałem wrażenie, że wkładałem tam kostkę brukową, a nie lekką skorupkę.

Zabójca pracował szybko. Przypominał doświadczonego kucharza przygotowującego skomplikowaną potrawę. Usunął wszystkie ślady i doprowadził pokój do poprzedniego stanu. Wlepił nawet do notatnika brakujące kartki, żeby numeracja stron się zgadzała. Na końcu zajął się nieboszczykiem. Mózg posypał żółtym proszkiem, posmarował emulsją lepłą, założył odciętą część czaszki, a linię cięcia zalepił paskiem w cielistym kolorze. Potem użył prostego kamienia zaklinającego i pasek złączył się z naskórkiem. Ukłuł Deneba igłą w kark i miejsce ukłucia natarł płynem z buteleczki. Położył coś na stole i odszedł.

Dziesięć minut minęło, zanim wyostałem się z transu, a dalsze pół godziny, zanim opanowałem skurcze żołądka, wywołane nerwowym napięciem. Zamaskowany zdążył już opuścić zamek i kawałek dzwonka zniknął z zasięgu swego działania. Ryzykowałem niepotrzebnie. Poszedłem zobaczyć, co zabójca zostawił na stole - rozgniecioną martwą oś. Deneb miał spuchnięty kark i czerwoną plamę wokół miejsca wkłucia. Genialnie prosty sposób. Asystent ojca naprawdę miał alergię na użądlenia owadów i nikomu nie przysłoby do głowy powątpiewać w przyczynę śmierci. Schowałem notes do kieszeni i przejrzałem stół. Było na nim mnóstwo bloków zapisanych uwagami, a w jednej szufladce znalazłem różnokolorowe słodycze. Deneb chodził z wizytami do pewnej wdowy w mieście. Nie wiem, jakie były między nimi relacje, ale jej dzieciom nosił łakocie.

Wróciłem do siebie i zacząłem przeglądać notes. Nie znalazłem nic interesującego. Deneb na szczęście używał brązowego papieru o delikatnej strukturze włóknistej, bardzo podatnego na jakiegokolwiek

mechaniczne uszkodzenia. Już raz udało mi się odczytać tekst umowy handlowej, którą starano się przede mną utajnić. Potrzebna do tego była lekka, ale pewna ręka i trochę cierpliwości. Sporządziłem rzadką emulsję z aromatycznego olejku i pyłku kwiatowego, posmarowałem pierwszą stronę i poczekałem, aż ciecz odparuje. Potem położyłem papier na trójnogu i zapaliłem pod nim kaganek, tak żeby powietrze ogrzewało się bardzo powoli. Po chwili powierzchnię papieru lekko posypałem pudrem. Nic się nie wydarzyło, karta chwiała się w prądzie ciepłego powietrza, coraz bliżej był moment jej zniszczenia. Wstrzymałem oddech. Na powierzchni papieru stopniowo występowała cienka linia. Nie spuszczałem jej z oczu. Linia ciągnęła się coraz dalej, z drugiej strony pojawił się ogień, który wolno ją trawił. Koncentrowałem na niej pamięć, tak aby mi nie umknął najmniejszy fragment. Po chwili z karty nic nie zostało. Przerysowałem zapamiętany przebieg linii i dopiero wtedy przyjrzałem jej się w całości. Westchnąłem rozczarowany. Tekst był zupełnie pozbawiony sensu. Litery wprawdzie łączyły się ze sobą, a nawet wydało mi się, że poznaję pismo Deneba, ale to było wszystko. Obcy język? Szyfr?

Dwie godziny spędziłem, kombinując, lecz bezskutecznie. Poczułem zmęczenie i przygotowałem sobie filiżankę footy. Po co Deneb używałby szyfru? Widziałem dziesiątki jego pism i wszystkie zostały sporządzone normalnie. Może w ostatniej chwili zorientował się, że nadchodzą zabójcy, i chciał mi coś przekazać? To nie miało sensu. Zabili go w obawie, że coś odkrył. Nie pozostawiliby na stole niczego podejrzanego. Na pewno przejrzeliby coś zwykłego, ale nie zaszyfowaną informację. Wyobraziłem sobie Deneba i starałem się odgadnąć, jak by się zachował w danej sytuacji. Doskonały logik, analizujący wszystkie okoliczności, nigdy nie dawał wyprowadzić się z równowagi. Nie pamiętałem żadnej sytuacji, która nie zgadzała się z takim jego wizerunkiem. Dziwny zapis w notatniku musiał mieć swój istotny powód. Może starał się wprowadzić zabójców na fałszywy trop, przekonać ich, że dostali to, czego szukali? Wyrzucił coś przez okno? Nałożyłem płaszcz, wzięłem lampę i wyszedłem na zewnątrz.

Po godzinie spędzonej w kucki i na kolanach zrezygnowałem. Jeśli coś wyrzucił, musiał to zabrać zamaskowany. Przygnębiony wróciłem

do siebie. Było wpół do czwartej rano, straciłem człowieka i nie dowiedziałem się właściwie niczego. Przypomniały mi się jego ręce. Na jednej dłoni dostrzegłem ślady bólu, jaki mu zadali. Ale druga... Wyszedłem z komnat i ruszyłem do kancelarii Deneba. Pod koniec prawie biegłem. Musiałem przełamać palce zaciśniętej dłoni, żeby ją otworzyć. Ścisnął w niej zmięty w kulkę pergamin. Rozwinąłem go ostrożnie, wygładziłem na kolanie i w świetle świeczki przeczytałem:

Dziecko umarło zgodnie z porozumieniem.

Obejrzałem ciało i wykonałem wszystkie próby, był to rzeczywiście prawomocny dziedzic. Proszę o pozwolenie na powrót.

D.

15 marca 251

W dniu 15 marca 251 roku w wieku czterech lat umarł na czarną ospę mój najstarszy brat. Machinalnie odwróciłem pergamin. Na odwrocie widniał zapis charakterem pisma Deneba:

Odkryto w wyniku normalnej procedury w poczcie dyplomatycznej. M. nie pozwolił usunąć kuriera i autora notatki, kazał ich tylko śledzić.

Te informacje niczego nie wyjaśniały, przeciwnie, jeszcze bardziej komplikowały sytuację. Literą M De-neb oznaczył mojego ojca. Czy mój najstarszy brat nie umarł, ale został zamordowany? Zgodnie z jakim porozumieniem? Czy ojciec o tym wiedział? Dlaczego Deneb wyciągnął tę sprawę na światło dzienne? A jak oni się o tym dowiedzieli? Moja sytuacja jeszcze bardziej się zagmatwała, chociaż przed dwiema godzinami uważałem to za niemożliwe. Na szczęście zegar wybił wpół do szóstej i oczekiwał mnie Zephyr. U niego miałem pewność przynajmniej dwóch rzeczy. Nic nie umiałem i wszystko robiłem źle. Pewniki były ważne.



Z treningu nie zapamiętałem prawie nic, ale przez dwie godziny nie mogłem się ruszać, a myślenie wydawało mi się próżnym wysiłkiem. Wieczorem poszedłem do kuchni i do Coina. Kucharza nie zastałem, ale pod misą z rosnącym ciastem znalazłem informację. Zwięźłą, w stylu sprawozdania. Miał kłopoty z pozyskiwaniem ludzi, ktoś mocny starał się kupić największe asasyńskie organizacje w Vegasz. Z każdym dniem wzrastała liczba zabitych na ulicach. Przypuszczał, że nasz przeciwnik likwidował wszystkie nowe twarze w branży. Uważał, że była to próba uniemożliwienia mi stworzenia własnej sieci informacyjnej. Jego ocena wysokości kapitału, jaki przeciwnik inwestował w tym celu, wydała się nieco przesadzona, a sugestia, że do akcji włączyli się magowie z Kontynentu, zupełnie absurdalna. Czarodziejskie klany bały się jakichkolwiek akcji w Vegasz, bo mogło to naruszyć kruchą równowagę.

Następnego dnia zająłem się otrzymanym od Co-ina wykazem zamkowych prostytutek, w tym faworytek Maxa. Coin najwyraźniej dotarł do listy burdelmamy, która ze względów bezpieczeństwa sprawdzała wszystkie prostytutki tutaj pracujące. Oczywiście Max, czy którykolwiek z domowników, mógł umówić sobie wizytę, która nie zostałaby zapisana w żadnym wykazie. Nie byłoby to jednak wygodne, bo ojciec, a więc kasa Vegasz, regulował wszystkie rachunki wystawione za usługi prostytutek, które przeszły kontrolę. Ten prosty sposób powodował, że nigdy w tych sprawach nie było problemów z bezpieczeństwem. Kilka nazwisk zostało dopisanych do listy przez Co-ina, ale nazw domów publicznych oraz dat wizyt brakowało. Wyraźnie były to jego spostrzeżenia osobiste. Ze spisu wynikało, że ostatnie dwa lata Max przeżył prawie w celibacie. Tylko trzy razy spędził noc z niejaką Andarałą Gusk, z firmy Purpurowy Pukiel. Ta nazwa nic mi nie mówiła. Spojrzałem na zegar. Wpół do szóstej, idealna pora na wizytę w nocnym klubie. Wziąłem potrójną dawkę footy i zacząłem się przygotowywać do nocnej wyprawy. Max nie miał żadnych zaklętych kamieni, a nie chciało mi się chodzić do wieży po swoje. Od chwili, kiedy podслуchałem rozmowę zamaskowanego z wynajętym zabójcą, nie czułem się w zamku zbyt bezpiecznie. W chaosie nocnego Vegasz będąc się czuł lepiej. Zadowolilem się kolczugą ze stali wysokiej jakości

pod kabatem, nożem do rzucania, sztyletem i dwoma mieszkami złota z królewskiej mennicy. Wyśliznąłem się wejściem dla służby, długo się rozglądając przed wyjściem z budynku na zewnątrz.

W Vegasz trwała jeszcze trzecia fala handlowa, ale niebawem ruch na ulicach się zmienił. Interesy nie kończyły się nigdy, jednak teraz załatwiano je w gospodach i lokalach rozrywkowych, pomiędzy trzecią a czwartą kolejką alkoholu albo przy stole z gramami hazardowymi. A jeszcze później ci, którzy nie zadośćuczynili swym zobowiązaniom z przeszłości, wchodzili w ostatni etap, w jakim radosne okrzyki i śpiewy zagłuszały niezbyt głośne rozmowy prowadzone w zatęchłych zaułkach, w większości przypadków kończące się śmiercią. A potem pomiędzy drugą a trzecią zabawa znów się rozkręcała. Tym razem bardziej wyuzdana, bo uczciwsi mieszkańcy Vegasz poszli spać, a pozostali wszystkie potrzebne działania mieli już za sobą. Pomiędzy piątą a szóstą na ulicach pojawiali się zbieracze trupów, żeby usunąć conocną porcję zwłok. Na ogół około tysiąca, ale w święta lub podczas złej pogody mogło ich być nawet pięć razy więcej. Ulice wyglądały potem, jakby w nocy przeszła nimi armia, zdobywając miasto dom po domu.

Teraz była dopiero siódma wieczorem i noc ledwie się zaczynała. Wraz z zachodem słońca nad kotliną na moment wytworzył się powietrzny wir, który uniósł całe skażone powietrze i wdmuchnął na jego miejsce czysty powiew z doliny. Poruszałem się po mostach i poprzez przejścia przez budynki, ponieważ domy publiczne nie mieściły się na pierwszym poziomie ulic. Smog działał na żądze jak ostry nóż. Im lepszy lokal, tym wyżej się mieścił. Gospody i salony gier odwrotnie, chowały się pod ziemią, a właściciele wyposażali je w oczyszczacze powietrza. Przeszedłem przez znaną mi część miasta, napotykając piętnaście domów publicznych, ale żaden z nich nie nazywał się Purpurowy Pukiel. Szedłem po chodniku zbudowanym na wysokości pierwszego piętra, kiedy na dole zauważyłem przewodnika. Zeskoczyłem tuż przy ścianie i prawie upadłem. Skakanie z dziesięciu stóp na kamienne podłoże nigdy nie należało do moich ulubionych ćwiczeń. Pewnie z powodu footy przesunęła się granica ryzyka, a ja brałem wspomagacz już od tygodnia. Powinienem był się z tym liczyć.

Przewodnik miał na głowie kaptur i nie widziałem jego twarzy, ale

sądząc ze sposobu poruszania się doszedłem do wniosku, że musiał być stary. W Vegasz człowiek musiał żyć długo, żeby poznać to chaotyczne miasto i zostać przewodnikiem.

- Szukam Purpurowego Pukła, burdelu - powiedziałem.

Nie poruszył głową, wydawało się, że nadal patrzył w ziemię.

- Nie znam - odparł w końcu. - W moim rejonie takiego nie ma.

- Zaprowadź mnie do swojego sąsiada, a zapłacę ci, jakbyś mi wskazał właściwą drogę.

- Trzy złote.

- Ile królewskich?

- Jeden.

Zazwyczaj kurs normalnego złotego w stosunku do królewskiego, chronionego czarami przed sfalszowaniem, wynosił pięć do jednego, ale kłócić się z przewodnikiem nie chciałem, ponieważ wydało mi się to bezowocne. Zapłaciłem i ruszyliśmy w drogę.

Szedłem o dwa kroki za nim. Posuwał się powolnym, lecz równym tempem i chociaż miałem wrażenie, że z powodu głęboko nasuniętego kaptura nie widział drogi, to omijał przechodniów o wiele łatwiej niż ja. Płaszcz miał z najzwyczajniejszego materiału, ale buty wykonane z doskonale wyprawionej skóry, a gruba podeszwa znakomicie amortyzowała nierówności chodnika. Podobno w takich butach przy odrobinie wyćwiczenia można było biegać nawet po pionowych ścianach. Przewodnik najwyraźniej pracował całymi nocami, prowadząc niejednokrotnie nocnych drapieżców, którzy mieli w zwyczaju pozbywać się świadków swoich ciemnych interesów. W takich razach umiejętność biegu po pionowej ścianie okazywała się nadzwyczaj przydatna.

Zatrzymaliśmy się w ciemnym przejściu, chyba o dwa piętra nad poziomem ulicy.

- Poczekaj tu. Hermsvik po każdym zleceniu zawsze wraca na to miejsce.

Zniknął w ciemności, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Oparłem się o ścianę i czekałem. Klaustrofobia nie dopadła mnie nagle, zdałem sobie z niej sprawę, dopiero kiedy zacząłem z trudem oddychać i trząść się ze strachu. Ale umiałem ją zwalczyć nawet bez

pomocy proszków leczniczych. Nie chciałem ich użyć, nie wiedząc, czy nie wejdą w interakcję z footą. Nie mogłem pojąć, dlaczego przewodnik, który powinien być dobrze widoczny, miał stanowisko właśnie tu, ale po półgodzinie rzeczywiście przyszedł.

On też nie wiedział, gdzie znajdował się Purpurowy Pukiel, i zażądał dwóch królewskich za doprowadzenie mnie do kolejnego przewodnika. Tym razem poszliśmy głębokimi podziemiami. Podświadomie trzymałem się blisko mężczyzny i musiałem uważać, żeby nie dmuchać mu w kark. Zbyt wiele światła tu nie było, tylko dwa razy napotkaliśmy murarzy budujących kolejne podziemne piętro jakiegoś domu. Cały czas kląłem na przewodnika po cichu, ale na moją wściekłą uwagę odpowiedział, że marsz ulicami trwałby trzykrotnie dłużej. Jednak mimo to dalej go przeklinałem.

Trzeci przewodnik znał Purpurowy Pukiel. Umówiłem się z nim na drogę powrotną na godzinę drugą i dałem mu zaliczkę. Dom publiczny znajdował się na drugim poziomie, ponad wąskim skrzyżowaniem, wiszący chodnik przed wejściem do budynku rozszerzał się w mały placyk. Napis „Purpurowy Pukiel” świecił niegdyś w ciemności, teraz zostały z niego tylko resztki. Mur domu był zawilgocony, a tynk odpadał wielkimi ciemnymi kawałami. Prawdopodobnie znalazłem się w peryferyjnej części Vegasz, obok ściany kotliny. Utrzymywało się tu wilgotne powietrze, a ponadto podczas deszczu spadała na domy woda odbita od dwunastostopowej skalnej ściany.

Wszedłem do środka i znalazłem się w nieumeblowanym pomieszczeniu, w którym za małym drewnianym stołem siedział ospowaty chłopina, a za nim stały dwa goryle. Byli to zwyczajni najemnicy, ludzie, którzy przybyli do Vegasz dopiero niedawno. Mieli swoją szansę tak długo, dopóki nie przyszedłby tu któryś z ostrych rozrabiaków z wewnętrznego miasta. Ale sądząc po poziomie firmy, mogli się cieszyć kilkoma tygodniami spokojnego życia.

- Co sobie życzycie? - zapytał dziobaty.

- Andarałę Gusk.

- O, macie, panie, dobry gust! Ona jest u nas najlepsza i oczywiście najdroższa.

Oczywiście, ponieważ zapytałem wprost o nią.

- Połowę płaciec tutaj, a połowę dziewczynie.

- Ile?

- Cztery złote.

Dałem sutenerowi jednego królewskiego, a on zaczął się kłaniać tak gorliwie, aż stukał nosem o stół.

- Trzecie drzwi po lewej, wielmożny panie.

Goryle łaskawie mnie przepuścili, wszedłem po wąskich schodach oświetlonych jednym zwyczajnym łuczycem i znalazłem się w zatęchłym korytarzu. Zastukałem do trzecich drzwi po lewej i wszedłem.

Pokoik miał rozmiary siedem stóp na dziesięć, większość jego powierzchni zajmowało duże łóżko zbite z niedokładnie obrobionych desek. Na ścianie nieumiejętnie przybito grubą tarcicę, służącą za półkę. Dziewczyna siedziała na krześle przy małym stoliku nocnym i patrzyła na mnie. Zacząłem całą tę wyprawę uważać za pomyłkę. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak Max mógłby się dostać do takiego miejsca.

- Nazywacie się Andarala Gusk?

- Tak.

Jej twarz pozostawała nieruchoma, tylko oczy były żywe i obserwowały mnie zimnym, kalkulującym spojrzeniem.

- Byliście kiedyś na zamku?

- Wszystkiego siedem razy. - Głos miała dość melodyjny, chociaż zmęczony. - Nie przyszlście tu, żeby ze mną spać - stwierdziła.

Pokręciłem głową.

- Wasza część. - Rzuciłem monety na łóżko.

Podniosła złoto i przyjrzała mu się.

- Musieliście pytać właśnie o mnie, co nie? Czy tak? - poprawiła się.

- Czego chciał od was Max?

- Była to najfajniejsza robota, na jaką kiedykolwiek się załapałam. Najlepsza praca, jaką miałam. Chciał, żeby wszyscy myśleli, że jestem dziwką, którą przypadkiem sobie sprowadził. Za każdym razem, kiedy po mnie posyłał, kogoś u siebie gościł. Byli to handlowcy, czarodzieje, po prostu dziwna zbieranina. Ale nie spał ze mną. Byłam częścią

jakieś gry. Musiałam się nauczyć prawidłowo wyrażać i dobrze zachowywać, żeby się wydawało, że pochodzę z lepszego burdelu niż naprawdę. Coś ukrywał i nie chciał, żeby to odkryła kurtyzana, która ma styczność z wysoko postawionymi ludźmi. Dlatego znalazł mnie.

- A co ukrywał?

- Dla was to jest na pewno ważne, panie. Na pewno, bo dla tego zdecydowaliście się na taką długą drogę. Nie mówię, że nie dostałam zapłaty, ale wypytywanie to inna sprawa. Sami to wiecie.

- Mógłbym to z was wydostać - powiedziałem, raczej na próbę.

- Na pewno, te typy z dołu nic by wam nie zrobiły. Ale tego nie zrobicie.

Podąłem jej kolejne trzy monety.

- Będzie dość za to, co mi powiecie?

- Tak. Chciał ukryć, że od dłuższego czasu żyje z jakąś kobietą. Było to widać na każdym kroku.

- Niczego nie zauważyłem.

- Wy może nie, ale dla kobiety jest to bardzo łatwe.

- Widzieliście ją kiedyś?

- Nie. Chociaż widziałam część jego komnat. Kochała go.

- Skąd to wiecie?

- Widziałam jego pokoje i widziałam, jak je urządziła. Miała wyrafinowany gust i potrafiła nadać im taki kształt, jaki sobie wyobraziła. Pokoje, w których on przebywał, były po prostu dla niego stworzone. Wymodelowała je według tego, jakim go znała, tak, żeby mu w nich było dobrze. Musi to być bardzo kulturalna kobieta.

Wydało mi się, że do tonu Andarali wkradła się nuta zazdrości.

- On też ją kochał.

- Skąd to wiecie?

- Miałam wspaniałe stroje, najlepsze kosmetyki i perfumy. Może mi nie uwierzycie, ale byłam piękną.

Wierzyłem jej. Mimo że była ubrana i umalowana jak dziwka w jednozłotowym burdelu, była piękna. Wciąż jeszcze tak.

Zamilkła, prawdopodobnie naszły ją wspomnienia.

- Ale skąd wiecie, że ją kochał?

- Nie spał ze mną. Byłam piękną, uwodzicielską, płacił mi, a

przecież ze mną nie spał.

Wydawało się, że sama nie może w to uwierzyć.

- Moglibyście ją poznać? Albo coś mi o niej powiedzieć? Coś, co pomogłoby mi ją znaleźć.

- Używała bardzo szczególnych perfum.

- Jakich?

- Nie wiem. Nie znam ich nazwy, ale poznam po zapachu. Mam dobrą pamięć do zapachów.

Zastanowiłem się. O przyjaciółce Maxa nic nie wiedziałem, a jakakolwiek informacja mogła być kroczkiem naprzód.

Ku drzwiom odwróciłem się, jeszcze zanim trzasnął zamek. Do środka wtoczył się tłusty jegomość z rudawymi bokobrodami i rozdzieloną na dwoje brodą. Był ubrany w satynowe spodnie i brokatowy kabat, ale efekt psuły ciemne plamy, śmierdzące piwem.

- Tu jest moja piękna! Ile nam dziś zarobiłaś, gołąbeczko?

Wstałem.

- Nie, wszystko w porządku, to Cook, właściciel -starła się mnie powstrzymać.

- Nic nie jest w porządku, zapłaciłem i nikt nie ma prawa tu włączyć. Wynoś się!

Mężczyzna przyjrzał mi się i przez chwilę wahał, czy wołać swoich goryli, czy poradzić sobie ze mną samemu. Widział przed sobą niższego, szczuplejszego, prawie chudego młodzieńca bez broni. W jego małych, świńskich oczkach błyszczał co najmniej tuzin półlitrowych kufli piwa. Podrapał się po lewym boku, ręka na moment wpadła mu do kieszeni i wynurzyła się zbrojna w stalowy kastet. Zamachnął się szerokim hakiem, odsunąłem się na bok, złapałem Cooka za rękaw i pociągnąłem, dodając mu prędkości obrotowej. W ostatniej chwili ściągnąłem jego ramię w dół. Siłą bezwładności zrobił jeszcze trzy czwarte koziołka w powietrzu i z łoskotem upadł na plecy. Kolanem walnąłem go w żebra i uderzyłem w splot słoneczny. Bardzo przyjemnie było zmienić się choć na chwilę z wiecznego zająca w tygrysa. Bezsilnie leżał na podłodze, ciężko dyszał, a w oczach miał strach.

Andarala obserwowała scenę zamyślona.

- Za to całą złość odbije sobie na mnie, panie. Tak mnie zło, że nie będę mogła przez tydzień pracować.

- Dlaczego pracujecie dla takiego typu? Możecie sobie znaleźć lepszą firmę.

- Mam dług, panie. Duży dług. Przyszłam do Vegasz przed dwoma laty, głupia, naiwna dziewczyna. Dałam mu się nabrać, obiecywał, że mi pokaże, co i jak. Chciałam zarobić i wynieść się stąd. Tak zarobić, jak umie kobieta, zniknąć i zacząć nowe życie. Przyprowadził mnie tutaj, a kiedy mi się nie spodobało, pokazał umowę, według której zobowiązałam się zapłacić mu za pomoc tysiąc złotych. Sfałszował ją, ale nie miałam żadnych szans obrony. Już mu spłacałam siedemset, głównie z pieniędzy od Maxa.

Grubas specjalizował się w wykorzystywaniu przybyszów. Używał prymitywnych trików, ale na nowicjuszki wystarczały.

- A myślicie, że by was rzeczywiście uwolnił?

- Nie wiem.

- Zaoferuję wam interes. Pomożecie mi jutro znaleźć perfumy tej kobiety, a ja wam zapłacę dwieście królewskich. Dodam do tego wóz i konia.

- To musi być dla was ważne - powiedziała cicho, obserwując przy tym właściciela, który powoli dochodził do siebie.

- Dla was też, i to żywotnio ważne.

- Jeśli tu zostanę, wątpię, czy zdołam jutro choćby stać na nogach.

- Pójdziecie ze mną, zamieszkać możecie w jakimś gościńcu. Zaprowadzę was tam.

Bez słowa zaczęła się przebierać. Odwróciłem się do niej plecami i czekałem. Cook zdołał stanąć na czworakach, kręcił głową, żeby się przekonać, czy ma wszystkie kręgi w porządku.

- Masz u mnie dług za prochy, dziwko. Nie zapomnę, wyślę za tobą ściągaczy długów - wychrypiał.

Kopnąłem go w dolne żebra i chyba ze dwa mu złamałem. Stęknął i przewalił się na plecy. Na nic innego nie starczyło mu już siły.

Przygotowania zajęły Andarali niecałe pięć minut.

- Możemy iść, nie zapomnijcie o tych dwóch na dole.

Spodobało mi się, jak to powiedziała. W jej głosie nie było cienia obawy, że mógłbym mieć z nimi kłopot. Ostrożnie przekroczyła Cooka tak, żeby go nie dotknąć. Oprócz worka podróżnego miała ze sobą tylko spacerowy parasol ze stalowym czubkiem. Suknię, w której ją zastałem, zostawiła na łóżku i nałożyła szare, sprane spodnie, męską koszulę, pozostawioną przez jakiegoś klienta, i znoszoną skórzaną kurteczkę. Pomyślałem, że na zewnątrz zmarznie. Zeszliśmy na dół, gdzie goryle zastąpiły nam drogę.

- Chcę wynająć towarzystwo tej damy na całą noc. Ile to wyniesie?

- Ehm, panie, ehm, panie. - Kasjer wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

- Dwadzieścia królewskich wystarczy?

Położyłem monety na stoliku.

- A dla was, panowie, po dziesięć. Za waszą dyskretną służbę.

Prawdopodobnie nie mieli pojęcia, co oznacza słowo „dyskretna”, lecz suma, jaką im dałem, równała się ich dwutygodniowej płacy, a to wynagradzało im ewentualne nieprzyjemności.

Wyszliśmy na zewnątrz, było wpół do drugiej, ale przewodnik już na mnie czekał. Andaralę zostawiłem w hotelu w pobliżu centrum miasta i o wpół do piątej wróciłem do domu. Byłem zziębnięty i cieszyłem się na myśl o gorącej wodzie z footą. Niestety, nie mogłem jej smaku polepszyć ani kawą, ani herbatą. Wahałem się pomiędzy godzinnym studiowaniem dziennika brata a odpoczynkiem, kiedy uświadomiłem sobie, że wszystkie kawałki dzwonka znów są na zamku. Byłem zmęczony, a foota jeszcze nie zadziałała. Musiałem długo się koncentrować, żeby je wszystkie znaleźć. Skupianie się stawało się dla mnie coraz trudniejsze, zapewne na skutek działania narkotyku. Kucharz, Coin i Zephyr spali u siebie, ostatni kawałek znajdował się w komnatach mieszkalnych Horata. Zdumiało mnie to. Jeśli nie doszło do jakiejś nieprawdopodobnej zamiany, moim przeciwnikiem okazał się najsilniejszy z wielkich mistrzów, przywódca najmocniejszego klanu czarodziejów. To odkrycie stawiało na głowie wszystko, co wiedziałem o polityce.

Bezmyślnie dopiłem footę i zapaliłem światła. Gra musiała się toczyć o coś tak ważnego, że Horat odważył się złamać reguły i

zaryzykował naruszenie równowagi trwającej od dwustu siedemdziesięciu siedmiu lat. Gdyby jednaście rodów dowiedziało się o tym, że czarodzieje z Kontynentu byli zamieszani w walkę o następstwo tronu w Vegasz, połączyłoby siły i spróbowało zniszczyć wrogi klan. To zapoczątkowałoby nowe, nieograniczone wojny magów. Na Kontynencie nawet po prawie trzech wiekach wciąż znajdowało się dość pogrobowców z tych poprzednich wojen. Zmodyfikowana czarna ospa, epidemie zarazy, ożywianie zwłok wypełniających zadania narzucone im przez kogoś z dalekiej przeszłości, setki mil kwadratowych zaklętych ziem. Dlatego Horat działał z maksymalną ostrożnością, starając się wszystkie akcje dokładnie utajniać, i dlatego jeszcze żyłem. Nadal jednak nie rozumiałem, dlaczego w ogóle się mną zajmował. Koronacja się zbliżała, a prawdopodobieństwo, żebym ją przeżył, było nikłe. Jedyne wyjaśnienie, jakie się narzucało, to to, że zabić władcę Vegasz było znacznie trudniej niż księcia pretendenta do tronu. Jako Czarodziej miałbym nieograniczone poparcie jedenastu rodów i wszystkich czarodziejów żyjących w mieście. Najlepsi z jedenastu byli tak samo dobrymi magami jak on. Nie mieli jednak do dyspozycji szerokiej bazy szeregowych członków klanu, archiwalnych informacji gromadzonych od stuleci, zbiorów starannie zbadanych i przechowywanych artefaktów. Czynnikiem stabilizującym stosunki między Vegasz a klanami była już od trzech wieków osoba Czarodzieja, który był najsilniejszy, najlepszy i najmądrzejszy. Pomiędzy członkami jedenastu rodów w każdej generacji znajdowało się kilku nadających się na tron Vegasz. Ja nie spełniałem kryteriów. To skąd, u licha, wzięła się ta hazardowa gra?

Niczego nie wymyśliłem, a ponieważ wskazówka zegara zbliżała się do szóstej, poszedłem na trening. Po klasycznym gimnastycznym i medytacyjnym początku nastąpiła zmiana. Zephyr umieścił na ścianach światła, wytwarzające na podłodze ostre cienie naszych sylwetek. Demonstrował poszczególne ćwiczenia, a ja je odtwarzałem na podstawie cieni. Było to sześć wyczerpujących godzin, podczas których istniały dla mnie tylko światło i cień. Pod koniec usiadłem na podłodze i nie mogłem wstać. Po krótkim wahaniu opowiedziałem Zephyrowi wszystko, czego się dowiedziałem. Po raz pierwszy

zauważyłem u niego poruszenie. Był wyraźnie zaniepokojony.

Pomógł mi wstać, jego dotyk odczułem jak wyładowanie podczas burzy.

- To wynik naszego psychicznego związku powstałego podczas ćwiczenia, książę - wyjaśnił, widząc moje zaskoczenie. - Kucharza nie będzie przez kilka dni, mam dla was od niego informacje.

Pomagał mi wejść po schodach. Kiwnąłem głową na znak, że jestem gotów wysłuchać.

- Ktoś, według waszych stwierdzeń Horat, stale stara się kontaktować z klanami asasynów, a teraz zaczął się rozglądać wśród wolnych łowców. Jak na razie nie wygląda na to, żeby doszło do porozumienia, ale jeśli to Horat, to tylko kwestia czasu. Wygra ten, kto zapłaci najwięcej. - Zephyr wzruszył ramionami-

- Czy możecie zapewnić mi jakąś straż?

- Na terenie zamku pozostajecie pod moją ochroną i nie sądzę, żeby czegoś tu spróbował. W mieście to co innego. Wasz trening jest dla mnie bardzo wyczerpujący, a musimy go kontynuować. Nie będę w stanie ochraniać was i tam.

- Zaproszę na zamek przedstawicieli jedenastu. Oznajmimy im, że ktoś szykuje się do koronacji w sposób niedozwolony i że powitałbym ich jako obserwatorów. To powinno przynajmniej utrudnić Horatowi działania - wypowiedziałem głośno myśl, nad którą się przedtem nie zastanawiałem.

Zephyr przytaknął.

- Niezwyczajne postępowanie, ale w naszym przypadku mogłoby się sprawdzić. Niedozwolone środki to instalowanie ukrytych czarów identyfikacyjnych, zatrucie waszego jedzenia, wytwarzanie sztucznych zasobów mocy w pobliżu sali koronacyjnej.

Tak dokładna specyfikacja mnie oczywiście nie przyszła do głowy, ale szybko się z nią zgodziłem. Mistrz broni był w podobnych sprawach pięćdziesięciokrotnie bieglejszy niż ja.

- Załatwimy to, książę.

Zephyr pożegnał się ze mną w dobrym nastroju, mój pomysł wyraźnie mu się podobał.



Po jedzeniu nakazałem Coinowi, żeby przygotował konia i wóz z niezbędnymi dodatkami.

Zamek opuściłem tym razem z lekka zaniepokojony. Jeśli Horatowi udało się już kogoś nająć, trochę ryzykowałem. Jednak do hotelu dotarłem bez kłopotów. Wczoraj zostawiłem Andarali sporą sumę, żeby kupiła dla nas obojga ubrania odpowiednie do wizyty w luksusowym sklepie. Myślałem, że już jej nie zastanę, ale się myliłem. Pieniądzy użyła znakomicie. Czekala na mnie w brokatowej, dzwonowej sukni do kostek, z gronostajowym kożuszkim narzuconym na ramiona i dłońmi ukrytymi w lisiej mufce. W niczym nie przypominała dziwki z bajzlu. Popielate włosy spływały jej falami aż do ramion. Zdziwiłem się, jeszcze poprzedniego dnia były brązowe z lekkim odcieniem rudego. Może to wina footy? Moja siatkówka była już przesycona narkotykiem i z trudem odróżniałem kolor czerwony od niebieskiego. Poczułem się tak, jakbym za moment miał zemdleć. Na szczęście wziąłem ze sobą swoją ożywczą miksturę. Przebrałem się i wyszliśmy.

W górnych poziomach Vegasz nie potrzebowaliśmy przewodnika. Z wiszących chodników, osiagających w niektórych miejscach wysokość piątego piętra, mieliśmy wspaniałą widok, wieże luksusowych domów, wznoszące się znacznie wyżej, były często mocno przeszkłone i kiedy padały na nie promienie słońca, błyszcząły. O trzeciej po południu dachy domów pod nami były już wysprzątane, tylko czasem dostrzegłem gdzieś ciemną plamę krwi. Upadek z wysokości był w Vegasz dość częstym rodzajem śmierci. Spotykaliśmy niewielu ludzi, ponieważ ci, którzy mogli pozwolić sobie na podziwianie świata z wysokości, a nie trudzili się handlem na śmierdzących ulicach, wstawali późno i wychodzili z domów jeszcze później. Wstęp na wyższe piętra nie był zakazany, ale straż najmowana przez handlujących luksusowymi towarami potrafiła czasem zrzucić na dół osobnika w wyświechtanym ubraniu. Mieli świetne rozeznanie, kiedy mogli sobie

na to pozwolić, a kiedy nie.

Zaprowadziłem Andaralę do sklepu ze szminkami i podobnymi przedmiotami, gdzie sam kilkakrotnie robiłem zakupy. Weszliśmy do środka i natychmiast znaleźliśmy się w centrum uwagi. Obsługiwało nas czterech sprzedawców, najmłodszy mógł mieć około dwudziestu lat, najstarszy około sześćdziesięciu, wszyscy świetnie przygotowani i eleganccy. Główną uwagę poświęcili Andarali, mnie uprzejmie zostawili w spokoju. Andarala powąchała parę buteleczek, zapytała o kilka rzeczy i uprzejmie się pożegnała. Podziwiałem ją. Zachowywała się bezbłędnie, a zresztą wszyscy byli pod wrażeniem jej elegancji i powabu. Prześcigali się w komplementach, siedmiokrotnie zapraszali dziewczynę do kolejnej wizyty i mimo że nic nie kupiła, dali jej na pożegnanie mały prezent. A podobno nie suknia zdobi człowieka... Wyszliśmy ze sklepu.

- O co ich pytaliście?

- Chciałam wiedzieć, z czego robione są perfumy De Jeuneva, które mi oferowali. Wytlaczają je ze zmieszanych płatków złotych nenufarów i szkarłatnej róży, gdzie indziej używa się nenufarów niebieskich.

- I co wam odpowiedzieli?

- Nie wiedzieli. To fuszerzy. Tylko odgrywiają znawców.

- A wy skąd o tym wiecie?

- Kobieta, którą się interesujecie, miała o tych rzeczach sporo książek. I mnóstwo próbek. Tutaj naszego zapachu nie było.

Stłumiłem chęć zapytania, gdzie nauczyła się czytać i pisać, i poszliśmy dalej. Dopiero w trzeciej perfumerii Andarala się ożywiła. Wdała się w debatę z dwoma sprzedawcami, a po wypróbowaniu wielu zapachów zaproszono nas do prywatnych pomieszczeń na zapleczu.

W biurze, którego ściany pomalowane zostały na jasnozielony kolor, a wyposażenie ograniczone było do najniezbędniejszych mebli, wskazano nam krzesła i poproszono, żebyśmy chwilę poczekali. Po dwóch minutach przyszła starsza kobieta w ciemnozielonej sukni. Jej prosty krój dobrze korespondował z charakterem wnętrza. Wstałem i grzecznie się ukloniłem. Odgadłem, że kobieta była właścicielką salonu. Andarala przejęła inicjatywę i wyjaśniła, że poszukuje zapachu,

z którym spotkała się tylko raz i nie zna jego nazwy.

Kobieta przyjrzała nam się z zainteresowaniem, ale powstrzymała się od jakichkolwiek pytań czy komentarzy.

- Jeśli nie znaleźliście tego zapachu w sklepie, to nie powinno być z tym problemu - powiedziała.

Stanąłem z boku i czekałem. To rzeczywiście nie trwało długo.

- To one! - wytchnęła wzruszona Andarała i popatrzyła na mnie triumfująco.

- Nazwałam je „Woalka”. Bardzo wyrafinowana mieszanka, sporządziłam ją na zamówienie. I udało się.

- Na czyje zamówienie? - włączyłem się do rozmowy-

- I o to chodzi, czy tak?

Nie była głupia.

- Tak - zgodziłem się. - Ile będziecie chcieć za tę informację?

- Nic. Wystarczy, jeśli kupicie jeden flakonik Woalki.

- Jaka jest cena?

- Nie pamiętam.

Użyła dzwonnka i nadszedł jeden ze sprzedawców.

- Alfredzie, podaj mi, proszę, cenę Woalki. Sprytnie to wymyśliła.

Trzymała się w cieniu, a klientki obsługiwali młodzi mężczyźni. Być może gdzieś w pobliżu czekały dwie piękne sprzedawczynie, na wypadek gdyby do salonu zawitał samotny pan.

- Tysiąc złotych, pani.

Zakląłem w duchu.

- Ile to będzie w królewskich?

- Mam na myśli królewskie, panie. Zwyczajnego złota nie przyjmujemy.

Wypisałem czek, położyłem na stole. Przejrzała go, dokładnie sprawdziła papier w palcach i przeczytała mój podpis.

- Alfredzie, skończysz na dziś obsługę klientów, Pójdiesz do banku i przelejesz te pieniądze na konto.

Sprzedawca wziął czek i wyszedł.

- Trzy flakoniki posłałam na zamek dla waszego brata.

Znów zakląłem w duchu.

- Pierwszy miał być dla dziwki z certyfikowanego domu

publicznego Koral. Nie wiem, jak się nazywała, prawdopodobnie była nowicjuską i wybierała swój osobisty zapach. To wszystko, co wiem.

- Czy moglibyście, pani, mi tę dziwkę opisać?

- To już dwa lata temu, ale pamięć mam dobrą. Narysuję ją i pošlę wam na zamek.

- Dziękuję. Do widzenia.

Ruszyłem do wyjścia, kiedy zatrzymał mnie jej głos.

- Panie, zapomnieliście perfum dla swojej damy.

Odwróciłem się. Miała poważną minę, ale w jej oczach tańczyły iskierki humoru. Życie wyraźnie ją bawiło.

Szliśmy powoli po chodniku. Andarala milczała.

- Czy coś się stało? - zapytałem.

- Nie, ale ta cena... - Z niedowierzaniem kręciła głową.

Mnie też zaparła dech, choć do podobnych wyskoków byłem przyzwyczajony.

Wróciliśmy do hotelu. Przypuszczałem, że Andarali będzie żal, że granie wielkiej damy się kończyło, ale myliłem się. Oprócz ekskluzywnego ubrania kupiła sobie również praktyczną odzież podróżną. Podałem jej dwa okazałe mieszki.

- Dwieście, zgodnie z obietnicą. Wóz przyjedzie za chwilę.

Wzięła mieszki i schowała je pod kabatem.

- Ubrania też zabierzcie. Można je sprzedać po drodze.

Uregulowałem rachunek hotelowy i wyszliśmy na zewnątrz. Wóz zaprzężony w dwa konie właśnie zajechał. Oprócz woźnicy na koźle siedział jeszcze jeden człowiek.

- Nająłem go, żeby was odprowadził na odległość dwóch dni drogi od Vegasz. Potem weźmie sobie jednego konia i wróci do miasta. To uczciwy człowiek. Woźnica jest niewolnikiem. Prawdopodobnie by was posłuchał, ale to go zmusi, gdyby protestował.

Podałem Andarali krzemień zawieszony na srebrnym łańcuszku.

- Wystarczy, jeśli pomyślicie jakiś rozkaz, bez wygłaszania go. Żeby zlikwidować czar, trzeba krzemień rozbić. Wóz został zaopatrzony w zapas jedzenia i wody oraz kilka rzeczy potrzebnych w drodze.

Pomogłem jej wsiąść na wóz.

- Dziękuję wam, panie - powiedziała.

- A ja dziękuję wam, pani.

Wóz ruszył, koła zadudniły po bruku. Nie obejrzała się. Patrzyłem za dziewczyną z zazdrością. Zaczarowałem wóz przeciw nieszczęśliwym wypadkom. W skrzyni na wozie schowałem jeszcze jeden mieszek, a w nim kolejne dwie setki. Miałem nadzieję, że Andarali poszczęści się w życiu.

Poszukiwania kurtyzany z Korala odłożyłem na inny dzień i wróciłem na zamek. Koło bramy spotkałem Engoda. Opierał się o zaworę, na twarzy miał swój zwyczajny pogardliwy uśmiezek. Ciemny płaszcz zakrywał większą część jego ubrania, wokół oczu dostrzegłem tatuaże ochronne. Przyglądał mi się przez chwilę, po czym stwierdził:

- Schudliście, książę.

Podkreślił słowo „książę”.

- Co bierzecie? Kokę, abraham, cuorat, jakąś specjalną mieszankę? Wymienił cały rząd najskuteczniejszych narkotyków.

- Zmieniam się.

Zaśmiał się chrapliwie.

- To przedłuża skuteczność.

O tym, że mieszanie narkotyków pobudzających często prowadzi do schizofrenii, nie wspomniał.

- Asystenta pokazał nam pokojowiec, znaleźliśmy jeszcze zabitych strażników i teraz wszystkich sprawdzamy. Waszą wieżę też chcielibyśmy skontrolować.

- Nie. Wy to kto?

- Przedstawiciele jedenastu. Bez obaw, postaramy się, żebyście początku koronacji dożyli w dobrym zdrowiu.

- Cieszę się.

Obdarzyłem go szerokim uśmiechem i odszedłem.

Od czasu, gdy na zamku pojawili się przedstawiciele klanów, poczułem się spokojniejszy. Kucharz oznajmił mi, że Horat już kogoś najał, i poradził, żebym w miarę możliwości nie wychodził do miasta, dopóki nie ustali kogo. Zająłem się treningiem, studiowaniem dziennika Maxa i planowaniem koronacji. Z pomocą pośredników zapłaciłem kilku ludziom, żeby jak najdokładniej narysowali mi

centrum Vegasz, w przyszłości mogło się to przydać. Staralem się nawiązać kontakt z organizacjami asasynów i kupić ich ochronę, ale już mnie zaszeregowali do grona niebezpiecznych klientów i odrzucali możliwość negocjacji. Tak samo było wszędzie. Według powszechnej opinii nie miałem szansy na objęcie tronu i ludzie robili wszystko, żeby mi niczego nie ułatwić. Nikt nie chciał znaleźć się na czarnej liście nowego Czarodzieja. Dowiedziałem się od Engoda, że mój kurs w zakładach wynosił jeden do tysiąca pięciuset siedemdziesięciu sześciu, oczywiście na moją niekorzyść. Ludzie uważali, że nie potrafiłem zaprowadzić porządku na zamku, i to odbiło się na notowaniach.

Do głowy nadal ozdabiającej moją jadalnię już przywykłem. Rozkład nie postępował i wystarczyło każdego ranka otworzyć okno, żeby lekki zapach zgnilizny zniknął na cały dzień. Czar konserwacyjny działał znakomicie, tyle że użyłem go w niewłaściwym momencie i nie całkiem poprawnym sposobem. Spróbowałem głowę spalić, ale nawet ogień nie mógł sobie z nią poradzić. Sam się dziwiłem, jak szybko uczyłem się manipulowania mocą, lecz poprzedni eksperyment ostrzegł mnie przed zbytnią pewnością siebie. Na poważne kłopoty z czarami natrafiałem na każdym kroku. Błędy mogły mieć fatalne następstwa.

Zleciłem Coinowi załatwienie mi wizyty u przedstawicielki domu Koral. Niczego nie mogłem przyspieszyć, ponieważ certyfikowane domy publiczne miały swój własny rytm pracy. Zmusiłem się do grzebania w materiałach archiwalnych, które co wieczór przynosił mi Deloin. Dwukrotnie zwrócił mi uwagę na jakieś szczegóły, ale doszedłem do wniosku, że nie są ważne. Przeczytałem wszystkie rachunki, nakazy i nudne zapiski o bieżących sprawach zamku. Miałem wrażenie, że marnuję czas, ale potrzebowałem się czegoś uchwycić, szukałem jakiegoś śladu, który pomógłby mi zrozumieć, o co szła gra. Jedynym szczęśliwym zdarzeniem był kawałek dzwonka w kieszeni Horata. Zapewne wpadł pod podszewkę i dlatego wielki mistrz nie miał pojęcia o jego istnieniu. Dzięki temu znane były mi jego ruchy na terenie zamku. Prawie każdego dnia przyjmował posłów, czasem konferował z innymi wielkimi mistrzami, często wychodził do miasta i wracał późno w nocy. Przejawiał gorączkową działalność i to mnie niepokoiło. Kucharz starał się śledzić niektórych jego kurierów, ale bezskutecznie.

Po każdym treningu podejrzewałem, czy Zephyr nie pracuje dla drugiej strony, ponieważ ćwiczenia coraz bardziej mnie wyczerpywały. Po ośmiogodzinnej męce medytacji, skomplikowanej gimnastyki i ćwiczeń z mieczem traciłem po prostu przytomność i nie pomagały mi nawet ogromne dawki footy. Czasem miałem wrażenie, że zmieniłem się w worek wypchany środkami pobudzającymi. Zrozumiałem, że Zephyr prowadził mnie ścieżką przemiany wewnętrznej, która zmierzała do absolutnej kontroli wszystkich organów mojego ciała. Według ksiązek (znowu podziwiałem zawartość biblioteki Maxa) w przeszłości istnieli czarodzieje bojowi, którzy podobno potrafili kontrolować nawet czynności poszczególnych komórek. Na marginesie starych kart traktujących o stylach bojowych znalazłem kilka zapisków Maxa o jego własnym szkoleniu i uzdolnieniach zabójców, z którymi miał styczność. Według niego najlepsi z nich przeszli przemianę wewnętrzną i dzięki temu potrafili doprowadzić niektóre techniki bojowe do doskonałości. Większość autorów uważała jednak ten rodzaj szkolenia za zbyt obciążający i stosowny tylko dla najbardziej utalentowanych. Pozostali mogli uzyskać więcej metodami tradycyjnymi. Nie uważałem się za utalentowanego, ale wierzyłem, że Zephyr wiedział, co robi.





O wpół do szóstej rano dwadzieścia trzy dni przed koronacją, szykując się do treningu, mieszałem zwykłą porcję footy, kiedy stwierdziłem, że mój świat stał się czarno-biały. Kolory zniknęły. Czopki na siatkówce nasyciły się narkotykiem i zaczęła się druga faza -

niszczenie wzroku prowadzące do ślepoty. Potrzebny mi był dobry toksykolog, który przeprowadziłby kurację oczyszczającą. Liczyłem się z tą koniecznością i miałem listę zawierającą tuzin najlepszych specjalistów.

Gdy wychodziłem, zjawił się Coin. Odezwał się Koral, przysłał adres, pod którym oczekiwano mnie Przez trzy najbliższe dni o dziewiątej wieczorem. Wszystko we właściwym momencie.

Przez ten czas, kiedy nie opuszczałem zamku, pogoda się zmieniała. Ściany kotliny powyżej sześciuset stóp błyszcząły pokryte szronem, ale przy ziemi utrzymywało się jeszcze ciepło. W powietrzu unosiła się zapowiedź mgły, która po zachodzie słońca zmieniała się w zimny smog. Ruch na ulicach był szybszy jakby każdy starał się zdążyć ze swoimi sprawami, zanim powietrze zacznie go palić w gardle, a każda praca fizyczna wymagała maski albo drogiego zakłęcia Celowo założyłem ubranie, w którym jeździłem po Kontynencie. Początkowo był to standardowy mundur zamkowych żołnierzy, ale przez nieustanne zszywanie, łatanie i wymianę uszkodzonych lub zbyt znoszonych elementów zyskał cudzoziemski wygląd, lecz zachował swoją funkcjonalność. Zabarwiłem sobie twarz i ręce na śniado i w płaszczu z wielbłądziej wełny przypomiąłem przybysza z puszczy handlującego artefaktami. Cudzoziemiec, jednak na tyle doświadczony, że nie wabił złodziei i cwaniaków szukających łatwego zysku. W dwóch torbach z mocnej skóry przypiętych do pasa miałem drogie kamienie. Moje czeki, chociaż mające pokrycie w królewskim złocie, nie przedstawiały już prawie żadnej wartości. Transakcje handlowe dawało się wyśledzić nawet po kilku latach i każdy się obawiał, że jeśli przyjąłby złoto królewskie, mógłby u przyszłego Czarodzieja zapłacić za to gardłem. Klejnoty natomiast były anonimowe.

Toksykolodzy na ogół pracowali głęboko pod ziemią. Reklamy nie potrzebowali, bo ich klienci starali się unikać ciekawskich. Po wizycie u pierwszego wybrałem z listy kolejnych sześciu, których laboratoria również mieściły się w centrum. Ten pierwszy nie wpuścił mnie do środka i prawie mi zapłacił, żebym tylko sobie poszedł. Przeszedłem do dzielnicy północnej i przez chwilę wałęsałem się po ulicach. Odwiedziłem pięć kramów, od ubogiej spelunki po doskonale

wyposażone laboratorium, ale nigdzie mi nie pomogli. Albo nie chcieli, albo nie umieli. W końcu zatrzymałem jakiegoś marnie ubranego chłopinę i za pół złotego dostałem od niego dobrą radę.

Toksykolog nazywał się Gereak, a na jego kram wskazywała strzałka z nazwiskiem, kierująca klienta ku dziurze w ziemi, wyglądającej na dzieło jakiegoś przerośniętego kreta. Długość drewnianej drabinki prowadzącej na dół spowodowała, że prawie zrezygnowałem. Sztolnia była głębsza niż kopalnia srebra, a poziomy korytarz prowadził jeszcze dalej. Znów poczułem atak klaustrofobii, pół godziny leżałem w kałuży zwinięty w kłębek, w końcu jednak zwalczyłem to uczucie. Bez proszku. Gereak był albo fuszerem, albo znakomitym specjalistą, bo nawet w tej branży nikt nie pozwalał sobie na taki brak zainteresowania klientem. Potykałem się w ciemności i wreszcie po upływie czasu, który wydawał mi się wiecznością, poczułem chłodny powiew i zobaczyłem światło w szczelinie pod zamkniętymi drzwiami. Otworzyłem je i wszedłem do miniaturowego pomieszczenia. Oprócz prostego krzesła i nieużywanej spluwaczki było ono puste. Oświetlał je stalowy pentagram wtłoczony w panel sufitowy. Zabrział metaliczny trzask i granitowa ściana na wprost mnie odsunęła się na bok. Znów ktoś, kto łączył mechanikę z czarami.

- Czego sobie życzycie?

Zobaczyłem około czterdziestopięcioletniego mężczyznę w kombinezonie roboczym. Na głowie miał skórzany kaptur z błoną, którą mógł sobie przesłonić oczy, na złotym łańcuszku kołysały się dwa duże tampony do nosa z wymiennymi wkładami, na skroniach zauważyłem cieniutkie linie zakłęcia graficznego. Miało ono coś wspólnego z filtracją, ale nie byłem pewny.

- Mam ruchome ceny i dziś jestem drogi. Pracuję.

- Zapłacę również za konsultację.

Włożyłem do spluwaczki dziesięć monet. Przez chwilę się im przyglądał.

- W porządku, chodźcie ze mną.

Zaprowadził mnie do pomieszczenia, które wyraźnie służyło za pracownię naukową, i na moment zniknął. Wrócił odziany w normalne ubranie, bez kombinezonu i kaptura.

- Czego dokładnie potrzebujecie?
- Detoksu.
- A co braliście?
- Footę.

Podrapał się po głowie.

- Stosunkowo niezwykle. Jaki kolor ma ten papier? - Wskazał blat stołu.

- Żadnego papieru tam nie ma.
- Jasne. Jak długo to już trwa?

Zawahałem się.

- Chyba dwadzieścia dni.

Wydawał się zaskoczony.

- Do totalnego nasycenia nawet przy dużych dawkach dochodzi dopiero po miesiącu. A was typowałbym na co najmniej dwumiesięczną kurację. Musimy zrobić kilka testów, żeby się dowiedzieć więcej.

- Jakie to testy?

Wstał, otworzył jedną przegrodę szafy, o której myślałem, że to kartoteka, i wyciągnął jakiś klejnot. Nie widziałem kolorów i nie mogłem go zidentyfikować, ale sądząc po charakterystycznym szlifie, stawiałem na topaz.

- To jest kamień zaklinający do jednokierunkowej telepatii. Będę mógł dostać się do tych rejonów, które są związane z naszym problemem. Pokażę wam oświadczenie i znak. Producentem jest klan Kaal i ten kamień jest najwyższej próby, z absolutną gwarancją.

- Telepatia nie wchodzi w rachubę - wtrąciłem, sam nie wiedząc, z jakiego powodu. Podejrzywałem tylko, że nie byłoby dla mnie dobrze spróbować bezpośredniego kontaktu z obcą magią.

Zachmurzył się.

- W takim razie pozostaje hipnoza. Ale zapłacicie z góry, to powolny proces.

- Ile?

- Czteryście królewskich.

Wyciągnąłem woreczek, w którym miałem schowane najmniejsze i najstarsze żywe kamienie, i jeden z nich położyłem na stole. Wyceniałem go na dwa tysiące.

- Czy to wystarczy?

- Zaczniemy zaraz.

Badanie, czy też postawienie diagnozy, zajęło nam chyba pięć godzin i zrozumiałem, dlaczego musiało przebiegać w hipnozie. Szczegółów, których chciał się dowiedzieć, nikt nie zdołałby sobie przypomnieć, nie będąc w transie. Potem pobrał mi próbki krwi, moczu i nawet łez. Na końcu przez dwie godziny badał moją aurę. Po zakończeniu prób wydawał się bardzo zainteresowany.

- Mogę was odtruć, ale jeśli macie wrażenie, że będziecie mogli używać footy przez kolejne dwadzieścia dni, to się mylicie. Powtórne nasycenie nastąpiłoby już po zażyciu dwóch lub trzech dawek.

Zamilkł i czekał na moją odpowiedź.

- W czym tkwi problem? - zapytałem.

Potrząsnął głową.

- Nie wiem dokładnie. Wasz metabolizm jest pięć-cio-, a może dziesięciokrotnie szybszy niż zazwyczaj. Co więcej, jest trochę zmieniony, ale nie zdołam szczegółowo stwierdzić, w jaki sposób. Wygląda to tak, jakbyście przez kilka dni pozostawali pod wpływem silnego źródła magicznego.

Nie mogłem być wystawiony na wpływ magii, poznałbym to nawet przy swoich słabych umiejętnościach. A metabolizm prawdopodobnie zawdzięczałem treningowi z Zephyrem.

- Jaki inny narkotyk pobudzający mógłby mi pomóc?

- Żaden, panie. Wszystkie uboczne efekty footy zostaną zachowane. Następująca nietolerancja narkotyków nosi charakter psychiczny, nie fizyczny. Myślę też, że gdybyście mogli używać wszystkich farmaceutyków bez ograniczenia, nie pomogłyby wam.

Wasze pole energetyczne jest bardzo słabe, po prostu wyczerpane. Z trudem je w ogóle zobaczyłem. Prawie tak, jakbyście byli - zawahał się na moment - martwi od dwudziestu minut.

To nie zabrzmiało zbyt optymistycznie.

- Zacznijmy oczyszczanie.



Wytoczyłem się z laboratorium o wpół do czwartej rano, z bardzo złym samopoczuciem. Jeśli przedtem byłem dwudziestominutowym nieboszczykiem, teraz musiało to sięgnąć minimum czterdziestu minut. Po normalnym ośmiogodzinnym treningu poczułem się jak lekko psujący się umarłak, głowa na moim stole wyglądała lepiej. Archiwista przyniósł mi codzienną porcję dokumentów i niektóre fragmenty zakreślił, ale nie zdołałem nawet spojrzeć na tekst. Czuję, że oddycham tylko połową pojemności płuc. Starłem się znaleźć jakiś sposób, żeby wziąć się w garść, ale nie przychodziło mi do głowy nic innego jak tylko tydzień rekonwalescencji. Posłałem do Gereaka Coina z kamieniem za pięć tysięcy, po radę. Rano, kiedy nadal bezmyślnie gapilem się w sufit, goniec z miasta przyniósł wiadomość i woreczek. Wiadomość była bardzo krótka, bez podpisu.

*Spróbujcie u Zielonej Żaby: Kamień zwracam,
za taką radę nie mogę przyjąć wynagrodzenia.*

Uczciwy spec od trucizn. Niezła ironia.

Zephyr nie doczekał się na mnie i musiał przyjść na górę. O nic nie pytał, tylko uważnie mi się przyjrzał.

- Brakuje nam już tylko niewiele, książę. Jesteście wyczerpani, jeśli jednak treningi przerwiemy, nasza praca nie zda się na nic. Całość ćwiczeń to postępujący proces, który nie może mieć pauz. Dziś możemy ograniczyć się do medytacji, ale jutro musimy kontynuować trening w sali.

Spędził ze mną normalne osiem godzin, z których nic nie zapamiętałem. Po południu byłem w stanie wałęsać się po pokojach. Na próbę zajrzałem do biblioteki i znalazłem książkę opisującą historię Wielkiej Wojny. Otworzyłem ją na stronie zawierającej litografię przedstawiającą człowieka z mieczem w ręce, otoczonego wałem trupów. Pod obrazkiem małymi literami umieszczono napis: „Guarotemi, jedyny z klanu Mootu, który przeżył i odbył całą drogę

przemiany wewnętrznej. W następnym stuleciu założył własny klan i zmiotł z powierzchni ziemi wszystkie klany czarodziejskie na południe od Dumpuru”.

Nie byłem Guarotemi i nie zamierzałem zakładać własnego klanu, chciałem tylko przeżyć. Nie wierzyłem, że tę właśnie książkę wybrałem przez przypadek i otworzyłem ją na tej właśnie stronie, ale raczej nie roztrząsałem tej kwestii. Zwiększyłbym tylko swoje wrażenie, że byłem kukielką na sznurkach, za które pociągali inni. Wybrałem ciemnoczerwony płaszcz z kapturem, użyłem kamienia zapewniającego dobry oddech i wyszedłem do miasta.

Smog pozostawiał na piętrze gorzkawy posmak, a był tak gęsty, że zwyczajni przechodnie po prostu się dusili. Ulice były zdumiewająco puste, ludzie omijali się szerokim łukiem. Źle widziałem, musiałem często się zatrzymywać, żeby stwierdzić, gdzie znajdowały się domy, a gdzie wolna przestrzeń ulicy. Podczas jednego z takich postojów usłyszałem, że za rogiem ktoś się dusił. Zapewne użył niewłaściwych tamponów lub jego kamień zakłóć stracił moc. Z początku od czasu do czasu łapał oddech, potem tylko charczał, aż wreszcie ucichł zupełnie. Pomyślałem, że zbieracze trupów będą mieć następnego dnia pełne wozy. Szedłem, zataczając się, i wypatrywałem przewodnika, który wskazałby mi drogę. Smog jeszcze bardziej zgęstniał, światła domów widziałem zaledwie z kilku kroków. Krata kanalizacyjna pośrodku ulicy poruszyła się i odsunęła na bok. Z podziemi wypadło coś przypominającego lepką emulsję. Szczury powłaziły jedne na drugie i własnymi ciałami uniosły kratę, żeby uciec z gazowego piekła kanalizacji. Zachwiałem się, oparłem o ścianę i namacałem drzwi. Klamka dała się przekręcić, drzwi się otworzyły. Za nimi znajdowały się długie schody prowadzące w dół. Sturlałem się po nich i znalazłem u ich podnóża, leżąc na plecach. Strop wykonany był z nieociosanych kamieni granitowych posmarowanych białą zaprawą murarską. Błyszczał wilgocią, największe krople migotały jak gwiazdy na czystym nocnym niebie. Ktoś nade mną stał.

- Podnieście go i przynieście tutaj - usłyszałem dobiegający z oddali skrzeczący głos, częściowo tylko ludzki.

Siedziałem na ławce, starając się wyostrzyć wzrok.

Przede mną w okrągłym baseniku leżała kobieta. Jeśli rzeczywiście nią była. Twarz nosiła rysy kobiece, chociaż nieforemne, odęte, z luźną, brodawkową skórą. Ramiona i obojczyki miała w jakiś sposób zniekształcone, dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wychodzą z nich dwie pary rąk. Raczej macek. Palce były trzykrotnie dłuższe od ludzkich i miały o jeden staw więcej. Reszty ciała nie mogłem zobaczyć, ponieważ zakrywał je kamienny brzeg basenu. Hybryda. Najdziwniejsza i najbrzydsza hybryda, jaką kiedykolwiek widziałem. Poczuję falę odrazy, spowodowaną wychowaniem i powszechnymi opiniami na ten temat.

- Szukam Zielonej Żaby.

Zachichotała ubawiona.

- No to trafiłeś pod dobry adres, chłopczyku.

Dopiero teraz zauważyłem, że jej cera ma lekko zielony odcień.

- Jak mnie znalazłeś? Na ogół nie rozpowiadam, gdzie mieszkam.

- Nie wiem. Szukałem was i znalazłem tutaj.

- Czego potrzebujesz?

- Jestem wyczerpany, potrzebuję nabrać sił.

Dwoje dużych, niemrugających oczu uważnie mnie obserwowało.



- Powiedziałyby, chłopczyku, że my oboje mieliśmy już ze sobą do czynienia. Przynieście mi zapisy -krzyknęła do kogoś znajdującego się za mną. - A masz czym zapłacić?

Jak we śnie wydobywałem jeden woreczek z drogimi kamieniami po drugim. Cena niektórych kamieni była nieoszacowana, gdyż przyniosłem same unikaty. Mogła mnie zabić, ciało wyrzucić na ulicę i zagarnąć prawdziwy skarb, dla którego cesarz nie zawahałby się poświęcić życia całej armii.

- Widzę, że sprawnie odgadłeś moją stawkę. Biorę wszystko, co klient zdoła zgromadzić, a nawet jeszcze trochę więcej. Ale tobie dam zniżkę - zachichotała.

Zdawało mi się, że trochę nerwowo.

- Odnieście nas do pracowni!

Znow straciłem świadomość i odzyskałem ją dopiero na łóżku. Najpierw pomyślałem, że to jakiś wyrafinowany stół tortur, ale było to jednak łóżko z miękkimi pętami na kończyny i skomplikowaną uprzężą wokół miednicy i czoła. Tak dokładnie mnie unieruchomili, że nie mogłem się ruszyć.

- Zaczynamy, mój drogi - zagruchała.

Widziałem teraz więcej jej ciała, wyglądało naprawdę potwornie. Gruszkowate, przelewające się we wszystkie strony, z którego wyskakiwały i zaraz ginęły macki i nibynóżki różnej wielkości.

- Potrzebujesz siły, chłopczyku. Jesteś bardzo wyczerpany, można nawet powiedzieć: martwy. Ale coś cię utrzymuje na powierzchni. I to nie jest miłość! Tego możesz być pewny. Dam ci siłę. Każdy wie, że myśli się głową, ale punkt ciężkości, kotwica siły jest w sercu. Bez niego nie możesz pozyskiwać mocy, odnawiać własnej energii, nie możesz kochać ani czarować. Tylko człowiek o wielkim sercu może być mocnym czarodziejem.

Pochyliła głowę i z zadowoleniem rechotała ze swojego dowcipu.

- A to twoje jest zupełnie wyczerpane, zniszczone, skurczone. Popatrz!

Nie zdążyłem się nawet przestraszyć. Wyciągnęła ku mnie dwie pary pseudoramion, przejechała paznokciami po skórze i jednym ruchem otworzyła klatkę piersiową. Patrzyłem na swoje żebra, na ich

szare końcówki sterczące z krwawego mięsa. Usłyszałem mokry odgłos rwącej się tkanki i nagle trzymała czarny, skurczony kłęb tuż przed moimi oczami.

- Twoje serce! - śmiała się skrzekliwie, a równocześnie ogromnym hematytem przejeżdżała przez brzegi rany i krwawienie natychmiast ustawało. Gdybym nie był w szoku, kamień swoją siłą mógłby wypalić mi mózg. - A ode mnie dostaniesz coś w zamian za swoje kamienie!

W innej z niezliczonych macek trzymała ogromną grudę mięsa.

- Popatrz uważnie, chłopczyku, żebyś nie mówił, że cię oszukałam. Nie mogłabym tego zrobić, przecież jestem twoją prawie mamą! Dla ciebie tylko najlepsze jest wystarczająco dobre. To kawał serca byka, był specjalnie chowany dla klienta takiego jak ty, a ten to połówka serca mężczyzny! A wiedz, że to był chłop na schwał. A to - pokazała mi tkankę brudnoszarego koloru - sama wytworzyłam!

Jak kucharz rzuca naleśnik na rozgrzaną patelnię, tak rzuciła we mnie tym dziwactwem. Ktoś podał hybrydzie tacę pełną małych kamyków, ale tylko pokręciła głową.

- Ten paniczyk poradzi sobie sam, zobaczysz. Dwoma niby-ramionami ściągnęła żebra na swoje miejsce i związała je miedzianym drutem. Kiedy zaczęła zszywać mięśnie dratwą, zemdlałem.

Przebudziło mnie zimno. Leżałem na chodniku, nade mną pochylało się dwóch ludzi. Śmierdzieli potem i śmiercią.

- Uf, ten jeszcze żyje. No i dobrze, mam już pełny wóz. Kończymy, dziś i tak zrobiliśmy trzymiesięczną normę.

Woźnica strzepnęła lejcami i wóz ruszył. Zwłoki wystawały wysoko ponad burtami. Noc jeszcze nie zaczęła blednąć, ale smog ustąpił i na niebie jaśniały gwiazdy. Byłem przemarznięty i przygnębiony koszmarnym snem, bolało mnie całe ciało, a najbardziej pierś. Mimo to czułem się trochę lepiej. Pozbyłem się majątku wartości budżetu średniej wielkości królestwa, ale byłem szczęśliwy, że przeżyłem zabójczy smog. Nie wróciłem do komnat, poszedłem prosto do sali treningowej. Zephyr już na mnie czekał.

Cały dzień ćwiczyliśmy szermierkę z cieniami i po raz pierwszy nie odniosłem wrażenia, że tracę swoją osobowość. Po południu zjadłem wszystko, co dla mnie przygotowano, i z przyjemnością stwierdziłem,

że Zephyr zostawił dla mnie jeszcze drugi zestaw dań. Na tym przyjemności się skończyły. Podczas kąpieli zobaczyłem, że moją pierś szpeci szeroka, kiepsko zagojona blizna. Dopiero po kwadransie zrozumiałem, że sen nie był tylko snem i że nie miałem już w piersi mojego starego, dobrego serca. Musiałem porozmawiać z Coinem i Deloinem, ale nie mogłem ich znaleźć. Rejestrowałem jedynie odłamki dzwonka Horata, Zephyra i kucharza. Rozkazałem żołnierzom, żeby ich poszukali, lecz bez rezultatu. Do poszukiwań przyłączyli się również przedstawiciele jedenastu rodów, którzy zaczęli się nudzić, nic nie robiąc całymi dniami, a pozostawali na zamku, ponieważ żaden nie chciał opuścić go jako pierwszy. Wieczorem miałem ostatnią okazję na spotkanie z przedstawicielką Koralą.



Kompleks domu publicznego tworzyły cztery wysokie budynki połączone ścianami z płyt granitowych. Wielka jednolita powierzchnia w zestawieniu z labiryntem wąskich uliczek i różnorodnych domów sprawiała wrażenie odmiennej i obcej. Gładzony kamień zdobiły tylko groźnie wyglądające zakłęcia graficzne. Naliczyłem ich pięć i domyślałem się, że dziesięć kolejnych czyha w ukryciu, jako zaskoczenie. Aż do wysokości piątego piętra w ścianach nie było żadnych okien, później płyt granitowych ubywało na rzecz szkła. Ściany ostatniego, ósmego piętra całe już były przeszklone i zwieńczały budynek niczym błyszczący diadem. Zatrzymałem się przed dwuskrzydłową bramą z brązu, ozdobioną stylizowaną ryciną róży. Zanim zdążyłem zapukać kołatką, otworzyła mi straż. Żeńska straż. Celowy i skoordynowany sposób poruszania się zdradzał ich profesję tak dokładnie, jakby miały na czołach wytatuowany cech klanu asasynów. Kamizelki ze stalowych krążków były zdecydowanie delikatniejsze niż zwyczajne i doskonale podkreślały niewielkie piersi, chronione drucianymi koszyczkami. Kamienne twarze, błyszczące włosy splecione w warkocz. Kobiet w tym zawodzie bywało niewiele, z reguły

zatrudniano je do prac wymagających staranności i precyzji. Uczynienie z nich straży na bramie było marnowaniem pieniędzy, ale w certyfikowanym domu publicznym nie mogli pracować żadni mężczyźni oprócz eunuchów. A oni w większości nie byli zbyt dobrymi wojownikami.

Wewnątrz zajął się mną jeden z kastratów, gruby i wyperfumowany, w jedwabnej szacie do samej ziemi. Bez słowa poprowadził labiryntem schodów aż do negocjatorki. Czekwała w saloniku z małą sadzawką pośrodku. Z sadzawki wypływał potoczek i znikał pod dużym, puszystym dywanem. Kobieta miała na sobie, jak na mój gust, aż nazbyt cnotliwy strój, ale może powinno mnie to uchronić przed nieopanowaną żądzą. Z tym przynajmniej nie miałem problemu. Mimo że nie była umalowana, nie potrafiłem określić jej wieku. Skórę na szyi miała gładką i białą, niebieskie oczy pod ciemnymi, gęstymi brwiami były twarde jak agaty. Zrobiła na mnie wrażenie zrównoważonej i spokojnej.

- Życzyliście sobie mówić ze mną, księżę.

W jej pieczołowicie wymodelowanym głosie nie znalazłem najmniejszej wady. Zapewne umiała wyrażać się na wiele sposobów, a ten był językiem interesów. Mimo to brzmiał bardzo dobrze.

- Poszukuję - zawahałem się przy doborze stosownego słowa - towarzyszki.

- Po to tu jesteście. Czy możecie powiedzieć mi o niej trochę więcej?

- Nie za bardzo. Wiem tylko, że używa tych oto perfum.

Postawiłem na stoliku flakonik Woalki. Wzięła go ostrożnie i długo mu się przyglądała, zanim otworzyła. Lekko potarła skórę na wewnętrznej stronie nadgarstka i powąchała. Mimo że nadal wyglądała na opanowaną, jej równowaga emocjonalna zniknęła, kobieta stała się nagle ostrożna.

- Prawdę mówiąc, członkowie rady nie zalecali mi spotkania z wami. Obawiam się, że nie mogę wam pomóc.

- A czy możecie mi o niej cokolwiek powiedzieć?

- Nie.

Właścicielki certyfikowanego domu były pragmatyczne w

interesach, pomiędzy którymi umiały poruszać się bardzo sprawnie. Dobrze wiedziała, jak dużo mogę zaoferować, a mimo to powiedziała nie. Wzruszyłem ramionami.

- Zatem wyczerpaliśmy wszystkie powody, dla których chciałem z wami mówić.

- Pewna wasza znajoma chętnie by was ujrzała, a zbiegiem okoliczności jest aktualnie gościem naszego domu.

Oczywiście wiedziała, że to nie jest zbieg okoliczności, ale informację przekazać musiała.

- Jeśli sobie życzycie, sługa was zaprowadzi.

Nie zauważyłem, żeby zadzwoniła, jednak drzwi się otworzyły, a za nimi czekał ten sam pachnący grubas. Wyraźnie nie pozwalano mu wchodzić do salonu. Wspięliśmy się na najwyższe piętro. Eunuch nawet się nie zadyszał, zapewne był przyzwyczajony do takich wspinaczek. Dwa prostopadłe do siebie korytarze dzieliły piętro na cztery części. W każdej znajdowały się dwa obszerne apartamenty. Eunuch pokazał mi, w którym znajduje się moja tajemnicza znajoma, i odszedł. Przedtem jednak ostrzegł, żebym w żadnym wypadku nie wchodził do innego pomieszczenia.

Przez chwilę rozkoszowałem się widokiem rozciągającym się za kryształową ścianą. Materiał był tak znakomitej jakości, że prawie nie załamywał światła, i zmysł wzroku odrzucał obecność ściany. Aż po horyzont ciągnęło się morze domów, wież i wiszących chodników. Pod wieczór było widać, gdzie się rodziły zaczątki smogu. Najwyższa część wschodniej ściany kotliny w promieniach nisko zawieszono słońca świeciła różnokolorowymi minerałami, cień zachodniej ściany pełził po niej jak gigantyczne ostrze odcinające światło. Popatrzyłem w górę. Panował tam mrok, kipiały brudy z minionych dni, które po zachodzie słońca opadały na miasto. Vegasz potrzebowało kilku godzin silnego wiatru.

Zastukałem i bez czekania na odpowiedź wszedłem. Na kanapie siedziała kobieta, nogi trzymała na stole i z wielkiej czaszy popijała czerwone wino. Suknia podciągnęła jej się aż nad kolana, ale kobieta nie fatygowała się, żeby zsunąć ją niżej. Zresztą nie musiała, jej uda miały doskonały kształt, a łydki były nadzwyczaj zgrabne. Niedawno

ktos musiał ją ostrzyc, ponieważ na głowie zauważyłem tylko meszek.

- Też się zmieniliście, księżę - zareagowała, rozbawiona moim intensywnym spojrzeniem.

Po głosie poznałem ją natychmiast. Kurtyzana z salonu gier.

- Usiądziecie? Napijecie się szklaneczki wina?

Usiadłem w fotelu obok, przekręciwszy go tak, żeby mieć widok na zewnątrz. Jedna ściana pokoju była przezroczysta.

Popijałem z czaszy i obserwowałem zmrok nasuwający się nad miasto.

- Lubię ten widok. Ale kosztuje nieludzkie pieniądze.

- Z jakiego powodu się spotkaliśmy? - zapytałem.

- Wiem, że kogoś poszukujecie. I wiem kogo. Wiem też, że Koral odmówił wam pomocy.

- A wy?

- Ja wam pomogę.

- Dlaczego?

- Bo chcę.

Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś dobrowolnie komuś pomagał.

- Dlaczego?

Zamyśliła się.

- Nie lubię kłamać. A prawdy wam nie powiem. Odpowiedź na to pytanie zostawmy na inną okazję.

Słońce zaszło, uliczne lampy i różnobarwne plamy okien rozświetliły mętną, szarą poświatę, która wyżej ciemniała. Smog jak na razie nie opadał, nad mroczną masą ściany kotliny widniał wąski pas jasnych gwiazd.

- W jaki sposób możecie mi pomóc?

Nie wstając, podniosła z dywanu torebkę, wyjęła z niej mały woreczek i podała. Rozwiązałem go i wysypałem trzy rubinowe dwunastościany o średnicy około jednego cala. Były identyczne, ich ostre krawędzie pozostawiały na dłoni cieniutkie zadrapania. Zajrzałem do jednego z nich i dostrzegłem strukturę czaru. Nie przypuszczałem, że coś tak doskonałego i skomplikowanego może w ogóle istnieć. Wokół silnych włókien nośnych czaru opleciona była pozornie nieuporządkowana sieć delikatnych siateczek, jakby pajęczych, cała

konstrukcja zawiąła się do siebie, aż się wydawało, że nigdzie się nie kończy i podąża w bezkres.

- Niezwykle złożony czar, nie wiem, do czego służy, i nie wiem, jak może mi pomóc - powiedziałem.

- Matryca osobowości waszego brata. Sam ją wykonał dla matki swojego dziecka. Jest tak doskonała, że przywołane widmo będzie mieć wszystkie jego umiejętności i uzdolnienia.

- Wszystkie? - zapytałem z nutą niewiary w głosie.

- Nie jestem czarodziejką, ale powiedziała mi, że wszystkie.

- Kto wam to powiedział?

- Ona. Kobieta, której szukacie.

- Czy każdy może go ożywić?

Przytaknęła.

- Każdy, kto dysponuje dostateczną ilością energii.

Max musiał być mistrzem nad mistrzami, skoro zdołał zbudować taki czar, jego zdolność do manipulowania mocą przekraczała ludzką miarę. Ojciec prawdopodobnie zdołałby ożywić matrycę, może działający wspólnie wielcy mistrzowie klanów, może najsilniejszy klan, gdyby sięgnął do samego dna swoich rezerw. Ja nie. Szybko się uczyłem, ale nadal byłem tylko nowicjuszem.

- A czego za to żądamy?

- Nie będziecie już poszukiwać ukochanej waszego brata. Bez ustanku was śledzą, a wasze działania obracają do góry nogami wszystko, czego się dotkniecie. Jeśli będziecie jej szukać, naprowadzicie ich na jej trop. Już teraz musieliśmy uspokoić właścicielkę perfumerii, a matce przedstawicielce Korala zagroziłam, żeby zapewnić sobie jej dyskrecję.

Musiała być kimś więcej niż certyfikowaną kurtyzaną działającą na własną rękę. Albo miała bardzo silnego protektora. Albo obie możliwości naraz.

- Kim jesteście i kto mnie śledzi?

Wzruszyła ramionami.

- Dla was istotne niech będzie, że zastępuję ukochaną Maxa. A co do śledzenia, robią to ludzie każdego członka jedenastu i oczywiście

tropiciele wielkich mistrzów.

- Chcę z nią porozmawiać. Chociaż raz, potem zostawię ją w spokoju. Ustalcie czas i miejsce. Jeśli się nie zgodzicie, zabierzcie to z powrotem.

Położyłem klejnoty na stole. Musiałem ryzykować.

Machnęła ręką.

- Zostawcie je sobie. Zgadzam się, ponieważ nic innego nam nie pozostaje.

Wstałem, żeby odejść.

- Proszę o wiadomość możliwie jak najszybciej, będę czekał przez trzy dni.

Spojrzała na zegar.

- Mężczyźni nie przychodzą tu zbyt często, a jeśli tak, to zostają dłużej. Dobrze by było, gdybyście zostali jeszcze trochę. Bo pomyślą, że przyszliście tylko odreagować.

Usiadłem z powrotem w fotelu. Aż do północy w milczeniu piliśmy wino i obserwowaliśmy miasto zatapiane przez nocny smog. Pod nami w ciemności roili się niewidoczni dla nas ludzie, kochali się, oszukiwali, kradli, zabijali. Zawsze z tych samych powodów. Pieniądze, żądze, nienawiść. W ciemności toczyło się normalne życie z prostymi zmartwieniami i radościami, ale mnie to już nie dotyczyło. Oprócz kryształowej ściany oddzielało mnie od niego królewskie berło Vegasz. Balansowałem na chwiejnym czubku piramidy mocy, tuż pode mną tłoczył się zastęp niecierpliwców, a wokół mnie zacieśniała się sieć intryg, pozornie nieszkodzących nikomu, a krzywdzących wszystkich.



O pierwszej w nocy wróciłem na zamek i bezzwłocznie zająłem się pracą. Około trzeciej nad ranem ze skupienia, podobnego raczej do hipnotycznego transu, wytrącił mnie ruch gdzieś na peryferiach świadomości. Odsunąłem książkę i starałem się stwierdzić, co się właściwie wydarzyło. Mogłem zidentyfikować ospałe bzyczenie muchy,

kapanie niedokręconego kranu, trzeszczenie krzesła podczas moich ruchów. Kawalek dzwonka zdradził mi, że Horat był jeszcze w swoim pokoju na górze i przed chwilą wrócił z miasta. Najchętniej nająłbym kilku ludzi, którzy śledziliby go nieustannie, ale podobna próba byłaby prawdopodobnie stratą czasu. Wróciłem do książki i nagle zdałem sobie sprawę, że Horat nie przeszedł przez podwórzec od bramy zamkowej, ale od mojej wieży. Zamknąłem książkę, nałożyłem płaszcz i wyszedłem.

Na pierwszy rzut oka drzwi do wieży wyglądały normalnie, nawet pieczęć-zakłęcie pozostała nienaruszona. To jeszcze niczego nie dowodziło, kupiłem czar na targu za pięćdziesiątaka. Otworzyłem drzwi i zapaliłem jedno z rezerwowych łuczyw w uchwycie na ścianie. Przez tych kilka dni, podczas których nie wchodziłem do wieży, wewnątrz nabrało zapachu długo nieużywanego pomieszczenia. Drugie zapalone łuczywo wziąłem w rękę i ostrożnie wszedłem na schody.

Już na piątym stopniu poczułem jakiś obcy zapach, a pomiędzy piętrami zdałem sobie sprawę, co to było. W powietrzu unosiła się woń świeżej krwi. Pchnąłem drzwi, nienasmarowane zawiasy zaskrzypiały. Czyjaś boleść i cierpienie uderzyły we mnie jak młot, aż upadłem na podłogę. Wstrząs wyostrzył moje zmysły i to mnie ochroniło. Nie zawsze zdolność odczuwania empatii bywała pożyteczna. Przeciwnie normalnym ludzkim emocjom i odczuciom byłem dobrze opancerzony. Mogłem się przyglądać łamaniu kołem, jedząc pieczoną wieprzowinę, jednakże to, co mnie tutaj dotknęło, było stokroć, tysiącokrotnie mocniejsze. Przy podłodze zapach krwi dochodził silniejszy, oddychałem głęboko i starałem się wydobyć z chaosu myślowego. Wstałem powoli i otarłem się o martwy przedmiot wznoszący się pośrodku pokoju.

W końcu udało mi się zapalić kilka świeczek. Pomieszczenie było przepełnione obcymi stolikami i skrzyniami, wszędzie leżały szklane naczynia, krążki błyszczących drutów, kryształki i różne narzędzia do precyzyjnych prac mechanicznych. Zmusiłem się, żeby spojrzeć na zawieszony pakunek. Coin, lub raczej to, co z niego zostało. Brakowało mu nóg, zniszczone chemikaliami kości ud i goleni leżały na dużym stole. Korpus zaczął się na poziomie pasa od gładkiego poprzecznego

cięcia pokrytego grubą warstwą pleśni, pod którą widać było leniwe przemieszczanie się jelit. Oczy Coinowi wyłupili i pozostawili wiszące na nerwach ocznych, wokół których owinęli cienkie srebrne druty przechodzące poprzez oczodoły aż do mózgu.

Ciemienia nie było, a do tkanki mózgowej prowadziły kolejne cienkie metalowe włókna. Jedna z rąk Coina poruszyła się, jego ból znów posłał mnie na ziemię. Zarejestrowałem działanie czarów niepozwalających torturowanemu oszaleć lub umrzeć. W jednakowych odstępach czasu odzywał się metaliczny odgłos zestawu zasilającego wolę. Osobowość Coina prawdopodobnie dawno się rozpadła i pozostały tylko czary usiłujące wydobyć informacje z końcówek nerwowych.

Dowlokłem się chwiejnie do kominka i wziąłem do ręki ciężki pogrzebacz. Zawahałem się. Gdybym poczekał do następnej nocy, wezwał kilku przedstawicieli jedenastu i przyłapał Horata na gorącym uczynku, miałbym w garści i mistrza, i cały danuutski klan. Coin jęknął, zaskrzypiał łańcuch zawieszony na haku umocowanym w suficie. Uderzyłem raz, potem drugi. Kręgi szyjne zatrzeszczały, powierzchnia pleśni nagle zafalowała i się wzburzyła. Złapałem pogrzebacz obiema rękami.

Bez tchu patrzyłem na połamane i rozdarte szczątki ludzkiego ciała leżące przede mną na podłodze. Szara pleśń pokrywała je jak miękki kobierzec, starając się utrzymać życie w umierających komórkach. Bez skutku. Ukląłem i zwymiotowałem. Nie znosiłem czarodziejów.

Miałem zamiar szybko zniknąć, ale zmusiłem się i dokładnie wszystko przejrzałem. W skrzyniach znajdowało się wyposażenie inkwizytorskie, notatniki zabierały instrukcje obsługi tego wyposażenia i porady praktyczne. Jednak nic z tego nie pozwoliło mi na uchwycenie jakiegoś tropu prowadzącego do rozwikłania tajemnicy tych straszliwych działań. W ciągu kilku dni przebudowali mieszkalne pomieszczenia wieży w znakomicie wyposażone laboratorium. Było izolowane, więc nie mogłem zlokalizować Horata za pomocą dzwonka. Najpierw sądziłem, że pracował sam, ale sposób obchodzenia się z chemikaliami świadczył, że najął specjalistę. Cała akcja wymagała dużych nakładów kosztów i pracy i była niebezpieczna. Czego się chciał dowiedzieć od pokojowca? Na pewno odkrył, że pracował dla

mnie, ale to niczego nie wyjaśniało. Co tak ważnego wiedział Coin? Czy ja też to wiedziałem? Dlaczego Horat nie mógł poczekać, żeby zabić mnie podczas koronacji? Może się mnie bał? Zakładał, że przeżyłbym koronację, został władcą Vegasz i uzyskał poparcie jedenastu rodów. Własny śmiech zabrzmiał mi fałszywie. Do rozpoczęcia treningu z Zephyrem pozostała godzina. Postanowiłem zbadać pokoje Coina.

Pracownia wyglądała jak zawsze, czysta i uporządkowana. Przeglądali ją z pewnością kilka razy, ale niczego nie odkryli, skoro zdecydowali się na tortury. Na stole leżały trzy książki. Zaskoczyło mnie to. Coin miał doskonałą pamięć, nie musiał sobie niczego przypominać i pracował tylko z jedną książką. Kiedy skończył, odnosił ją do archiwum. Otworzyłem pierwszą. Księga rachunkowa zamku z lat 250-251, dwie pozostałe z lat 253-255. Na pierwszy rzut oka nic niezwykłego, bieżące dokumenty, którymi zwykle zajmowali się archiwiści. Jednak Coina musiało coś w nich zainteresować, w innym przypadku nie pozostawiłby książek na stole.

Do sali treningowej dotarłem dokładnie o czasie.

Zephyr już na mnie czekał.

- Wyglądacie na zaniepokojonego, książę.

Nawet nie zdobyłem się na pozdrowienie.

Zaniepokojonego? Jeśli tylko wyglądałem na zaniepokojonego, to byłem opanowany w daleko większym stopniu, niż myślałem. Agonia Coina przywarła do mnie jak błoto, którym opryskuje szybko przejeżdżający wóz. Ból pozostał w każdej mojej myśli, każde spojrzenie na świat zaciemniał czarno-czerwonym cieniem. Zamęczyli człowieka, który pracował dla mnie, zabili go z mojego powodu. A był to jeden z tych, których prawie kochałem. Odetchnąłem głęboko, stwierdziwszy, że zgrzytam zębami. Miałem już wszystkiego dość. Czarodziejów, wyszkolonych asasynów, treningu i studiowania magii. Nigdy nie chciałem być czarodziejem, unikałem ich, nie ceniłem magii bardziej, niż to było konieczne. Wszystko to zdało się na nic, ponieważ mój ojciec był największym czarodziejem na Kontynencie, a ja miałem umrzeć z tego powodu. A wraz ze mną bliżej nieokreślona liczba innych ludzi. Już zbyt długo się opanowywałem, zbyt długo robiłem tylko to, co konieczne i celowe. Napięcie minionych dni i narastająca

frustracja spowodowały, że ogarnęła mnie wściekłość. Ale z pozoru wyglądałem tak samo jak zawsze. To tylko dolewało oliwy do ognia.

- Zaczniemy trening? - zapytałem.

- Oczywiście, książę.

Zephyr obserwował mnie badawczo. Widział mnie na przestrzał, ale było mi wszystko jedno. Przed chwilą miał puste ręce, a teraz trzymał w nich dwa miecze. Jeden podał mi jelicem do przodu.

- Zmienimy program, książę, spróbujemy pojedynku. Muszę was uprzedzić, że jeśli popełnicie zbyt duży błąd, umrzecie. Jeśli będzie mały, może uda mi się was nie zabić.

- To dlatego straciliście ze mną tyle czasu, żeby mnie teraz zabić?

Wzruszył ramionami.

- To konieczne. Musicie zastosować nabyte nawyki, sprawdzić, co właściwie umiecie, a do tego potrzebujecie odpowiedniego przeciwnika. Dopóki nie uda wam się przejść takiej próby, wyższego stopnia szkolenia na pewno nie opanujecie.

- Jak sobie życzycie, panie - odpowiedziałem dowcipnie. - Ale bardzo niechętnie straciłbym takiego mistrza broni jak wy.

Uśmiechnął się, a ja zdałem sobie sprawę, że podobna uwaga była dokładnie w stylu mojego ojca, nie w moim.

- Postawa szermiercza!

Pojedynki szermierzy bywały na ogół krótkie. Ten trwał osiem godzin bez kilku minut. Dwukrotnie udało mi się lekko zranić Zephyra, swoich zadraśnień nie dałem rady policzyć. Gdybym w ostatniej chwili nie blokował ataków zastawami lub nie zbijał na bok, każde z nich oznaczałoby śmiertelne trafienie. Po zakończonym treningu musiał mnie przez prawie godzinę opatrywać. Aż do tego dnia uważałem, że się czegoś nauczyłem, ale teraz czułem się jak podczas pierwszej lekcji. Z drugiej strony uspokoiłem się i odzyskałem równowagę. O ile ją kiedyś miałem. Obserwowałem, jak mistrz zszywał długą ranę na przedramieniu. Hematyt zatrzymał krwawienie, a blizna wkrótce wyglądała na zagojoną. Może powinienem był spędzać więcej czasu nad książkami?

Dopiero w komnacie zauważyłem, że nie oddałem Zephyrowi miecza. Nie miał już na mnie takiego wpływu jak na początku, ale

nadal nie odkryłem, na czym polegała jego niezwykłość. Był doskonale wytworzony i wyważony, a ja potrzebowałem jakiejś broni. Przejrzałem zbiory w arsenale brata i wybrałem sobie najpraktyczniejszą pochwę, umożliwiającą noszenie broni u pasa i na plecach, kolejne pół godziny poświęciłem na znalezienie gęstej, kutej kolczugi, której Max używał, będąc młodzieniaszkiem. Na mnie pasowała bez zarzutu. W końcu wszystko odłożyłem do kąta i zabrałem się do ksiąg rachunkowych.

Słupki liczb, objaśnienia pisane drobnym maczkiem, a uwagi jeszcze drobniejszym. Ceny drobiu, prania, jedzenia, zwierząt, płatności dla służby, czasem wynagrodzenie dla asasyna czy najętego chemika, duże kwoty za surowce i artefakty, materiały dla czarodziejów. W połowie strony znalazłem niezrozumiały zapis bez objaśnienia. Miałem wrażenie, że to mogło być coś ważnego. Zakreśliłem tę informację:

13 marca 251, WZ, ekwiwalent trzydziestu milionów w złocie i kamieniach.

Zwróciłem uwagę na datę, dzień przed śmiercią najstarszego brata, oraz na kwotę. Trzydzieści milionów, więcej, niż posiadały wszystkie małe królestwa razem wzięte. Za co ojciec mógł aż tyle zapłacić? Z jakiego powodu? Komu? Stwierdziłem, że mam wyjątkowy talent do mnożenia pytań. Zaczynałem od jednego, a robiły się z niego trzy. Trzydzieści milionów w jakiegokolwiek postaci musiało sporo ważyć, a powątpiewałem, że ojciec zaniósł je sam. Ale z ojcem nigdy nic nie było wiadomo.

Zagłębiłem się w drugiej księdze. Zauważyłem, że zaczęła wzrastać częstotliwość wynagrodzeń dla zabójców i trucicieli, częściej najmowano nowy personel, ojciec uzyskiwał wielkie wpływy ze zwalczania nielegalnego handlu towarami magicznymi. Między wierszami można było wyczytać, że trwała wówczas zacięta walka, a sądząc z nakładów i liczby zamieszanych w nią ludzi, bardzo twarda. Tutaj zainteresował mnie zapis zupełnie zrozumiały. Ojciec kupił bliżej niesprecyzowaną ilość marmuru terakotowego, płacąc za niego trzysta tysięcy. Nie wiedziałem, do czego się takiego marmuru używało, ale ojciec z pewnością nie wydał takiej kwoty jedynie dla ozdobienia mieszkalnych pomieszczeń zamku. Przez godzinę starałem się znaleźć

dalsze informacje o losach zakupionego marmuru, lecz bez skutku. Jeśli nie miał on bezpośredniego związku z magią, to nie było sensu szukać informacji w bibliotece.

Zostawiłem księgi na czas nocny i wyszedłem do miasta. Zamiast płaszcza włożyłem kurtkę z cielęcej skóry, z mnóstwem kieszeni zapinanych na guziki, i wziąłem mocny pas przystosowany do noszenia pieniędzy. Na lewej łydce przypiąłem pochwę z nożem, przez ramię przewiesiłem torbę z dobrze widoczną, bardzo drogą pieczęcią zapobiegającą kradzieży. Wyglądałem jak umyślny, który załatwia dla swojego pana sprawy zbyt ważne, żeby mógł się nimi zajmować zwykły sługa.

Przez chwilę wałęsałem się po głównym targowisku, żeby trochę utrudnić pracę ewentualnym kapusiom, rozpytując się o renomowane zakłady kamieniarskie. Do ogólnie przyjętego zwyczaju należało, że ten, kto podkreślał, że zależy mu na jakości poszukiwanego towaru, otrzymywał na ogół coś lepszego, niż pozwalały na to przepisy klanu dotyczące sprzedaży czarów laikom. Jeśli ktoś mnie istotnie śledził, mógł sobie pomyśleć, że szykowałem się do ucieczki.

Z placu handlowego zniknąłem podziemną uliczką i na powierzchnię wróciłem dopiero w następnym kwartale. Tu terenu nie znałem już tak dobrze, ale przewodnika nie potrzebowałem. Na ulicach było mnóstwo ludzi, kulminacja czasu przeznaczanego na legalny handel. Przecisnąłem się pomiędzy dwoma stanowiskami i starałem się dopchać do drabinki prowadzącej na chodnik, kiedy ktoś złapał mnie za rękaw. W tej samej chwili z wrzaskiem zwałił się na ziemię. Prawdopodobnie był to nowicjusz, który postanowił mnie okraść pomimo ostrzegawczej pieczęci na torbie. Nawet się nie obejrzałem i szybko wspiąłem na górę. Był bez szans, złodziei, którzy pozwalali się złapać, nikt nie lubił. Krzyczał tylko przez chwilę.

Mniej więcej pamiętałem, gdzie znajdują się stanowiska kamieniarzy, w końcu jednak musiałem zapytać o to przewodnika. Najpierw kazał sobie zapłacić zwyczajnym złotem, a potem wskazał dom za moimi plecami.

Cech kamieniarzy się rozrastał. Dawniej wynajmowali kilka pomieszczeń na parterze i pierwszym piętrze, teraz należał do nich

cały dom, który ponadto kazali przebudować. Całe piętro składało się z jednego pomieszczenia, rozdzielonego prostymi papierowymi parawanami na poszczególne punkty obsługowe. Na dużych tablicach zawieszonych pod sufitem znajdowały się cenniki najczęściej używanych rodzajów kamieni budowlanych. Samych granitów naliczyłem siedem odmian. Wszedłem do pierwszego punktu obsługi. Na drewnianym krześle z wysokim oparciem siedział postawny, wąsaty chłop o twarzy pełnej dziobów po ospie, przed sobą na dużym stole rozłożył ze sto funtów szutru. Małe i duże kostki, płytki, nieobrobione kamienie, drobno zmielony proszek, żwir. Spojrzał na mnie przelotnie i wrócił do milczącego kontemplowania swoich towarów.

- Potrzebuję marmuru terakotowego.
- Nie mam, jest na indeksie - odparł, nawet na mnie nie patrząc.
- Już nie jest.

Ale nie byłem tego pewny. Przejrzałem wprawdzie wykaz substancji niedopuszczonych do handlu i nie znalazłem tam marmuru terakotowego, jednak mógł zostać umieszczony pod inną nazwą.

- Handluję tylko uczciwym kamieniem budowlanym.

Wzruszyłem ramionami. Tak zwane zasady uczciwego handlu były w Vegasz czymś niespotykanym.

- A kto mógłby go mieć?

Popatrzył na mnie tak, jakbym był muchą w dzbanie piwa. Położyłem przed nim złotą monetę. Nie było to wiele, ale nie wyglądałem jak ktoś, kto może dać więcej. Przez chwilę namyślał się, czy opłaca mu się za złotego przerwać swoje rozmyślenia nad kamieniami na stole.

- Salstros, piętro wyżej.

Salstros okazał się całkiem innym człowiekiem. Jego salon, jak nazwał swoje stanowisko obsługowe, był znacznie lepiej wyposażony.

- No pewnie, mamy marmur terakotowy. Chociaż od czasu, jak go umieścili na indeksie, popyt mocno spadł.

- A kiedy to było?

- Na indeksie był chyba przed trzydziestu laty. Trwało to trzy lata. Po skreśleniu z indeksu ceny stopniowo spadały, ale nigdy nie wróciły do poprzedniego poziomu. Kilku ludzi zbankrutowało z tego

powodu, a obroty do dziś są niewielkie. Ale nasze zasoby odznaczają się znakomitą jakością, pochodzą z czasów przed tym politowaniem godnym wydarzeniem.

Kupiec sprawiał wrażenie niewiele starszego ode mnie, lecz z tonu jego wypowiedzi jasno wynikało, że znał wszystkie rodzaje kamieni, które już były na ziemi i które będą później, i że większość z nich osobiście stworzył w kraterach wulkanów.

- A czy macie go pod dostatkiem?

- Uf, panie, nie wiem, kogo reprezentujecie. - Zrobił niepotrzebną pauzę, żebym mógł podać mu nazwisko. - Ale marmur terakotowy jest nadal stosunkowo drogi. Z uwagi na jego właściwości to oczywiste.

- Jest go pod dostatkiem? A jaki macie? Ile kosztuje? Mój pan chciałby nim obłożyć kilka pokoi.

Nie zdołał stłumić uśmiechu, a po chwili przestał nawet usiłować go ukryć.

- A to świetnie! Wasz pan jest bardzo mądrym człowiekiem i dobrze wie, czego można się nauczyć od naszych przodków. Nic nie jest tak ulotne jak uroda kobiet, a właśnie marmur terakotowy pomaga zachować ją trochę dłużej.

Nastąpiła długa przemowa o właściwościach kamienia, przerywana tylko wychwalaniem mojego wyimaginowanego pana. Dowiedziałem się, że marmur terakotowy spowalniał proces starzenia się. Nie chodziło o bieg czasu, ponieważ minuta w pokoju obłożonym tym marmurem pozostawała nadal minutą, ale dla ludzkiego organizmu godzina zmieniała się zaledwie w sekundę.

Ciekawą sprawą okazała się cena. Terakota sprzedawana była na funty, a jeden funt kosztował dwieście złotych. Interesowało mnie, czy mój ojciec kupował ją taniej, czy drożej, oraz historia związana z krótkim zakazem sprzedaży. Zostawiłem Salstrosowi pięćset złotych jako zaliczkę na zarezerwowanie całego towaru z jego magazynów oraz za milczenie i ruszyłem na zamek.

Zaledwie wyszedłem z budynku, podszedł do mnie jakiś chłopina, którego z wyglądu uznałbym za tragarza.

- Wasze ulubione jedzenie to wędzona konina. Będziemy rozmawiać, idąc. Trzymajcie się, jeśli to możliwe, blisko mnie.

Włączyliśmy się w ruch uliczny. Nie ustaliłem z kucharzem i jego ludźmi żadnego kodu, ale podane mi zdanie całkiem dobrze go zastąpiło.

- Przybył jakiś poseł - powiedział, po czym utknął w stadku związanych razem prosiaków.

Poczekalem na niego przy kramie z tanimi ozdobami.

- Wydaje się, że to jest ważne, a przybył sam.

Tłum znowu nas rozdzielił.

- To bardzo blisko stąd, czekają tam nasi ludzie, kucharz chce, żebyście sami zdecydowali, co i jak.

Przytaknąłem na znak zgody.

- Wciąż mnie śledzicie?

- Staramy się.

Za chwilę znaleźliśmy się na miejscu. Dopisało szczęście, poseł nigdzie się nie spieszył. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, opierał się o stoisko z pieczonym mięsem i nadziewanymi pierogami i coś jadł. Kurz z długiej drogi prawie z niego odpadał, na spodniach miał duże plamy potu. Insignia na uniformie wskazywały na przynależność do duihirskiego stowarzyszenia i stanowisko gońca. Duihirskie stowarzyszenie w większej części było własnością klanu duunutskiego. Posłowie oferowali swoje służby wszystkim, ale gońców, którzy potrafili wprowadzić w trans i siebie, i konia, pokonując tysiąc mil w ciągu pięciu dni, zbyt wielu nie mieli. To, że posłali gońca, oznaczało, że sprawa była naprawdę ważna, jak również że od gońca niczego byśmy się nie dowiedzieli. Gońcy byli odporni na tortury fizyczne, uciekali przed nimi, wpadając w trans. Mruknąłem do mojego przewodnika, że sam chciałbym zająć się przybyszem, przystanąłem przy stanowisku wróżbiarki i czekałem. Wróżbiarka oczywiście nie zostawiła mnie w spokoju, posiłek gońca kosztował mnie dwa złote w zamian za ostrzeżenie przed pułapkami w moim życiu osobistym. Dowiedziałem się, że powinienem wystrzegać się kobiet sprzedajnych. Na szczęście wkrótce poseł skończył jedzenie.

Poszedł na zamek, a drogę znał dobrze. W lasku oddzielającym zamek od miasta skręcił na mało uczęszczaną ścieżkę i ćwierć mili przeszedł wśród krzewów. Zatrzymał się w płytkim zagłębieniu

zarośniętym krzakami dzikiej róży. Podążałem za nim już wystarczająco długo, żeby zahipnotyzować go tak, aby nie słyszał moich kroków. Pomogło mi w tym jego zmęczenie. Był zdecydowanie na granicy wyczerpania i przepowiadał sobie w pamięci wszystko, co pozostało mu do zrobienia. Nie byłem mocnym telepatą i potrafiłem czytać myśli tylko wtedy, kiedy udostępniał mi je inny telepata lub kiedy ktoś je w duchu recytował. Posył przez cały czas powtarzał: „Przekażę wiadomość, wróć do hotelu i pójdę spać”. Nie wiedziałem, czy wiadomość była pisemna, czy ustna. Ściemniało się. Goniec coraz częściej zaciął się w swoim monologu wewnętrznym. Postanowiłem zaryzykować. Odciąłem się od jego podświadomości, po cichu wycofałem do drogi i zacząłem normalnym krokiem iść w kierunku miasta. Dostrzegł mnie, kiedy znalazłem się o kilka kroków od niego. Sięgnął do pasa, wy dobył nóż z pochwy i opuścił uzbrojoną rękę wzdłuż ciała.

- Hasło - powiedział zmęczonym głosem.

Skupiłem się i wszedłem na powrót do jego podświadomości, akurat w stosownej chwili, żeby usłyszeć jego wewnętrzną recytację. Powtórzyłem ją głośno:

- Kotlina w Vegasz jest głęboka i rzadko świeci w niej słońce.

Prawie usłyszałem otwarcie się mentalnego zamka ukrywającego informację przed niepowołanymi uszami.

- Przekazuję informację - powiedział nienaturalnie wolno. - Meredith Groffson nie była córką kmiecia Hutora. Została poczęta po jego śmierci, prawdopodobnie przez Gloroma Długorękiego albo przez kogoś z jego drużyny. Dokładne stwierdzenie nie jest możliwy świadkowie nie żyją co do jednego. Koniec informacji. Nie będę w stanie wyruszyć w drogę powrotną wcześniej niż pojutrze, muszę odpocząć, panie - dodał już normalnym głosem.

- W porządku. Możecie się wyspać.

Zachwiał się tak mocno, że gdybym go nie schwycił, byłby się przewrócił na ziemię. Odciągnąłem posła nieco dalej, pożyczylem sobie jego uniform oraz nóż i przysypałem go liśćmi, żeby nie zmarł. Potem schowałem się za szerokim drzewem i czekałem.

Meredith Groffson to prawdziwe nazwisko mojej matki, za nic nie

wiedziałem, kogo mogło interesować, kto był jej ojcem. Zarejestrowałem zbliżający się kawałek dzwonka i po chwili usłyszałem trzaskanie gałązek. Nadchodził Horat. Wstałem, prawą rękę z nożem poselskim opuściłem wzdłuż ciała. Najchętniej zataiłbym uzyskaną informację, ale nie znając istoty sprawy, bałem się zdemaskowania. Horat skończyłby ze mną na miejscu.

- Hasło, panie.

- Kotlina w Vegasz jest głęboka i rzadko świeci w niej słońce.

Dokładnie naśladowałem zachowanie posła i wyrecytowałem treść przekazu.

- Nie będę w stanie wyruszyć w drogę powrotną wcześniej niż pojutrze, muszę odpocząć, panie.

- To nie kłopot. A teraz wiadomość: starzy słudzy Czarodzieja zostali usunięci. Nie udało się stwierdzić, co wiedzieli, ale pewne jest, że pracowali dla księcia. Książę Tekuard nosi w sobie niebezpieczny potencjał magiczny, ale na razie nie potrafi go wykorzystać i prawdopodobnie się tego nie nauczy. Według dawnych testów bardzo daleko mu do poziomu odrzuconego najstarszego. Działam zgodnie z planem początkowym. To wszystko.

- Tak, panie.

Horat odwrócił się i natychmiast zniknął w zapadających ciemnościach, słyszałem tylko odgłos jego oddalających się kroków.

Uzyskałem dalszą serię problemów do przemyślenia. Ja miałem potencjał magiczny? Dlaczego mój najstarszy brat został odrzucony i zabity? Jaki on miał potencjał? Odłożyłem te pytania na później, wcisnąłem śpiącemu posłowi do pamięci uzyskaną wiadomość i odczekałem jeszcze pół godziny, żeby dać Horato-wi czas na udanie się na spoczynek, i dopiero potem wróciłem na zamek.



Noc spędziłem na czytaniu dziennika Maxa, a po treningu z Zephyrem przez resztę dnia poszukiwałem informacji o marmurze

terakotowym. Po dwóch godzinach grzebania w archiwum znalazłem dokładną historię jego wpisania na indeks. 22 listopada 253 roku ojciec oficjalnie zakazał jego wolnej sprzedaży, cena spadła z pięciu tysięcy za funt do pięćdziesięciu, podczas następných miesięcy sam kupił go za pół miliona, a następnie swój zakaz odwołał. Ciekawe, że wcześniej nikogo ta dziwna transakcja nie zainteresowała. W dzienniku Maxa znalazłem notatkę dotyczącą terakoty, przeczytałem tam, że w istocie spowalniała ona proces starzenia się. W pomieszczeniu obłożonym płytami terakoty o grubości dwunastu cali ludzie żyli o połowę dłużej, niż wynosił przeciętny wiek człowieka. Jeśli warstwa terakoty była trzykrotnie grubsza, starzeli się dwukrotnie wolniej. Miał to być idealny środek na przedłużenie ludzkiego życia. Był jednak jeden haczyk. Mężczyźni, którzy chcieli w ten sposób przedłużyć sobie życie, tracili popęd płciowy. Okazało się to wystarczająco ważnym powodem, żeby nawet fanatyczni czarodzieje unikali wykorzystania takiego daru matki natury. Policzyłem, w jakim stopniu dałoby się spowolnić bieg czasu tą ilością terakoty, którą kupił ojciec, przy założeniu, że obłożyłby nią tylko jedno pomieszczenie. Wyszło mi, że siedmiokrotnie. Nie zauważyłem jednak, żeby stracił zainteresowanie kobietami.

Odłożyłem na miejsce wszystkie materiały o marmurze, nie chcąc, żeby ktoś się dowiedział, czym się zajmowałem. Od czasu, kiedy otrzymałem hybrydowe serce, prawie nie odczuwałem zmęczenia, tylko czasem wydawało mi się, że straciłem życiowy rytm. Wystarczyło jednak na moment się zatrzymać, a wszystko wracało do normy. Któregoś razu wyjąłem z zapasów butelkę wina i przez chwilę przyglądałem się etykietce. Max był pod tym względem niesłychanym bałaganiarzem i to ja dbałem o jego zapasy alkoholu na wypadek wizyt. To było rmutskie czerwone, rocznik 67, późny zbiór z najlepszych winogron. Wino na uroczyste okoliczności. Każdy z pozostających mi dni z pewnością na taki trunek zasługiwał. Otworzyłem butelkę, przelałem zawartość do karafki i nalałem sobie do cienkościennego kryształowego pucharu. Wino smakowało doskonale, ale charakter gatunku pozostawał niewiadomy. Wypiłem łyczek i odstawiłem puchar na stół. Na intarsjowanym blacie leżała karteczka z napisem:

*Osoba, z którą chcecie rozmawiać,
będzie was oczekiwać dziś o dziewiątej
wieczorem w lokalu U Koryta.*

Jak ktoś obcy się tutaj dostał? Apartament mojego brata miał być niedostępną twierdzą. Jednak uświadomiłem sobie, że nieznaną mi kobieta była Maxowi bliska i z pewnością posiadała wszystkie jego klucze. Mimo to podejrzliwie przyjrzałem się wszystkim cieniom w każdym kącie. Jeżeli chciała mnie zbesztać za brak czujności, udało jej się to znakomicie. Było wpół do siódmej, zacząłem się szykować. Nałożyłem kolczugę i przypasałem miecz. Na wszelki wypadek do portmonetki na pasie włożyłem dwa żywe rubiny wartości trzydziestu tysięcy królewskich każdy.

Idąc przez miasto, starałem się zgubić ewentualnych szpiegów. Często wchodziłem w podziemne ulice, dwa razy pozwoliłem przewodnikom zaprowadzić się do odległych kwartałów, wstąpiłem do kilku gospód, wymykając się z nich tylnym wyjściem. Żeby mnie śledzić, potrzebowaliby mnóstwa ludzi, a pręcej czy później zauważyłbym któregoś z nich. Chyba że zastosowaliby czary. Wtedy jednak ryzykowali zwrócenie na siebie uwagi jedenastu rodów.

U Koryta nie było domem publicznym i nie zapewniało ponadstandardowych usług certyfikowanych kurtyzan. Była to jedna z najgorszych spelunek, jakie znałem. Znajdowała się aż pod północną ścianą, a nazwę wzięła od rynien biegnących w podłodze wzdłuż muru. Ich ujście znajdowało się w narożnikach, gdzie łączyły się z kanałem. Właściciel nie pobierał od gości kary za zabicie w jego lokalu, ponieważ miał długoterminową umowę ze sprzątaczkami zwłok. Każdego ranka zabierali oni ciała z lokalu, a krew z kafelkowej podłogi wystarczyło spłukać zimną wodą. Złe języki twierdziły, że jeśli przypadkiem żadnego z gości nie zabito, wówczas właściciel sam to robił, aby dotrzymać umowy. Zatrzymałem się przed wejściem. Ostatnio nieustannie ryzykowałem, nawet się nad tym nie zastanawiając. Gdzie się podziała moja poprzednia filozofia życiowa?

Na zardzewiałym, skrzypiącym łańcuchu kołysał się spreparowany łeb prosiaka, służący za szyld. Tutaj o życiu mógł zdecydować jakiś prosty gest, pozycja społeczna nie grała żadnej roli. Przełknąłem ślinę i

wszedłem. Sala była pełna. Ostrożnie przepchnąłem się do szynkwasu. Stałem obok wysokiego chłopca z dalekonośną kuszą opartą o nogę, który starannie zapisywał adresy dyktowane przez jego towarzysza. Obaj popijali czarny rum.

- Ktoś tutaj na mnie czeka - powiedziałem do szynkarza.

Wyglądał jak trzydniowy nieboszczyk, którego balsamista haniebnie spaprał. Spojrzał na mnie bez wyrazu.

- Po schodach na górę.

Nie podziękowałem mu.

Na piętrze były tylko jedne drzwi. Zastukałem i wszedłem.

Tu też w podłodze pod ścianami znajdowały się wyłobienia, a w rogach ujścia do kanału. Omszały tynk z licznymi ciemnymi plamami wilgoci odpryskiwał, odślaniając mur z niewypalonych cegieł. Tajemnicza nieznajoma siedziała na drewnianej ławie, moja znajoma kurtyzana stała obok niej.

- Dobry wieczór - przywitałem się.

Uśmiechnęła się. Ten uśmiech upewnił mnie, że istotnie mogła być kochanką Maxa. Mała, drobna, z naturalnie wijącymi się włosami kasztanowego koloru. Jeśli uprzednio miała choć niewielkie krągłości kobiece, to teraz wszystko deformował duży brzuch, wskazujący na ósmy miesiąc ciąży. Zwraçały uwagę jej urocze, duże, brązowe oczy. Krótki uśmiech ujawnił na chwilę ledwie widoczne zmarszczki mimiczne wokół oczu i w kącikach ust, miała doprawdy kształtny nosek, a ja ujrzałem ją taką, jaka była naprawdę, i w moich myślach taką już została. Kurtyzana obserwowała mnie badawczo. Zawsze mogłem polegać na swojej pokerowej twarzy, ale teraz nie miałem pewności, czy się nie czerwienię.

- Jesteście do niego naprawdę podobni - powiedziała nieznajoma.

Miała przyjemny, modulowany głos. Spotkałem w życiu dużo kobiet, którymi mógłbym się zainteresować, a teraz znalazłem się w pokoju z dwiema naraz.

- Dlaczego zdecydowaliście się na tak trudny sposób zaproszenia?
- Dostarczyć liścik do pokoju Maxa to dla mnie nic trudnego.
- Dlaczego zdecydowaliście się mi pomóc?
- Max sobie tego życzył. A co więcej, muszę chronić własną skórę,

ponieważ prędzej czy później znaleźlibyście mnie, a za wami przyszliby inni. A takie spotkanie jest dla mnie bezpieczniejsze.

- Istotnie, przysparzam wam kłopotów. Ale o waszym istnieniu dowiedziałem się od waszej towarzyszki. - Spojrzałem na kurtyzanę.

- Max was kochał i w swoim testamencie zobowiązał mnie, żebym wam pomogła. O ile pamiętacie, krótko po jego śmierci nie wiedzieliście, co robić. Potrzebowaliście jakiegoś bodźca, a ta niewinna uwaga miała służyć temu, żebyście zaczęli się zajmować jego spuścizną. Jest w niej mnóstwo rzeczy, które mogą wam pomóc.

- To prawda. Za to teraz wy macie trudności.

- Niestety. Nie przypuszczałam, że zdołacie mnie wypatrzeć, myślałam, że dobrze zatarłam za sobą ślady. Ale wy... - Wzruszyła ramionami.

- Używałem bardzo prymitywnych środków, których nie braliście pod uwagę. Żadnych czarów, żadnych pęknięć czasowych, żadnych inkwizytorów. Tylko śledziłem i wypytywałem ludzi.

- No tak. Człowiek uczy się na błędach.

Czułem, że nie mówiła całej prawdy, ale to, czego nie mówiła, wydawało mi się nieważną drobnostką.

- A dlaczego przysłałście mi matrycę?

- Ponieważ wszystko zaczyna się komplikować. Waszą rodzinę otacza jakaś tajemnica, w grę wchodzi sprawy, których nie rozumiem. Obawiam się, że mój los jest związany z waszym. Ktoś bardzo mocny nieustannie węszy wokół. Jeśli będzie wytrwały, to mnie wyśledzi. Zabił waszego ojca i nie zawaha się zabić syna Maxa. Kiedy zostaniecie Czarodziejem, nie zostawicie mu tyle swobody, czy nie tak?

Spojrzała na mnie wyczekująco.

- Dokładnie tak, jak mówicie, pani. Mam jeszcze jedno osobiste pytanie. W jaki sposób Max doprowadził do tego, że poczęliście dziecko?

Przez chwilę wydawało się, że nie zrozumiała pytania, potem w jej oczach błysnęło rozbawienie.

- Myślałam, że te sprawy są powszechnie znane. Mam na myśli te, które zachodzą pomiędzy mężczyzną a kobietą. Przecież wiecie, czyż nie?

Uśmiechała się szeroko.

- Moje wykształcenie nie jest wyśmienite, ale aż tak mnie nauczyciele nie zaniedbywali - odpowiedziałem w podobnym tonie. - Max był taki sam jak każdy najstarszy syn Czarodzieja, tymczasowo niepłodny- Czar jest skomplikowany i nie ma sposobu na jego zneutralizowanie. Płodność miała wrócić samoistnie dopiero po koronacji - wyjaśniłem.

Zamyśliła się.

- Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że był zaskoczony, ale uważałam to za normalne. Mężczyźni na ogół bywają zaskoczeni tymi najprostszymi sprawami. Bardziej wam chyba nie pomogę.

- A czy podczas tych spraw zachodzących pomiędzy mężczyzną a kobietą - skłoniłem się lekko - nie było przypadkiem pentagramu narysowanego obok łóżka, skóry nietoperza rozwieszanej w oknie ani żadnych innych takich drobiazków?

Jej powaga zupełnie zniknęła.

- Naprawdę niczego takiego nie było. Nawet nie jestem pewna, czy to było łóżko. Muszę przyznać, że magia w waszej wersji wypada bardzo romantycznie.

- Każdy ma swój styl.

Nie wierzyłem w przypadek braku działania jednego z najbardziej złożonych i najpewniejszych czarów zapobiegających zamieszeniu w następstwie tronu linii władców Vegasz. Kolejna zagadka. Wydało mi się jednak, że wszystko zaczynało pasować do skomplikowanego wzoru. Wystarczyło go zrozumieć i znaleźć rozwiązanie.

Podszedłem do małego okna i wyjrzałem w ciemność.

- Max został zamordowany, nie macie żadnych podejrzeń, kto to mógł zrobić? - zapytałem.

Stałem odwrócony do kobiet plecami, więc nie musiały zwracać większej uwagi na samokontrolę.

Wyczułem zaskoczenie, acz niezbyt silne.

- Nie - odpowiedziała. - Jaki macie dowód na takie stwierdzenie?

- Wypadek z koniem był starannie przygotowaną pułapką - odparłem.

Szyba okienna pękła, coś silnie uderzyło mnie w pierś, aż upadłem

na podłogę. Gdy złapałem oddech, zauważyłem, że w prawej ręce trzymam krótki bełt z kuszy, drugi, który trafił mnie w pierś, nie zdołał przebić kolczugi i leżał na podłodze obok mnie.

- Dubeltowa kusza. Strzela dwoma bełtami jednocześnie, celuje się w głowę i pierś. Używają jej asasyni, kiedy ich ofiara jest zawodowcem. I wyście jedną z nich złapali - szepnęła kurtyzana.

- A druga mnie nie zabiła tylko dzięki temu, że mam na sobie znakomitą zbroję następcy tronu Vegasz - wychrypiąłem.

- Tę drugą też byście złapali, gdyby to było konieczne.

Nie ma nic lepszego niż ludzka wiara.

- Zgaście świece - nakazałem, ostrożnie czołgając się ku oknu.

Strach i adrenalina zwiększyły moją zdolność odczuwania empatii, wyczuwałem ich wszystkich. Dziesięć wyczekujących cieni. Ich równowagi duchowej mógłby im pozazdrościć niejeden mnich.

- Zostańcie tutaj, zwróćcie ich uwagę na siebie, wtedy uciekniecie. W niczym więcej wam nie pomogę. Czy to jasne?

- Mamy przygotowane wyjście zapasowe. Jeśli zyskacie trochę czasu, to wystarczy.

Głos kurtyzany brzmiał rzeczowo i spokojnie. Wyraźnie uważała za naturalne, że zdołałbym zatrzymać niewielką grupę zabijaków. Gdybym wiedział, skąd czerpała tę pewność, też bym się podniósł na duchu. Zbiegłem po schodach do głównej izby, opanowując trzęsące się kolana. To u zawodowców znak absolutnej koncentracji.

- Hej, łajdaki! - ryknąłem tak, aż sala ucichła. - Na zewnątrz czeka na mnie paru chłopców z kuszami! Za każdą głowę dam jeden rubin, a dwa następne jutro rano!

Wyjąłem kamień i uniosłem nad głową.

- Na co jeszcze czekacie, trzydzieści tysięcy królewskich za jednego chłopca wam mało?

W okamgnieniu sala opustoszała. Odwróciłem dzban dnem do góry i położyłem na nim rubin. W migotliwym świetle łuczywa rzucał czerwone odbłaski. Jeden z mężczyzn, którzy tak ochoczo wybiegli w ciemność, wrócił. Utykał, dłoń przyciskał do lewego boku, z którego ciekła krew. Dostrzegł mnie, oczy mu zabłyśły poządlivością. Drzwi jeszcze nie zdążyły się za nim zamknąć, a do wnętrza już wtłaczał się

następny. Natychmiast spostrzegł rubin. Nie zawahał się ani chwili, machnął siekierą i ciosem w kark powalił swojego poprzednika.

Dłużej nie czekałem. Wbiegłem po schodach aż do drabinki wiodącej na strych, przejście w stropie było byle jak zabite spróchniałymi deskami. Pchnąłem mieczem w szczelinę pomiędzy nimi, a potem kilkoma uderzeniami rękojeści rozłamałem deski. Wylazłem na górę i w ciemności potknąłem się o jakieś leżące ciało. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że moje pchnięcie trafiło przyczajonego przeciwnika. Szczęście mi dopisało. Nie zatrzymując się przy nim, wydostałem się na dach przez małe okienko. Do zwykłego smrodu smogu dołączyła woń zgnilizny. Słomiane pokrycie dachu było w fatalnym stanie, nasiąkło wodą i zaczęło gnić. W ciemności na dole słyszałem chaos bijatyki, przypuszczałem, że bywalcy knajpy w większości bili się między sobą. Na czworakach przesunąłem się na drugą stronę dachu i wtedy drgania belek uświadomiły mi, że nie znalazłem się na dachu sam. Moja przewaga bardzo się zmniejszyła. Przykucnąłem, instynktownie kryjąc prawy bok. Nie widziałem napastnika, usłyszałem tylko świst klingi. Turlałem się w lewo aż do zwieńczenia dachu. Fiknąłem trzy kolejne koziołki już na ziemi, podniosłem miecz, który upuściłem podczas upadku, i kłusem pobiegłem w kierunku, który powinien prowadzić ku centrum miasta. Zabójca na dachu po krótkim wahaniu zrobił to, co ja. Jednak skok w ciemność na dole na pewno wydał mu się nieco ryzykowny. Mnie też.

Skręciłem za róg, gdzie oślepiło mnie światło padające z niezastłoniętych okien. To znaczyło, że dotarłem do dzielnicy zamieszkałej przez ludzi bardziej szanujących prawo. Padała drobna mżawka, bruk ulicy błyszczał wilgocią. Biegłem kłusem, starając się prawidłowo oddychać. Tu już nie chodziło o stwarzanie pozorów wypadku, to miało być zamierzone morderstwo. Horat zmienił taktykę i przestał się przejmować następstwami swoich działań. Do akcji najął z dziesięciu asasynów, a udowodnienie mu tego byłoby niemożliwe.

Ostrzegł mnie dźwięk. Skoczyłem do przodu, padając na brzuch, nad głową świsnęła mi duża gwiazda, zdolna zwalić jeźdźca z konia w biegu. Obejrzałem się błyskawicznie i pobiegłem dalej. Stał o jakieś pięćdziesiąt kroków za mną, niewyraźna postać w czarnym

kombinezonie. Nie widziałem w ciemności, czy trzymał w rękach broń. Przeskoczył przez stertę śmieci i jak kot przemknął wąskim przesmykiem. Sprawność jego ruchów wzbudzała moje obawy. Komuś takiemu nie sposób było uciec.

Nie pilnowałem już drogi do centrum, biegłem jak najszybciej. Nadal mżyło, woda przymarzała pomiędzy szparami w bruku, tworząc śliską powierzchnię. Padałem i zrywałem się, każdy upadek kosztował mnie stratę kilku stóp przewagi, każda zmiana kierunku groziła utratą równowagi. On się nie ślizgał, jednym z elementów jego szkolenia był bieg po mokrym miejskim bruku. Powinęła mi się noga, wywróciłem się do płytkiej kałuży, krople wody wystrzeliły jak z prysznica. Wstałem, kostka zaprotestowała, asasyn był już tylko dwadzieścia kroków za mną. Na ulicy było więcej światła, widziałem go wyraźniej. Dziesięć kroków. Ręce miał puste. Szybko zmieniłem kierunek, skręcając w wąską uliczkę. Nie wyhamował na czas, zyskałem kilka stóp, ale niewiele to pomogło. Słyszałem równy rytm jego kroków. Znów się pośliznąłem, ale mimo to udało mi się przyspieszyć. Po dwóch zakrętach uliczka kończyła się murem kilkustopowej wysokości. Nie namyślałem się, wydłużyłem krok, tuż przed wybiciem wyteżyłem wszystkie siły i skoczyłem, lądując na krytym krużganku. Zaskoczyło go to, stracił rytm biegu, ale spróbował skoczyć za mną. Chciał się odbić, ale wykręciła mu się noga, usłyszałem odgłos pęknięcia stawu i tkanek. Padł na ziemię jak podcięty i leżał bez ruchu.

Ostrożnie zeskoczyłem i zbliżyłem się do niego. Lewa noga przyjęła nienaturalny kąt w stosunku do tułowia, pięści miał mocno zaciśnięte z bólu. Był zaskakująco młody, z pewnością młodszy ode mnie, miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Spróbował sięgnąć po broń ukrytą pod jedwabną szarfą wokół pasa, ale ból mu na to nie pozwolił.

- Co w zamian, jeśli pozostawię cię przy życiu? - Mój głos brzmiał chrapliwie, czuć w nim było żądzę zabijania.

- I tak umrę, oszczędzisz mi tylko trochę cierpienia.

Odstąpiłem o krok do tyłu. Trochę cierpienia, o którym mówił, to było znacznie więcej, niż mógłbym spokojnie znieść. Powinien natychmiast stracić przytomność, lecz nadzwyczajna samokontrola pozwoliła mu pozostać świadomym. Na pewno był najlepszy z tych,

którzy na mnie czekali, i gdyby nie zranił nogi, mógłby później zostać mistrzem asasynów. Miał po prostu pecha, a ja szczęście. Jeśli zdarzyłoby się komuś zabić przeciwnika w walce, będzie o tym z dumą opowiadać potomkom. Ale jeśli musiałby dobić człowieka leżącego bezsilnie, postara się jak najszybciej o tym zapomnieć. Pożałowałem, że nie skończyłem z nim wcześniej, kiedy jeszcze adrenalina kierowała moim postępowaniem.

W godzinę później przeklinałem swoje miękkie serce. Nie czułem pleców, nogi ledwie mnie niosły, tylko to absurdalne serce biło w niezmaconym rytmie. Zacząłem tracić równy krok, brzemień na plecach ciążyło mi coraz bardziej. Zatrzymałem się przed omszałymi drzwiami prowadzącymi do podziemi.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałem głośno.

Podczas poprzedniej bytności ulica wyglądała wprawdzie zupełnie inaczej, jednak miałem pewność, że Zielona Żaba prowadziła swój interes właśnie tutaj. Może często się przemieszczała.

Zrzuciłem pechowego wroga z ramion, oparłem go o drzwi i zastukałem. Otworzył mi ten sam chłopina, który mnie wtedy przytroczył do łóżka operacyjnego.

- Mam dla was robotę.

Zmierzył mnie taksującym spojrzeniem i chyba mu się nie spodobałem, bo zamknął drzwi. Zanim zdążył zaryglować, uderzyłem w nie ramieniem, odtrącając męczyznę. W półmroku korytarza błysnął nóż. Kopnąłem chłopinę z całej siły pod rzepekę kolanową, nie zdążył nawet mrugnąć.

Żaba leżała rozwalona w swojej kadzi, ze znużeniem obserwując dwóch nagich tancerzy na niewielkim podium. Według mnie tańczyli dobrze i zasługiwali na uznanie.

- Kto to był, Alfredzie? - zakwakała, oglądając się.

Przysięgłbym, że zielone oblicze Żaby na moment poszarzało, ale natychmiast się opanowała.

- To wy, książę? Jak mnie znaleźliście? Nie jesteście zadowoleni z mojej pracy?

- Jak was znalazłem, sam nie wiem. Przyniosłem wam nowe zlecenie.

Z ulgą położyłem bezwładne ciało na drewnianej ławie.

- Chciałbym, żebyście go doprowadzili do porządku.

- To wasz ulubiony asasyn?

- Tak jakby.

- Wy dwaj, wynocha, Alfred wam zapłaci - rzuciła w stronę tancerzy. - Alfredzie, przynieś chłopca i bierzemy się do roboty.

Alfred przyskakał na jednej nodze, posyłając mi nieprzyjemne spojrzenie. Nadal mnie nie lubił.

- Czy wiecie, księżę, że do takiej pracy wystarczyłby pierwszy lepszy felczer, a wy marnujecie swoje pieniądze i mój talent?

- Oczywiście, pani. Choć mam wrażenie, że dla niego to będzie najlepsze.

Zabójca na chwilę odzyskał przytomność, wytrzeszczył oczy na Żabę i zachrypiął:

- Wielka Zielona!

Kóteczonek w mojej głowie zaczęły się zwawo kręcić.

Zaskrzybiały drzwi i weszło trzech pomocników. Wyraźnie gdzieś popijali, ale Żaby ich podchmielenie nie zaniepokoiło.

- Przynieście narzędzia do operacji, maści gojące i emulsje konserwujące. Tylko się pospieszcie, temu młodzieńcowi zbyt wiele czasu już nie zostało.

Woda w kadzi zaczęła się burzyć, naraz pojawiło się mnóstwo macek. Przysięgnęłbym, że syntetyzowała je wprost z cieczonek. Teraz nie pozostało w niej tak wiele z człowieka jak przed chwilą.

Dwoma zdecydowanymi cięciami rozcięła zabójcy odzienie i wydobyla go jak motyla z poczwarki. Musiała mieć w mackach sporą siłę i wyczucie, żeby tak sprawnie się z tym uporać. Nadal miałem w pamięci, jaki jest ciężki.

- Piękny chłopiec, doprawdy. Rosły i świetnie wy-trenowany. Szkoda by go było.

Usiadłem na krześle, plecami do ściany, i obserwowałem. Operacja przebiegała tak sprawnie jak koncert na trzy ręce, cztery macki i trzech pomocników. W kilku przypadkach pomagała sobie językiem, aż mi się od tego robiło niedobrze.

- Co oznacza Wielka Zielona? - zapytałem.

- To przezwisko, pod którym jestem znana w jego kręgach. Już nieczęsto się go używa. Teraz zamilknijcie, muszę się bardzo skupić.

Wstałem, żeby lepiej widzieć, co robiła. Zaczęła zszywać, a drobne szwy wyglądały niepomieranie lepiej niż te, które miałem na piersi.

- No, gotowe - powiedziała. - Teraz przyszła kolej na moją ulubioną część. Płacenie. Zazwyczaj ustalam cenę na początku, ale do was, książę, mam zaufanie.

- Ze mną się tak nie cackaliście. - Wskazałem na znakomicie zszyte, cienkie blizny.

Zabawnie mlasnęła długim językiem.

- Gdybym przerwała temu młodzieńcowi połączenia nerwowe i zbyt wiele włókien mięśniowych, to piękne ciało pracowałoby tak doskonale jak dawniej. U was, książę, to było bez znaczenia. Znajdowaliście się w takim stadium, kiedy wasze komórki wciąż się szukały. Cięcie tu, cięcie tam. Naturalna delikatność nie jest moją mocną stroną. Z tego, że przynieśliście zabójcę tutaj, sądzę, że się te komórki w końcu dogadały. Czy nie tak?

Wzruszyłem ramionami.

- Być może sami się o tym przekonacie.

Natychmiast spowaźniała, jej macki pokryły się na końcach krótkimi rogowymi szponami.

- Za co ojciec zapłacił wam te trzydzieści milionów?

Grałem wysoko, mając niskie karty. Jedynym śladem była nazwa Wielka Zielona i dwie litery WZ w starej księdze rachunkowej. Może mógłbym do tego dołożyć kilka podejrzanych uwag rzuconych podczas mojej pierwszej wizyty i nielegalną działalność Zielonej Żaby.

Macki śmignęły wokół, jeden z pomocników stał na swoje nieszczęście na drodze jej ataku i skończył na podłodze bez głowy. Krzesło, na którym poprzednio siedziałem, zmieniło się w kupkę drzazg. Nie dosięgnęła mnie tylko dzięki kierunkowi, w jakim uciekłem. Stałem w kadzi, ciecz sięgała mi po pierś, ciepłe macki przesuwaly się po całym moim ciele. Czubek miecza opierałem o przezroczystą powiekę wielkiego oka hybrydy.

- Nie wiem, gdzie masz mózg, ale założę się, że ostrze jest wystarczająco długie, żeby go dosięgnęło.

Oczy miałem zamknięte, żeby dokładniej wyczuwać ruchy wody i powietrza wokół siebie.

- Ja też jestem bardzo szybka, książę.

Mówiła szeptem, a jej głos stracił początkowy skrzekliwy ton. Gdybym nie wiedział, z czym mam do czynienia, przypisałbym go urodziwej, eleganckiej kobiecie.

- A czy postawisz na swoją szybkość przeciwko mojej?

Nie odpowiedziała.

- Chcę uzyskać od ciebie tylko parę informacji. Wyłącznie dla siebie. Ludzie uważają mnie za połowicznego nieboszczyka. Czemu nie mogłabyś wyjaśnić kilku starych spraw komuś, kto jest już w powszechnym odczuciu martwy?

- Nie wierzę w to, co mówią głupcy, a na swoją szybkość przeciw waszej nie postawię. Za dobrze was znam, książę. Powinniście jednak zrozumieć, że jeśli coś z tego, co powiem, przedostanie się na zewnątrz, nie pomoże mi najlepszy kamuflaż. Czarodzieje mnie znajdą.

Milczałem.

- Przed dwudziestu siedmiu laty wasz ojciec złożył mi ciekawą ofertę nie do odrzucenia. Potrzebował dziecka, które mógłby podawać za inne małe dziecko. Kopia musiała być tak doskonała, żeby zamiany nie rozpoznał nawet najlepszy czarodziej. Zwykły klon nie wchodził w rachubę, ponieważ przyspieszane klony mają zamiast mózgu miękką gąbkę i w wieku dwóch lat nawet ślepy odróżni imbecyla od normalnego dzieciaka. Wystarałam się o odpowiedniego malca, przeprowadziłam kilka drobnych zmian, a potem zaczęłam do jego tkanek wszczepiać tkanki tego drugiego. Musiałam zupełnie zniszczyć jego system immunologiczny, a wasz ojciec najął doktora, który zajmował się tkankowymi połączeniami. Żadnej magii w tym procesie nie stosowano. I udało się.

- A co było dalej?

- Dalej? Już nic, zainkasowałam wynagrodzenie i postarałam się dobrze schować. Interes za trzydzieści milionów śmierdzi. Przez całe lata zostawiali mnie w spokoju. Kiedy przyszliście do mnie po raz pierwszy, myślałam, że oto zbliżają się kłopoty, ale miałam nadzieję, że

jakoś się im wywinę.

- Nazwiska tego lekarza przypadkiem nie pamiętasz?
- Przypadkiem tak.
- Proszę?

Nie wierzyłem własnym uszom. Po tak długim czasie uśmiechnęło się do mnie szczęście.

- Agemus Gaanomnor. Wydaje mi się, że mieszka w pobliżu placu centralnego. To bardzo czcigodny człowiek.

Odwrociłem się, żeby odejść.

- Czy jesteście pewni, że po tym, co wam powiedziałam, pozwolę wam tak po prostu odejść?

Uwaga Żaby mnie zaskoczyła, ale tego byłem naprawdę pewny. Dotyk jej macek nie był już silny, raczej pieszczotliwy.

- To dziwne, ale macie rację - zachichotała.

Przelażłem przez krawędź kadzi, mocząc podłogę wokół siebie. Ciecz miała teraz o wiele większą lepkość niż woda i skapywała ze mnie długimi kroplami, zawieszonymi na błyszczących, cienkich nitkach.

- Kiedy pracowałam nad bliźniakiem, musiałam to dziecko doskonale poznać. Budowę ciała, geny, sposób myślenia. Mogę powiedzieć, że jesteście bardzo podobni do swojego brata. I jeszcze jedna sprawa: to było całkiem miłe przeżycie, siedzieć z wami w kadzi.

Ostatnia macka pogłaskała mnie po udzie i cofnęła się.

Biegłem po schodach jak najszybciej, żeby przypadkiem Żabie nie przyszły do głowy następne intymności.

- Zapomnieliście swojego zabijaki - zawołała za mną.

- Alfred uderzył się w kolano, jutro nie będzie mógł chodzić. Będziesz zadowolona, że ktoś go zastąpi - huknąłem z dołu i zatrzasnąłem drzwi.



Przestało mżyć, powietrze jeszcze bardziej się ochłodziło i bruk pokrył się cienką warstewką lodu. Przewodnik stał oparty o lampę

uliczną w towarzystwie jakiegoś człowieka, dębującego w nosie. Sądząc po zapachu, jaki roztaczał, zbieracza zwłok.

- Szukacie interesu?

Wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Żaba często życzy sobie, żeby ktoś posprzątał resztki po wizycie.

Taka robota to istny burdel, ale płaci dobrze.

- Dziś żadnej roboty u niej nie znajdziecie.

- Nie każdy dzień jest radosny - odparł i nadal w skupieniu dębał w nosie.

- Muszę się jak najszybciej dostać na plac Południowy - zwróciłem się do przewodnika.

- To będzie piętnaście.

Wręczyłem mu żadaną kwotę i ruszyliśmy w drogę. Zapach miasta się zmienił, mróz pozbawił powietrze wilgoci. Pomyślałem, że zbieracze zwłok będą mieli następnego dnia rano niezwykle dużo pracy, że mnóstwo pijaków, którzy dotąd mieli zwyczaj spać na bruku, już się nie przebudzi. Nocny ruch się kończył, do porannego szczytu jeszcze trochę brakowało. Przypuszczałem, że jest około wpół do czwartej.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił przewodnik.

- Dom Agemusa Gaanomnora?

Wyczekując na mnie popatrzył, ale dodatkowej zapłaty nie zażądał. Słusznie odgadł, że limit mojej szczodrobliwości został już wyczerpany.

- Ten biały.

Kiwnąłem głową i poszedłem we wskazanym kierunku. Agemusowi źle się nie wiodło. Jego dom był okazały, na miarę tutejszej arystokracji. Duży budynek, ze ścianami obłożonymi wypolerowanym wapieniem, bez niepotrzebnych ozdób, za to z dużą liczbą wielkich okien, zamkniętych na noc żelaznymi okiennicami. Budowla liczyła sześć pięter, na trzecim otoczona została arkadami. Drewniane drzwi wzmocnione błyszczącymi elementami ze stali były zamknięte, na zewnątrz żadnego strażnika przy nich nie zauważyłem. Nie dostrzegłem okienka dla stróża pilnującego od wewnątrz, a blisko nie podchodziłem, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Nie wydawało mi się,

żeby mnie wpuścili do środka, jeśli zapukam do drzwi. Wypatrzyłem mniejszą uliczkę i znalazłem klapę wiodącą do kanału. Podniosłem ją z wielkim wysiłkiem. Buchnęło z niej ciepło i wilgotny smród rozkładu. Para wodna natychmiast kondensowała w powietrzu, otulając mnie mglistym obłokiem. Ostrożnie zacząłem spuszczać się na dół. Jeśli w Vegasz było coś naprawdę znakomitego, to system kanalizacyjny. Architekt, który go przed dwustu laty zaprojektował, musiał być megalomanem. W efekcie nawet teraz podziemny labirynt radził sobie z produktami żywymi miliona ludzi. Tylko o wentylacji projektant nie pomyślał.

Stałem po pas w gęstej mieszaninie składającej się głównie z ludzkich odchodów, resztek jedzenia i wody. Poczułem atak klaustrofobii. Zamknąłem oczy

krotnie głęboko odetchnąłem. Ledwo opanowałem mdłości, ale naraz zapomniałem o panice. Nic za darmo.

- Taa, powietrze w miejscach zamieszkałych przez bogaczy jest zawsze najgęstsze. A do tego w tym roku jest mało wody.

Odrzuciłem się. W tunelu kurczył się ludzki cień. Na moment odsonił zakrywając dłońmi świecącą na zielono kuleczkę przyczepioną u pasa. Był to mały, pokrzywiony chłopina. Jego ubranie przylegało dokładnie do ciała, jak wilgotna skóra. Zdziwiło mnie, że kanalarze żyli nawet pod samym centrum Vegasz.

Duże tunele były łatwo dostępne i nie zapewniały im dobrego ukrycia.

- Czego szukacie?

- Muszę się dostać do jednego domu.

Oczy przyzwyczyły mi się do ciemności, zobaczyłem, jak kiwnął głową.

- Nie wyglądacie na złodzieja, nie macie żadnych narzędzi.

Obok nogi kanalarza coś miękko chlupnęło i na powierzchnię wynurzyła się głowa z dużym nosem i charakterystycznymi wąsami. Szczur. Przed laty osiedliły się w kanałach odpływowych budynków kościelnych na południu. Niebezpieczne i inteligentne zwierzęta, według niektórych źródeł krzyżówka wydry i psa. Ktoś przywłókł je aż tutaj. Wyglądało na to, że kanalarze przełamali ich agresję i zrobili z

nich zwierzęta domowe.

- Nie, nie jestem złodziejem, muszę tylko z kimś pogadać.
- Z kim?

Nie pytał z ciekawości. W słabym świetle dostrzegłem, że podrapał szczura między uszami, a do drugiej ręki wśliznął mu się nóż bojowy. Ocenił mnie i uznał, że największy zysk przy najmniejszych kłopotach osiągnąłby, zabijając mnie. W tych warunkach wystarczyło zadrapanie, żeby człowiek w sześć godzin padł na którąś z egzotycznych chorób lub ich kombinację. Zapadała mi się jedna noga, dno było śliskie i grząskie.

- Z Gaanomnozem.

Szczur dał nurka pod powierzchnię, kanalarz jakby mimowolnie przybliżył się o krok.

- Nie będzie z tym problemu, jeśli macie czym zapłacić. - Śpiewnie przeciągał samogłoski.

- Dwadzieścia tysięcy teraz i dwadzieścia tysięcy jutro.

Suma zaparła mu dech. Zatrzymał się i gwizdnął z podziwu. Tuż za mną znów coś chlupnęło. Szczur. Sięgnąłem do pasa, wyjąłem szmaragd i rzuciłem kanalarzowi. Prosiłem bogów, żeby go nie upuścił. Poświęcił na kamień i z niedowierzaniem go oglądał. Korzystając z okazji, ukryłem nóż w rękawie.

- To wielkie pieniądze.

- Można za to kupić całą ulicę w Vegasz albo kilka wiosek z kasztelem gdzie indziej.

- Albo artefakty magiczne, licencję na manipulacje genetyczne czy podstawowe materiały do prowadzenia eksperymentów - przerwał mi. - Mam z Gaanomnozem umowę o pilnowanie wstępu do jego domu. Ale umowa nie jest ważna wiecznie, a za trzy takie szmaragdy doprowadzę was do niego. To się nam opłaci. Stracimy częściowo zaufanie innych rodzin, ale ogłosimy, że był nam winien pieniądze, a za niewielką sumę najmiemy asasynów, którzy pomogą nam uporać się z innymi kanalarzami, czyhającymi na nasz skarb.

- Zgoda - przytaknąłem. - Jednak te dwa kolejne już po robocie.

- Dobrze - potwierdził. - Nie ma to jak wzajemne zaufanie, ale nie zapominajcie, że zamek też ma kanalizację, a my potrafimy czekać długo. Rok, dwa, pięć, dziesięć lat. Być nam winnym pieniądze to

największy błąd, jaki moglibyście zrobić, książkę.



Byłem bardziej znany, niż myślałem. Chociaż popularność wśród kanalarzy nie powinna być zbyt dużym powodem do dumy.

Szczur leniwie przepływał obok mnie. Już zdołałem go wyczuć. Był inteligentniejszy od psa, a jego przyjemność z taplania się w błocie odbierałem jak pulsującą czerwoną plamę o rozptywających się brzegach. Szybkim ruchem lewej ręki złapałem szczura za kark i kciukiem ścisnąłem szyję. Wyciągnąłem zwierzę ponad powierzchnię, ważyło więcej, niż się spodziewałem, zapewne z osiemdziesiąt funtów, na szczęście prawie natychmiast omdlało.

- Jeśli chcecie zrobić już tylko jedyny w życiu błąd, spróbujcie mnie oszukać.

Rzuciłem szczura kanalarzowi, schylił się i złapał go.

- Co robicie? Przecież się dogadaliśmy! Jest nieprzytomny, mógł się utopić!

Głaskał szczura, dopóki nie wróciła mu świadomość, a później jeszcze przez chwilę go pieścił. Wyczułem ulgę mężczyzny, kiedy zwierzak całkiem przyszedł do siebie.

- Idziemy - zakomenderował.

Odkrył kulistą lampkę, gestem zwiększył jej blask tak, że światło uzyskało zasięg piętnastu stóp. Zauważyłem, że labirynt ścieków niewiele różnił się od układu ulic na powierzchni. Smród był tu znacznie silniejszy, a ciemność zupełna.

- Musimy obejść teren pod placem, tu rządzi rodzina Kroya - wyjaśnił mi. - To wariaci, w ogóle by się z wami nie patyczkowali.

Szliśmy wzdłuż tunelu, którym płynął szeroki nurt wody. Zmieściłyby się w nim nawet czółna, żelazne pierścienie umocowane w ścianach umożliwiały ich cumowanie. Później przeszliśmy dwoma wąskimi, suchymi przesmykami i znaleźliśmy się na miejscu.

Początkowo był to zwyczajny kanał, do którego spływały odpadki z wielkiego domu. Kanalarze założyli w ścieku siatkę o różnej wielkości oczkach. Na prostym dębowym stoliku suszyły się dokumenty, które ktoś podarł i splukał, w przegródkach leżała biżuteria: łańcuszki, kolczyki.

- Każdy duży dom to istna kopalnia złota. A ludzie bardzo często pozbywają się kompromitujących dokumentów, po prostu je

wyrzucając.

Dodatkowym źródłem zysków kanalarzy był prawdopodobnie szantaż. Nie potępiałem ich za to, czułem raczej podziw dla ich pomysłowości. Potrafili się zorganizować naprawdę znakomicie.

- Co się dzieje?

Z przeciwległego tunelu wynurzył się mężczyzna. Miał na sobie taki sam kombinezon jak mój przewodnik, a z twarzy byli do siebie podobni jak jajko do jajka. Tylko kulistą lampkę miał zamocowaną na opasce czołowej.

- Mamy klienta, chce się dostać do środka.

- Ale...

Mój przewodnik rzucił mu klejnot.

- Do tego będą jeszcze dwa kolejne.

- Jasne - odpowiedział kanalarz numer dwa.

- Czy mamy na was czekać, aż wrócicie?

- Dwie godziny.

- Jasne.

- Jak wam dostarczyć pozostałe kamienie?

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Kanał na ulicy Sztistkowej, przed kramem rzeźnika.

Przytaknąłem.

- Możemy zaczynać?

- Jasne - odpowiedzieli jednocześnie.

„Jasne” było w podziemiach najpopularniejszym słowem, chociaż odpowiedniejszym byłoby chyba „ciemne”.

- Tą rurą dostaniecie się do piwnicy, po drodze napotkacie jedną kratę. Powinna dać się otworzyć. Za nią jest w ścianie otwór wypełniony masą ceramiczną. Nie zapomnijcie potem osadzić jej z powrotem, bo inaczej kanalizacja będzie przeciekać. Potem musicie radzić sobie sami.

Dostałem płaską piłę i wpełzłem do okrągłego, wąskiego otworu. Dnem spływał cienki strumyczek wody, ale poza tym było w nim sucho. Po dziesięciu stopach rura zaczęła się wznosić i moje tempo czołgania spadło. Tu już brakowało ciszy, jaka panowała w podziemiach, towarzyszyły mi najróżniejsze dźwięki, dochodzące nie

wiadomo skąd.

Klaustrofobia wróciła, serce biło mi nierównym rytmem. Po raz pierwszy mocno odczułem, że nie należało do mnie. Skupienie nie pomagało, próbowałem w duchu recytować dziecinne wierszyki. To też nie pomagało, było mi coraz gorzej. Ale starałem się, wytrwale pełnząc naprzód. Rura wypełniła się dźwiękiem wody spuszczonej z rezerwuaru. Wstrzymałem oddech, lecz nic się nie wydarzyło. Widocznie woda została spuszczonej gdzie indziej.

Do piwnicy dotarłem zgodnie z opisem, dużej, w połowie zapełnionej półkami z jedzeniem, na jednej czwartej powierzchni ział głęboki dół, który pełnił rolę lodówki. Drzwi do piwnicy mogły z powodzeniem służyć za bramę do twierdzy. Całe z żelaza, osadzone na masywnych zawiasach wpuszczonych w skalną ścianę. Dotknąłem ich i poczułem powolny puls zakłęb wartowniczych. Jedyne wyjście było uzbroić się w cierpliwość i czekać. Około piątej dom zaczął się budzić. Służący wstawali, rozpalali ogień w kominkach, grzali wodę na kąpiel. I szykowali śniadanie. Na tym opierała się moja nadzieja. Piwnica wyraźnie była spiżarnią, a sądząc po rodzajach artykułów żywnościowych, chodzili do niej dość często. Gdyby mi dopisało szczęście, kucharka mogła nadejść lada chwila, ale gdybym miał pecha, dopiero jutro. Pojutrze wykluczałem, ponieważ wieprzowina w dużej misie nakrytej pokrywą zdążyłaby się zepsuć.

Miałem jednak szczęście.

- To ja, Maria - zabrzmiał głos stłumiony przez kamień i żelazo.

Strumień energii przebudził zakłęcia. Poczulem, jak klucznik starannie sprawdzał tożsamość osoby pod drzwiami i porównywał z listą uprawnionych. Dostrzegłem rezerwuar siły, ukryty na wypadek, gdyby do wnętrza chciał się dostać ktoś niepowołany. Klucz zazgrzytał w zamku, kobieta stęknęła z wysiłku, starając się otworzyć drzwi. Wolno jej to szło.

- Uf, wy potwory. Moglibyście je otwierać sami.

Weszła do środka i ostrożnie zstąpiła po schodkach na sam dół. Przeszła na wyciągnięcie ręki ode mnie. Była młoda, włosy miała koloru słomy i pachniała czystością i mydłem. W każdej ręce niosła pusty wiklinowy koszyk. Sprawiała wrażenie, jakby się cieszyła nadchodzącym

dniem. Ja śmierziałem kanałami, byłem tak świeży jak stara mumia i nic mnie nie cieszyło. Poczekałem, aż zejdzie do końca schodów, szybko wyszedłem i zamknąłem drzwi. Przekręciłem klucz, pozostawiając go w zamku. Przestraszony głos dziewczyny docierał do mnie jak dalekie echo.

Znaleźć komnaty Gaanomnora było łatwo. Pan domu zazwyczaj mieszkał na najwyższym piętrze. Trafiłem do niego bez kłopotu, z jednym małym wyjątkiem. Zaskoczyłem młodzieniaszka odzianego tylko w bieliznę, który wykradał się z pokoju. Albo on zaskoczył mnie. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Ja brudny, ubrany w śmierzdzące szmaty, z nożem w ręce, on półnagi, z plecami poznaczonymi zadrapaniami po udanej nocy. Położyłem palec na ustach i gestem pokazałem, dokąd idę. Przytaknął i dość sztywno odszedł. Milczące spotkanie o świcie.

Gaanomnor spał sam. Był łysy, jego peruka leżała na nocnym stoliku, wyglądał na sześćdziesiątkę, ale wiedziałem, że jest znacznie starszy. Pokój został wyposażony z wszelkim możliwym do pomyślenia przepychem. Całą jedną ścianę zajmowały półki z różnokolorowymi buteleczkami, szczoteczkami, słoiczkami i innymi kosmetykami. Trochę za dużo tego, jak na mężczyznę, ale na starość wszyscy miewali jakieś kaprysy.

Ściągnąłem z Gaanomnora przykrycie i przyłożyłem mu nóż do gardła. Tępą stroną, żeby go przypadkiem nie skaleczyć. Koszula nocna podwinęła mu się aż do pasa, jego ciało nie było suche i pomarszczone, tylko skóra miała lekko żółtawą barwę. Otworzył oczy.

- Co, co...

Na więcej się nie zdobył, bo zabrakło mu tchu. Czar witalizujący działał wolno po przebytych szoku i dość długo trwało, nim odzyskał pełną świadomość.

- Jak się tu dostaliście?

Nie zapytał się, kim jestem ani czego chcę. Wiedział to.

- Nie mam nic do stracenia i dlatego nic mnie nie ogranicza. A sądzę, że wy chcielibyście jeszcze używać tego świata - powiedziałem.

Nie musiałem zgadywać. Wielość specyfików oddalających śmierć i pomagających utrzymać dobry wygląd mówiła sama za siebie.

- Nie mogę nic wyjawić. Jestem związany przysięgą i jeśli ją złamię, będą mnie torturować.

- Mój ojciec nie żyje. Kto inny miałby was torturować?

- Wasi przeciwnicy.

- Ja też mogę się z wami pobawić.

Na moment w jego oczach mignęła panika, lecz szybko ją opanował.

- To prawda. Nie macie jednak wyposażenia, czasu ani potrzebnego doświadczenia. Oni to umieją o wiele lepiej.

Gaanomnorowi wracał oddech, a wraz z nim inteligencja. Przed laty musiał być bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem.

- Słusznie - przytaknąłem, oddalając nóż od jego gardła.

Usiadłem na brzegu łóżka, żeby pomyślał, że ma sytuację pod kontrolą. Jego spojrzenie mimo woli skierowało się ku półkom z buteleczkami i pigułkami.

- Ile macie lat?

- Sto cztery.

- Musicie używać dużo leków i środków pobudzających.

- Tak.

- A zakłęk, które wymagają aktualizacji?

- Tak.

W jego głosie wyczułem zaniepokojenie, nie wiedział, dokąd zmierzam.

- Co się stanie, jeśli tu sobie w zgodzie posiedzimy dwa dni, a ja przypilnuję, żebyście przez ten czas od wszystkich tych specyfików odpoczęli?

Zbladł i jego twarz na krótko zrobiła się zupełnie biała.

- Nie odważycie się!

- Posiedzimy, pogadamy, a później odejdę. Wszystko, czego się dowiem, zostawię oczywiście dla siebie, żeby nikt nawet nie potargał wam włoska na głowie.

- Nie, nie, nie - szeptał.

Potrafił opierać się perspektywie tortur, ale nie zdołał oprzeć się swojej starości.

- Zanim odejdę, będziecie wyglądali, i nie tylko wyglądali, jak stary człowiek. Może się trochę pozbieracie, ale nie za bardzo. Co będzie

dalej? Popelnicie samobójstwo?

Wstałem, podszedłem do półki i zrzuciłem na podłogę ampułkę z czystą cieczą, po niej szklany słoik pełny niebieskich pigułek, potem jakiś delikatny puder. Wszystko to starannie rozdeptałem. Nie przestawał mnie obserwować czujnym spojrzeniem.

- Zabijacie mnie. Wiecie, ile to wszystko kosztuje i jak trudno to zdobyć?

- Nie wiem.

Zruciłem jedną po drugiej garść małych ampułek, pokój wypełnił ostry ziołowy zapach.

- Powiem wam wszystko, ale najpierw muszę wziąć pewne leki. Każda minuta spóźnienia kosztuje mnie miesiąc życia.

- Aż mi wszystko powiecie.

- Ale...

- Zatrzymujecie sami siebie.

Mówił szybko, przerywanie, trzęsły mu się głos i ręce.

- W czterdziestym dziewiątym przyszedł do mnie wasz ojciec i zapytał, czy rzeczywiście jestem najlepszym lekarzem w mieście. Niestety, pycha wzięła górę i zgodziłem się z tą opinią. Prawie siłą zaprowadził mnie do laboratorium tej starej czarodziejki. Ona...

- Wiem, kogo macie na myśli - przerwałem mu.

- Pracowała nad małym dzieckiem. Za pomocą swoich brudnych sztuczek starała się wszczepić do jego ciała tkanki innego małego dziecka.

- Dlaczego to robiła?

- Na rozkaz waszego ojca.

- A z jakiego powodu?

- Nie wiem.

Niechcący zawadziłem łokciem o szlifowaną karafkę napełnioną różowym płynem i zrzuciłem ją na podłogę. Dziwnym trafem nie rozbiła się.

- O bogowie, ja naprawdę nie wiem!

- Dobrze, mówcie dalej.

Nie mogę powiedzieć, że Gaanomnor marniał w oczach, w każdym razie wyglądał coraz gorzej.

- Musiałem, znajdowałem się pod przymusem, macie na to moje słowo, książę.

Aktor deklamujący na podium mógłby brać z niego przykład.

Przytaknąłem na znak zrozumienia. Nie chciałem, żeby właśnie teraz padł na atak serca.

- Troszczyłem się o to, żeby implantowane wszczepy się przyjęły. I to się udało. Zdołaliśmy zmienić włosy, naskórek oraz część mięśni na udach i pośladkach.

- I co było dalej? Co się stało z moim najstarszym bratem?

Gaanomnor popatrzył na mnie badawczo i na moment się zawahał.

- To też wiecie? Niestety, w tym wam nie pomogę. Pewnego dnia wasz ojciec zabrał obu malców i rozkazał mi, żebym o nich nigdy nikomu nie wspominał. Przysięgę tę zламаłem dopiero teraz.

Patrzył na mnie wyczekująco, jak pies, który nie może się doczekać, kiedy pan rzuci mu kość.

- Macie tu jakiś specyfik na sen?

- Oczywiście. W tym różowym tygielku po prawej. To proszek, który się miesza z wodą.

- Jeśli chcecie wziąć jakieś leki, to teraz macie na to czas.

Zaczął połykać medykamenty z szybkością, z jaką normalny człowiek połyka dobrze upieczoną wieprzowinę. Nasypałem do szklanki trzy pełne łyżeczki środka nasennego, dolałem wody i zamieszałem.

- Wypijcie.

- Zabije mnie to, książę!

- Wypijcie. Nie odejdę stąd z waszą prywatną armią za plecami.

Chyba moc tego leku nie była aż tak szkodliwa, bo bez dalszych wykrętów wszystko wypił. Po minucie już spał. Poczekalem, aż jego puls zwolni do pięćdziesięciu, i odszedłem. Wydostałem się z budynku bez żadnych kłopotów, chociaż dwóch strażników przy drzwiach zewnętrznych nieco podejrzliwie mi się przyglądało. Było około ósmej rano. Trening bezpowrotnie straciłem, ale przecież nie można mieć wszystkiego. U kramarza kupiłem sobie nadziewany pieróg i bez pośpiechu go zajadałem. Po czterech tygodniach jedzenia potraw przygotowywanych przez Zephyra ta przekąska smakowała mi nadzwyczaj. Wyobraziłem sobie, co ten przysmak robił z moją wątrobą,

i wyrzuciłem niedojedzony pieróg. Człowiek powinien się zdrowo odżywiać. Powoli wracałem na zamek. Noc miałem pełną wrażeń i materiału do przemyśleń. Starłem się powtórzyć sobie wszystko, co się właściwie wydarzyło, ale mój mózg pracował powoli i niechętnie. Natomiast ciało jakby się nie zmęczyło. Było to szczególne uczucie, z jednej strony być prawie wyczerpanym, a z drugiej czuć się jak sprężyna gotowa zareagować na najmniejszy bodziec zewnętrzny.



W domu wziąłem prysznic i po raz pierwszy od dawna trochę się przespałem. Obudził mnie kuchcik z moją poranną porcją i wiadomością od Zephyra, że kolejny trening przewidziany był następnego dnia o zwykłej porze. Pod jedną z tacek znalazłem kartkę od kucharza:

Nasza siatka zlikwidowana, w półświatku panuje chaos, sytuacja niezrozumiała.

Usiadłem przy stole i zacząłem myśleć. Poseł dostarczył informację o rzeczywistym pochodzeniu mojej matki. Dlaczego? Mój ojciec za cenę ogromnych kosztów i ryzyka postarał się o dziecko, które mógł podawać za bliźniaka mojego najstarszego brata, zmarłego w tym samym roku na ospę. Ale czy naprawdę umarł? Ta myśl mnie zmroziła. Czy to możliwe, że właśnie on pociągał teraz za sznurki? A jak się do tego miał Horat ze swoimi intrygami? Czy dla niego pracował? I dlaczego dziecko-bliźniak musiało pomyślnie przejść genetyczny test tożsamości? Czy taki test przeprowadzało się u martwych dzieci Czarodzieja? Dlaczego Horat przystąpił nagle do prawie jawnego ataku? Gdyby mój najstarszy brat żył, kilka spraw byłoby wyjaśnionych, ale nie wszystkie. Wstałem i poszedłem do archiwum po parę informacji.

W przeszłości genetycznej próby tożsamości martwych dzieci Czarodzieja nie przeprowadzano. Martwi nie byli zbyt interesujący. Po godzinie poszukiwań dowiedziałem się, kto znajdował się w drużynie Gloroma Długorękiego. Siedmiu ludzi. Czterech czarodziejów i trzech

magów bojowych. Jeden z nich przespał się z wioskową wdówką i został ojcem mojej matki. Kolejne trzy godziny studiowałem ich drzewa genealogiczne. Dwóch magów bojowych i jeden czarodziej byli według zapisów impotentami, trzeci czarodziej miał uszkodzony chromosom płciowy i wszyscy jego potomkowie cierpieli na ciężką formę schizofrenii. Nigdy nie słyszałem, żeby moja matka była wariatką. Pozostawał Glorom i czarodziej nazwiskiem Adnot Cueranow. Ich przodkowie od trzech pokoleń zajmowali się magią, według zapisów ich córki też potrafiły manipulować mocą. Wszystkie jednak umarły najpóźniej w wieku pięciu lat. Po Wielkiej Wojnie utalentowane dziewczynki prawie się nie rodziły, a jeżeli tak, to umierały skutkiem pozostałości utajonych trucizn, które wszyscy nosiliśmy w swoich komórkach, jako wynik użytej broni. Odniosłem książki i umieściłem je na półkach. Wyglądało to na marnowanie czasu. Nawet gdyby moja zaginiona matka była potencjalną czarodziejką, to co z tego?

Wyszedłem na zewnątrz, oparłem się o mur i przyglądałem ciemniejącemu podwórzcu. Nie świeciła żadna z lamp, nie było widać nawet zamkowego muru. Mógł to być przypadek albo czyjś zamiar. Klany jedenastu już dawno odwołały najlepszych ludzi, pozostali tylko zwyczajni strażnicy. Tych bardzo łatwo było wyprowadzić w pole. Od czasu, kiedy stwierdziłem, że dzięki reżimowi wprowadzonemu przez Zephyra sporo zyskałem, czułem się bezpieczniej. Ale niczego nie należało przesądzać. Ostrożnie przechodziłem przez podwórze, starając się trzymać jak najgłębszych cieni. Nigdzie nikogo nie było. Panowała głucha cisza, na zamku nie świeciło się w żadnym oknie. Zdawał się zupełnie opuszczony. Usiadłem na cembrowinie studni.

Kolejnym śladem było dziecko-bliźniak. Kto właściwie umarł na ospę? Brat czy ktoś inny? Chyba mogłem to odkryć. Dla dzieci stosów ofiarnych na pewno nie budowano, raczej całkiem zwyczajnie je grzebali. Nagle zdałem sobie sprawę, że w nocnym powietrzu unosi się zapach świeżo wykopanej ziemi. Zakląłem pod nosem, ktoś wyraźnie mnie ubiegł. Szybko przeszedłem ku zachodniej granicy muru. Grzebano tam zazwyczaj ludzi, którzy umarli na zamku. W półmroku zdołałem dostrzec rząd niedawno otwartych i z powrotem zasypanych grobów. Ostatni pozostawał jeszcze otwarty. Rozejrzałem się. Cisza,

ciemność, nie wydawało się, żeby ktoś mnie obserwował. Ostrożnie wszedłem do grobu. Był mały, ale głęboki. Na dnie znajdowała się niewielka trumna z wyłamanym wiekiem. Kopacz zostawił nawet łopatę. Oprócz zetłanych poduszek w skrzyni nie było niczego, nawet zapach rozkładu dawno już zniknął. W jaką grę, do licha, grał mój ojciec? Był najsilniejszym czarodziejem, jego zdolności przekraczały granicę ludzkich możliwości, cały świat musiałby się zjednoczyć, żeby go pokonać, a on wdawał się w jakąś skomplikowaną intrygę. On, źródło siły, zdolny samym wzrokiem spalić całe miasto.

Z zamyślenia wyrwał mnie odgłos kroków. Skuliłem się i przytuliłem do ściany wykopu. Kroki się zbliżały. Zrozumiałem, że miałem niezwyklego pecha. To nie był przypadkowy przechodzień. Po rytmie kroków poznałem Horata, części dzwonka już ze sobą nie nosił. Towarzyszył mu jeden z jego służących. Prawdopodobnie sługa, czarodziej i asasyn w jednej osobie. Taka kumulacja funkcji powinna być karalna. Pomyślałem, że jeśli mnie znajdą, żywy stąd nie wyjdę. Na szczęście nie przynieśli ze sobą światła, a w wykopie było jeszcze ciemniej niż na górze.

W powietrzu mignął jakiś przedmiot osłonięty kawałkiem materiału. Tkanina rozwinęła się przy upadku i wyspało się z niej kilka drobnych kości.

- Zasypuj to. Tylko porządnie, postaraj się to zamaskować, nikt nie może się dowiedzieć, że czegoś tu szukaliśmy. Jest bardzo sprytny, nie chcę, żeby za dużo wiedział.

- Tak, mistrzu.

Łopata wbiła się w kupę odkopanej ziemi, do grobu wpadła duża porcja wilgotnej gliny.

- Teraz już nie ma żadnych wątpliwości? - odezwał się towarzysz Horata.

- Nie. Pogrzebane dziecko to rzeczywiście...

Reszty nie dosłyszałem, ponieważ w twarz uderzył mnie wielki kawał darni.

Patrzyłem, jak poziom gliniastej ziemi stopniowo się podnosił, po chwili sięgała mi już do piersi. Znowu dopadła mnie klaustrofobia. Zdołałem opanować ją w wąskich uliczkach, w małej komórce, w

kanale, w rurze ściekowej, ale pogrzebanie za życia to zupełnie inna sprawa. Zaczęła mnie ogarniać groza. Jednak starałem się powoli poruszać, tak aby stworzyć wokół siebie wolną przestrzeń, co pomogłoby mi później wygrzebać się na powierzchnię. Horat czekał, żeby zyskać pewność, że praca zostanie wykonana bez zastrzeżeń. Ziemia nakryła mi głowę, ogarnęła mnie zupełna ciemność, glina zgrzytała między zębami. Chciałem krzyczeć ze strachu, ale brakowało mi powietrza. Straciłem przytomność, ocknąłem się nagle, słysząc równy puls serca. Skupiłem się na dźwiękach. Tętno, odgłos ostatnich łopat padającej ziemi, stłumione kroki. Zacząłem liczyć uderzenia serca. Sto. Przy pięciuset zacząłem myśleć. Przy tysiącu doszedłem do wniosku, że mój brat żyje, przy dwóch tysiącach odrzuciłem tę myśl. Przy dwa tysiące pięćsetnym uderzeniu serca ubrałem w słowa szaloną myśl, która wszystko wyjaśniała. Ja jestem najstarszym bratem, Żaba i Gaanomnor mnie okpili. Pozornie bezsensowne fakty z metalicznym trzaskiem zaczęły się ze sobą łączyć, zdumiewająca układanka uzyskiwała końcowy kształt, przypomniałem sobie czas choroby, kiedy całymi godzinami leżałem samotnie w łóżku, mając nad sobą tylko niski strop z charakterystycznym żyłkowaniem terakotowego marmuru.

Moja ręka przebiła się na powierzchnię, powiew świeżego powietrza smakował jak chablis rocznik 55. Wygrzebałem się spod ziemi i oblepiony gliną ruszyłem ku głównemu budynkowi, do skrzydła zajmowanego przedtem przez ojca. Pamiętałem, dokąd powinienem pójść. Strażnik najpierw próbował mnie zatrzymać, ale kiedy na niego warknąłem, rozpoznał. Albo się domyślił. Szedłem szybko, odgłos własnych kroków zmuszał mnie do pośpiechu. W przedpokoju pracowni ojca zatrzymałem się i ściągnąłem ze ściany ozdobny kilim. Niezbyt dokładnie wiedziałem, czego szukałem. Przykłęknąłem i odnalazłem wzrokiem prawie niewidoczną szparę tuż nad podłogą. Popchnąłem mur ramieniem, dobrze wyważony blok kamienny osadzony w brązowych łożyskach obrócił się bez najmniejszego hałasu. Zobaczyłem przed sobą miniaturową komórkę ze stropem wysokim zaledwie na pięć stóp. Większość powierzchni zajmowało niewielkie łóżeczko. Linie w marmurowej płycie znałem doskonale. To tutaj spędziłem długie lata, podczas których prawie w ogóle się nie postarzałem, tutaj nabawiłem

się klaustrofobii i braku zainteresowania kobietami. Ojciec odczekał, aż narodził się kolejny syn, który został oficjalnie uznany za następcę tronu. Dopiero potem odważył się mnie wypuścić i ogłosić drugim synem. Na poduszce leżała kartka białego papieru. Wstrzymując oddech, sięgnąłem po nią i czytałem, mamrocząc do siebie:

Dotarłeś aż tutaj, co oznacza, że odkryłeś tajemnicę z przeszłości. Może brakuje ci kilku szczegółów, które mogą wyjaśnić. To ty jesteś pierwotnym synem. Potomkowie ludzi utalentowanych w kierunku magii są często niestabilni i cierpią na defekty wewnętrzne. Jednym z niepisanych, ale ściśle przestrzeganych praw jest to, że wielcy mistrzowie poszczególnych klanów sprawdzają, czy przyszły następca tronu jest pod każdym względem zdrowy. Pierwszy Czarodziej musi ich werdykt respektować, w przeciwnym razie ryzykuje wojnę ze zjednoczonymi klanami czarodziejskimi oraz z jedenastoma rodami z Vegasz. Byłeś zdrowy, ale testów byś nie przeszedł. Niestety, nigdy ci nie przedstawiłem drzewa genealogicznego twojej matki. Jest ona córką Gloroma Długorękiego i jednym z niewielu powojennych przypadków, kiedy kobieta odziedziczyła pełny talent do władania mocą. Nasze geny mogły się spleść w jeden tylko sposób. Masz zdolność do dysponowania mocą, która wielokrotnie przewyższa możliwości jakiegokolwiek czarodzieja obecnie i z lat ubiegłych, również mnie. Zgodnie z obecnie panującym poglądem tak potężny talent prędej czy później

*prowadzi do totalnego rozpadu intelektu.
Dlatego skazali cię na śmierć. Nie mogłem
na to pozwolić, jesteś moim synem. Zamiast
ciebie umarło inne dziecko. W terakotowej
komórcie spowołniłem twoje dorastanie
o trzy lata, aż twój młodszy brat został
ogłoszony prawowitym następcą tronu.
Za pomocą czarów spróbowałem
odizolować cię od źródła mocy, ale nie
do końca mi się to udało. Jest tylko kwestią
czasu, jak ten czar zneutralizować.
Wychowywałem cię w taki sposób,
żebyś nie interesował się magią i żył
własnym życiem, niezależnym od polityki
Vegasz. Niestety, twój brat zmarł, a ty
wystąpiłeś przed szóstką, żeby oświadczyć,
że możesz się stać Pierwszym Czarodziejem.
Nie odkryli wprawdzie, kim jesteś, ale mimo
to mają przeciw tobie poważne zastrzeżenia.
Nie potrafię odgadnąć, co się wydarzy,
wyczuwam jednak niebezpieczeństwo.
Dlatego napisałem ten list, żebyś wiedział,
żebyś nie miał wątpliwości.*

Na końcu tekstu brakowało pożegnania, zamiast podpisu na papierze widniał skomplikowany ornament. Skupiłem na nim uwagę, ostre linie rysunku nagle się rozmyły, a ja poczułem ułdanie w żołądku. Odwróciłem kartkę na drugą stronę. Znalazłem na niej ostatnie zdanie:

*Porządnie obejrzyj rysunek,
po chwili skupienia blokada zniknie.*

Następowała falista linia, jak gdyby piszący chciał jeszcze coś dodać, ale się rozmyślił.

- Już się stało - powiedziałem głośno.

Zmęczony usiadłem na podłodze i myślałem o człowieku, który był moim ojcem. Chciał mnie ochronić za wszelką cenę, psychicznie mnie

w tym celu okaleczył, zabił wielu ludzi, dopuszczał się czynów nie do wybaczenia, udawał, że mnie odtrącił. Taki był mój ojciec.

Zbliżała się szósta. Nie przebierając się, poszedłem prosto na trening. Zephyr już czekał. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, a potem pstryknięciem palców zgasił łuczywa.

- Dziś będziemy trenować ruchy w ciemności. Może powinniście sobie zawiązać oczy, książę.

Wskazał kamienną ścianę rozjarzoną dwoma kręgami rubinowego światła.



Zakończyłem śledzenie wroga mojego brata. Skupiłem się teraz na przygotowaniach do koronacji. Dysponowałem wprawdzie potężną mocą, której możliwości nie przestawały mnie odurzać, ale czułem się jak gigant, który ma siłę dziesięciu mężczyzn, jednak nie wie, co z nią począć. Całe trzy dni zajęło mi zamaskowanie oczu tak, żeby wyglądały normalnie. To, czego się nauczyłem z książek Maxa, było dla mnie nagle o wiele trudniejsze, ponieważ przeszedłem do zupełnie innych wymiarów. Mimo to wierzyłem, że dzięki treningom z Zephyrem zdołam przeżyć koronację. A z demonem Maxa, którego ożywienie stało się dla mnie teraz zabawką, mogłem przeciwstawić się nawet Horatowi, gdyby spróbował złamać prawo i chciał ingerować w przebieg koronacji. Pozostałe dwa tygodnie upłynęły jak jeden długi dzień.



Ton syreny wznosił się aż do drażniącej uszy wysokości ósmej oktawy, zatrzymał się i z początku powoli, a potem coraz szybciej opadał, do organowego gis, i w końcu zmienił się w głębokie, niemal niesłyszalne dudnienie, od czego rezonowały ściany i całe konstrukcje nośne. Pomyślałem, że kilka domów w mieście tak obciążającej próby

nie wytrzyma. Potem znowu od wysokiego C do dudniącego gis. I jeszcze raz. Stałem w oknie, patrząc na nocne Vegasz. Przed chwilą było ciemne, ale nagle na tle czarnej nocy pojawiły się jasne okna i w mgnieniu oka całe miasto zaczęło świecić, jakby rozpoczęło się święto. Kogoś wyciągnąłem z łóżka, kogoś wyrwałem z kaca po ciężkiej pijatyce, komuś przeszkodziłem w uprawianiu seksu, innemu zakłóciłem ostatnie chwile na tym parszywym świetle. Zgodnym chórem klęto na mnie dziewięćset tysięcy ludzi.

Z niższych pięter zamku dobiegało skrzypienie drzwi, tupot bosych stóp i narzekania. W ciągu trzech dni zamek zapełnił się do ostatniego miejsca. Koronacja władcy Vegasz była na tyle ważna, że warta nawet osobistego ryzyka. Zaczęły się nowe intrygi, zawierano tymczasowe sojusze i umowy, wręczano łapówki. Cała zabawa miała się zacząć zgodnie z tradycją z wybiciem godziny jedenastej i tak by się zaczęła, ale moi przeciwnicy mieliby już za sobą ponad siedem godzin napięcia. Pytaliby, co miało znaczyć przedwczesne ogłoszenie zmagania o koronę. W przeszłości było w zwyczaju, że księżę następcę ukrywał się jak najdłużej, starając się za pomocą skomplikowanych czarów śledzić sytuację i zrobić użytek z każdej możliwości, która mogła mu pomóc dostać się do korony i berła. Nie mógł jednak zwlekać zbyt długo, ponieważ szukało go całe miasto, a czary poszukiwawcze można było tworzyć na wiele podstępnych sposobów. Ja, niestety, żadnych wyrafinowanych trików nie znałem i nie sądziłem, że mógłbym się ukrywać nawet jeden dzień. Pobudka o wczesnej godzinie miała mi pomóc w moim schronieniu, w którym nikomu nie przyszło-by do głowy mnie szukać, gdzie mogłem porządnie się wyspać. Potrzebowałem tego jak soli.

Trzasnął zamek, ten dźwięk znałem doskonale, ponieważ dokładnie go studiowałem od czterech nocy.

- Bez pośpiechu - usłyszałem z korytarza pod sobą spokojny głos Horata. - Zasady są jasne, ten łajdak tylko tak głupio pogrywa.

Miał rację, ale mimo to szedł do sali, gdzie na kamiennym stole czekały na mnie stalowe berło i brązowa korona. Horat i pięciu wielkich mistrzów byli arbitrami, pilnującymi dotrzymania prawa. Szedł szybko, jego towarzyszy dotrzymywał mu kroku, choć w jego ruchach

dostrzegałem pewną nerwowość. Poczekałem, aż zeszli po schodach na niższe piętro, ostrożnie zsunąłem się na korytarz. Przykleknąłem pod drzwiami apartamentu Horata i zacząłem badać mechanizm zamka. Żeby nie dochodziło do instalowania silnych i trudno likwidowanych czarów zamykających w ścianach zamku, umożliwiano się tylko konstruowanie prostych i łatwych czarów wszystkim gościom z zewnątrz. Jeśli gość przed wyjazdem nie dezaktywował swojej magicznej ochrony, drzwi wraz z futryną były demontowane i zastępowane nowymi. Magowie dla wygody łączyli całą procedurę aktywacji czaru ze zwyczajnym zamknięciem drzwi. Po ich zamknięciu pokój zmieniał się w niezdobytą twierdzę, jeśli jednak nie domknęli, mógł się tam dostać każdy. Cztery noce poświęciłem na obmyślenie sposobu, jak bez uszkodzenia i rozebrania zamka uzyskać efekt, aby mechanizm sprawiał wrażenie, że wszystko z nim w porządku, choć w rzeczywistości nie działał. Postawiłem na to, że o wpół do piątej rano nikt zaspany i nerwowy nie zacznie dociekać, dlaczego klucz przekręca się sztywniej niż dotąd.

Dotknąłem palcami metalowej klamki i lekko postukałem w futrynę drzwi. Wstrzymałem oddech. Wejście do środka było jednym z koniecznych warunków przeżycia. Wsunąłem cienkie ostrze noża pomiędzy krawędź a futrynę i lekko podważyłem. Ostrożnie, cal po calu otwierałem drzwi, zapadka mechanizmu zamykającego była zablokowana, przytrzymywana miniaturową zawleczką, którą zainstalowałem za pomocą cienkiej pęsetki. Drzwi były już uchylone na szerokość dłoni, ale nawet w tej sytuacji obrót zamka spowodowałby aktywację czaru. Wstrzymując oddech, wśliznąłem się do środka i zamknąłem za sobą. Teraz wystarczyło wsunąć wytrych do dziurki od klucza i mechanizm zaskoczył. Znalazłem się w najlepiej izolowanym pomieszczeniu w całym Vegasz. Tylko komnaty ojca były bardziej niedostępne, ale tam szukaliby mnie na samym początku.

Apartament Horata składał się z sześciu pokoi i dwóch łazienek. Wybrałem sobie pomieszczenie służące jako salon dla gości wraz z należąca do niego łazienką. Wydawało się, że w tym pokoju nie mieszkał. W łazience przygotowałem sobie kryjówkę za piecem i położyłem się w pokoju na podłodze, z nadzieją, że nawet gdyby Horat

wrócił wcześniej, to obudzi mnie dezaktywacja czarów zamykających. Skutkiem stresu i wzruszenia nie mogłem zasnąć, czułem każde uderzenie serca.

Obudziła mnie rozmowa, a nie odblokowanie zamka. Z sercem w gardle zwinąłem koc i przeskoczyłem do łazienki. Na zewnątrz już się rozwidniało, co znaczyło, że spałem dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Polowanie na księcia następcę tronu już się rozpoczęło. Początkowa nerwowość ustąpiła i byłem zaskakująco spokojny. Zrobiłem, co mogłem, i wszystko szło zgodnie z planem. Leżałem w wannie, a dziesięć stóp ode mnie spał mój nieprzyjaciel. Staralem się za dużo o nim nie myśleć, nie chcąc prowokować jego podświadomości. Po pięciu godzinach Horat wyszedł, zapewne czekał teraz w sali. Nadszedł czas na realizację drugiej części planu. Usiadłem na dywanie ze skrzyżowanymi nogami i zacząłem się koncentrować. Wyczuwałem paniczną grozę, która opanowywała czarodziejów. Rzeczywiście byłem potworem, a moje możliwości wzbudzały strach nawet u mnie samego. Byłem drapieźnikiem nad drapieźniki. Otoczenie zmieniło się w niewyraźne cienie na granicy widzialności, pławiłem się w oceanie energii przenikającej cały świat. Zmieniłem się w czarną dziurę i zacząłem pochłaniać moc. Gdybym się nie ukrywał w doskonale izolowanym pomieszczeniu, odnaleźliby mnie bez trudności. Teraz mogli tylko podejrzewać, że coś było nie w porządku. Gdyby Horat nadszedł i zaskoczył mnie w trakcie transu, miałbym pecha. Ale każdy musiał rzucać kośćmi o swój los.

Po pięciu godzinach poczułem się napełniony. Wstałem. Resztki mojej odzieży leżały na podłodze, spalone na popiół, tylko miecze pozostały nienaruszone. Odwróciłem się i spojrzałem w lustro. Stwór z żywego szkła, bez wyraźnych kształtów. Fale energii przelewały się w moim wnętrzu jak różnobarwne snopy światła, czerwony wyznaczał tętnice i żyły, fioletowy serce, a ciemna plama znamionowała mózg. Moje ciało złączyło się z mocą, samo stało się mocą. Najbardziej wyrafinowany czar mógł mi odebrać tylko tyle siły, ile w niego włożono, ponieważ w prapoczątkowej, surowej formie ginęły drobne niuanse struktury. Użyłem prymitywnego, podstawowego triku, który był wyjątkowy jedynie pod względem ogromnej ilości wiązanej przeze mnie

siły. Każdy przeciętny czarodziej, mając taką ilość energii, byłby zdolny zatopić albo wydzwignąć w górę kontynent. Nie umiałem tego, co umie przeciętny czarodziej, nie miałem czasu się tego nauczyć.

Otworzyłem drzwi wytrychem. Czary zamykające nie działały przy wychodzeniu z pomieszczenia, o ile nie były do tego specjalnie przystosowane. Od sali dzieliły mnie trzy piętra i sto jardów korytarzy. Pierwszego człowieka spotkałem na schodach. Jego zbroję otaczała aureola pierwszorzędnej ochrony magicznej. Nie widziałem jego twarzy, zakrytej przyłbicą, ale moje pojawienie się musiało go zupełnie zaskoczyć. Pozwolił mi zbliżyć się do siebie i nawet się nie poruszył, kiedy przebiłem go mieczem z najlepszej stali. Drugi rzucił się na mnie od tyłu, z wylotu poprzecznego korytarza za mną. Trafienie zwyczajną bronią mogło mnie zranić tak jak każdego człowieka. Ten z tyłu okazał się dziwnie powolny. Cisza oczekiwania zniknęła w chaosie, dźwięki wydały mi się o oktawę niższe. Nawet kolory się zmieniły, dominował czerwony. Zabiłem trzech kolejnych i stanąłem pod drzwiami sali. Czuję pod bosymi stopami ziarenka pyłu i chłód posadzki. Przedramieniem nacisnąłem klamkę. Stary relief po stuleciach używania był prawie wytarty.

Sala wypełniona była ludźmi rozstawionymi w prawidłowych odstępach, tworzącymi doskonałą mozaikę obrońców. Błysk - i wiązka mocy uderzyła w moją pierś, kryłem lewym mieczem i natychmiast ciąłem prawym. Krótki gejzer krwi, ktoś umarł, krok do przodu i unik w bok, padł kolejny napastnik, zamiast stalowej broni widziałem żarzące się ostrze wymagowanego topora. Pozostawiłem je bez reakcji i zaatakowałem pchnięciem pod pierś. Zaskrzybiała krążkowa zbroja, twarz wykrzywiła się z bólu. Tańczyłem pomiędzy mieczami i niepowstrzymanie przesuwalem się coraz bliżej kamiennego stołu, na którym leżały dwa śmieszne, niepotrzebne i zupełnie zwyczajne przedmioty. Uderzyła we mnie oślepiająca eksplozja, bezpośrednie trafienie, padłem na plecy. Zanim któryś z opancerzonych wojowników zdążył mnie dopaść, zerwałem się i dalej zabijałem. Wiedziałem, kto mnie zaatakował. Horat złamał prawo. Stał pośrodku sali, otoczony mglistym zawojem ochronnego cesarza. Mój wzrok nagle się wyostrzył, widziałem go teraz z bardzo bliska, jego źrenice zwięzły się do grubości

włosa. Przewrotem rzuciłem się w lewo, a tam, gdzie stałem jeszcze przed momentem, pojawiła się powierzchnia gotującego się od żaru kamienia. Zakazany czar, kolejne prawo złamane. Eksplozja, przez dziurę w stropie rozżarzyło się widmo mojego brata. Na sekundę wszystkie oczy wpatrzyły się w niego, stojącym w pobliżu mnie nie wyszło to na dobre, przestrzeń omiały strumienie mocy.

Byłem w połowie drogi, nieustannie otoczony kokonem anihilującej się energii, już odczuwałem, jak mi ubywało sił. Obrońcy atakowali coraz zacieklej, demon Maxa ściągnął na siebie większość uwagi Horata. Ich pojedynek charakteryzował się wyrafinowaniem i podstępem, czego ja nie umiałem. Ja zabijałem ostrzem. Mieczem z pierwszorzędnej stali, nieczułym na działanie magii. Eksplozja, kolaps. Leżałem na dnie krateru, pokryty żarzącą się lawą. W obronie przed skoordynowanym atakiem pięciu wielkich mistrzów i przywódców jedenastu klanów energia tryskała ze mnie jak fala przyboju. Kolejne prawo złamane. Skokiem uniknąłem płomiennego piekła. Jacy oni byli powolni, idiotycznie powolni. Na żarzącą się posadzkę kapłała krew. Marionetki wokół mnie padały jak dojrzałe zboże, tańczyłem na ostrzach mieczy, jak mnie nauczył Zephyr, ale wiedziałem, że przegrywam. Już nie byłem stworem z żywego szkła, na ręce i na nodze miałem krwawe skaleczenia, moc skupiła się w sercu i mózgu, aby jak najdłużej utrzymać mnie przy życiu.

Pokonałem trzy czwarte drogi. Demon Maxa już gaśł. Zdobyłem się na jeszcze jedno czyste cięcie i człowiek z rozplatanym gardłem zwałił się na posadzkę. Skokiem rzuciłem się do przodu, magiczna pięść mnie ominęła i zniszczyła człowieka za mną. Eksplozja, drzwi rozpadły się na drzazgi, kątem oka dostrzegłem nowego demona. Nie rozumiałem tego. Klinga trafiła mnie w bok, z piersi, nadal nasyconej mocą, trysnęła krew, ogniście czerwona, i zapaliła powietrze wokół siebie. To nie było widmo Maxa, to był mój wielki brat we własnej osobie. Znowu rzuciłem się do walki, ostatki mocy już mnie opuszczały, berło znajdowało się ode mnie o kilka kroków. Ktoś wytrącił mi z ręki miecz. Horat na moment zniknął trafiony czarem, skoczyłem naprzód i sięgnąłem po koronę.

- Mam! - zaryczałem.

Raz, drugi, trzeci, aż wreszcie zorientowałem się, że to ja krzyczałem. Leżałem na kamiennym blacie, w jednej ręce trzymałem koronę, w drugiej berło, moja krew ściekała przez krawędź stołu i tworzyła kałużę na posadzce. W lewym boku miałem stalową strzałę, prawa ręka przestała mnie słuchać.

- Mam - wyszeptałem.

Cisza, pomiędzy kraterami i żarzącymi się, na wpół roztopionymi kamieniami leżeli zabici. Jeden, dwóch, dziewięciu trzymało się jeszcze na nogach. Mój brat klęczał z opuszczoną głową. Horat z opalonymi włosami i krwawą jamą w miejscu prawego oka zbliżał się do mnie powoli. Wdepnął do jeziora wrzącego granitu, jego sandały zapłonęły, ale nawet tego nie zauważył. Na twarzy miał wypisaną moją śmierć. Żadne prawa już nie obowiązywały, wszystko podporządkował jednemu: zabić. Siedem par oczu uważnie nas obserwowało z takim samym pragnieniem. Czyżbym naprawdę nie miał szans? Naprawdę musiałem umrzeć? Chciałem krzyzczeć, ale struny głosowe mnie nie posłuchały i tylko charczałem nieartykułowanie. Horat wykonał skomplikowany gest. Był zbyt zmęczony, żeby władać mocą samymi tylko myślami. Chciałem wstać, ale świat kiwał się na wszystkie strony, chociaż pozostawał pod moimi nogami.

- Ty! - udało mi się wypowiedzieć.

Horat uczynił ostatnie ruchy mające dokończyć tworzenie czaru, w grymasie odsłaniającym zdrowe zęby dostrzegłem triumf. Mocno ująłem berło w lewą rękę i wybiłem mu zębata głowicą trzeci otwór do mózgu. Nadal stał, mięśnie wiły mu się w agonii. Czarodzieje umierali niechętnie i długo. Uszkodzenie mózgu było jednak za duże, żadne czary lecznicze już by mu nie pomogły. Życie uciekło z niego definitywnie. Opuściłem żelazo ku posadzce, bezwładne ciało padło w kałużę krwi. Mojej krwi. Nikt się nie poruszył, wszyscy wpatrzeni byli we mnie. Rozległo się głucho dudnienie. W oczach obecnych pojawił się strach. Byłem ostatnim, który poznał, co się działo.

Moc zawirowała w gigantycznym tornado, a ja znalazłem się w jego centrum. Moje rany się zablizniły, ciało straciło naturalny kolor i kształt, znów stałem się zmiennym, śmiertelnie niebezpiecznym widmem.

- Max?

Brat uniósł głowę i spojrzął na mnie ze zmęczeniem.

- Miało ci się urodzić dziecko. Wiedziałeś, że coś jest nie w porządku, i zdecydowałeś się opuścić ten cyrk. - Wskazałem ręką wokół siebie. - Sfingowałeś własną śmierć i zniknąłeś razem ze swoją przyjaciółką.

Mój głos nabrzmiał goryczą i złością.



- Staralem się ci pomóc, przyszykowałem wszystko, żebyś dał radę. Wiedziałem, że jesteś dobry, miałeś szansę - odpowiedział mi Max ze strachem w oczach.

Nigdy nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, że Max mógłby się kogoś lub czegoś bać.

- Możliwe. - Wzruszyłem ramionami. - Ale nie przypuszczałeś, że przeciwko mnie powstanie sam wielki mistrz i złamie prawo.

- Zaskoczyło mnie to. Nie rozumiałem tego. Przysłałem ci z tego powodu demona.

Na moment straciłem panowanie nad sobą i Max zamilkł. Wyczytał z mojej twarzy, jak bardzo nienawidziłem go za to, co mi zrobił.

- Wszyscy zwrócili się przeciw mnie. Twój demon nie wystarczył.

- Przyszedłem sam.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale wyszedł mi tylko grymas. Chciałem go zabić. Ze złości i zawiści. Z wściekłości. I z bezradności.

Zrobił ze mnie to, czym byłem. Pochyliłem się, żeby podnieść miecz. Nie próbował uciekać. Mój wielki brat nadal klęczał, oczekując, aż zetnę mu głowę. To nie boli.

Skrzypnęły drzwi.

- Panie, przyszedłem po swoją nagrodę!

Zephyr wyglądał dziesięć lat starzej niż przed dwoma miesiącami. Moje szkolenie kosztowało go mnóstwo sił.

- Czego żądasz?

- Życia waszego brata, panie.

Ostatni kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce. Max tylko w połowie był moim bratem. Każde dziecko spłodzone przez ojca i matkę stałoby się takim samym potworem jak ja. Prawdziwym ojcem Maxa był Zephyr. A ja nie musiałem się już oglądać na żadne przyrzeczenia, które kiedyś składałem.

Otworzyły się inne drzwi. Pojawiła się w nich kurtyzana z brązową kopertą w dłoni. Wystarczyło krótkie skupienie i zrozumiałem, co znajdowało się wewnątrz. Podziękowanie.

Odrzuciłem się do Maxa.

- Odejdź. Teraz. Nie mów, dokąd idziesz, i nigdy nie przysyłaj mi życzeń urodzinowych. I pozdrów ode mnie swoją żonę.

Poczekalem, az zniknal mi z oczu. Nagle ogarnela mnie rozpacz. Przyjrzałem się pozostałym przy życiu mężczyznom. Czterech magów bojowych przysłanych przez rody, trzech wielkich mistrzów. Wszyscy pogodzeni z tym, że nie wyjdą z tej sali żywi.

- Panowie, odprowadźcie wielkich mistrzów do ich komnat. Dopóki nie zadecyduję inaczej, mają areszt domowy. Was oczekuję jutro w południe w sali tronowej. Ród, który nie przyśle najwyższego rangą przedstawiciela, zniszczę. Zephyrze, zorganizuj straż i postaraj się, żeby wszystko przebiegało zgodnie ze zwykłym porządkiem. To wszystko. Teraz odejdźcie.

Gdy zostałem sam, zapłakałem. Nie nad tym, co już się stało, ale nad tym, co dopiero miało nadejść. Mógłbym płakać cały rok, a i tak też byłoby za mało.

Epilog

Sytuację w Vegasz stabilizowałem przez trzy miesiące. W ciągu następnych dwóch lat wymogłem na klanach reparacje za zerwanie umów, mocno osłabiając równocześnie ich pozycję polityczną. Rozdzieliłem moc pomiędzy niższych i wyższych panów i stworzyłem nową warstwę szlachty. Nikt nie odważył się zbyt głośno protestować. Wszyscy czekali, że prędzej czy później zmienię swoje decyzje, ale się pomylili. Mimo że stałem się najsilniejszym czarodziejem świata, nie znaczyło to, że polubiłem innych czarodziejów. Wyznawałem zasadę, że bez czarodziejów świat będzie lepszy. Po dziesięciu latach wreszcie to zrozumieli i rzucili się na mnie jak sfora wilków na bawoła. Ale ja byłem chwila mi niedźwiedziem, chwilami tygrysem, chwilami słońiem. Kiedy wygubiłem trzy klany, odrzucili wszystkie ograniczenia i zaczęli używać czarów zakazanych od czasu Wielkiej Wojny. Wybiłem ich jak dzikie zwierzęta, razem z ich dziećmi, wnukami i wszystkimi aż do siódmego pokolenia. Przez pięć lat panował spokój. Ludzie przychodzili do siebie po przeżytej grozie. Bez czarodziejów świat rzeczywiście był prostszy, miasta mniejsze, a najbardziej podstępą bronią stał się sztylet wbity w plecy.

Potem nadeszło Pokłosie. Gdybym starannie przestudiował kroniki, dowiedziałbym się, że po Wielkiej Wojnie też minęło sporo lat, zanim zachwiała się równowaga pomiędzy światami z powodu zakazanych czarów. Pojawiły się dziwaczne potwory, nieznane choroby, w porównaniu z którymi tyfus płamisty był tylko zwyczajnym przeziębieniem, kobiety zamiast dzieci rodziły jakieś zwyrodniałe stwory, nocne zjawy ucieleśniały się i zabijały. Zmarli leżący w grobach od stuleci spontanicznie się budzili i w nieprzeliczonych zastępach niszczyli świat.

Z pokłosiem wojny uporać się mogą jedynie czarodzieje. Nawet najuboższy łatacz butów pochodzący z dawnych czasów jest dziś ważnym człowiekiem, jeśli potrafi przepłoszyć nocne zjawy i ludzie skłonni są dać mu wszystko. Już trzydzieści lat chodzę po świecie, który

spustoszyłem, naprawiam, co się da, wyszukuję dzieci mające talent do władania mocą i je uczę. Jest ich bardzo mało, ponieważ swoją robotę wykonałem bezbłędnie. Czasem, kiedy jestem bardzo zmęczony, śnię o górskiej farmie na uboczu i o wielkiej zielonej winnicy. Nigdy nie chciałem być czarodziejem.

Pokłosie



Calve Natev wyszedł z domu i stanął na wybrukowanym kamieniu przedprożu. W nocy padało, trawa i korony drzew błyszczały wilgocią, ale ciemnoczerwone słońce wymazało mnóstwo kolorów, pozostawiając tylko odcienie szarości. Calve uniósł głowę, żeby sprawdzić, czy na

słonecznej tarczy nie pojawiła się chociaż odrobina koloru żółtego, co zapowiadałoby polepszenie pogody. Była jednolicie czerwona, bez żadnej zmiany. Spojrzał na niedalekie pola ze zbożem. Kolejny dzień, w którym nie dojrzeje ani jeden kłos, pomyślał gorzko. Z drugiej strony lepsze to niż blade, niebieskie słońce - ono wypaliłoby uprawy, a może nawet zgorzałyby słomiane strzechy wiejskich chałup. Próbował spojrzeć na pogodę z bardziej optymistycznej strony. Humor mu to jednak nie poprawiło.

Poszedł ku skalnej ścianie, zamykającej północny kraniec doliny, w której leżała wioska. Nie zwrócił uwagi na starego Hernandezę, który kosą rozcinał na części od dawna martwe dzieci. Po drodze zainteresowała go kochająca się para. Czekał do chwili, kiedy do namiętnego stosunku dołączą przemoc i ból, ale tak się nie stało. Para zmieniała jedną pozycję po drugiej, a niektóre z nich musiały być naśladowaniem rysunków zawartych w książce, którą Calve czytał dawno temu, kiedy jeszcze kobiety stanowiły dla niego tajemnicę.

- Przynajmniej ktoś tu nie ma nocnych koszmarów, tylko przyjemne sny - powiedział głośno i rozejrzał się za innymi nocnymi widmami.

Jego dobry nastrój szybko zniknął, kiedy zauważył, ile zmaterializowanych snów znajduje się pomiędzy domami i jak są cielesne. Przypuszczał, że najwyraźniejsze utrzymają się aż do popołudnia. Pojawiły się po raz pierwszy trzy lata wcześniej, powodując falę zabójstw i samobójstw. Minął długi czas, zanim ludzie zrozumieli, że za sny nie mogą nikogo obwiniać ani karać oraz że wszystko, co się w nich pojawia, ma tylko bardzo niewielki związek z rzeczywistością. Wieśniacy stopniowo nauczyli się ignorować nierealne obrazy ze snów. Jednak w miarę jak stawały się one coraz bardziej plastyczne i trwałe, było to zdecydowanie trudniejsze.

Calve mimochodem dotknął palcami jelca jednego ze swych mieczy przywódcy i po chwili stał w niskiej pozycji szermierczej, trzymając oba miecze w dłoniach. Jelce wibrowały, jakby znajdował się pośrodku wrzawy bitewnej, otoczony wrogami. Nikogo jednak nie widział. Ostrożnie wsunął miecze do pochew. Instykt i doświadczenie mówiły mu, że powinien walczyć albo uciekać, ale nie było z kim walczyć ani przed kim uciekać. Kania siedząca na koronie jawora zerwała się do

lotu, zamachała skrzydłami i poleciała na poranne łowy.

- Coś jest w powietrzu - mruknął Calve. - I to nie tylko ptaki.

Bez dalszej zwłoki doszedł do końca doliny i prawie niewidoczną ścieżką wspiął się na skałę. Ebeneż zdążył już rozpalic ogień i w kociołku zawieszonym na trójnogu bulgotała świeżo zaparzona kawa. W milczeniu nalał szczodłą porcję do poobijanych kubków i jeden z nich podał Calvemu. Obaj napili się jednocześnie. Calve poczuł aromat i smak napoju, przyglądając się równocześnie dolinie pod nimi. Tutaj czuł się o wiele lepiej niż na dole. Swojego domu nigdy nie zamykał, a gdyby nocami nie padało, najchętniej spałby na zewnątrz. Przepuszczał, że z Ebeneżem jest podobnie.

- Wcześniej tu przyszedłeś - stwierdził.

- Tak, chciałem z tobą pomówić na osobności, zanim obudzi się Gławin. Zaczyna być silny, a dziś jest przełomowy dzień. Fizycznie już dojrzał i jego zdolność do manipulowania mocą nie jest mała. Mnóstwa rzeczy jednak nadal nie rozumie. Jako czarodziej zaniedbałem jego wychowywania. Może narobić wielkich głupstw - powiedział Ebeneż, popijając kawę.

- Nie było czasu na jego wychowanie - przypomniał mu Calve. - Co więcej, przez pierwsze dwa lata po Katakumbach mieliśmy obaj po uszy roboty.

- To oczywiście prawda, ale... - Ebeneż wzruszył ramionami. - Ma już szesnaście lat i zgodnie ze starymi obyczajami odpowiada za swoje czyny. Chcę, żeby się wypowiedział co do wszystkich naszych decyzji. I byłbym zadowolony, gdybyś go nie zabijał, jeśli nie popełni jakiejś wielkiej głupoty - mówił dalej. - Przecież to mój synowiec.

- I nie pozwolił się zabić - uzupełnił Calve. - Postaramy się. Kiepska pogoda. Przy takim słońcu nie zerwie się nawet mały wietrzyk, ludzie będą rozwścieczeni i jak walnięci pałką w głowę. Nawet ta kawa nie ma prawidłowego aromatu.

- Właśnie idzie - powiedział Ebeneż.

Obaj mężczyźni przez chwilę w milczeniu popijali kawę. Ebeneż wyjął z kieszeni trzeci kubek i postawił obok kociołka.

- Przepuszczam, że dziś wróci Kilidż ze swoją grupą. Mam nadzieję, że dopadli tych ludzi. - Calve zaczął nowy temat, widząc, że

chłopiec jest już w pobliżu. - Jeśli wszystko poszło tak, jak zaplanowałem, to przyprowadzą jakichś piętnastu zatrzymanych. Byłoby dobrze przesłuchać ich i zdecydować, którzy mogą się do nas przyłączyć.

- Oni przecież napadali na naszych ludzi i kradli nasz dobytek, powinniśmy ich pozabijać - to Glawin wmieszał się do rozmowy.

Calve po raz pierwszy popatrzył na chłopaka jak na czarodzieja i potencjalnego przeciwnika. Jego związek z Ebenezem opierał się na wspólnie przeżytych doświadczeniach, które ich niemal złamały. Przynależność klanowa już nic dla nich nie oznaczała. Ten dorastający chłopak przedstawiał sobą wszystko to, co było przed wojną. Należał do klanu Danuutu i nie mógł wiedzieć, czego nauczyli go wychowawcy i ile klanowego fanatyzmu mu wszczepili.

- Nasza wioska ma dwustu pięćdziesięciu mieszkańców i razem z dwiema osadami na południe od niej liczy pięciuset. Władamy nimi, ponieważ mają z tego korzyści. Jeśli z nowo przybytych pozyskamy pięciu dorosłych, zdolnych do pracy ludzi, będzie to pomoc dla nas wszystkich - zaczął wyjaśniać Ebenezer.

- Władamy nimi, bo mamy moc - nie zgodził się Glawin.

- Gdyby tak było, już dawno byśmy nie żyli. Możesz uważać przez dzień, tydzień, miesiąc, ale czasem komuś, kto cię nienawidzi, nadarzy się doskonała okazja i zostaniesz uwięziony w płonącym domu, ugryzie cię wąż albo po prostu najesz się mięsa, które ktoś specjalnie dla ciebie zostawił na pół dnia w pełnym słońcu - odpowiedział mu Calve.

- Nie rozumiesz tego, nie jesteś czarodziejem - pogardliwie odciął się Glawin.

Ebenezer sprawiał wrażenie zatroskanego, lecz Calve prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

Na wiejskim placyku pojawiła się pierwsza postać. Zwyczajny człowiek z tak dużej odległości dostrzegłby zaledwie sylwetkę. Jednak Calve swym zmodyfikowanym wzrokiem widział każdy detal. Już dawno nie przyciągała męskich spojrzeń, krok jej się skrócił i idąc, kolebała się jak kaczką. Sądząc po jej dużym, wydętym brzuchu, Calve ocenił, że jej czas wkrótce nadejdzie. Mimo że dla niej był tylko kropką na skale, pomachała mu ręką. Wiedziała, że każdego ranka tam właśnie omawia

z Ebenezem sprawy wymagające załatwienia w nadchodzącym dniu. Odwzajemnił jej gest, po raz pierwszy od przebudzenia mając wrażenie, że ten dzień nie musi być tylko zły.

- Parika? - zapytał Ebeneze.

Calve przytaknął z uśmiechem, patrząc, jak kobieta przechodzi pomiędzy zjawami i zmierza do potoku, opływającego wioskę od zachodu. Mimo że było chłodno, szła boso i jej kostki w widmowym świetle czerwonego słońca błyskały na różowo.

- Czy jesteś w zupełności pewny, że to nie twoje dziecko?

- Jestem. Odeszła ode mnie przed dziesięciu miesiącami i szesnastu dniami. Pierwszego dnia, kiedy przybył tu Jakub.

- Ja bym go zabił! - fuknął Gławin. - I ją też!

Calve odwrócił się do młodzika. Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy.

- Po pierwsze, nie wtrącaj się do mojego prywatnego życia. Twój stryj nie pytał mnie z ciekawości, ale dlatego, że dziecko człowieka z moimi zdolnościami powinno być wychowywane bardzo ostrożnie. Po drugie, właśnie objawiłeś swoją wrogość wobec człowieka, którego uważam za swojego przyjaciela. Nie wiem, jak u was, w klanie Danuutu, ale u nas zawsze stajemy w obronie przyjaciół. Wyzywam cię na pojedynek. Broń się.

- Przecież ty nie jesteś czarodziejem! - wykrzyknął Gławin, cofając się o krok.

- Broń się - powtórzył Calve.

- Tarcza, Gławinie, tarcza - podpowiadał Ebeneze.

Powietrze wokół chłopaka zadrżało, przybierając opalizujący odcień. Calve machnął prawą ręką, trafiając Gławina grzbietem dłoni w twarz. Lekkie uderzenie odrzuciło młodego czarodzieja o kilkanaście stóp, opalizujący kokon zaiskrzył przy zetknięciu ze skałą. Miejsce styku rozżarzyło się do czerwoności, roztopiony kamień kapał dużymi kroplami. Gławin osunął się na ziemię. Z ust ciekła mu krew, a w oczach miał strach.

- Masz rację, nie jestem czarodziejem - powiedział spokojnie Calve, podając chłopcu rękę i pomagając mu wstać. - Nie wiem, jak jest w klanie Danuutu, ale w klanie Kaalu, który już nie istnieje, nazywano

mnie Szermierzem. To uderzenie, którym cię trafiłem, to „ciężka ręka”. Nie zapominaj jednak, że klan Danuutu również nie istnieje. Jesteśmy być może jednymi z ostatnich czarodziejów na świecie i musimy zachowywać się zgodnie z tym. Obawiam się, że będziesz wymiotował przez kilka godzin. Ten wstrząs był naprawdę duży.

Jakby na komendę Glawin pochylił się i zaczął dławić. Calve odwrócił się znów do Ebeneza.

- Lekko. Albo pomoże, albo... - skomentował wy. darzenie.
- Dlaczego właściwie cię opuściła? - zapytał cicho czarodziej.
- Chciała mieć dzieci, a ja nie odważę się przywołać żadnego na ten świat.

- Rozumiem cię - przytaknęła Ebeneza.

- Kilidż jest już tutaj - oznajmił po chwili Calve. -Widzę go na zboczach tamtej góry. Musimy wracać do wioski - dodał z niezadowolaniem. - Idziesz, Glawinie, czy musimy przysłać po ciebie wózek? - zwrócił się szorstko do chłopca.

- Nie potrzebuję pomocy brudnego wieśniaka -mruknął Glawin, otarł sobie brodę i niechętnie poszedł za starszymi.

Od Katakumb, kiedy to potężne podziemne walki trwały całymi miesiącami, Calve nie znosił zamkniętych przestrzeni. Nawet dość szeroka dolina wydawała mu się ciasna. Ebeneza nic nie mówił, ale szedł za nim z taką samą skrywaną niechęcią.

- Czy ty naprawdę myślisz, że nie ma już żadnych klanów, że on odniósł pełny sukces? - szepnęła czarodziej, kiedy dotarli do pierwszych domów.

- Twierdził, że zniszczy wszystkich czarodziejów do siódmego pokolenia. Moi przyjaciele nie odpowiadają na moje wezwania. Inaczej się tego wyjaśnić nie da.

- Miałem go w zasięgu ręki, mogłem go zabić -szepnęła Ebeneza. - Gdybym miał wtedy więcej siły!

Calve zauważył, że przyjacielowi trzęsą się ręce. Wspomnienia nadal były żywe. W chaotycznej podziemnej walce wszystkich klanów przeciw jednemu szalonemu Czarodziejowi to właśnie on i Ebeneza spotkali się z nim twarzą w twarz. Był zdania, że przed natychmiastową anihilacją uchroniło ich trzęsienie ziemi wywołane

energią użytą w walce. Gdyby Ebenez nie zdołał dokonać błyskawicznej improwizacji i nie uczynił ich ciał przenikliwymi, masy ziemi by ich rozgniotły. Przemienieni w na wpół bezcielesne widma i utrzymywani przy życiu mocą pozostałą po użytych czarach, cal po calu pełzli całymi milami do góry. Miesiące i lata w ciemności bez przestrzeni. Tylko Parika potrafiła pomóc Calwemu uporać się z tymi wspomnieniami.

Calve uświadomił sobie, że stoi nieruchomo pomiędzy tłumem ludzi. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się wspomnień. Ebenez przygotowywał miejsce, w którym miały odbywać się przesłuchanie i osąd bandytów.

- Potrzebny będzie grób - powiedział.
- Gławinie, chodź mi pomóc - nakazał Calve, ujął szpadel i zaczął kopać.

Gleba była miękka i szło mu to szybko. Chłopiec stał opodal, pogardliwie spoglądając na wysiłki mężczyzny.

- Wyjdź na górę - powiedział po chwili.

Calve posłuchał i z zainteresowaniem obserwował poczynania młodzika. Gławin nie wykonał żadnego gestu, nie wyrzekł żadnego słowa, tylko przymrużył oczy, a jego twarz na moment zapadła się w sobie. W ziemi bez jakiegokolwiek dźwięku utworzyła się jama o wymiarach sześć stóp na dziewięć, głęboka na wzrost dorosłego człowieka. Wieśniacy cofnęli się zdumieni, nikt z nich od miesiący nie widział czarów.

- A gdzie jest ziemia do zasypania grobu? - zapytał z niedowierzaniem Calve.

- Nie ma, wtłoczyłem ją w boczne ściany.
- To czym ten grób zasypujemy?
- Oni przyniosą! - Gławin kiwnął w kierunku stojących wokół ludzi.

Kilidź, umięśniony, niewysoki mężczyzna, z zawodu krawiec, uzbrojony w kuszę i myśliwski tasak, podszedł do Calwego z szerokim uśmiechem.

- Dopadliśmy ich w nocy, tak jak radziliście. Gaz ich otumaniał i spowolnił, mamy tylko dwóch rannych!

Calve przytaknął z uznaniem. Wiedział, jak trudne są takie akcje w terenie i ile sprytu musiał wykazać ten mężczyzna.

- Naprawdę dobra robota. Kim jest ten starzec, który z wami przyszedł? Dlaczego nie jest spętany? - zapytał, widząc nieznaną twarz.

- Nie należy do nich, natrafiliśmy na niego na ścieżce obchodzącej góry. Coś podobno spaliło wioskę, w której mieszkał, i dlatego ruszył w drogę.

Calve zacisnął zęby. Słyszał to już wielokrotnie i wiedział, że jeszcze nie raz usłyszy. Niszczycielski czar o opóźnionym działaniu, pozbawiony zabezpieczeń, oczekiwał, aż go uwolni jakiś przypadek, a potem zabijał ludzi i niszczył ich dobytek, dopóki mu wystarczyło energii.

- Powiedz, żeby dali mu jeść. Pomówię z nim później i podejmę decyzję, czy może z nami zostać, czy też nie.

Kłamał, ponieważ czy starzec byłby we wsi użyteczny, czy nie, nigdy nie wypędziłby go na pustkowia, gdzie tamten mógł spotkać tylko śmierć.

Mięknę, pomyślał, a po chwili zdał sobie sprawę, że powiedział to głośno.

- Możemy? - wyrwał go z rozmyślań Ebeneze.

Zorganizowany naprędce sąd siedział już przygotowany. Sędzią był Ebeneze, tkwiący za prostym drewnianym stołem, a katem Calve.

- Stań tutaj. - Calve wskazał miejsce pierwszemu z bandytów, przesuając go bliżej grobu.

Sam ustawił się za nim i z ręką na jelicu miecza oczekiwał na rozwój wypadków. Nie robili tego po raz pierwszy i dobrze wiedział, jak się to skończy. Kątem oka obserwował grupę w łańcuchach. Cztery kobiety i dwunastu mężczyzn, wszyscy sprawiali wrażenie wystraszonych. Taki właśnie był cel tego spektaklu. Ebeneze chciał, żeby przesłuchiwanie znajdowało się w stanie chaosu emocjonalnego, bo bez tego odczytanie ich prawdziwych myśli i motywów kosztowałoby o wiele więcej trudu. Calve zauważył, że jedna z kobiet się nie boi, a co więcej, patrzy na niego z nienawiścią. Włosy miała krótko ostrzyżone, a sądząc z tego, jak były nierówne, zapewne obcięła je sama. Była szczupła, w pociągłej

twarzy uwidaczniały się tylko nos, kości policzkowe i oczy. Spróbował sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać w szczęśliwszych dniach, lecz szybko zrezygnował. W końcu był katem.

- Od pory jesiennej zabiście siedmiu naszych ludzi, dziesięciu zraniliście, dwoje z nich zostało kalekami na całe życie. Ukradliście nam trzy konie, cztery krowy i piętnaście owiec, zniszczyliście trzy wozy załadowane zbożem. Drobniejsze przestępstwa pomijam - zaczął Ebenez monotonnym głosem.

Wieśniacy zgromadzeni wokół słuchali uważnie. Calve bez trudu wyłowił z tłumu krewniaków zabitych i okaleczonych.

- Każdemu z was zadam kilka pytań. Od waszych odpowiedzi i tego, co się w rzeczywistości stało, zadecyduję, czy będziecie żyć, czy też nie - oświadczył Ebenez.

Calve stwierdził, że ma sucho w gardle. Nie chciał zabijać tej kobiety. Przyglądał jej się ukradkiem. Podczas przemowy czarodzieja patrzyła na niego z pogardą, dzwoniąc łańcuchami. Instynktownie wiedział, że będzie stwarzać kłopoty, że się na niego rzuci, że spróbuje go zabić. Spojrzał na tłum wieśniaków. Parika stała w pierwszym rzędzie obok Jakuba. Ich spojrzenia się spotkały. W duchu wściekał się na nią i na jej męża. Nie rozumiał, po co tuż przed porodem bierze udział w tym ponurym widowisku. Powinien jej tego zakazać; do licha, niewiele brakowało, a powiedziała by to na głos.

- Skąd pochodzisz? - padło pierwsze pytanie. -Dlaczego zostałeś rozbójnikiem? - drugie.

Calve nie słuchał odpowiedzi. Znał podobne przypadki. Zniszczona wioska albo miasto, wymordowana rodzina i krewni, beznadzieja i stopniowy upadek aż po grób. Ale może to my dwaj powinniśmy stać przed sądem, a nie oni, pomyślał nagle.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć - zakończył przesłuchanie Ebenez.

Calve jednym ruchem dobył miecza i ciął, przez moment wydawało się, że nic nie nastąpiło. Potem głowa i ciało stoczyły się do przygotowanego grobu. Pierścień, który mężczyzna miał na lewej ręce, matowo połyskiwał w głębi dołu.

- Przeprowadźcie następnego - nakazał Ebenez. -Skąd

pochodzisz? - zaczął tak samo jak poprzednio.

Calve patrzył na plecy mężczyzny i starał się nie myśleć.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć - rzekł Ebeneż.

Mężczyzna skulił się, ale cios nie padł.

- Odprowadźcie go na bok - polecił Calve ludziom Kilidża.

O losie więźnia decydowała intonacja głosu Ebe-neza, choć nikt z wieśniaków o tym nie wiedział, nie potrafili odróżnić tak delikatnych niuansów. Nie byli czarodziejami ani nie zostali przeszkoleni.

Kobieta z oczami pałającymi nienawiścią była czwarta. Calve przyłożył jej grot miecza do gardła.

- Jeśli zrobisz jakieś głupstwo, zabiję cię. A tak masz przynajmniej szansę - szepnął, żeby tylko ona go usłyszała.

- Nie potrzebuję twojej łaski, łajdaku! Wszystkich was najchętniej bym powiesiła na własnych flakach! To wasza robota! - wrzasnęła, wskazując na czerwone słońce.

Calve poruszył dłonią, żeby nie zapominała o stali na swoim gardle. Na bladej skórze pojawiła się maleńka kropla krwi i pomału rosła. Miecz był ostry, ostrzejszy niż brzytwa, mógł nim uderzać w granit, nie uszkadzając grotu.

- Jak się nazywasz? - zapytał Ebeneż.

Calve zaklął w duchu. Widmo, które będzie go prześladowało, uzyska miano. Ręce miał wilgotne od potu.

- Zdechnij! - krzyknęła kobieta, spluwając ze złością.

- Jestem Ebeneż Cramwoll, mistrz klanu Danuutu - przedstawił się Ebeneż. - jak się nazywasz, kobieto?

- Alice Joszi, czarodzieju. A gdybym mogła, wyrwałabym ci język, wyłupiła oczy, a twoje ciało spaliła na popiół, bo to wy zniszczyliście nasz świat.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć - zakończył Ebeneż.

Calve spojrział na przyjaciela ze zdumieniem. Musiał się przesłyszeć.

- Odprowadźcie ją do ułaskawionych - powiedział czarodziej, żeby nie było wątpliwości.

Po trzech godzinach w grobie leżały cztery ciała, a dwunastu ludzi czekało na ogłoszenie ostatecznego werdyktu. Calve widział, że Ebeneż

jest zmęczony i ledwo się trzyma na nogach. Kiwnął do niego, że sam zatroszczy się o resztę, i podszedł do ułaskawionych.



- Jeśli chcecie odejść, możecie to zrobić. Jeśli chcecie zostać, zostańcie. W takim przypadku będziecie przez dwa lata pomagać rodzinom, którym zabiliście lub okaleczyli krewnych. Będziecie pracować w polu, w lesie, po prostu tam, gdzie będzie trzeba. Mężczyźni mają do końca życia dbać o bieg potoku, żeby wiosenne wylewy nie zmywały gleby w okolicy wioski. Jeśli nie będziecie wypełniać zadań, zostanieiece wygnani. Na południowym skraju wioski są puste domy. Możecie je naprawić i w nich zamieszkać. Z kłopotami przychodźcie do mnie, do Ebeneza lub Kilidża. To wszystko.

- A jakie dożywotnie zadania wymyśliliście dla kobiet? - wycodziła przez zęby Alice Joszi.

Calve pokręcił głową. W swoim życiu znał najpiękniejsze kobiety imperium, mógł sobie pozwolić na certyfikowane kurtyzany, ale do tej chudej, pełnej nienawiści kobiety coś go przyciągało. W czymś mu przypominała Parikę, chociaż ona była tak uprzejma, że nieustannie go to zaskakiwało.

Miał na końcu języka, że dwoje zdrowych dzieci od każdej z ułaskawionych kobiet byłoby o wiele cenniejsze niż dziesięć regulowanych potoków, ale zachował milczenie. Alice zrozumiała to po swoim.

- Jeśli myślisz, że zrobisz ze mnie swoją dziwkę, to grubo się mylisz. Nie dożyłabyś rana!

- Masz rację. Nocy z tobą bym nie przeżył, bo któraś z twoich kości przebiłaby mi brzuch! - odciął się wściekły. - Dostaniecie pracę, jak się nadarzy - zakończył rozmowę i odszedł.

Na moment zatrzymał się obok mężczyzny zasypującego grób. Wydawało mu się, że niektóre ciała się poruszają. Ale bezgłowe trupy nie mogły się ruszać.

Usiadł przed swoim domem i przyglądał się okolicy. Życie powracało do normy. Czuł na sobie złość. Spróbował wszystkich możliwości zbliżenia się do Alice albo przynajmniej nawiązania z nią normalnych stosunków.

- To nie było zbyt mądre - rozmyślania przerwała mu Parika.

Spojrzał najpierw na jej kostki, potem na cienką, spraną tkaninę opinającą wielki brzuch kobiety i uśmiechnął się.

- Ano, nie było. Potrzebna ci jakaś pomoc?
- Nie, przyniosłam ci butelkę wina. Jest bardzo cierpkie, ale nasze. Jakub natrafił niedaleko stąd na zaniedbaną winnicę i zajął się nią.

- Nie będzie ci tego wina wypominać? - zapytał, biorąc butelkę.
- Nie, właśnie on mnie do ciebie posłał. Powiedział, że wyglądasz okropnie.

- To dziwne, że nie jest zazdrosny.
Zaśmiała się, położyła dłoń na brzuchu i przez chwilę stała nieruchomo.

- Rozmawiałam z nim o tobie od razu pierwszej nocy, kiedy byliśmy razem. Że ty mi się bardzo podobasz, ale kocham właśnie jego. Że boję się, żeby nic ci się nie stało. I że potrzebujesz pomocy. Nic a nic nie kłamałam.

Calve w końcu zrozumiał niektóre szczególne reakcje jej małżonka.
- Czy wiesz, że jesteś urodzoną intrygantką? - mruknął.
- A czy to ci przeszkadza? Muszę już iść. Nie zapomnij przy okazji powiedzieć Jakubowi, jak smakowało ci wino. I pochwal go, tylko nie za bardzo, bo nie uwierzy.

- Kiedy? - Wskazał na jej brzuch.
- Jak przyjdzie właściwy czas - zaśmiała się. - Niechby to już się stało.



Wieczorem usiadł z Ebenezem przy stole wyniesionym przed dom. Czarodziej sprawiał wrażenie zmęczonego i bez humoru, nieustannie potrząsał paczuszką zawiniętą w żółty papier.

- Czy wiesz, według czego rozsądzam, kogo zabić, a kogo nie? - zapytał zachmurzony.

- Nie, ale jest mi wszystko jedno - odparł Calve.
- Wszyscy mówili mniej więcej prawdę i wszyscy zabijali. Tylko że niektórym się to spodobało, a inni byli po prostu bezwolnymi naśladowcami swojego herszta. Pozostawiłem przy życiu wszystkich

tych, którzy w skrytości ducha tęsknili za zwyczajnym życiem, za pługiem i pracą.

- A Alice? Nie wydaje mi się, żeby była taka... - zainteresował się Calve.

- Ona nas wszystkich nienawidzi i chciałaby nas pozabijać. Zostawiłem ją przy życiu ze względu na ciebie.

- Już więcej nie chcę być katem. Jestem na to za stary, zrobiłem się miękki - zmienił temat Szermierz.

- Każesz komuś, żeby to robił za ciebie?

Calve pozostawił pytanie przyjaciela bez odpowiedzi.

- Czy już ci mówiłem, jak zlikwidowaliśmy Aagu-py? - zapytał nagle Ebeneze.

- Nie, myślałem, że to on ich zniszczył, ten czarodziej, Tekuard.

- Taką wersję rozpuszczaliśmy. Niepostrzeżenie przeniknęliśmy do miasta, w mgnieniu oka przetrans-formowaliśmy wszystkich mieszkańców w moc i rzuciliśmy ich do ataku na ich cytadelę. Musiało to być starannie zorganizowane i wyliczone w czasie. Sprawdzałem wtedy, czy nie używamy do tej roboty kogoś niewłaściwego, jakiegoś czarodzieja, który odkryłby nasz plan, empaty albo wyszkolonego agenta. Przesuwałem się ze snu do snu i skazywałem ich wszystkich na śmierć. Sto tysięcy ludzi.

- Czy masz z tego powodu nocne koszmary?

- Nie, jestem przecież czarodziejem z klanu Danuutu, wytrenowanym i przygotowanym na wszystko -skrzywił się Ebeneze. - Tylko we dnie czasem sobie to rozpamiętuję, bywa, że wspomnienie jest silne. Na przykład dziś.

W zapadającym zmroku dostrzegli zbliżającego się do nich Gławina. Sprawiał wrażenie zadowolonego i pewnego siebie.

- Bardzo szybko przyszedł do siebie - zauważył Calve.

- Tak, jest lepszy, niż myślisz. Dziś rano go zaskoczyłeś, nie był na coś takiego przygotowany. Szybko się uczy.

- Zauważyłem. Nigdy nikogo nie lekceważę.

- Popatrzcie na księżyc! - zawołał chłopak.

Tarcza świeciła takim samym kolorem jak słońce za dnia. Calve nigdy nie widział czegoś podobnego i tylko wzruszył ramionami.

Ebenez wyglądał na zaniepokojonego.

- Dlaczego to takie interesujące? - zapytał Szermierz.

- Czy wiesz, jaki kolor miałyby słońce, gdyby znajdowało się teraz na niebie?

- Nie, nie zapominajcie, że ja o niektórych sprawach nie wiem zupełnie nic. Zresztą czar zmieniający słońce w broń pochodzi z laboratorium waszego klanu.

- Zakłęcie Kretskiego rzeczywiście ukradliśmy, ale to nie jest istotne. - Ebenez machnął ręką. - W tej chwili słońce byłoby oślepiająco białe albo niewidzialne dla ludzkiego oka. Zwierzęta i ludzie w kilka minut zostaliby spaleni na popiół, paliłyby się nawet kamienie. Coś się dzieje i nie wróży to niczego dobrego.

- To prawda - powiedział Calve, nie patrzył jednak w niebo, tylko przed siebie.

Suchy, prawie przezroczysty liść, pochodzący z minionej jesieni, stał na ogonku i obracał się wokół pionowej osi. Calve rozejrzał się i dostrzegł dziesiątki podobnych liści. Najcieńsze gałązki drzew kiwały się tam i z powrotem, trawa falowała w zmiennym rytmie.

- Znajdujemy się w obszarze skoncentrowanej mocy - powiedział Gławin. - Czuję ją. To są pozostałości starych czarów, martwe struktury zakłęb.

Nagle świat wrócił do normalności, księżyc zaczął świecić zwyczajnym srebrnym blaskiem, a w lesie na zboczu zahukała sowa. Calve uświadomił sobie, że jeszcze przed chwilą panowała pełna cisza.

Popatrzył na towarzyszy, ale obaj milczeli.

- Już przeszło - powiedział z ulgą.

Leżący na ziemi liść znowu stanął na ogonku i zaczął się powoli obracać. Szybkość obrotów stale rosła, aż widać było tylko rozmyty kształt, księżyc ponownie szczerwienił.

- Miejsca zawierające koncentrację mocy nie mogą się przecież poruszać tak szybko - powiedział Ebenez. - I nie mają wyraźnych granic.

- Jesteśmy w prądzie zstępującym. Coś zaczęło wpływać na chaotycznie się poruszające resztki magiczne i naturalne absorbery, i

one teraz po zwijającej się spirali dążą ku jej środkowi - Glawin wypowiedział myśl, którą już przedtem sformułował.

- Skąd to możesz wiedzieć? - zapytał go Ebenezer. - Co może je tak przyciągać?

- Mogła je przyciągnąć wielka kumulacja mocy, albo odwrotnie, miejsce, w którym żadnej mocy jeszcze nie ma, albo coś innego. Nie zapominaj, że zanim on zniszczył nasz klan, studiowałem na akademii. Miałem zostać czarodziejem bojowym. Uczyli nas weterani, którzy mieli spalone mózgi i nie mogli już czarować, ale pozostała im sprawność myślenia. A tutaj widzimy wyobrażenie jednego z nich, możliwość stworzenia broni totalnej.

- A jak daleko od tego hipotetycznego środka spirali możemy być? - Calve przeszedł do pytań praktycznych.

- Sądząc po tempie zmian, dość blisko - odparł Glawin. Wydawało się, że to go cieszy.

Calve stłumił chęć wściekłego warknięcia.

- Jeśli to wyobrażenie jest prawdziwe, to centrum może zajmować obszar setek mil kwadratowych - rzekł cicho Ebenezer.

- A da się jakoś odgadnąć, czy to tylko wymysł danuutskiej akademii, czy jednak prawda? - zapytał Calve. - W wiosce mieszkają setki ludzi, nie chciałbym ich pozostawić w środku takiej spirali.

Ebenezer badawczo przyglądał się synowcowi.

- Jeśli poszczególne zmiany będą następowały coraz szybciej, a różnice pomiędzy nimi będą coraz wyraźniejsze, będziemy mogli naszą teorię uznać za prawidłową - powiedział zamyślony.

- Też tak uważam - potwierdził Glawin. - Życzę dobrej nocy - pożegnał się i odszedł.

- Zaczynam go nie lubić - rzucił Calve, kiedy oświetlona czerwonym blaskiem sylwetka młodzika zniknęła w półmroku.

- Przydaje sobie znaczenia, ale jest naprawdę dobry - bronił go Ebenezer.



Calve całą noc przesiedział przed domem. Jeszcze pięciokrotnie poczuł obecność mocy, o jednej wiedział, mimo że nie wystąpiły żadne zjawiska zewnętrzne. To go zaniepokoiło. Koncentracja musiała być ogromna, ponieważ jego siła polegała na odporności i nieczułości na ataki magiczne. Dopiero podczas wschodu słońca odetchnął z ulgą, świeciło na żółto. Przeciągnął się i zdecydował choć na krótko zdrzemnąć, kiedy do naturalnego światła dołączył ślad czerwonego, niebieskiego i purpurowego. Słońce zrobiło się pręgowane, gdy przestrzeń przed jego tarczą, zmieniana zakłębieniem Kretskiego, formowała się w zstępującą spiralę niewidzialnego prądu. Calve natychmiast ruszył do domu Ebeneza, żeby go obudzić. Nocnych widm znów pojawiło się trochę więcej i wydawały się jeszcze realniejsze niż poprzedniego dnia. Wczorajsza zjawa Hernandeza przetrwała, choć już tylko w formie oparu. Natomiast nowa wyglądała bardzo rzeczywiście. Calve przeszedł obok ostrza stale tnącej kosi i zatrzymał się na placyku. Ebeneze już spieszył ku niemu.

- Odejdziemy wraz z ludźmi w góry. Doliny są tam wprawdzie małe, ale tydzień czy dwa wytrzymamy. Pola przez ten czas obejdą się bez nas - powiedział Calve zamiast pozdrowienia.

- Zgadzam się - przytaknął czarodziej. - Jesteśmy za blisko, musimy uciekać.

Pomiędzy domami pojawiali się pierwsi mieszkańcy, kierując się ku studni. Łatwiej było z niej nabierać wody niż z potoku. Od czasu do czasu któryś z wieśniaków przystawał i przyglądał się dziwnemu słońcu. Parika wyszła z chaty i ruszyła do potoku, jej mąż poszedł za nią.

- Nie! - krzyknął Calve, tknięty nagłym impulsem, widząc, że kobieta szycowała się skrócić sobie drogę poprzez świeżą zjawę Hernandezą.

Ostrze kosi mignęło w powietrzu i wbiło się w pierś Pariki. Jakub pochwyił żonę i kolejne uderzenie kosi przecięło mu brzuch.

Calve natychmiast zaatakował. Cięcie przeszło przez realistycznie wyglądającą postać jak przez powietrze. Jakub się zachwiał. Calve powtórzył atak, tnąc z góry. Wyczuł już zjawę i wiedział wystarczająco dużo. Siłą woli zmienił strukturę czaru związanego z ostrzem miecza i tym razem poczuł opór. Ciało Hernandeza rozpadło się na dwie połowy, kosa z głuchym stuknięciem upadła na glebę i zniknęła.

- Pariko? - Calve pochylił się nad leżącą nieruchomo kobietą.

Ebenez znalazł się na miejscu tylko o mgnienie oka później.

- Cios prosto w serce, nie mogę jej pomóc, jest martwa.

- Dziecko, dziecko - wyrzęził Jakub.

Czarodziej odwrócił się do rannego. Mężczyzna krwawił z tętnicy, powłoki brzuszne miał otwarte, wnętrzności uszkodzone. Oczy już mu się szklily.

- Kabat na ziemię, wszyscy niepotrzebni odejść - polecił. - Unikajcie tych zjaw. Nóż - zwrócił się do Calwego.

Jednym ruchem rozciął sukienkę i przyłożył ucho do brzucha.

- Dziecko żyje, ale to będzie nieprzyjemny widok.

- Wszyscy odejść! Niepotrzebne nam nowe koszmary nocne! Odejść! - Calve energicznie odganiał ciekawskich.

Nieco później Ebenez trzymał w rękach zakrwawionego noworodka.

Do tej chwili ruchy czarodzieja były dokładne i celowe, ale teraz najwyraźniej nie wiedział, co zrobić.

Calve odebrał dziecko od przyjaciela i zawiązał je w kawałek własnego płaszcza.

- Co teraz? - zapytał go Ebenez, patrząc na kwilący pakunek.

- Poproszę którąś z karmiących kobiet, żeby je zabrała. Jeśli przeżyje, sam je wychowam. Nie zapomnij o pozostałych widmach - ostrzegł czarodzieja i ruszył w stronę domu, w którym niedawno urodziła się dziewczynka.

Po drodze minął oczekującą Alice.

- To też wasza wina - powiedziała oskarżycielsko.

- Wiem - burknął, odwrócił się i odszedł. Musiał iść ostrożnie, bo przez łyzy widział wszystko niewyraźnie.



- Chcę pomówić z tym starcem i dowiedzieć się, który z nowo przybyłych przebywał ostatnio na dole, nie w górach. - Calve zwrócił się do Kilidża, pochylając się nad miską kaszy owsianej, którą ktoś mu podał.

Sam nigdy nie gotował i gdyby mu nie przynieśli śniadania, musiałby się bez niego obejść. W domu tylko spał, i to nie zawsze, jedzenie dostarczali mu wieśniacy. Zawsze czekali na naczynia, co zmuszało go do zjadania wszystkiego. Podejrzewał, że to Parika tak się z nimi umówiła. Kiedyś przyznał jej, że nie odczuwa głodu. To był jeden ze skutków ubocznych wyszkolenia.

Obserwował Ebeneza. Przyjaciel, nieustannie otoczony gromadą ludzi, zwracał uwagę na wiele drobiazgów, które mogłyby w trakcie ich podróży okazać się fatalne w skutkach.

- Życzyliście sobie ze mną mówić. - Staął przed nim starszy człowiek.

Calve po raz pierwszy przyjrzał mu się dokładnie. Nieco więcej niż średniego wzrostu, lekko przygarbiony, z siecią zmarszczek wokół oczu i cienką linią ust. Wszystko to podkreślało wrażenie starości i zmęczenia życiem. Prawdziwy starzec, określił go w duchu.

- Usiądź, proszę. Chcę wiedzieć, jaka jest sytuacja na dole. W miastach i wsiach. Czy nadal trwają walki? Mów tylko to, co sam wiesz. Musimy zdecydować, czy pójdziemy w góry, czy też na niziny.

- Tam nie możecie pójść, on kazał rozgłosić, że wygubi wszystkich czarodziejów do siódmego pokolenia. A myślę, że zwycięży. Już prawie nikt nie stawia mu oporu! - odparł starzec bez wahania.

- To mnie nie interesuje - przerwał mu niecierpliwie Calve. - Chcę wiedzieć, czy na nizinach da się znaleźć miasto, w którym wszyscy ci ludzie mogliby przeżyć.

Jeszcze przez chwilę wypytywał o szczegóły, ale stało się jasne, że starzec dobrowolnie nigdy by na niziny nie wrócił. Ta odpowiedź była

wystarczająca.

Łyżka leżąca w misce nagle drgnęła i zaczęła samoczynnie krążyć dookoła krawędzi naczynia, liść jaworu powoli obracał się na ogonku. Kania przeleciała nisko nad domami i zniknęła pośród drzew. Calve zauważył, że to już trzeci ptak przelatujący tą samą trasą. Przywołał obraz ptaka i przyjrzał mu się dokładniej. Był martwy, na dziobie błyszczał mu emblemat klanu Calvego. Sterowany magią szpieg, napędzany nurtem magicznej rzeki.

- Kilidż mi powiedział, żebym tutaj przyszła, bo chcesz o coś zapytać.

Alice dostała od kogoś lepszą koszulę, zostawiła jednak swoje spodnie i buty. Ktoś jej również porządnie przystrzygł włosy i teraz wyglądała bez porównania lepiej. Spojrzenie miała nadal tak samo harde jak poprzednio.

- Kiedy ostatnio byłaś na nizinie?

- Przed pół rokiem.

- Jak tam wygląda?

- Nikt tam nie rządzi, każdy robi, co chce. Nasze miasteczko w ciągu roku należało do trzech panów. Pozabijali się nawzajem.

- A co się stało później?

- Później przyszli tacy jak ty, z potworami, które nawet nie były ludźmi. Wszystkich mieszkańców uwięzili, a miasto spalili do cna. Potem zabrali ludzi nie wiadomo gdzie i myślę, że już nie żyją. O ile mieli szczęście.

Calve poczuł ogarniającą go złość. Już od długich lat nie brał udziału w tej wojnie. Zaangażował się na krótko tylko na samym początku. Nie rozumiał, dlaczego dziewczyna obwinia go o wszystko.

- Jak to się stało, że ciebie nie zabrali?

- Ja miałam być nagrodą dla potworów - odparła. Mimo nuty cynizmu w oczach Alice na moment mignęła panika.

- Chodź z nami - poprosił ją. - Wyruszymy w góry.

- Czy to twoje dziecko? - zapytała nagle.

- Teraz już tak - odpowiedział, ze złością łapiąc łyżeczkę mieszającą kaszę.

- Czy to chłopczyk, czy dziewczynka? - chciała jeszcze wiedzieć.

- Nie wiem, ale teraz już odejdz! - wycedził przez zęby.

Najchętniej usiadłby na skale i patrzył przed siebie. Ale był otoczony przestraszonymi ludźmi, którzy właśnie w nim pokładali swoje nadzieje.

- Przeklinam magię - wyrwało mu się.



- Jak tam, Gławinie, jak teraz wygląda ta spirala? -zwrócił się do chłopaka, sprawdzając uprząż koni i orczyki wozów. Chciał, żeby pierwsze grupy wyruszyły jak najszybciej.

- Jesteśmy blisko, a to wzrasta. Osiki uschły, sam popatrz! - prawie wykrzyknął młody czarodziej.

Calve stłumił chęć skarcenia go. Jakby chłopaka nic nie obchodziło, że wszyscy tutaj mogą umrzeć. Spojrzał we wskazanym kierunku. Osiki rosnące wzdłuż potoku były już w połowie czarne, jakby spalone. Drzewa te były jednym z naturalnych magicznych wskaźników, ale Calve nigdy nie słyszał, żeby mogła je zniszczyć niekierowana moc rozpylona w przestrzeni.

Nad głową znów mu przeleciała martwa kania, na słońcu pojawiły się czerwone pasy i świat pociemniał. Jeśli ptaki latały wokół epicentrum, musiało ono znajdować się niedaleko.

- Najwyższy czas na odwrót - burknął.

Rozgwar przygotowań zagłuszył naraz okrzyk bólu. Calve bez zwłoki ruszył w kierunku krzyku. Przebiegł przez placyk, precyzyjnie się pomiędzy ciekawskimi i wydostał na skraj wioski, gdzie poprzedniego dnia odbył się sąd nad bandytami. Nikt tam już nie krzyczał, wszyscy stali oszołomieni. Na ziemi leżał martwy mężczyzna, któremu coś urwało obie stopy.

Calve nie dostrzegł niczego, co mogłoby to zrobić. Znał tego człowieka, czasem dyskutował z nim o drewnie używanym do budowy domów. Wiedział, że był bardzo silny i mógł się czołgać aż do momentu, kiedy się wykrwawił. Krwawy ślad w czerwonym półmroku dostrzegł dopiero po starannym zbadaniu okolicy. Dobył mieczy i

ruszył świeżym tropem. Wieśniacy poszli za nim, utrzymując spory odstęp. Światło przygasło, potem pojaśniało, świat przyjął błękitnawy odcień, a twarze ludzi zmieniły się w blade plamy bez wyrazu. Ślad kończył się na grobie bandytów.

- Szpadel, potrzebny mi szpadel - zażądał.

Podano mu go niemal natychmiast.

Zaczął kopać. Szło mu łatwo, ziemia była miękka. Po odkryciu wierzchniej warstwy obszedł grób. Nie chciał zeszkakiwać na dół. Jego klan używał podziemnych czerwi żywiących się ciałami martwych. Nie były one niebezpieczne dla żywych, ale pozostali mogli sądzić inaczej. Rozejrzał się po ludziach. Wyglądali na przestraszonych. Byli na skraju paniki. Koniecznie trzeba to wyjaśnić. Najchętniej zawołałby Ebeneza, ale przyjaciel przygotowywał właśnie ochronę przed słońcem. Musieli liczyć się z tym, że zakłęcie Kretskiego może wystąpić w pełnej sile. Bez przeciwnego czaru odmieniony żar mógłby ich spalić.

- Wyczuwasz tam coś? - zwrócił się do Gławina, który stał w pierwszym rzędzie gapiów.

Chłopiec tylko pokręcił głową. W dziwnym świetle wyglądał na starszego i zamyślonego.

- Martwi ożyli - szepnął ktoś nagle.

Calve już się przyzwyczaił, że ludzie niemający pojęcia o magii miewają często bezsensowne pomysły. Ożywienie zmarłych i użycie ich do czegokolwiek było takim samym absurdem jak wystawienie armii złożonej z glinianych figurek. Zeskoczył do grobu z mieczem w dłoni, czując się nieco teatralnie.

Nic się nie wydarzyło, w powietrzu unosiła się tylko woń świeżej gleby. Nagle poczuł pod nogami delikatne poruszenie. Szybko wyskoczył z dołu. Na powierzchni ziemi pojawiła się ręka i jej palce zacisnęły się w miejscu, w którym przed chwilą stał Calve. Po chwili się cofnęła. Calve wiedział, do kogo należała, poznał po pierścieniu na palcu.

Martwi jakby zrozumieli, że zostali odkopani, i zaczęli się wygrzebywać ze swego grobu.

- Spokojnie, damy temu radę - powiedział, zanim zdjęci grozą ludzie zdążyli się rozpierchnąć. - Gławinie, poinformuj stryja,

pozostali niech kończą przygotowania do odjazdu. Ja i wy trzej - wskazał na wybranych mężczyzn - zostaniemy tutaj i zobaczymy, co na nich działa.

Jego spokojny głos zrobił swoje, ale on sam musiał bardzo się starać, żeby nie poddać się groźnej sytuacji. To, co się tutaj działo, przeczyło wszystkim prawom, jakie znał. Nie przestraszyło go, że martwi w jakiś sposób ożyli, ale raczej to, że byli w stanie myśleć. Pozostawali w ukryciu i swoje istnienie zdradzili dopiero wtedy, kiedy uznali, że zostali odkryci.

Po jakimś czasie stwierdzili, że martwi nie są zbyt szybcy, ale bardzo silni. Każde zranienie, o ile można mówić o zranieniu nieżywych, spowolniało ich, ale dopiero przy znacznym zniszczeniu ich zdolność ruchowa zupełnie znikła. Calve, posługując się mieczem, dowiedział się jeszcze czegoś. Koncentracja mocy w pobliżu była olbrzymia, ale w ciałach trupów jeszcze wielokrotnie większa. To go trochę uspokoiło. Stał za tym jakiś nieznany czarodziej, a to czyniło wszystko bardziej zrozumiałym. Calve powątpiewał, że to mieszkańcy wioski są celem, sądził, że przez nieszczęśliwy przypadek zostali wplątani w te działania. Ewakuacja mogła ich uratować.

- Skończyliśmy - oznajmił, kiedy z trupów pozostały tylko nieruchome kawałki.

Ebenez pogrążył się w pracy, karawana powoli formowała się na placyku. Calve krótko poinformował przyjaciela o swoich spostrzeżeniach.

- Uciekniemy przed tym - odpowiedział mu czarodziej. - Jeśli nie popełnimy błędu, damy sobie radę.

Słońce pociemniało, przypominało teraz purpurowy dysk, dawało tylko tyle światła, ile normalnie dociera na ziemię o późnym zmroku.

- No ale zakłęcie Kretskiego pozostanie - zachmurzył się Ebenez.

- I co z tego? - Gławin nadszedł z workiem swoich osobistych rzeczy.

Calve popatrzył na chłopca. Wydawało mu się, że jest on najlepiej poinformowany o ostatnich nowinach z pola walki, co więcej, miał wyczucie i potrafił myśleć. Nawet jeżeli czasem zachowywał się głupio.

- Masz jakiś pomysł, co to może być? - zapytał go.

- Wygląda to tak, jakby ktoś przystosował zakłęcie do pozyskiwania energii wprost ze słońca - odpowiedział Gławin bez zastanowienia.

- To bardzo skomplikowane - zaproponował Ebenezer. - Ale możliwe - dodał po chwili.

- Uciekniemy przed tym. - Calve starał się upewnić siebie i innych.

- Z mieszkańcami nie uciekniemy, będziemy zbyt powolni - nie zgodził się Gławin.

Calve spojrział na jego worek. Rozumiał młodzika całkowicie. Przed piętnastu laty w Vegasz, mieście, gdzie znajdowało się najwięcej magii na całym Kontynencie, los trzech setek ludzi utrzymujących się z hodowli zwierząt i uprawy zbóż w ogóle by chłopaka nie zainteresował.

- Nie opuszczę ich - rzekł cicho.

- Ja też nie - dodał Ebenezer.

Gławin wzruszył ramionami.

- Idę popędzić ludzi, niech wreszcie wyruszymy - oznajmił Calve.

- Ktoś nadchodzi z gór! - krzyknął Kilidź, stojący na czele szeregu wozów.

Calve pobiegł i zatrzymał się przy pierwszym wozie. Ścieżką podążali z gór nieznanymi, ale nie dochodzili aż do wioski. Stawali o jakieś pięćdziesiąt kroków od jej granicy, w półmroku widoczne były tylko ich sylwetki. Jednak Calve swymi niezwykle oczami widział każdy szczegół.

- Powiedz, Kilidź, czy w górach nad nami są jakieś cmentarze?

- Tak, panie, jest jeden. Kiedyś była tam wioska. Ale dlaczego o to pytacie?

- Żebyśmy wiedzieli, skąd przychodzą goście. Wozy z powrotem do wioski, postawcie je w kręgu na placu! Będziemy się bronić! - szybko wydawał nowe rozkazy.

Calve czuł, że cała organizacja rozłazi mu się w rękach. Gromada jeszcze przed chwilą współpracujących ludzi, stając przed nową potwornością, wyczerpała zasób swojej odporności i popadła w stan letargu lub odwrotnie, uległa napadom hysterii. Kilku mieszkańców pobiegło w ciemność i już nie wróciło. Kilidź z garstką zdolnych do

działania utworzył z wozów krąg w pobliżu stawu, ale to było wszystko. Wieśniacy zbili się w grupki, siedzieli w milczeniu i oczekiwali końca. Ciemność, chociaż niekompletna, przytłaczała wrażeniem namacalności, liście wirowały, a na stawie bez żadnej przyczyny pojawiły się fale.

- Światło, potrzebne nam światło - mruknął Ebenezer.

Pstryknął palcami i na placyku pojawiła się świecąca na żółto kula.

- Dobry wybór, przypomina prawdziwe słońce - szepnęła Calve.

- Przemów do nich - rzekł czarodziej. - I pospiesz się, długo tego nie utrzymam, coś na mnie naciska. Moje światło mu się nie podoba.

Calve stanął dokładnie pod kulą. Światło docierało aż do ostatnich chałup, poza jego kręgiem ciemność wydawała się jeszcze gęstsza.

- Mieszkańcy! - zaczął Calve. - Mamy przeciwko sobie czary! Drogę blokują nam martwi! Ale my zwyciężymy! Wystarczy rozbić tę garstkę przed nami i ruszymy w drogę, tam, gdzie świeci słońce, rośnie zielona trawa, gdzie wasze dzieci będą bezpieczne. To blisko, a ich jest tylko kilku. Damy radę!

Wszyscy milczeli, nikt się nie poruszył, jedynie nad ich głowami przeleciała martwa kania.

Calve poczuł wściekłość, jak zawsze, kiedy czuł się bezradny. Nie wiedział, czy mają szansę na zwycięstwo, ale musieli spróbować. Bezczytność oznaczała śmierć.

- Kicham na was! - krzyknął nagle. - Tchórze. Pozwalacie umrzeć własnym dzieciom! Może i jestem czarodziejem, może ponoszę winę za to, co się dzieje, ale taki jak wy nie jestem. Zdechniecie jak owce, bo tego chcecie! Mógłbym odejść i się uratować! Żaden z tych nędznych, powolnych trupów nawet by mnie nie dotknął. Zostanę tu ze względu na was i niczego już od was nie chcę.

Z nieruchomej gromady wystąpiła Alice. U pasa wisiała jej niedawno naostrzona zardzewiała szabla, dziewczyna miała na sobie starą koczującą.

- Pomogę ci - powiedziała. - Zrobię wszystko, co trzeba.

Calve popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nie rozumiał, dlaczego akurat ona wystąpiła.

- Ja też - przyłączył się do niej mąż kobiety, która obiecała karmić

dziecko Pariki.

- Przynieście tu jak najwięcej drewna i rozpalcie trzy ogniska na obwodzie stawu. Wszystkie dostępne naczynia napełnijcie wodą - poprosił Calve. - Mężczyźni zdolni do walki, za mną, musimy się uzbroić.

Calve podzielił obrońców na dwójki. Jeden miał broń, którą mógł wbić w nieprzyjaciela, drugi jakiś przedmiot, którym mógł martwemu wyrządzić maksymalną szkodę. W większości przypadków były to widły z długim trzonkiem, młoty albo cepy.

Kiedy rozpałiło się pierwsze ognisko, Ebenez zgasił światło.



Calve stał na jednym z wozów tworzących krąg i wpatrywał się w ciemność.

- Już idą - oznajmił.

- Ilu ich jest? - zapytał czarodziej.

- Jeśli są to martwi z jednej tylko górskiej wioski, to musiała ona stać tam minimum tysiąc lat - odpowiedział cicho, żeby nikt inny nie usłyszał.

- Obawiam się, że przeciwko nim nie będę wystarczająco skuteczny. Atakuję mocą, a oni są nią przesyceni. Musiałbym użyć większej siły i bardzo szybko by mnie to wyczerpało - powiedział Ebenez. - Będę leczył rannych. Nigdy nie myślałem, że aż tak mi będzie brakowało tej umiejętności. - Pokręcił głową.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, kim właściwie jesteś - zauważył Calve, nie spuszczając oczu ze zbliżającej się ławy martwych. Nie próbowali otoczyć obrońców, widocznie ten, który nimi kierował, uznał, że atak z jednego kierunku wystarczy.

- Czarodziej bojowy - mruknął Ebenez. - A któż by inny?

- Takich jest mnóstwo, przyjacielu. Mnie też ktoś mógłby uważać za czarodzieja bojowego.

- Strategiczny czarodziej bojowy. Jeśli dasz mi dość czasu, zrównam z ziemią miasto albo zatopię wyspę. Ale rannych będę dziś

leczył po raz pierwszy - powiedział cicho Ebeneż.

Rząd owianych migotliwą poświatą szkieletów podszedł bliżej.

- Twój, Kilidź, jest ten trup bez głowy, który trzyma gałąź. Vafe, ty bierz się za tego olbrzyma. - Calve przydzielał obrońcom poszczególnych przeciwników. Wiedział, że pierwszy atak jest najbardziej zaskakujący. Obrońcy powinni zyskać pierwsze doświadczenie i pewność siebie. - Teraz, Kilidź!

Widły z suchym chrzęstem wbiły się w klatkę piersiową, szkielet napędzany nieznanym rozkazem pochylił się naprzód, przeciwstawiając się naciskowi wideł, w powietrzu mignął cep i z trzaskiem rozbił czaszkę wraz z kręgosłupem szyjnym. Podobne akcje powiodły się również innym dwójkom.

- To całkiem łatwe - wykrzyknął któryś.

- Oszczędzajcie siły, ta walka będzie długa! - zawołał Calve i ruszył wokół kręgu, żeby dodać ducha pozostałym obrońcom.

Potok martwych rozdzielił się i jak woda opływająca kamień sunął wokół prowizorycznego umocnienia. Pośród sapania mężczyzn, trzasku łamanych kości i uderzeń pałek rozległ się naraz pierwszy krzyk człowieka. Niepozorny obrońca został ściągnięty z wozu i w mgnieniu oka rozszarpany.

- Uważajcie! - ryknął Calve. - Są powolni, ale bardzo silni.

Zauważył, że nagle zrobiło się trochę jaśniej. Słońce nie świeciło mocniej niż poprzednio, to fluoryzowała moc kierująca martwymi. Świt, tak często przynoszący nadzieję, tym razem w ogóle nie nadchodził.



- Oddział Kusego, zmiana! - rozkazał Calve. Czuł narastające zmęczenie. Nieustannie przebiegał od jednego wozu do drugiego i walczył, jeśli była taka potrzeba. Kobiety i dzieci, stłoczone w środku kręgu, spały, mężczyźni schodzili ze zmiany i natychmiast kładli się na ziemi i zasypiali. Calve nie wiedział, czy to jeszcze noc, czy już dzień, świat wyglądał wciąż tak samo. Ebeneż bez przerwy opatrywał rannych,

których pomału przybywało. Gławin mu w tym pomagał. Od rozpoczęcia ataku nie powiedział ani jednego słowa. Wydawało się, że nad czymś rozmyśla.



Odgłosy bitwy zagłuszył nagle trzask łamanego drewna, jeden z wozów rozpadł się, obrońcy zeskoczyli z niego w ostatnim momencie.

- Wszyscy pozostali, pilnować swojej roboty - ryknął Calve i rzucił się do powstałego wylomu. Natychmiast zrozumiał, że nieprzyjaciół próbował nowego sposobu. Ci martwi byli jeszcze silniejsi. Na poświęcie otaczającą ich szkielety prawie nie dało się patrzeć. Dobył mieczy, klingi dosięgnęły ramion i korpusów, w niebieskiej poświęcie pojawiły się białe plamy, uderzenie sprzężenia zwrotnego prawie zważyło czarodzieja z nóg. Uskoczył przed ciosem nienaturalnie długiego szponu i znów ciął oboma mieczami w tułów. W miejscu, w którym ostrza przesycone zakłębieniami trafiały na opór, wytwarzała się nadkrytyczna koncentracja mocy, ale tym razem Calve był przygotowany na cios sprzężenia zwrotnego i siłą woli odrzucił go od siebie. Napastnik rozprysnął się w jednym błysku. A Calve nadal walczył ze świecącymi się sylwetkami.

Kiedy skończył, stał wśród połamanych kości, atakujący byli rozproszeni, a ci, którzy znajdowali się dalej, zamarli jak pokryci lodem. Rozejrzał się. Za nim stał Ebenezer z Głównym, obok nich Alice. Trzymała w ręce szablę, wyraźnie gotowa mu pomóc. Uśmiechnął się do niej. Noc zmieniła się w dzień, jednak świeżo narodzona nadzieja na zwycięstwo szybko zgasła.

Z tego samego kierunku co szkielety zbliżała się do obrońców postać utworzona z oślepiającego światła. Kościotrupa ani jakiegokolwiek ciała nie mógł dostrzec. Nad głową znów przeleciała martwa kania.

- Taran destruktywny - usłyszał mamrotanie Ebeneza. - Jest na granicy stabilności. Kto go zaatakuje, spowoduje eksplozję i zginie razem z nim.

Calve dalej nie słuchał. Siłą woli złączył oba miecze w jeden. Przesycona mocą stal jęknęła, czary stabilizacyjne jelca starały się nie dopuścić do niekontrolowanej eksplozji. Ujął miecz oburącz i pobiegł naprzeciw świecącemu monstrum.

- Chce, żebyśmy byli daleko od zasięgu eksplozji - wyjaśnił Ebenezer, zdejmując kabat.

Pod nim miał klanową zbroję z ruchomych płytek pokrytych skomplikowanymi diagramami, na piersi przepaskę z trzema rzędami

aktywnych kryształów w gniazdach z kości słoniowej. W jedną dłoń ujął to-paz, w drugą kryształ.

- Głęboko, jak najgłębiej, Calve! - szepnął, oczy zaświeciły mu rubinowym blaskiem.

Calve, robiąc ostatni krok, pochylił się i pchnął mieczem. Włożył w to pchnięcie całą siłę mięśni i impet biegu. Ściana mocy wybiegła mu naprzeciw i rozbiła jedną strukturę ochronną za drugą.

Dostałem cię, przeszło mu przez głowę, a potem rozplynął się w morzu energii.



Słońce świeciło na pomarańczowo, jak zawsze, kiedy skłaniało się ku zachodowi, trawa była zielona. Na ziemi blisko jego głowy leżała martwa kania.

Ktoś podparł mu plecy i mówił do niego. Poznał Alice.

- Żyję - wychrypiał i usiadł. - Jak to możliwe?

- To czarodziej coś zrobił... - Alice wzruszyła ramionami. - Jeszcze nie przyszedł do siebie. Pewnie ci to później wyjaśni.

Calve wiedział, że może iść sam, mimo to pozwolił się prowadzić. Było to przyjemne. Cieszyło go każde dotknięcie ciała dziewczyny i czułość, z jaką się o niego troszczyła.

Ebenez spoczywał na prowizorycznym legowisku, czuwali przy nim Glawin i Kilidź. Starzec ciekawie obserwował czarodzieja z pewnej odległości. Wieśniacy otrząsali się z szoku i z podziwem przyglądali się światu w jego naturalnych kolorach.

Calve usiadł obok przyjaciela i czekał. Nic innego nie pozostawało mu do zrobienia. Alice bez pytania przyniosła mu szklankę wody. Była świeża, przed chwilą nabrana z potoku. Spojrzał na dziewczynę z wdzięcznością. Spadający z drzewa liść opadł na pierś Ebeneza. Nie został tam nieruchomo, tylko stanął na ogonku i zaczął się coraz szybciej obracać.

Alice zacisnęła usta, Kildź spochmurniał.

- Wygląda na to, że to się jeszcze nie skończyło -szepnął Calve.

- Nie skończyło - powiedział Ebeneż, otwierając oczy. - Ten atak przez całą noc wydawał mi się nadzwyczaj źle zaplanowany. A później pomyślałem: gdzie się podziewa moc, którą przynieśli ze sobą ci martwi?

- Jest tutaj, dookoła nas - odpowiedziała Alice zamiast Calvego.

Glawin sprawiał wrażenie niezadowolonego.

- Złości cię, że sam o tym nie pomyślałeś, co? -uśmiechnął się krzywo Ebeneż.

- A ten ostatni atak? - zapytał Calve. - Mógł nas przecież zniszczyć.

- To możliwe, ale wydaje mi się, że eksplozja nie przebiegła tak, jak powinna. Powinna spalić mnie zamiast ciebie, a tymczasem obaj żyjemy - powiedział czarodziej po krótkim wahaniu.

Calve w milczeniu uściśnął rękę przyjaciela.

- I tak musimy się przenieść. Chociaż na jakiś czas - powiedziała Alice.

- Dziś już za późno na podróż. I wszyscy musimy porządnie odpocząć - oznajmił Calve.

Był niezmiernie zmęczony i czuł się pusty. Nawet oddychanie wydawało mu się uciążliwe.

Wszyscy zdecydowali się spać na zewnątrz. Alice przygotowała sobie poślanie niedaleko Calwego. Ucieszył się z tego. Zauważyła, że się jej przygląda.

- Ebeneż powiedział, że możesz mieć obrażenia wewnętrzne i że jesteś wstrząśnięty. Ktoś musi na ciebie uważać - wyjaśniła krótko. - A to dziecko to dziewczynka. Powinieneś o tym wiedzieć, skoro jest teraz twoje. I musisz wybrać jej imię, dziecko nie może być bezimienne - dokończyła łagodniej, z cieniem wymówki w głosie.

- Parika, nazwę ją Parika - powiedział i położył się na materacu.

Nagle zabrakło mu sił. Widział jeszcze, jak Ebeneż rozstawia warty. Nie sądził jednak, że po przebytych wydarzeniach ktoś utrzyma się na nogach. Zamknął oczy.



Ludzie spali, księżyc świecił czerwonym blaskiem, nad głową przeleciała mu martwa kania. Wiedział, że to tylko sen. Zagryzł wargi, przetaił oczy i znowu zasnął. Ludzie spali, księżyc świecił na czerwono, nad głową przeleciała kolejna martwa kania, a pomiędzy domami zaczęły się formować nowe senne mary.

Obudził się siłą woli. Pojawienie się nocnych widziadeł było jednym z dowodów kontaktu ze skoncentrowaną mocą. Znowu zasnął. Senne mary kształtowały się jedna za drugą i łączyły pomału w jedno duże monstrum. Calve stwierdził, że jest złany potem i drży ze strachu. Do niczego taki odpoczynek, już lepiej nie spać w ogóle.

Otworzył oczy, nad jego głową przeleciała martwa kania. Świtało, ale połowę nieba zakrywała fioletowa ściana, wznosząca się na kilkadziesiąt stóp. Dokładnie nad nim załamywała się, jakby chciała utworzyć kopułę.

- Ebenez! Glawin! Kilidź! Atak! - ryknął, zrywając się na nogi. Brakowało mu mieczy, czuł się bez nich nagi i bezbronny.

Śpiący wstawali, jednak ściana rosła nadzwyczaj szybko i coraz bardziej się zakrzywiała. Było jasne, że chce ich uwięzić. Już nie była jednolita, ukazywała się w niej niewyraźna struktura wewnętrzna.

- Co to jest, do licha? - zapytał Calve Ebeneza, ale czarodziej tylko pokręcił głową.

Skupił się na chwilę i wszystkie kamienie, jakie miał w opasce, zaczęły świecić, a niektóre diagramy na płytkach zbroi uzyskały przestrzenny wygląd.

Fioletowa zasłona wznosiła się już nad nimi jak ogromna kopuła.

- Glawinie, wstawaj! - Ebenez potrząsnął chłopakiem. - Jak myślisz, co to może być?

Calve pomyślał, że w zasłonie zaczyna dostrzegać znajome kształty.

- To nie może być prawda - szepnął, ale z wyrazu twarzy

czarodzieja odgadł, że przyjaciel widzi to samo.

Oblicze stawało się coraz wyraźniejsze i powoli formowało się w pogardliwy grymas. Calve podniósł szpadel leżący nieopodal i jednym ciosem uciął Glawinowi głowę. Kilku wieśniaków krzyknęło. Z góry dobiegł do nich szeleszczący odgłos, dopiero po chwili zrozumieli, że to śmiech.

- Za późno, Calve, za późno - śmiał się Glawin, lub też to, w co się zmienił. - Mielście to jak na dłoni i żaden z was niczego nie zauważył! Tylko ochrona głupich wieśniaków była wam w głowach! Nie zaatakował was żaden żywy nieprzyjaciel! To sama moc nagromadzona w przecinających się strukturach uzyskała własną świadomość i szukała sposobu, jak wzmocnić i zabezpieczyć sobie dalszą egzystencję. Chciała nas pochłonąć. Byłaby wtedy jeszcze silniejsza. Mówiłem wam, uciekajmy, kiedy to dopiero nadchodzi. Nie posłuchaliście mnie, wasz błąd. A mogliście pozostać przy życiu.

Usta wprawdzie poruszały się, ale słowa dochodziły zewsząd. Calve widział, że Ebenez zamknął oczy i zgarbił się lekko, wargi miał fioletowe, a koniuszki palców białe. Przyjaciel w skupieniu tworzył czar.

- Jak ci się udało tak przemienić? - zapytał stwora, żeby odwrócić jego uwagę.

- Podporządkowałem sobie istotę utworzoną z czystej mocy, stałem się jej mózgiem. Jestem najsilniejszym czarodziejem, jaki kiedykolwiek żył na świecie - syknął Glawin zwycięsko.

Ebenez otworzył oczy, wyprostował się, machnął ręką i wydał z siebie gardłowy okrzyk. W fioletowej kopule pojawiło się pęknięcie, przez które świeciło słońce. Rozstęp rósł i niszczył magiczną substancję. Calve musiał zebrać wszystkie siły, żeby wrzenie mocy wywołane tak druzgoczącym czarem nie zważyło go z nóg. Wszyscy wieśniacy padli bez zmysłów.

- To boli, stryju! - jęknął Glawin, ale zaraz jego jęk zmienił się w dudniący śmiech.

Ebenez opadł na kolana; z jego klanowej zbroi został tylko pył, twarz postarzała się o dziesięć lat.

- To było dobre, całkiem dobre - kontynuował Glawin. - Mógłbyś tym czarem zniszczyć pół Kontynentu, ale musiały was być trzech,

żeby na mnie wystarczyło. A dla twojego serca to już zupełnie dość. Z bogami, stryjku.

Na Calyego nagle spadł silny cios. Kiedy rozjaśniło mu się przed oczami, stwierdził, że leży wciśnięty w ziemię na placyku.

- A to była moja odmiana „ciężkiej ręki”, Szermierzu - syknął Glawin. - Z bogami. Użyję was do swojego wzmocnienia.

Na fioletowej kopule pojawiły się dwie rubinowe elipsy.

Calve próbował wygrzebać się z ziemi, szukając ich źródła. Ebenez też rozglądał się zdezorientowany na wszystkie strony.

- Co to jest? - wściekle krzyknął Glawin. - Który z was to robi?

Jego dwuwymiarowe oblicze ściągnęło się w bolesnym grymasie.

- Nie jesteś najmocniejszym czarodziejem na świe-cie - Calve usłyszał za sobą znajomy głos. - Choć mógłbyś się nim stać, gdyby nie pech.

Calve na moment stracił świadomość. Wiedział, że to skutek wybuchu mocy. W końcu udało mu się wstać. Odwrócił się i oślepił go blask pary rubinowych oczu. Kiedy pociemniały, Calve zrozumiał, że patrzy na twarz starca, lecz pozbawioną oznak starości.

- Wy dwaj jesteście ostatnimi, których szukałem - powiedział mężczyzna cicho, a Calve aż się zachwiał.

Stał twarzą w twarz z Czarodziejem, samym Tekuardem, na którego rzuciły się wszystkie klany, a on je po kolei wygubił.

- Obiecałem, że zniszczę czarodziejów do ostatniego, a później skończę ze sobą. Szkodzimy światu i przynosimy mu wszystko, co najgorsze - dodał powoli.

W jego głosie dało się słyszeć zmęczenie, ale nie na skutek niedawnego pojedynku, tylko z powodu wszystkich minionych lat.

- Ta wojna nigdy nie powinna była wybuchnąć. Użyliście... użyliśmy czynów zakazanych, czarów granicznych, struktur, których znaczenia nikt nie rozumiał. To, co widzieliście, było pierwszym pokłosiem tej wojny: stwór powstały ze starych zaklęć, posiadający własną inteligencję. Gdyby nie zawładnął nim Glawin, z czasem dojrzałby sam. A nadejdą dalsze pokłosa, wiem o tym, czuję to.

Calve słuchał, starając się odgadnąć, do czego Czarodziej zmierza.

- Przez następnych kilka lat, do czasu, kiedy wszystko się uspokoi,

ludzie nie przeżyją bez pomocy. A wy dwaj jesteście ostatnimi na tyle silnymi, żeby im pomóc. - Tekuard uśmiechnął się gorzko. - Nie chciałem być czarodziejem. Życzę wam dużo szczęścia, będzie wam potrzebne.

Odszedł ścieżką na południe. Z daleka wyglądał jak każdy inny wędrowiec.

- Powinieneś napisać książkę. - Calve po długim milczeniu zwrócił się do Ebeneza. - W której wszystko byś opisał.

- A jaki miałyby tytuł? - zachrypiął czarodziej.

- Jak prawie zniszczyliśmy świat - powiedział Calve.

- Jak to prawie? - Ebeneza wskazał zdewastowaną okolicę, smugi fioletowej mgły i nocne widma.

- Ponieważ musimy być optymistami, nic innego nam nie pozostaje - odpowiedział mu Calve i zaczął delikatnie cucić Alice.

KONIEC



**OSTATNI
BIERZE WSZYSTKO**



Izba tortur zbudowana była na planie wielkiej litery L. Załamanie murów dzieliło ją na dwa prostokąty o wymiarach dwadzieścia pięć na trzydzieści oraz dwadzieścia pięć na pięćdziesiąt stóp. Nie miała ani jednego okna i zgodnie z projektem architektonicznym miała być oświetlana pięcioma świetlikami. Jednak ich wyloty w suficie blisko narożnika były ciemne.

Lustra dawno już oslepyły. Oświetlenie zapewniał czar, który powodował, że powietrze we wszystkich pomieszczeniach pałacu jarzyło się na fioletowo. W tym chłodnym świetle ściany wykute w litej skale sprawiały wrażenie wilgotnych i śliskich.

Do izby tortur wiodły drzwi wykonane z dębowych belek grubości dłoni, wzmocnionych pasami czarnego żelaza. Wisiały na czterech potężnych zawiasach, a rolę zamka pełniły dwie masywne zawory.

Judasza zakrywała okiennica zaopatrzona w kratę z prętów grubości kciuka. Wyjście dla nieupoważnionych znajdowało się w ścianie naprzeciw drzwi. Na pierwszy rzut oka przypominało drzwiczki do pieca. Za nimi znajdował się pionowy szyb, prowadzący do

niezbadanego systemu jaskiń pod pałacem. Gdyby ktoś spróbował przecisnąć się przez wąski otwór, siedemdziesiąt stóp niżej czekało go spore zaskoczenie w postaci przegrody wykonanej z ostrych płyt stalowych wpuszczonych w skałę.

Fag Hendrix, dozorca więzienny i inkwizytor w jednej osobie, poprawił ogień na ruszcie i dołożył kilka bierwion. To samo wykonał z drugim paleniskiem po przeciwnej stronie pomieszczenia. Doświadczenie nauczyło go, że kiedy izba tortur była dobrze nagrzana, system wentylacyjny odprowadzał ciepło gdzieś do wnętrza pałacu. Jeśli nie, do pomieszczenia przenikał zimny i wilgotny powiew z podziemi. A to niedobrze wpływało na jego artretyczne kości. Kiedyś, gdy był młodszy, spróbował zbadać system wentylacyjny. Bez skutku. Zabłądził w istnym labiryncie i wrócił po dwóch dniach tylko szczęśliwym trafem. Zakończył podsycanie ognia, usiadł na sfatygowanym krześle i zabrał się do obiadu. Powoli łykał pokrojone kawałki słoniny, zagryzając chlebem, i zamyślony przyglądał się gościowi. Tak właśnie nazywał więźniów. W ostatnich latach nie było ich zbyt wielu. Pamiętał o siedmiu, lecz pamięć zaczynała go już zawodzić. Jeden z nich towarzyszył mu przez cały rok. Aż do chwili, kiedy odszedł przez kłapę.

Mężczyzna przywiązany do rozciągliwej drabinki był nagi. Hendrix pozostawił mu tylko buty i kolczyki. Był przystojny i młody, sieć zmarszczek wokół ciemnoniebieskich oczu ledwie się zaznaczała. Długie czarne włosy miał związane skórzanym rzemykiem w koński ogon, krótki zarost podkreślał kości policzkowe. Nie był wielki, ale proporcjonalnie zbudowany, pod skórą uwidaczniały się sprężyste mięśnie. Miał za sobą dopiero wstępne rozciąganie, sprawiał wrażenie spokojnego i badawczo spoglądał na swego dręczyciela.

Hendrix skończył jedzenie, zmiotł okruchy na dłoń, wstał i wyrzucił resztki przez kłapę do podziemi.

- Niedawno Dareag chciał, żebym wypróbował jego nową truciznę. Chłopinie, którego tym karmiłem, zbyt to nie szkodziło. Kiedy w końcu mogłem go zrzucić na dół, otruł mi wszystkie szczury. Teraz muszę porcjować ciała na drobne kawałki, ale mięso i tak zostaje na długo i lęgną się na nim muchy. Nie uwierzysz, jakie te podziemne

potwory są odporne. Wielkie jak trzmiele i gryzą. Już od dwóch tygodni podrzucam do szybu różne przysmaki, a szczury nie wracają.

Przez chwilę spoglądał na rząd znaczków wyciętych na belce nośnej drabinki, a potem podszedł do więźnia. Obmacał mu ramiona, kciukiem i palcem wskazującym zbadał napięcie skóry mięśni pleców i długo wpatrywał się w jego twarz.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś synem Genevy? Przysięgała, że z tym łajdakiem nigdy żadnego smarkacza nie miała.

Mężczyzna skupił się i po krótkim wahaniu zapytał:

- Co o niej wiesz?

Hendrix wzruszył ramionami, podniósł zapadkę koła i przekręcił je o ćwierć obrotu. Używał tylko prostego bloczka, był stary i gruby, ale siła mu pozostała. Mężczyzna przymknął oczy, stłumił krótki jęk, jednak szybko się opanował.

- Jeszcze nie masz wybitych ramion, ściągną też trzymając. Założyłbym się, że jesteś jej synem - stwierdził Hendrix. Jego twarz przybrała nieobecny wyraz.

- Jak to, do licha, poznałeś? Nazywam się Valent Crane, a Geneva rzeczywiście była moją matką.

Crane mówił niewyraźnie i przesadnie wymawiał spółgłoski syczące. Hendrix wiedział, że to z powodu deformacji piersi i skłonu szyi.

- Mam tu na belce wycięte znaczki. Kreski oznaczają gościa, którego naciągnąłem bez zranienia, kóleczko, kiedy mu wyskoczyły ramiona ze stawów, a kwadracik, kiedy zaczęły pękać ścięgna. Geneva miała długie i rozciągliwe mięśnie. Nikt nie wytrzymał tak długo jak ona. Dopiero ty.

Hendrix odwrócił się, jakby chciał obejrzeć gołą ścianę przed sobą.

- Geneva - powiedział głośno bez związku.

Crane gwizdnął zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że moja matka tu przebywała. Myślałem, że ta suka zdołała dogadać się z Dareagiem najlepiej ze wszystkich. Jak dawno temu tu była?

Hendrix przetarł twarz dłońmi.

- Nie wiem, ale naprawdę bardzo dawno.

- A jak to się stało, że przeżyła?

- Dareag po nią posłał.

- A ty mu oddałeś kwilącą masę krwawego mięsa? Mam dwadzieścia siedem lat i pamiętam ją jako czarującą istotę, która potrafiła każdego omotać wokół palca.

Hendrix przymknął oczy.

- Nie była wtedy żadną kaleką. Odeszła ode mnie prawie w takim samym stanie, w jakim przyszła.

- Jak to?

- Miała czym płacić.

Crane zabawnie zamruczał.

- Mówiłem ci. To suka. Umiała się dogadać z każdym. Nawet z tobą.

Zamilkł na chwilę, a potem zapytał z ożywieniem:

- Hej, chłopie! A ja nie mógłbym ci zapłacić? Przyjrzyj mi się dokładnie.

Hendrix pokręcił głową.

- Taa, jesteś do niej podobny. Doskonałe ciało, sprężyste mięśnie, kształtna twarz. Ale masz pecha. Pod tym względem mężczyźni nigdy mnie nie interesowali. Nawet gdybyś był jej córką, jest już za późno. Jestem za stary na chędożenie. Tylko jedna rzecz ma dla mnie znaczenie.

Zwolnił zapadkę i naciągnął Crane'a o kolejny ząbek.

Tym razem dłużej potrwało, zanim mięśnie i ścięgna się przystosowały, a Crane chociaż częściowo poradził sobie z bólem.

- Jak długo tu u ciebie była? - wycodził przez zęby.

- Miesiąc.

- Musiałeś paskudnie ryzykować. Przez miesiąc sprzeciwiać się rozkazowi i jej nie przesłuchać.

Hendrix odwrócił się do Crane'a plecami. Długo stał bez ruchu, w końcu podszedł do półki wiszącej na przeciwległej ścianie, otarł z kurzu szklaną karafkę, otworzył ją i się napił. W pomieszczeniu rozszedł się zapach alkoholu i ziół. Nie był zbyt intensywny, lecz Crane uświadomił sobie, że kręci mu się w głowie i prawie nie odczuwa bólu.

- Torturowałem ją, oczywiście. Każdego wieczoru osobiście składałem meldunek Dareagowi. Rozmawiałeś z nim kiedyś twarzą w

twarz? - Głos Hendrixa zadrżał.

- Tak.
- I okłamałeś go kiedyś?
- Nie.

Hendrix wzruszył ramionami.

- Ja też nie.

Jeszcze raz solidnie łyknął. W karafce została zaledwie połowa zawartości.

- Jednak nie pojmuję, jakim sposobem mogła po miesiącu być w jednym kawałku. Tu jest bardzo piękna rzeźnia. - Crane spróbował wskazać brodą na poczerwiałe, nieforemne narzędzia rozwieszane wokół na ścianach, ale nie pozwoliło mu na to naprężenie ciała.

Hendrix się skrzywił.

- Pracuję dla Dareaga od stu pięćdziesięciu lat. Nauczyłem się dobrze przez ten czas. Musiałem. Wyobrażasz sobie, co on robi z tymi, z których jest niezadowolony? To, co na ścianach, niczemu nie służy. On chce, żeby ludzie umierali w boleściach. Poćwiartowanie kuchcika, który popsuł śniadanie, sprawi Dareagowi przyjemność, ale to tylko rutynowa praca. A dla tych, którzy rzeczywiście mu się narazili, jest to.

Hendrix nacisnął dłonią ścianę. Blok skalny, niewidoczny na pierwszy rzut oka, odwrócił się bezszelestnie. Po drugiej stronie wisiały w uchwytach precyzyjnie wykonane haki, noże i skalpele najróżniejszych kształtów i wielkości, w aksamitnych pudełkach błyszcząły liczne igły.

- To narzędzia do średnich prac. A to - sięgnął na półkę i wyjął kasetkę z ciemnego drewna - do tych najprecyzyjniejszych.

Otworzył skrzyneczkę i Crane zobaczył jej zawartość.

- Igły z diamentowymi czubkami, skalpele z takimi samymi ostrzami, druty delikatniejsze niż ludzki włos, piły z ząbkami, których nie zobaczysz bez silnej lupy. Zdołam nakłuć rdzeń pacierzowy w każdym kręgu kilka razy, wyciąć z ciała połowę kości. Mam tu dziesiątki różnych trucizn, środków pobudzających, narkotyków. Umrzesz dziesięciokrotnie, stokrotnie, jeżeli takie będzie życzenie Dareaga. Zwyczajny ból, jaki znasz, nic dla ciebie nie będzie znaczyć. Prawdopodobnie jak większość ludzi zwariujesz na długo przed

śmiercią. - Hendrix mówił mechanicznym, dźwięcznym głosem, jakby był zahipnotyzowany, nie spuszczać wzroku z narzędzi.

Crane po raz pierwszy utracił zblazowaną pozę.

- Jesteś takim samym bastarciem jak Dareag! Tortury to twój żywioł!

Hendrix wyprostował się i odetchnął głęboko, aż powietrze zasyczało między jego zębami.

- Nie oczerniaj go. To twój ojciec. Każdy, w kogo żyłach płynie jego krew, zasługuje na śmierć. Gdyby to było w mojej mocy, załatwiłbym was wszystkich. Szybko i bez ceregieli.

- To nie jest mój ojciec - warknął gniewnie Crane.

Hendrix skrzywił się pogardliwie.

- Tutaj wszyscy wymyślcie najbardziej wariackie historyjki, ale one nie uchronią was przed torturami. Z jakiego powodu tu jesteś, jeżeli nie masz w sobie jego krwi? Wy, jego potomkowie, jesteście do niego przywiązani dziedzictwem wzmocnionym czarami. Możecie żyć tylko w jego pobliżu. A kiedy umrze, ktoś go zastąpi. Ale tylko jeden może udźwignąć piramidę mocy. Kiedy umrze, nastanie czas wielkiego zabijania! Będę się śmiał, gdy wyrzniecie się nawzajem! Chciałbym dożyć tej chwili.

Hendrixowi błyszczały oczy.

- Nie jestem jego synem, matka przysięgała, że nie! Nienawidzę go, nie jestem jego synem!

Crane jakby zapomniał, gdzie się znajduje. Zwijał się z wściekłości, aż więzy wpijały mu się głęboko w ciało i na skórze pojawiły się kropelki krwi.

- Dlaczego więc nie odszedłeś? - zapytał prowokacyjnie Hendrix.

- Próbowalem! Istnieją czary, które mogą tu zatrzymać nawet normalnych ludzi! Nie posunąłem się dalej niż poza kamień graniczny państwa. Gdyby mnie sługa nie przyniósł z powrotem, umarłbym. Serce przestało mi bić.

Hendrix skrzywił się znowu.

- Chcesz czy nie chcesz, na jedno wychodzi. Nie możesz odejść. Ale nie bój się, nie jesteś pierwszy, który tutaj skończył. Powiedziałbym, że większość moich gości to twoi krewniacy - zaśmiał

się.

Odezwało się stukanie do drzwi.

- Ze trzy miesiące nikogo tu nie było, a teraz nagle ktoś się dobija.

Powoli dokuśtykał do wejścia, stanął z boku, żeby z zewnątrz nie było go widać, i otworzył okienko.

- Zawsze ten sam bezsensownie ostrożny, co, Hen-drix? To ja, Aldrin, mam dla ciebie rozkaz wprost od pana.

Hendrix splunął i zbliżył się do okienka.

Mężczyzna na korytarzu wyglądał niczym uosobienie starości. Zgarbione plecy, pomarszczona, wyschnięta twarz, wodniste, zaropiałe oczy i skrzeczący głos.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze żyjesz, Aldrinie. I wcale mnie to nie cieszy.

- Nie wpuścisz mnie do środka? Wyszło mi w ustach i w gardle. To tysiąc trzysta stopni. Masz jeszcze tę ziołową gorzałkę?

- Zamknij się. Muszę pracować.

- Nie musisz. Ale mogę ci dostarczyć człowieka, którym mógłbyś się pobawić, a ja razem z tobą. Moja oferta jest poważna, przyniosę nawet coś do picia i przysięgam, że nie będę ci przeszkadzał. Będę się tylko przyglądał. No to jak?

Hendrix odmownie pokręcił głową.

- Jesteś bastarden, Aldrinie. Kiedyś cię zaproszę. I obiecuję, że wszystko zobaczysz. W lustrze.

Starzec warknął wściekle.

- Crane'a musisz wypuścić, pan zmienił decyzję. Powiedział mi to osobiście. Mam nadzieję, że zbytnio nie popsujesz gościowi facjaty, Dareag nie pochwaliby cię za to. - Aldrin zachichotał i odwrócił się od drzwi.

Hendrix poczekał, aż starzec wejdzie na trzy pierwsze stopnie, i zapytał:

- A pierścień? Za każdym razem, kiedy mam tu kogoś z rodziny, nadchodzi sporo rozkazów od Da-reaga. Znasz przepisy, w sprawach dotyczących jego potomków wraz z nowymi rozkazami muszę otrzymać pierścień do pieczętowania. Bez niego wszystko to tylko twoje puste słowa.

Aldrin zaklął.

- Zapomniałeś, co? Starzejesz się, chłopie. Pospiesz się, wracaj jak najszybciej. Na górę i na dół to będzie dwa tysiące sześćset stopni. Jestem już po obiedzie i wkrótce zacznę. A jeśli pan zmartwi się, że synek nie wygląda jak przedtem, to możesz zgadnąć, kto będzie tym niedobrym.

Hendrix zamknął okienko i wrócił do drabinki.

Crane patrzył na niego rozszerzonymi oczami.

- Co robisz! Masz mnie wypuścić! Poczekaj na ten zasrany pierścień.

Hendrix zwolnił zapadkę.

- Nie lubię Aldrina, ciebie też nie. Jeśli cię zabiję, będzie o jednego czarodziejskiego potworka mniej, a Aldrinowi to zaszkodzi.

- Nie jestem jego synem, już ci to mówiłem! -Crane krzyczał z całych sił.

- Nie uwierzyłbyś, jakimi brudami obrzucają go jego dzieci! Nigdy nie słyszałem, żeby któryś z was mówił o Dareagu chociażby uczciwie, a co dopiero z uczuciem. Właściwie powinienem go żałować. Ma dużą moc, a nie zdołał wychować swoich dzieci tak, żeby go kochały. - Hendrix skrzywił się i zamierzał przystąpić do dalszej pracy.

Crane zamilkł, zacisnął zęby, na twarzy wystąpiły mu kropelki potu.

- Nie jestem, nie jestem jego synem. A ty jesteś łajdakiem.

Z góry zabrzmiał jakiś dźwięk stłumiony odległością, ale Hendrix go zidentyfikował. Rozpaczliwy krzyk zdławiony ręką na ustach. Mógłby przysiąc, że usłyszał również bulgotanie krwi wypływającej z rozciętego gardła. Ofiara i kat spojrzeli na siebie. Hendrix zwolnił naciąg o pół obrotu, zabezpieczył koło i zasunął zawór w drzwiach. Gdyby nie to, że zauważył, iż odgłos zarejestrował również Crane, pomyślałby, że tylko mu się wydawało. Po latach samotności w podziemiach słyszał czasem głosy od dawna martwych ludzi. Nie przejmował się tym zbyt, przypisując to starości.

Z wahaniem zdjął ze ściany hak do obdzierania ze skóry. Kiedyś już użył zagiętego ostrza na krótkiej nasadzie jako broni.

Crane nie spuszczał oczu z drzwi. Nie postawiłby na swoje życie więcej niż szóstaka, a w pętlach czuł się zupełnie bezbronny. Wydało

mu się, że ktoś ostrożnie próbował pchnąć drzwi, jakby chciał sprawdzić pewność ich zamknięcia. Z doświadczenia wiedział, że takiej przeszkody nie sforsuje się bez tarana. Zastanawiał się, na kogo powinien postawić. Czy na nieznanego zewnątrz, czy na starca, który go wyraźnie nienawidził. Ale Hendrixowi w każdej chwili mógł być doręczony rozkaz uwolnienia więźnia. Crane czuł się jak gracz w pokera, który nie może popatrzeć nawet we własne karty.

Z rozmyślań wytrąciły go ruchy energii w głębi odbicia świata materialnego. Ktoś tworzył czar. Crane wyrzucił z głowy wszystkie myśli i z doskonale wyczyszczonym umysłem silnie się skupił. Struktura czaru była skomplikowana i wysoce niestabilna. Już samo jego utrzymanie wymagało znacznej ilości energii. Ktoś chciał się dostać do środka i musiał w tym celu pokonać czar chroniący izbę tortur. Crane był na tyle doświadczony, żeby poznać, że ochrona jest dziełem Dareaga. Po krótkim wahaniu szepnął:

- Ktoś czaruje. Chce się dostać do środka. Jest silny.

Hendrix przytaknął i odłożył hak. Otworzył skrzynię służącą mu za ławę, wyjął z niej dwa duże pakunki i zaczął je pospiesznie rozkładać. Jeszcze przed trzydziestu laty ostrzeżenie Crane'a nie byłoby mu potrzebne. Starzał się.

W pierwszym tobole znajdowała się płytkowa kolczuga z wysokim, zbrojonym kołnierzem, w drugim topór bojowy. Crane syknął boleśnie. Diagramy zaklęć obronnych na zbroi i toporze były tak potężne, że na moment odebrały mu oddech. W tym przypadku również rozpoznał dzieło Dareaga.

Za drzwiami dobiegał odgłos gorączkowych czynności na korytarzu.

- Szybko! - popędzał Crane Hendrixa. Powietrze w pomieszczeniu tężało.

Hendrix zacisnął zęby. Pośpiech przy nakładaniu zbroi powodował zawsze kłopoty. Z trudem przeciągnął kolczugę przez gruby brzuch. Udało mu się to, kiedy wypuścił całe powietrze z płuc. Miał jednak wrażenie, że pozbawił się połowy skóry w okolicy pępka. Wyjął ze skrzyni tarczę, nasadził ją na lewą rękę, w prawą uchwycił topór i podszedł do drzwi. Crane syknął ostrzegawczo. Zawory pocięły się, prawie popękały, a dębowe deski cicho skrzypiały. Hendrix zastonił się

tarczą.

Żelazo zawory pękło, ćwieki w deskach puściły, drzwi wpadły do wnętrza pchnięte wielką siłą. Diagramy odwrotnych zakłęb zaświeciły, czerwona otoczka żaru wokół Hendrixa zmieniła się na białą. Crane myślał, że spali się żywcem, ale przed głównym naporem niszczącej siły ochronił go Hendrix. Żar jeszcze nie zdążył zgasnąć, kiedy w wejściu pojawiła się ciemna sylwetka.

Hendrix wykorzystał długość styliska topora i bez przygotowania uderzył od spodu skośnie w górę. Mężczyzna zwałił się z rozciętym podbrzuszem, ale natychmiast zza niego wyłonił się następny. Na tarczę Hendrixa spadło uderzenie miecza. Kat wykorzystał jednak swój ciężar i nie pozwolił wepchnąć się do wnętrza. Zaatakował z zaskakującą żwawością, napał na przeciwnika i zatrzymał go w przejściu. Stał dzwoniła o stal i zgrzytała o kamień. Crane starał się obserwować walkę, ale nie widział dokładnie ze względu na przywiązaną głowę. Walczący wymienili kilka ciosów. Wydawało się, że stary mężczyzna prędzej czy później musi zginąć, jednak nagle zaatakował zdumiewająco szybko kombinacją cięć i uderzeń tarczą i udało mu się zwalić przeciwnika. Był już jednak wyczerpany, ledwie się trzymał na nogach i wyraźnie zataczał. Na schodach czekał trzeci napastnik.

Świsnęła strzała. Hendrix widział niezbyt wyraźnie, huczało mu w uszach, serce kołatało się w piersi. Płuca ciężko pracowały, ale nie nabierały wystarczającej ilości powietrza. Uniósł topór i ruszył naprzód. Jednak nogi go zawiodły, kolana się załamały i ze zgrzytem metalu mężczyzna zwałił się na posadzkę.

Nie wiedział, jak długo leżał, zanim doszedł do siebie. Na schodach nikogo nie było. Wstał i z trudem dotarł z powrotem do pomieszczenia. Zakrwawiony topór położył na ławie.

- Jestem zbyt stary - wychrypiał.

Crane nerwowo spoglądał na strzałę wbity w belkę tuż obok niego. Uderzenie nie było mocne, grot pogrążył się w drewnie zaledwie do połowy swojej długości, lecz jego powierzchnia była pokryta jakąś ciemną substancją.

- Rzekłbym, że chcieli dostać mnie, a nie ciebie - powiedział

głośno. - Kombinacja siły fizycznej i magii nie jest spotykana zbyt często. Może po pokonaniu barier chroniących to pomieszczenie nic innego im nie pozostało.

Hendrix przytaknął.

- Jeszcze nie mogę sprawnie myśleć. Jak przyjdę do siebie, to cię wypuszczę. Muszę odetchnąć.

- Tacy, którzy polegają na broni, nie mają na ogół pojęcia o magii. I na odwrót, ci, którzy używają magii, mają skłonność do ignorowania prostej broni. Nasi napastnicy byli dobrzy w obu dziedzinach. Nie poradzili sobie jednak z chronioną czarami zbroją i twoimi umiejętnościami w walce. Tak wyposażony mógłbyś wybić cały klan czarodziejów. Gdzie, do licha, się tego nauczyłeś?

Hendrix nie zareagował. Leżał na ławie z oczami utkwionymi w strop i ciężko oddychał. Wydawało się niemożliwe, że przed chwilą zabił dwóch napastników. Dopiero po półgodzinie wstał, odwiązał Crane'a i badawczo przyglądał się, jak mężczyzna z trudem usiłuje stanąć na nogi.

- Takie rozciąganie człowiek pamięta dość długo.

Crane wprowadził pojękiwań i syczał z bólu, lecz szybko przyszedł do siebie. Ubrał się pospiesznie i zapytał:

- Dasz mi jakąś broń?

Hendrix spojrział na zabitych leżących u drzwi.

- Tak. Gdybyśmy spotkali jeszcze kogoś, tak byłoby lepiej.

Machnął ręką ku ścianie.

- Wybierz sobie coś. Pójdiesz o krok przede mną. Nie próbuj żadnych sztuczek, może jestem już stary, ale wciąż wystarczająco dobry, żeby cię dziabnąć w nerkę.

Crane nic nie odpowiedział, jednak w duchu zgodził się z Hendrixem. Kat był niebezpiecznym przeciwnikiem. Może nie najszybszym, lecz nieludzko dokładnym i sprytnym.

Zdjął ze ściany długi nóż i zważył go w ręce. Potem wybrał jeszcze jeden, mniejszy, z krótką rękojeścią i wąską klingą. Pozostałe narzędzia były być może przydatne do wiwisekcji, ale do walki się nie nadawały.

Hendrix odciął mały woreczek powieszony na haku, zmiął go w rękach i wysypał zawartość na dłoń. Powąchał ją i z samozaparciem

wykonał silny wdech, aż drobne cząstki suszonych ziół wpadły do nosa. Rozkaszał się i zatoczył, a z oczu pociekły mu łzy.

Crane pogładził trzonek noża opuszką palca. Teraz. Starzec na pewno nie mógł się bronić. Jedno pchnięcie, najlepiej w gardło powyżej zbrojonego żołnierza, żeby nie przebijać się przez kolczugę. Drugiej okazji nie będzie. Wykroczył lewą nogą na szerokość stopy, otwierając sobie drogę do ataku prawą ręką. Z ukosa spojrzął na Hendrixa, który z zamkniętymi oczami opierał się ciężko o stół i z trudem łapał oddech. Na skórze szyi kata widać było niebieskie żyły i żółte starcze plamy. Crane uświadomił sobie, że się waha. Zaskoczyło go to. Dlaczego, do licha? Wszystko wydawało się takie proste, jeden płynny ruch. Znał drogę i z łatwością mógłby sam wydostać się z więzienia.

Hendrix przewyciężył skurcz, złapał oddech, okazja przepadła.

- Co to było? - zapytał Crane.

- Środek pobudzający. Muszę cię zaprowadzić aż do sali audiencyjnej, a tysiąc trzysta stopni to dla mnie bardzo dużo. Bez tego bym ich nie pokonał.

- Dareag powinien już dawno wysłać cię na odpoczynek. Jak to się stało, że nadal mu służysz?

Crane był wytrącony z równowagi swoim zawahaniem i starał się teraz ją odzyskać.

Hendrix zawiesił u pasa ciężki topór.

- To długa historia. No dalej, nie dajmy twojemu tatusiowi czekać - warknął i popchnął więźnia przed siebie.

Crane ruszył ku schodom i podświadomie liczył stopnie. Pięćset dziewięćdziesiąt siedem, pięćset dziewięćdziesiąt osiem. Ponad pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym znajdował się zamaskowany przełaz do splotu korytarzy i pomieszczeń ukrytych w ścianach. O tym, że w szerokich murach pałacu znajdują się liczne pomieszczenia, wiedzieli prawie wszyscy mieszkańcy, ale nikt nie znał ich lepiej od Crane'a. Ukryty labirynt był w rzeczywistości tak rozległy jak przestrzeń mieszkalna. A może i rozleglejszy, gdyż Crane odkrył kiedyś wielkie tajne pomieszczenie w ścianie grubej zaledwie na stopę. Urządził w nim jedną ze swoich baz.

Sześćset dwudziest stopień. Nie była to pułapka, ale tutaj

schodziły się cienie zaklęć używanych wszędzie na wyższych piętrach pałacu. Zdołał rozpoznać tylko jedno z nich - odbicie skomplikowanego zamka zabezpieczającego skrzydło zamieszkałe przez Adrianę. Przekroczył to miejsce. Z doświadczenia wiedział, że postrzępione woale czarów, które przylepią się do człowieka, przyniosą mu pecha. Słyszał, jak Hendrix ciężko doczłapał, delikatny, chaotyczny splot czarodziejskich włókien zawibrował, ale później od niego odskoczył. Crane szedł dalej zamyślony. Na magię był niezwykle uczulony, potrafił śledzić linie mocy i dokładnie analizować struktury, do których inni czarodzieje przywiązywali wielką wagę. Umiejętność manipulowania magią miał jednak tak nikłą, że plasowało go to pomiędzy najslabszymi potomkami Dareaga.

Na dziewięćset trzydziestym siódmym stopniu błyszczał pierścień.

- Pierścień Dareaga. Miał ci uratować życie - powiedział Hendrix.

Nieco dalej znaleźli dwóch mężczyzn z poderżniętymi gardłami. Crane pomyślał, jak niezwykle rozchodzą się dźwięki w podziemnych labiryntach. Aldrin leżał o dwa zakręty schodów wyżej. Obejrzeli starca pobieżnie, ale nie stwierdzili, co właściwie go zabiło. Jednak był martwy. Nie oddychał, lecz nie przybrał siniego koloru, a więc jeszcze nie zaczął chłódnać. Hendrix w pierwszej chwili wyjął topór, ale potem go schował.

- Pewnie nie ma w tobie życia, bastardzie, ale nie będę ryzykował - oświadczył prawie wesoło, podniósł zwłoki i zrzucił je w dół schodów.

Crane przypuszczał, że na końcu stromych stopni zostanie z Aldrina tylko nieforemna bryła połamanych kości i rozdartych tkanek.

- Wygląda na to, że naprawdę go nie lubiłeś - stwierdził.

- Nie chcę zostawiać za plecami czegoś, o czym nie jestem przeświadczony, że na pewno nie żyje - odparł Hendrix.

W końcu dotarli do sali audiencyjnej. Zatrzymali się przed żelaznymi drzwiami, które swoimi rozmiarami przypominały raczej bramę do twierdzy. Hendrix oddychał ciężko, łomot serca wymęczonego aż do granic możliwości drogą prawie go ogłuszał. Crane wyczuwał, że sala jest pełna ludzi. Musieli tam być prawie wszyscy stali mieszkańcy pałacu.

- Idziemy.

Każdy z nich pchnął jedno wierzeje i weszli do wnętrza. Jak za każdym razem rozmiary sali oszołomiły Crane'a. Strop znajdował się na wysokości ponad dwustu stóp, a przeciwległa ściana, zaopatrzona w ogromne okna, wyglądała jak szary pasek z równo rozmieszczonymi kryształami świecącego krzemienia. Na murze z błyszczącego granitu widniały nieostre sylwetki ludzi, których w sali nie było. Hendrix musiał mrużyć oczy, żeby nie oslepnąć. Zbyt długo już przebywał w podziemiach.

Cicho kroczyli po marmurowej posadzce. Hendrix konsekwentnie unikał stąpania na czarne płyty wplecione w złożony wzór. Crane przypomniał sobie dzień, w którym jako chłopiec wciągnął się bloczkiem po linie aż pod sam sufit, żeby zobaczyć, co przedstawiono na podłodze. Teraz jednak nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Wiedział jednak, że gdy tylko się rozejrzał, jego świadomość eksplodowała i ogarnęła go ciemność. Później cały dzień wisiał bezwładnie pod sufitem, dopóki nie znalazła go Geneva. To wspomnienie nadal było bolesne.

Sto osiemnasty krok, Hendrix wiedział, że są w połowie drogi do tronu. Zmusił się do podniesienia wzroku. Z każdym mijającym krokiem było to dla niego coraz trudniejsze. Tron Dareaga otaczał tłum ludzi. Tłoczyli się, żeby stać jak najbliżej czarodzieja, aby nie umknęło im choćby jedno jego słowo. Bezwzględnie przedzierał się do przodu, za pomocą nóg i łokci, ale mimo że wielu ludzi po prostu uderzał, nikt nie spojrzał na niego po raz drugi. Rozglądał się nerwowo. Z daleka poznał Magona, wzrostem przewyższającego pozostałych. Niebezpieczna Adriana, po Dareagu najważniejsza czarodziejka w pałacu, miała wokół siebie sporo wolnej przestrzeni. W białej szacie do samej ziemi wyglądała jak niewinna panienka. Rozbawiło to Hendrixa. Nigdzie nie widział jej bliźniaka, Dorga. Był ulubieńcem Dareaga, a z Adrianą żyli jak pies z kotem. Feili i jej armii nie musiał zbyt długo szukać. Wysokich na sześć stóp wojowniczek o cienkich taliach, kształtnych biodrach i sterczących, wysoko wznoszących się piersiach nie sposób było przegapić. Zakuci w stal rycerze Oswalda nawet w ogólnym chaosie utrzymywali idealną formację. Na powierzchni równej kilku stadionom tłoczyły się setki czarodziejów, zabijaków,

psychopatów i genetycznie zmutowanych potworów. Obecni byli wszyscy potomkowie Dareaga wraz ze swymi sługami.

Hendrix stwierdził, że czoło ma pokryte zimnym potem i ściśnięty żołądek. Bał się, ponieważ nie pojmował, co jest przyczyną tego zgromadzenia. Przez długie lata prawie nie wychodził z izby tortur, ale mimo to na ogół dobrze wiedział, co się dzieje. W mniej więcej równych odstępach czasu potomkowie Dareaga przychodzili do niego na pogawędkę. Po części po to, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o pozostałych, a po części - żeby samym puścić w obieg jakąś informację lub plotkę. Hendrix pełnił rolę punktu wymiany wiadomości, z jego pomocą powstawały chwilowe sojusze. Nikt nigdy nie odważył się na niego napaść, ponieważ jako długoletni sługa, dozorca więzienny, inkwizytor i kat stanowił dla wszystkich tabu.

W końcu precyzyjnie się do pierwszego rzędu. Da-reag siedział na kamiennym tronie i krzywił twarz w życzliwym uśmiechu. Hendrixowi ugięły się kolana, a zwieracz pęcherza moczowego na chwilę go zawiódł. Trząśnięty jakby z zimna, musiał się oprzeć o Crane'a, żeby w ogóle utrzymać się na nogach. W ustach czuł gorycz żółci, a jego stare serce waliło jak młot. Strach nie ustępował z wiekiem, ale rósł.

Czarodziej jak zwykle był ubrany w czerń, wapiennobiała twarz odcinała się na jej tle wyraźnie, oczy błyszczały jadowitą żółcią. Był łysy, ale łysina nie połyskiwała barwą ludzkiej skóry, a raczej kolorem kości słoniowej. Skóra kończyła się na poziomie oczu. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej wychudłego niż zwykle.

Hendrix czuł, że zaczyna tonąć pośród aury perwersyjnego szaleństwa, która go otaczała.

- Rad jestem, że znów jesteśmy razem, moje dzieci - przemówił Dareag.

Jeśli jeszcze przed chwilą był w sali jakiś pogwar, to teraz zapadła zupełna cisza. Czarodziej się roześmiał.

- Niewątpliwie wszyscy zdajecie sobie sprawę, że wasza chwila właśnie nadeszła! - Znowu zachichotał. Już ani trochę normalnie, ani trochę. - Zdecydowałem się wreszcie umrzeć, a któreś z was przejmie po mnie berło.

Tłum się zakochał.

- Jeszcze nie, moje dzieci, jeszcze nie wiecie wszystkiego! Bez wątpienia wszyscy przekonaliście się, że bez mojego zezwolenia nie zdołacie odejść. Nawet najmocniejsi z was tego nie potrafią. Czyż nie tak, Adriano?

Dareag powstał i skupił wzrok na czarodziejce. Adriana w milczeniu odwzajemniała jego spojrzenie, pusta przestrzeń wokół niej jeszcze się rozszerzyła. Pomimo prawie męskich rysów twarzy Adriano Hendrix uważał ją za piękną. Zauważył także, że podoba się również swojemu ojcu. Ogromne skupienie spowodowało, że z jej twarzy zniknęły elegancja i człowieczeństwo, oczy przybrały złotawy odcień i pozostała tylko ludzka karykatura.

- Tak, jesteś silna.

Mag mówił teraz z zadumą.

- Jednak w grze, którą dla was przygotowałem, wszystko może się wydarzyć. To interesująca, sprawiedliwa i frapująca gra i na pewno spodoba się wam wszystkim!

Odwrócił głowę i długo się śmiał.

- Jak w każdej grze na zwycięzcę czeka nagroda. Po pierwsze, uzyska możliwość odejścia z pałacu - powiedział i szerokim gestem machnął ręką w stronę okien.

Eksplozja towarzysząca powstaniu struktury czaru zmusiła Crane a do bolesnego okrzyku. W następnym momencie widok za oknami zniknął. Zastąpił go granitowy mur, taki sam jak pozostałe ściany sali.

- Zamknąłem wszystkie wyjścia, Magonie. Wszystkie. Czy to jasne? - Dareag z uśmiechem zwrócił się do olbrzyma, nie czekając na odpowiedź. -A po drugie, zyska majątek, do którego tak tęsknicie! Już go nie będę potrzebował.

Znów zaczął się skręcać ze śmiechu. Jego oczy w fioletowej poświacie rzuciły świetlne refleksy.

- Nikt z was nie zna całego pałacu - powiedział wreszcie. - Nawet ty, Crane, chociaż tak się starałeś. -Czarodziej spojrzał na mężczyznę z uśmiechem. - Potrzebna wam mapa. Podzieliłem ją na trzynaście części. Niektóre są ukryte w łatwo dostępnych miejscach, niektóre rozdałem. Adriana ma jeden duży fragment.

W powietrzu eksplodowała magia tak silna, aż zadrżała posadzka.

Niedokładnie kontrolowana moc powaliła Hendrixa i Crane'a na ziemię. Adriana zniknęła w osłepiająco białej kuli.

- Jeszcze nie, dopiero gdy umrę! Kto zabije przed moją śmiercią, przegrywa już na początku gry.

Głos Dareaga przebił się przez chaos i szalejąca siła zniknęła jak na rozkaz. Hendrix spojrział w kierunku, gdzie przed chwilą stała Adriana. Marmurowa posadzka wrzała, ale czarodziejka wyglądała tak samo jak przed atakiem. Może była tylko nieco bledsza i mogło się wydawać, że lekko się chwieje. Dareag znów zaczął się śmiać.

- Jeszcze nie, powiedziałem: dopiero jak umrę! Bardzo interesujący początek, co ty na to, moja kochana? Powtarzam! Przeżyć może tylko jeden i to on dostanie wszystko.

- Panie! Wasz pierścień! - Głos Hendrixa trząśł się ze strachu. Zdjął pierścień i trzymał go przed sobą jak tarczę. - Miałem wam przynieść pierścień i przekazać więźnia! Skoro odchodzicie, zwolnijcie mnie ze służby! Wypełniłem swoją część zobowiązania!

Przeraziła go własna śmiałość. Najchętniej cofnęłby te słowa, ale było już za późno. Przestraszony wpatrywał się w pana i czekał.

- Zobowiązanie? O jakim zobowiązaniu mówisz? -zapytał czarodziej ze zdumieniem i błyskiem w oczach. Hendrix zrozumiał, że wraz z tym pytaniem przepadła jego ostatnia nadzieja.

- Ale ja chcę umrzeć, ja chcę umrzeć, ty bastardzie! - wykrzyczał w twarz Dareagowi.

Wybuch starca rozbawił czarodzieja.

- Naprawdę? - zapytał cicho, a Hendrix zamilkł w pół słowa. - Naprawdę? Gemot, zabij go! - rozkazał słudze, który klęczał u stóp tronu, i rzucił mu sztylet.

Młody mężczyzna o pustym obliczu wstał, schwycił broń i powoli ruszył ku Hendrixowi.

- Czy on może, panie? Czy może mnie zabić? Nie będę... - Hendrix jękał się, spoglądając na przemian to na Dareaga, to na jego sługę.

- Sam odgadnij, nie jesteś przecież głupi.

Gemot był już blisko, niezgrabnie uniósł sztylet.

Zapewne robił to pierwszy raz w życiu. I ostatni. Hendrix machnął

toporem i zwałił sługę na posadzkę.

Dareag zachichotał.

- No widzisz. Nie wiesz, czego chcesz, a ja z tego powodu straciłem swojego ulubionego pisarza. Jeśli przeżyjesz grę, będziesz służył mojemu następcy. Moim dzieciom - kontynuował, nie zwracając więcej uwagi na Hendrixa.

Crane skupił się i dyskretnie rozejrzał. Powietrze zaczęło się poruszać. Odczuwał to ledwie na granicy swojej wrażliwości, ale postawiłby na to całą złotą monetę. Ktoś powoli aktywował czar podprogowy.

Hendrix ostrożnie obrócił topór w dłoni. Pozwolił stylisku prześliznąć się między palcami i uchwycił za ostrze. Lekko przekręcił w łokciu prawą rękę i wysunął do przodu ramię. Crane podwyższył stawkę do stu monet. Hendrix wykonał rzut. W chwili gdy lecący topór oddalił się od ręki kata na szerokości dłoni, Dareag zareagował. Błysnęło, ale energia jego czaru obronnego odbiła się od powierzchni wirtualnej hiperboloidy, jaka uformowała się przed toporem. Dareag zdołał jeszcze odblokować siłę własnego czaru, ale potem ciężka broń uderzyła go w pierś, przecięła trzecie i czwarte żebro, serce i kręgosłup i przyszpiliła Dareaga do oparcia tronu. Spokój trwał tylko chwilę. Błysnęła długa klinga miecza Magona, przecinając trzech ludzi za jednym zamachem.

- Uciekajmy - ryknął Crane.



Chaos, eksplozje magii, świst stali, ogień, krzyki. Hendrix w ognistej poświacie mamrotał przekleństwa. Crane kopniakami usuwał z drogi tych, którzy uniknęli ciosów topora kata. Bok przy boku wywalczali sobie drogę ucieczki. Potykali się, padali, nurzali we krwi, zbroja Hendrixa pod nieustającymi atakami zaczynała czerwienieć. Szczęście im dopisało i zdołali wydostać się na zewnątrz. Wyczerpany Crane z wysiłkiem zamknął drzwi. Hendrix oparł się o ścianę. Jego stare serce

wahało się, czy zdoła pracować dalej.

Nie mogę, nie mogę umrzeć, tłukło mu się w głowie jak zakłęcie.

Crane stał opodal, ciemna krew skapywała z nasiąkniętych rękawów, oddychał z wysiłkiem.

- Tam są! Mają mapę! - krzyknął ktoś w załomie korytarza.

- Uciekajmy!

Crane ruszył pierwszy, Hendrix, potykając się, podążył za nim. Crane przebiegł obok zakrętu i gwałtownie się zatrzymał. Korytarzem nadchodzili trzej mężczyźni w pełnych zbrojach, z mieczami i tarczami, a za nimi kolejni. Tworzyli stalową tamę nie do sforsowania.

- Oswald! - ryknął Crane ostrzegawczo i odwrócił się.

Hendrix prawie go dogonił, blady, z ręką przyciśniętą do piersi.

- Za nami jest John! Canib John z całą bandą, nie mamy szans! - wydyszał.

Crane rozejrzał się jak zaszczute zwierzę, nagle w oczach zapalił mu się błysk. Przez moment przyglądał się posadzce, a potem stąpnął na jedną z płyt.

- Do mnie! Stań przy mnie.

Z jednej strony uporządkowana formacja stalowych rycerzy, z drugiej chaotyczny tłum uzbrojony w siekiery, miecze, obuchy. Hendrix zawahał się. Przednie linie obu stron zwolniły, przygotowując się do starcia. Dwóch ludzi pomiędzy nimi sprawiało wrażenie ziarnka piasku bez żadnego znaczenia.

- Do mnie, stań blisko przy mnie!

- Rozniosą nas! - Hendrix ryczał, żeby Crane w ogóle go usłyszał we wzrastającej wrzawie.

- Wskocz tu i tupnij! Porządnie!

Rycerze unieśli miecze, rozwrzeszczała się horda Caniba. Odległość pomiędzy obiema grupami zmniejszyła się do piętnastu stóp, Crane i Hendrix stali w pół drogi między nimi.

- Wskocz tu i tupnij!

Hendrix posłuchał, choć uważał to za głupi pomysł. Odbił się i lądując, uderzył ze wszystkich sił piętami o posadzkę. Długa klinga lekko musnęła jego ramię. Stopa Crane'a aż zatrzeszczała przy uderzeniu podkutym obcasem, równocześnie trzasnęła marmur.

Kwadrat światła oddalał się szybko. W ułamku sekundy Hendrix spostrzegł lecące obok niego szczątki rozbitej płyty posadzkowej, potem zawadził o ścianę, kawałki marmuru wyprzedziły go i zniknęły w ciemności. Rozległ się ogłuszający trzask. Ledwie zrozumiał, że to był odgłos spadających kawałków płyty, kiedy sam w coś uderzył. Strop leżącego poniżej korytarza nie wytrzymał, Hendrix zarejestrował krótki błysk fioletowego światła podczas przelotu w poprzek korytarza. Kolejne uderzenie, tym razem o podłogę, znów lot w ciemności w towarzystwie szczątków. Lot, uderzenie, lot. Ciemność, światło, ciemność. Trzask marmurowych płyt. Wreszcie spadł na dno.

Otworzył oczy. Otaczał go mrok. Fioletowego światła nie było. Kat nie wiedział, ile czasu upłynęło. Bolał go brzuch, zmarł i trochę mu się kręciło w głowie. Spróbował podnieść jedną rękę. O dziwo, udało się. W woreczku przytroczonym do pasa namacał krzesiwo, hubkę i ogarek świeczki. Chociaż cały pałac był magicznie oświetlony, zapobiegliwy Hendrix

polegał na własnym wyposażeniu. Migotliwy płomień rozproszył ciemność. Kat rozejrzał się, nadal leżąc, gdyż nie odważył się jeszcze wstać. Wiedział, że krwawi wewnątrz brzucha, ale bał się stwierdzić, ile ma połamanych kości. Pomieszczenie było wyłożone surowymi kamieniami, podłogę pokrywała wdeptana zaprawa murarska, jakby budowniczy spieszył się z robotą. Strop, utworzony przez dwa krzyżujące się łuki, tonął w mroku. Hendrix nie widział otworu, przez który wpadł do wnętrza. Na ścianie po lewej zobaczył zamocowaną półkę, a raczej źle obrobioną deskę. Stała na niej blaszana konew i drewniany puchar. Może kiedyś Dareag kogoś tu zamurował, pomyślał Hendrix. Ostrożnie odwrócił głowę i spojrzął w drugą stronę. Szczątków ludzkich nie zauważył, świeczka oświetliła tylko prostą drewnianą ławę i fragment czegoś, co kiedyś mogło być stołem, na ziemi leżało kilka łuczyw.

Nagle usta napełniły mu się śliną i zaczął się trząść z zimna. Pomacał brzuch. Był wydęty i bolesny przy dotyku. Mniejsza o kości, zdecydował i usiadł ostrożnie. Płomyk świeczki otoczyła tęczowa obwódka. Hendrixowi wydało się zabawne, że jego stare kości wytrzymały. Wstał i sięgnął po konew. Była ciężka i coś w niej chlupało.

Wylew i wieczko zostały uszczelnione woskiem, wyraźnie trafił do piwnicy z winami. Postanowił dobrze się rozejrzeć. Otworzył konew i się napił. Wino było bardzo aromatyczne i miało właściwą temperaturę. Mężczyźnie zakręciło się w głowie. Usiadł, bojąc się, że upadnie. Spróbował jeszcze raz się napić, ale siły go opuściły i nie zdołał połknąć ani łyka.

Otworzył oczy. Ciemność. Wyobrazził sobie długą agonię. Objęła go groza na myśl, że jest martwy i zaczyna się spełniać klątwa Dareaga. W jednej ręce nadal trzymał resztkę świeczki. W drugiej wciąż ścisnął konew. Łyknął, ale wino wydało mu się zbyt mocne. Przyszło mu do głowy, że jak na nieboszczyka, jest dość wybredny. Na kolanach i łokciach przesunął się w kierunku, gdzie poprzednio widział łuczywa. Nagle uświadomił sobie, że zabłądził i poczołgał się za daleko, bo ręka trafiła w próżnię. Zachwiał się. Przez chwilę walczył o odzyskanie równowagi, ale przegrał. Upadek wycisnął mu dech z piersi. Dziura, do której wpadł, była tylko nieco głębsza niż normalny grób. Hendrix leżał wściekły na samym sobie. Tyle dotąd miał szczęścia, a teraz przez własną nieuwagę omal się nie zabił. Poczł zapach wina. Poszukał wokół siebie i namacał przewróconą konew. Pozostała w niej jeszcze połowa zawartości. Tym razem napił się porządnie i zaczął obmacywać okolicę. Dotknął czegoś miękkiego i chłodnego. Ludzka ręka.

Crane, pomyślał.

Po omacku wgramolił się po ścianie, znalazł łuczywo, zapalił je i wrócił do Crane'a.

W swoim długim życiu Hendrix widział niezliczenie wielu martwych, a Crane wyglądał wprost wzorcowo. Kończyny sterczące pod nienaturalnymi kątami, kałuża krwi przed twarzą. Nachylił się ku niemu. Wydało mu się, że usłyszał delikatny oddech. Zaskoczyło go to, ponieważ nie zgadzało się z jego profesjonalną oceną, ale z doświadczenia wiedział, że ludzie związani z magią mogą wytrzymać niezwykle dużo. Zwilżył usta Crane a winem. Tym razem westchnienie było wyraźne. Kropla po kropli wlewał mężczyźnie wino do ust i czekał. Podnieść go jednak się nie odważył. Kiedy zapalał czwarte łuczywo, Crane otworzył oczy, nieskoordynowanie poruszył nogami i potrząsnął głową.

- Byłem gotów się założyć, że masz złamany kręgosłup - powitał go Hendrix.

Crane nie odpowiedział. Zamiast tego spróbował wstać i natychmiast padł bez zmysłów. Hendrix wykorzystał to, żeby dokładniej zbadać obrażenia mężczyzny. Stwierdził, że to, co na pierwszy rzut oka wziął za złamania, to tylko wywichnięcia i opuchlizny spowodowane obtłukiwaniem się o ściany i upadkiem. Wyglądało to groźnie, ale Hendrix tak jak umiał miazdżyć kości, tak potrafił je naprawiać. Pracował nad Crane'em, aż się spocił. Nic na szczęście nie było złamane. Wyczerpany usiadł i zauważył, że Crane go obserwuje. Twarz miał posiniąłą, a czoło pokryte potem.

- Czuję się tak, jakbym jeszcze przed chwilą był martwy.

Hendrix przytaknął.

- Tak właśnie wyglądałeś. Wykonałem na tobie mistrzowską pracę. Tylko nie rozumiem, dlaczego tak się starałem.

- Przy mnie masz szansę na przeżycie.

- Z kaleką? Przez dwa tygodnie będziesz do niczego.

- Zapominasz, kim była moja matka. Za dwie godziny nie dasz mi rady.

Hendrix wzruszył ramionami i oparł się wygodnie o ścianę. Był zmęczony i zachciało mu się spać. Kiedy się obudził, na podłodze palił się niewielki ogień. Crane kuśtykał w tę i z powrotem, starając się rozruszać sfatygowane stawy.

- No nareszcie. Spałeś prawie cały dzień. Już zdążyłem spalić całe drewno.

- Skąd wiedziałeś, że pod nami był szyb? - zainteresował się Hendrix.

- Całe życie badałem pałac i kompletowałem mapy. To mój sposób na przeżycie. Jestem zbyt słaby, żeby przeciwstawić się pozostałym, a nie jestem niczym sprzymierzeńcem. Chowam się, obserwuję, sprzedaję informacje, wymieniam je na inne. Wiedziałem, że pod korytarzem wiodącym do sali tronowej znajdują się tajne korytarze z przełazami. Szyb to jednak coś innego. Na żadnej mapie nie był narysowany. Nie przypuszczałem, że ciągnie się przez całą wysokość pałacu. Sądzę, że znajdujemy się teraz tuż ponad poziomem

więzienia lub izby tortur. O tym pomieszczeniu nie wiem nic. Choć to nic niezwykłego. - Crane wzruszył ramionami. - Pałac ma olbrzymią powierzchnię, łatwo można nie dostrzec nawet katedry, a co dopiero takiej komórki.

- Chcesz powiedzieć, że spadliśmy prawie tysiąc stóp? I przeżyliśmy?

- Tak mi się wydaje. - Crane zawahał się na moment. - Chociaż to prawie nieprawdopodobne.

Hendrix wstał i zaczął badać pomieszczenie. Krypta swoimi rozmiarami przypominała mniejszy pokój dla służby. Z czego jedna trzecia przypadała na dziurę, do której spadł Crane.

- Co to może być?

- Grobowiec? Wymurowany magazyn jedzenia? Tu wszystko przebudowywano po kilka razy. Dokładne mapy nie istnieją.

- A jak się stąd wydostaniemy? - Hendrix zaczął ostukiwać ściany.

- Oszczędzaj oddech - zatrzymał go Crane. - Ja te kamienie nazywam drzwiami.

Nacisnął jeden z nich w murze. Według Hendrixa niczym nie odróżniał się od innych.

- Pomóż mi. Może się mylę, ale jest niezwykle ciężki.

Wspólnymi siłami zdołali nieco odsunąć kamień.

- Nie wydaje mi się, żebym się tą szparą przecisnął - burknął Hendrix.

Crane odwrócił się i bez słowa wskazał na podłogę. Jedna z płyt obracała się na osi, odsłaniając czeluść szybu.

- To jest najgorszy dowcip, z jakim miałem do czynienia przez ostatnie sto dwadzieścia lat.

Hendrix nie zamierzał włączyć do ciemnego otworu, ale Crane już był wewnątrz.

- Niżej się rozszerza. Złazę.

Crane wspierał się o ściany rękami i nogami i schodził z pozorną łatwością. Wkrótce zniknął z pola widzenia, a po chwili ucichły również wszystkie odgłosy. Hendrix odstąpił od szybu, zatknął za pasek pozostałe łuczywa i zaczął szukać własnej drogi na zewnątrz.

Akrobatyczne wyczyny nie wchodziły w jego przypadku w grę.

Zbadał wszystkie ściany i pomału dochodził do wniosku, że będzie musiał pójść w ślady towarzysza, kiedy wrócił zdyszany Crane. W pasie obwiązany był grubym powrozem. Omotał jeden koniec wokół połamanego stołu, a drugi wrzucił do otworu szybu.

- Na końcu liny znajdziesz boczną sztolnię. Jest wąska, ale zmieścisz się tam. Wygląda na niezły labirynt, lepiej poczekaj na mnie przy wyjściu.

Crane uśmiechnął się wesoło.

Hendrix wahał się przez chwilę, a potem poważnie zapytał:

- Dlaczego po mnie wrócisz?

Crane zastanowił się i równie poważnie odparł:

- Nie wiem.

Hendrix na nic już nie czekał i zaczął schodzić. Za pomocą liny dość łatwo dotarł do sztolni. W pierwszych dwudziestu krokach naliczył wyloty pięciu odnóg, a w każdej z nich zauważył kolejne skrzyżowanie. Wcisnął się do jednego z bocznych korytarzy, puścił Crane a przodem i podążył za nim. Ściany przestronnych przejść wyłożone były kamiennymi płytami lub wypalaną cegłą. Im węższe, tym gorsza stawała się jakość muru, najciaśniejsze były po prostu wykute w litej skale lub w glinie. Wkrótce opuścili sieć szerokich tuneli, szli mocno pochyleni, czasem musieli posuwać się na czworakach, a dwukrotnie po prostu pełzać. Hendrix nawet utknął w pewnej chwili i wydostał się dopiero z pomocą Crane a. Po kilku godzinach doszedł do wniosku, że Crane jednak zabłądził.

Kiedy w końcu ujrzał to, co wcześniej uważał za zwykły otwór wentylacyjny do izby tortur, nie odczuł ani radości, ani ulgi. Było mu już wszystko jedno. Crane ukląkł, żeby mieć lepszy widok na dół.

- Nikogo tu nie ma. Nie przyszło mi do głowy, że będą się cieszyć z powrotu do twojej spelunki.

Na moment zamilkł i przybliżył głowę do samej podłogi.

- Ten czarodziejski zwitek na stole jest twój?

- Mapa - szepnęła Hendrix.

- Bastard. To dobrze oddaje jego zmysł humoru.

Przeczisnęli się z trudem do izby tortur.

Gdyby na odwrocie zwoju nie było napisane, że jest to siódma część

mapy, nie doszliby do tego. Rysunek był niejasny, jakby ktoś go na wpół zatarł, a wyraźniejsze fragmenty nie pozwalały na pełną orientację mapy w stosunku do całości pałacu. Chropowate linie tworzyły chaotyczny obraz, nieprzypominający niczego znanego.

- Jedyne, co rozumiem, to to tutaj - powiedział Hendrix, wskazując na nieduży napis w rogu mapy.

- Ja nie. Wydaje mi się, że to swaglish, język czarodziejów. Dalej moja wiedza nie sięga.

- Służyłem Dareagowi długo, a niekiedy rozkazy otrzymywałem na piśmie.

Hendrix zaczął tłumaczyć:

- „Mam nadzieję, że moja ostatnia wskazówka sprawi ci radość. Nie jesteś wprawdzie moim potomkiem, ale za twoją długoletnią i wierną służbę nagrodziłem cię udziałem w grze. Nie powiem ci, kto posiada inny kawałek mapy. Natomiast wyjawię, że w rzeczywistości ma ona czternaście części. I jesteś jedyną osobą, która o tym wie”.

Crane rozejrzał się.

- To znaczy, że na każdym zwoju znajduje się pod-powiedź, u kogo można znaleźć kolejny. Ciekawe, kto szuka tego, który mamy.

Głośno wypowiedziane pytanie pomogło Crane'owi wyłowić z podświadomości coś, co wyczuwał już od pewnego czasu. Wszechobecne włókna mocy, przenikające cały pałac, powoli skupiały się w pobliżu izby tortur. Ktoś wysyłał macki poszukiwawcze i badał wnętrze celi. Crane spróbował wewnętrznym widzeniem zbliżyć się do struktury czaru, aby zidentyfikować sprawcę, ale energia go poraziła. Czarodziej był napełniony mocą aż do granicy niestabilności i nie mógł całkowicie utrzymać jej pod kontrolą. Koncentracja mocy w okolicy narastała.

- Mamy pecha, już idzie - szepnął Crane.

Hendrix rozejrzał się i sięgnął po ciężką pałkę. Topór zgubił, spadając, ale na pozbawionego pancerza maga pałka wydawała się wystarczająca. Crane pokręcił głową.

- Jeśli wierzysz w jakichś bogów, to się do nich pomódl. Jest silny i nadchodzi.

Na przekór swoim słowom stanął za zniszczonymi drzwiami.

Zbliżające się kroki usłyszał już i Hendrix. Zgrzyt stalowych protez o szorstki granit.

- Dorg - kat bezgłośnie wypowiedział imię czarodzieja.

Wydało mu się zabawne, że w dniu, gdy zaczynał myśleć o wyswobodzeniu się, zostanie unicestwiony. Dareagowi udał się ostatni żart. Nienawidził go z całych sił. Hendrix zacisnął zęby i uniósł pałkę. Uświadomił sobie, że pierwszy raz w życiu myśli o czarodzieju bez paraliżującego strachu. W chwili gdy zabił pisarza, zmierzył się z przyszłością i przestał się bać. Był skłonny nawet ryzykować, żeby zmienić swój los.

- Maredinie! - krzyknął.

Crane spojrzał zaniepokojony, że Hendrix oszalał i zaczyna mówić do siebie.

- Maredinie! Dareag jest martwy. Pomóżcie mi!

- Dlaczego? Co z tego przyjdzie? Szykujemy się na ciebie. Nie możemy się doczekać, aż przyjdzie do nas ktoś nowy! Zmiana, po setkach lat jakaś zmiana!

Izbę wypełnił dudniący głos. Crane nie mógł się zorientować, skąd dochodzi. Wydawało mu się, że dźwięk wydają same ściany.

- Wypuszczę was! Jeśli mi pomożecie, wypuszczę was. Obiecuj mi, że zniszczycie Dorga, a ja was wypuszczę!

Po raz pierwszy Hendrix sprzeciwiał się woli Dareaga. Fakt, że czarodziej był nieżywy, wcale mu tego nie ułatwił.

- Powtórz to, kacie!

- Wypuszczę was! Obiecajcie mi, że zniszczycie Dorga, a ja złamię pieczęć, która was więzi!

- Przyjmujemy!

Crane odgadywał po odgłosie kroków, że Dorg jest już w dole schodów.

Hendrix odsunął skrzynię, pod którą znajdował się skomplikowany diagram narysowany na posadzce zwykłą kredą. Zamazał go podeszwą buta. Crane aż się zachwiał, kiedy siła tysiącletniego zaklęcia wleciała w przestrzeń.

Podłoga wybuchła, z dziury w granicie wynurzyły się kościane szpony. Łamały kamień jak chleb, w mgnieniu oka dziura się

poszerzyła, otwierając grób. Spod ziemi wydostał się nieboszczyk. Został z niego tylko pobieleły ze starości kościec, na czaszce jakimś cudem zachowało się pasmo siwych włosów. W miejscu, gdzie kiedyś były stawy, teraz główki kości otaczały kłęby szarego śluzu. Crane wstrzymał oddech. Przywykł do potworności, ale teraz zobaczył stwora, który nie należał do realnego świata. Jego umysł nie chciał zaakceptować tego, co widzi. Za pierwszym kościotrupem pojawił się drugi, a za nimi kolejne.

- Tam, Maredinie! - Hendrix z twarzą wykrzywioną ze zgrozy wskazywał zniszczone, połamane wrota do celi.

Żyjący martwi ruszyli naprzód. Pierwszy z nich wyciągnął kościotrupią dłoń i resztki drewna zmieniły się w kurz. Martwy nie atakował czarami, siłą woli zmienił właściwości materii i przetransformował ją w nicłość. Manipulował procesem zaniku. Z korytarza dobiegło rozzłoszczone syczenie. Moc przybrała kształt koncentrycznych spiral i wypełniła skomplikowaną strukturę czaru. Crane poczuł, jak mur poza nim chwieje się i płonie. Maredin wyciągnął ręce przed siebie. Eksplozja powaliła Hendrixa na podłogę, powietrze zmieniło się w ogień topiący stal. Druga eksplozja. Rozległo się nieludzkie wycie. Ostatni martwy nie zdążył nawet przejść poza mur, kiedy rozsypał się na drobne kawałki. Kości zachrząściły pod protezami, do izby tortur wkroczył mag. Hendrix podniósł się z trudem. Twarz czarodzieja była spalona na węgiel, oczy wygotowały się skutkiem żaru, ale mimo to nie stracił orientacji. Crane zarejestrował próbę budowy nowego czaru.

- Mam mapę! Zniszczysz ją! - krzyknął Hendrix do Dorga i wysunął pergamin przed siebie jak tarczę.

Czarodziej zawahał się, ale zrobił krok do przodu.

Musi być bardzo wyczerpany, jeśli o mnie nie wie, pomyślał Crane, wyciągając z buta stalową strunę. Dorg był ulubieńcem Dareaga, drugi po Adrianie pod względem umiejętności. I podobno najszybszy.

Struna dotknęła gardła, Crane'a otoczyły włókna obronnego czaru. Stal przecięła krtań. Crane zaparł się kolanem i ciągnął z całej siły, włókna pulsowały mocą. Struna gładko przeniknęła przez tkankę i zatrzymała się na kręgu szyjnym, po czym ześliznęła się po nim i

przecięła rdzeń pacierzowy. Dorg osunął się bez życia.

Hendrix obserwował martwego czarodzieja. Już nie wzbudzał grozy i nie wyglądał majestatycznie. Zwyczajny trup, który niedługo zacznie śmierdzieć. Chyba. Jeśli chodzi o magów, człowiek nigdy nie był pewny.

- Jesteś niezwykle szybki - wychrypiął.

- To skutek długoletnich ćwiczeń. - Crane próbował się uśmiechnąć, ale zmęczenie wzięło górę. Załamały się pod nim kolana i musiał usiąść na podłodze.

- To dziwne. Możesz być królem, niewolnikiem, kimkolwiek. Umierasz i wszystkie różnice znikają - powiedział Hendrix.

Sprawdził zwłoki Dorga, zabrał mu mapę i usiadł obok Crane'a.

Odoczywali w milczeniu. Energia, skumulowana podczas wykonanej przez maga próby samoobrony, rozpraszająca się w formie białej poświaty, w izbie tortur było jasno jak w południe na zewnątrz. Hendrix boleśnie mrużył oczy.

- Co to byli za jedni? - zapytał Crane, wskazując pusty grób.

- To dawni służący Dareaga. Najlepsi. Pracowali dla niego aż do śmierci, ale nawet potem nie dał im spokoju. Może za dużo wiedzieli, a może chciał ich jeszcze do czegoś użyć. Zaklął ich, żeby tkwili w krypcie na wieki. Mieli służyć jako ostatnia straż. Czar zamykający zbudowany był tak, że bym nawet ja mógł go zdjąć, oczywiście tylko w interesie Dareaga. Za kilka godzin symbol sam się odnowi i krypta znów się zamknie. Oni byli już zupełnie szaleni, tylko z Maredinem można było od czasu do czasu logicznie porozmawiać. Siedział tam najkrócej, siedemset pięćdziesiąt lat. Nie mógł się doczekać, kiedy do nich dołączę. Przybycie nowego więźnia to jedyne, co ich wrywało z wiecznego czekania. Wyswobodzić ich mógł tylko koniec świata lub unicestwienie podczas wypełniania jakiegoś zadania dla Dareaga. Czy potrafisz sobie wyobrazić oczekiwanie trwające tysiąc, dziesięć tysięcy lat? Mieli szczęście.

Crane zadrżał.

- Słyszałem o cmentarzu wewnątrz pałacu, na którym leżą najsilniejsi wrogowie Dareaga.

- A tak. Od pewnego poziomu stajesz się niebezpieczny nawet po

śmierci, a ten cmentarz to jest więzienie dla martwych. Wybudowanie go kosztowało Dareaga sporo wysiłku, ale myślę, że mu się to opłaciło. Sam widziałem, jak użył przeciw wrogom swoich martwych nieprzyjaciół.



Długo odpoczywali, słysząc tylko własne oddechy. W pomieszczeniu ciemniało powoli, a Hendrix uświadomił sobie, że dość szybko przychodzi do siebie. Jakby okoliczności przymuszały go do wykrzesania resztek sił ze starzejącego się ciała.

- Jak na zwyczajnego kata, to wiesz bardzo dużo. Hendrix przytaknął, w mroku jego gest pozostał niezauważony.

- Służę mu już od stu dwudziestu lat. A ostatnie pięćdziesiąt tutaj.

Rozległo się jakieś skrobanie.

Crane syknął ostrzegawczo i podpełzł do ściany. Chrobot się powtórzył.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Hendrix. - To tylko szczury, w końcu wróciły, potwory jedne.

Kłapa uchyliła się i do wnętrza wbiegł gryzoń. W mroku stanowił tylko poruszającą się ciemną plamę. A za nim kolejne. Crane uważnie je obserwował, nogi podciągnął pod siebie, aby znaleźć się od nich jak najdalej. Grupka około piętnastu szczurów otoczyła Dorga. Pozostałe wychodziły przez otwór po drzwiach i zajęły się innymi ciałami.

- Będą mieć ucztę. Mamy sporo czasu, zanim nas zauważą. Możemy spokojnie odpoczywać.

- Sto dwadzieścia lat - rzucił Crane, starając się zagłuszyć odgłosy szczurzej uczyty.

- Tak. Przedtem pracowałem jako najemnik u pewnego handlarza. Miał trzy statki, którymi przewoził luksusowe towary. Dowodziłem sprawnymi chłopami, a kupiec nie płacił źle. Pewnego razu złapała nas burza i musieliśmy schronić się na jakiejś wyspie. Okazało się, że jest

zamieszkała. Tubylcy zachowywali się przyjaźnie, a nasz kupiec twierdził, że już z nimi kilka razy handlował. Przyjrzałem się im i wiosce. Nie mieli spiłowanych zębów ani cementarzy z ogryzionymi kośćmi. Wszystko wydawało się w porządku. Jakoś tak po trzech dniach obudziłem się zawieszony na drzewie w bambusowej klatce jak papuga.

Hendrix zaśmiał się sarkastycznie.

- Ten łajdak naprawdę z nimi handlował. Pięć lat wcześniej sprzedał im mąkę skażoną sporyszem i połowa mieszkańców wyciągnęła nogi. Odurzyli nas i sprzedali sąsiedniemu plemieniu w zamian za ziarno. Ci mieli opiłowane zęby. Nie wiem, czym zasłużyłem na ten zaszczyt, ale mnie zostawili na ostatek. Już prawie wsadzali do osolonej wody, już zabierali się do szpikowania mnie słonią, kiedy w wiosce zjawił się Dareag. Wyglądał jak szaman i złożył im ofertę, że mnie odkupi. Musiałem się zobowiązać, że będę mu służył aż do śmierci. Na pierwszy rzut oka to nie była kiepska transakcja. Długo harcowałem z nim po świecie i chyba przyzwyczyił się do mnie, bo dał mi dar długowieczności. Starzeję się dziesięciokrotnie wolniej niż normalni ludzie. Kiedy przyjechałem do pałacu, życie już mnie nie cieszyło. Nigdy nie byłem zbyt uczuciowy, ale tych brudów miałem już dość. Co więcej, zbliżałem się do sto pierwszego roku swojej egzystencji. Poprosiłem Dareaga, żeby mnie zwolnił ze służby, ale zostałem wyśmiany. Służyć dobrze, a wiem aż nadto dużo. Świat nie jest tak piękny, żeby warto było pałętać się po nim tyle czasu. Wróciłem do swoich pokoi i rozciąłem się mieczem. Możesz być pewny, że porządnie. Obudziłem się po dwóch dniach. Przez cały rok leżałem w łóżku i zwijałem się z bólu. Nigdy przedtem ani potem niczego takiego nie doświadczyłem. Dareag odwiedzał moje pokoje regularnie i wyśmiewał się ze mnie. Cieszyło go to, łajdaka jednego. Potem uzdrowił mnie i przyprowadził tutaj. Pokazał mi Maredina wraz z pozostałymi i powiedział, że kiedy umrę, dołączę do nich. Jedyłą moją szansą była służba aż do śmierci i nadzieja, że klątwa zostanie zdjęta.

- Zneutralizowanie tak złożonego czaru jest prawie niemożliwe.

- Z czasem też to zrozumiałem. Marne życie wiodłem, ale w krypcie byłoby o wiele gorsze.

Zamilkli na dłuższy czas.

- Powinniśmy wstać. Szczurów wciąż przybywa -rzucił nerwowo Crane.

- A co potem?

- Tylko my wiemy, że istnieje czternasta część mapy. Możemy jej poszukać. Chętnie odwiedziłbym też moją zbrojownię. Potrzebne mi coś lepszego niż te dwa nożyki.

Hendrix podniósł się ciężko.

- Jeśli rzeczywiście istnieje czternasta część, to myślę, że wiem, kto ją ma. Ten człowiek bardzo niechętnie kapitulował w jakiegokolwiek grze.

Ruszyli po schodach w górę. Crane zauważył, że stary kat złapał drugi oddech. Co jakiś czas wspierał się wprowadzie na zdobyczym mieczu, ale na ogół utrzymywał ostre tempo.

- Stój. - Crane zatrzymał Hendrixa przed drzwiami prowadzącymi do pierwszego zamieszkałego poziomu pałacu. - Ktoś tam jest.

- Skąd wiesz?

- Mów szeptem. Nie jestem czarodziejem ani olbrzymem. W jakiś sposób musimy przeżyć.

Crane precyzyjnie się obok Hendrixa ku drzwiom i palcami zbadł zawiasy.

- Nie będą skrzypieć, ktoś je niedawno nasmarował. Przesuń się trochę.

Ukucnął, jednym palcem postukał parę razy w zamek, klingę noża wcisnął pomiędzy podwoje. Zamruczał coś niezrozumiale. Zamek szcęknął, zawora po drugiej stronie uniosła się.

Hendrix nie uznał za normalną złodziejską umiejętność, ale nie powiedział nic.

Sala powitalna zyskała takie miano, gdyż to w niej Dareag zazwyczaj przyjmował wizyty ważnych gości. Teraz nikogo w niej nie witano, raczej dawano ostatnie pożegnanie. Podłoga była pokryta rozrzuconymi ciałami, a pomiędzy nimi poruszało się pięciu żywych.

- Śmierdziel - zaklął Hendrix, gdy zrozumiał, co tamci robią.

- Canib - szepnął cicho Crane.

Wysoki mężczyzna w kozuchu z muflonów, w czapce z dwoma rogami ukląkł przy jednym z ciał. W lewej ręce trzymał nóż z

zakrzywionym ostrzem. Rozległ się trzask przecinanych i łamanych żeber. Drugą ręką Canib sięgnął w głąb rany i jednym szarpnięciem otworzył klatkę piersiową. Przez chwilę słychać było tylko odgłos rozdzieranych tkanek. W końcu znalazł to, czego szukał. Wyciągnął krwawy kłęb serca, uniósł do twarzy i przyglądał mu się z upodobaniem smakosza. Hendrix wyraźnie widział jego twarz. Zwierzęce kły, jeden z nich wystający jak u dzika, oko błyszczące chorobliwą żółcią. Mówiono, że drugie wydrapała mu akuszerka, kiedy zobaczyła, czemu pomogła przyjść na świat. O matce w ogóle się nie wspominało. Canib głęboko wciągnął zapach mięsa i wgryzł się w serce.

- Pozostali go naśladują - zauważył Crane.

Hendrix przytaknął.

- Reszta jego świty. Niewielu ich pozostało, ale jemu jest wszystko jedno. Pozyskuje siłę ludzi, których zabija. Jego poplecznicy też. Musimy poczekać, aż się wyniosą.

Obserwowali milczącą ucztę. Canib zapewne nie cierpiał ostatnio głodu i dlatego wybrał sobie tylko serce. Kiedy już je pożarł, wyprostował się na całą wysokość i rozejrzał po sali. Crane z bliska widział Caniba po raz pierwszy i ze zdumieniem stwierdził, że mierzy chyba z dziesięć stóp. Jeden z jego towarzyszy przeszedł obok niego. Canib poczekał, aż go minie, w oku pojawił mu się błysk, złapał mężczyznę od tyłu za kark i uniósł w powietrze jak szmacianą lalkę. Ten jednak nie wydawał się zaskoczony zachowaniem swojego herszta. W jego ręce pojawił się nóż, którym pchnął Caniba w pierś. Próba ta była tak samo skuteczna jak usiłowanie zabicia szarego niedźwiedzia gołą pięścią. Canib na cios nie zwrócił żadnej uwagi, prawdopodobnie w ogóle go nie dostrzegł. Nadal trzymał mężczyznę w powietrzu, a palce drugiej ręki wbił mu w pierś. Pozostali czterej mężczyźni nie czekali, aż skończy jeść, i rzucili się do ucieczki. Hendrix zaklął. Biegli prosto ku ich drzwiom.

Crane skoczył jak na sprężynie.

- Nie uciekniemy im. Stań za rogiem, a ja ich zajdę od tyłu.

Odbiegł i zniknął w półmroku jak pajak. Hendrix ledwie zdążył uskoczyć za róg, kiedy drzwi się otworzyły. Raz, dwa, trzy, cztery - policzył przeciwników po odgłosie kroków. Pierwszy już się pojawił w

polu widzenia. Hendrix pchnął poziomo z niskiego, szerokiego przykłęku. Włożył w to pchnięcie każdy funt swojej wagi i całą siłę mięśni. Zbroja płytowa nic mężczyźnie nie pomogła. Nie zdążył nawet wytrzeszczyć oczu. Hendrix kontynuował ruch, klinga przebiła ciało, kat ramieniem przytrzymał martwego, ujrzał zaskoczoną twarz drugiego z biegnących przeciwników, którą nagle wykrzywił śmiertelny grymas. Hendrix nie próbował wyciągnąć miecza z dwóch przebitych ciał, wyrwał za to pierwszemu topór i rzucił się naprzód, aby wspomóc Crane'a. Ten pozwolił przebiec napastnikom i dopiero wtedy skoczył. Jednego pozornie nie zauważał, drugiemu jeszcze w powietrzu założył chwyt pod brodą i jedną ręką złamał kręgosłup. Przez chwilę go podtrzymywał, a potem delikatnie położył na podłodze. Ostatni leżał tuż za drzwiami, ze stalową igłą wbitą w ciemność.



Hendrix przyglądał się zabitym zamyślony.

- Gdybym kiedyś nie grywał z nimi w karty, może czułbym się jak sprawiedliwy mściciel.

Crane starannie wycierał nóż o spodnie trupa.

- Ten tutaj niedawno ograł mnie w mariasza. Nie można mieć szczęścia we wszystkim.

Hendrix tego nie skomentował. Canib zawył przeciągle, z sufitu korytarza spadło kilka kamyczków.

- Wyraźnie ma kłopoty z trawieniem, powinniśmy jak najszybciej stąd zniknąć.

- Znam drogę. Wygodną i szybką, ale prowadzi przez salę tronową. To nam chyba nie będzie przeszkadzało?

Crane spojrzał pytająco na Hendrixa, ale kat tylko wzruszył ramionami.

- I tak będziemy musieli tam iść.

Do sali tronowej dotarli bez problemów w dwie godziny. Raz tylko usłyszeli po drodze głosy grupy ludzi, lecz Crane w porę odkrył ukryte wejście do składziku i zeszedł im z drogi. Tym razem również weszli głównymi wierzajami. I chociaż wewnątrz oprócz zabitych nie było nikogo, w przestronnym pomieszczeniu poczuli się niepewni i pozbawieni ochrony. Hendrix najpierw sprawdził trupy. Nie była to przyjemna robota, ale mimo starannego przeszukania nie znalazł niczego, co mogło być im pomocne. Przyszło mu do głowy, że ostatnimi czasy nieboszczycy są najzwyczajszą ozdobą pałacu.

- Sporo ich tu leży. Szczur Wasyl, Johny Wódeczka, Ogieńiek. Należeli do najsilniejszych. Nie przypuszczałem, że tak szybko skończą. Musiała tu być niezła rzeź.

- Znałeś ich wszystkich? - zapytał Crane.

- Pięćdziesiąt lat to kawał czasu. A oni na ogół chcieli być ze mną w dobrych stosunkach.

- Większość widywałem tylko z daleka. Dla nich byłem za mało ważny, a oni dla mnie zbyt niebezpieczni. Starłem się nie wchodzić im w drogę. Aż tak bardzo mnie to nie złościło.

Hendrix spojrzał na Crane'a z ukosa. Młodzieniec coraz bardziej przypominał mu matkę. Te same ruchy, ta sama mimika. I głos. Kiedy

był wyprowadzony z równowagi, jego głos brzmiał prawie tak samo.

Dareaga zostawili sobie na koniec. Hendrix zdołał popatrzeć na czarodzieja, tylko kiedy się do tego zmusił. Nadal głęboko w jego podświadomości kryły się resztki respektu, powodującego, że w pobliżu zwłok Dareaga trzęsły mu się kolana, a na czole występowały krople potu. Dareag siedział przyszpilony do tronu i mogło się wydawać, że morderczą scenerię obserwuje z rozbawieniem. Hendrix zacisnął zęby i wszedł po stopniach aż do zabitego. Czarodziej przeczył jego teorii, że wszyscy nieboszczycy są tacy sami. Po śmierci nadal wzbudzał strach.

- Hej, lajdaku, gdzie masz mapę? - zapytał Dareaga kat.

Własny głos wydał mu się nienaturalnie chrapliwy.

- Zwariowałeś? - Crane sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Znam go. Znam jak żadnego innego człowieka na świecie.

Chociaż ten bastard chyba w ogóle nie był człowiekiem.

Hendrix zaczął systematycznie przeszukiwać martwego. Crane nieustannie nerwowo spoglądał na drzwi.

- Pospiesz się, w każdej chwili ktoś może odkryć naszą obecność.

- Po co by tu przychodzili? Nieużyteczne zdechlaki nikogo nie interesują.

Ściągnął Dareagowi buty, rozciął kabat, wyrzucił kieszenie na lewą stronę. Nic jednak nie znalazł. Stał przed tronem i zachmurzony patrzył na trupa czarodzieja.

- Nie wierzę ci. Ty tę mapę masz. Chciałbyś nawet po śmierci najważniejszy kawałek zachować dla siebie. Nie wierzę ci! Nawet w to, że jesteś martwy, też nie wierzę!

Ostatnie słowa Hendrix prawie wykrzyczał.

Crane aż się wstrząsnął.

- Opamiętaj się!

Hendrix nie odpowiedział. Nie spuszczał oczu z zabitego, jakby nieboszczyk go zahipnotyzował.

- Nie wierzę nawet w to, że naprawdę umarłeś, wyskrobku.

Przy każdym wyzwisku jakby zniknęła część majestatu czarodzieja.

- Śmierdziu! Wyskrobku! Bękarcie!

Nagle Crane skamieniał.

- On, on... Poruszył oczami. Jedno moje oko jest sokole. Matka mi

je implantowała, kiedy magiczny wzór wypalił mi wzrok. Poruszył oczami! Jestem pewny!

Crane chwiejnie, krok za krokiem odsuwał się od tronu.

Ciało czarodzieja drgnęło, tym razem wyraźnie.

- Nie, nie, nie - bełkotał przejęty zgrozą Crane.

- Ależ tak!

Hendrix porwał się z dzikim rykiem i jednym uderzeniem miecza odrąbał czarodziejowi nogę. Ciął powtórnie. Głowa maga przekrzywiła się pod dziwnym kątem, powieka lewego oka zaczęła drgać. Hendrix zachowywał się, jakby oszalał, raz po raz siekł mieczem ciało maga, aż stracił oddech, a na tronie pozostał tylko żaloszny fragment kadłuba. Inne części ciała poniewierały się po podłodze.

- Łajdak! Bękart! Wyskrobek! Chciał nas wystrychnąć na dudków, ale się nie udało. Chciał, żebyśmy myśleli, że jest martwy, i teraz to już prawda. - Hendrix się trząsł, wykrzywioną strachem i nienawiścią twarz miał zlaną potem.

- Zapłacie mi za to.

Zaskoczony Crane spojrział na Hendrixa, ale ten milczał.

- Tylko dobrze popatrzcie, kto do was mówi. Dobrze wiedzieliście, jakimi jesteście nędznikami. Popełniliście błąd.

W połowie rozłupana głowa patrzyła na nich szyderczo. Ze strun głosowych pozostały zaledwie resztki, głos brzmiał bezdźwięcznie, był ledwie zrozumiały. Ze schodków tronu ześliznęła się odcięta dłoń. Chwiejnie stanęła na palcach, przybliżyła się do przedramienia i odwróciła je przeciętą powierzchnią do siebie. W kałużach krwi pozostawiała drobne ślady. Kawałek po kawałku dłoni zrastała się z przedramieniem. Crane tak szeroko otwierał usta, że aż mu z nich kapła ślina. Ze strachu cały się trząsł. Hendrix rozciął ramię powtórnie, ale teraz obie części rosły się prawie natychmiast.

Hendrix patrzył na to zamyślony.

- Więc to tak?

Spróbował jeszcze raz. Tym razem nie byli nawet pewni, czy ręka została przecięta. Jakby jej części zrastały się tuż za ostrzem.

- Nie - ryknął Crane i rzucił się do ucieczki.

Hendrix złapał go za ramię i zatrzymał.

- Posłuchaj, synku. Obaj nie mamy nic do stracenia. Musimy walczyć do końca. Rozumiesz?!

Crane tylko szczął zębami.

- Z jakiegokolwiek powodu Dareag zorganizował taki teatr wokół swojej śmierci, pewnie źle na tym wyszedł, ponieważ w przeciwnym razie już dawno by nas załatwił. Jeśli mi pomożesz, mamy szansę! Co ty na to?

Crane gapił się na Hendrixa, jakby go widział pierwszy raz w życiu, ale w końcu przytaknął.

- Nie rozumiem, jak zdołałeś rzucić w niego tym toporem. Nikt w pałacu by się na to nie odważył.

Hendrix uśmiechnął się sarkastycznie.

- Nie masz racji. Ktoś się wreszcie odważył, ale to nie byłem ja. Typowałbym Adrianę. Użyła mnie jako narzędzia. Sądzę, że dobrze wiedziała, co robi. Kiedyś, zanim jeszcze przyszedliśmy do pałacu, Dareag na cały miesiąc wpadł w trans. Nie jadł, nie oddychał. Wyglądał jak nieżywy. Cały czas go pilnowałem i starałem się nikogo do niego nie dopuszczać. Kiedy się przebudził, wyzwał na pojedynek klan czarodziejów, przed którymi ukrywaliśmy się od roku. Spalił ich na popiół. Powiedziałbym, że tutaj miało się stać coś podobnego. Chciał przejść na wyższy stopień, potrzebował do tego spokoju, ale jego dzieciaki raczej by mu go nie dały, więc postarał się stworzyć dla nich zabawę. No ale teraz dość gadania, potrzebne mi narzędzia ciesielskie, materiały, gwoździe. Pospiesz się.

Dłoń przez ten czas zdołała zrosnąć się z całym ramieniem, teraz podobny proces objął lewą nogę. Zachmurzony Hendrix obserwował, jak druga ręka też zaczyna się poruszać. Głowa znów przemówiła.

- Boisz się, kacie? Dobrze wszystko odgadłeś. Rzeczywiście miałem umrzeć, ale w inny, starannie zaplanowany sposób. Moja córka okazała się sprytniejsza, niż przypuszczałem, ale mnie nie doceniła. Teraz nic mnie już nie zatrzyma. Możesz się bać, a wiesz, że lubię strach, potrzebuję go, kocham go! Bez strachu nie mogę żyć!

- Nie będę cię słuchać ani na ciebie patrzeć - warknął Hendrix.

Podniósł głowę za włosy, wyłupił jej oczy, odrzucił je daleko za siebie, wyciął język i rozdeptał go na czarną maź.

- Trochę potrwa, zanim wypowiesz rozumne słowo. A może już na wieki będziesz seplenił.

Hendrix i Crane pracowali gorliwie. Zapomnieli o obawach niespodziewanego nadejścia kogoś do sali tronowej. Ich przekleństwo siedziało na tronie, kilka kroków od nich. Jeszcze parokrotnie przekonali się, że z każdym fizycznym atakiem na ciało czarodzieja jego zdolność regeneracji się zwiększa. Jakby mu takim działaniem dodawali sił. Hendrix starannie owinął wszystkie palce materiałem, tworząc spore kule, żeby Dareag nie mógł się nimi posługiwać podczas jakichś czynności mechanicznych i musiał polegać wyłącznie na osłabionych zdolnościach magicznych. Wyraźnie wyczerpywało i spowalniało to czarodzieja. Nie zdołali zapobiec powrotowi oczu na swoje miejsca, więc zawiązali na nich opaskę.

- A jeżeli to nie wyjdzie? - zapytał Crane.

- Wtedy spróbujemy wezwać Adrianę. W tym stanie Dareag będzie dla niej łatwym łupem. Ale nie oczekiwałbym, że okaże nam wdzięczność. Może od razu nas zabije.

Crane pokazał palcem na rękę, która starała się wspiąć po oparciu tronu do korpusu czarodzieja. Przy wzmiance o Adrianie wyraźnie przyspieszyła.

W końcu byli gotowi. Dareagowi niewiele już brakowało do kompletu. Niedaleko tronu wzniesli z zabitych niewysoką barykadę i schowali się za nią.

- Ciekawe, co się z nim właściwie dzieje? - zapytał szeptem Crane.

- Zbiera siły. Ale ciężko mu to idzie i powoli, bo już mu nie pomagamy. Myślę, że to moje przekleństwa wróciły Dareagowi życie. Dzięki nim przebudził się z letargu.

- Nic takiego nie zauważyłem - zaprotestował Crane.

- Przez cały czas, jaki u niego służyłem, zapamiętałem tylko jednego czarodzieja, który mu się oparł. Użył podobnego czaru i nawet Dareag go nie odkrył.

Mag poruszył się na tronie. Spróbował lewą ręką zsunąć opaskę z oczu, ale stalowe haczyki umocowane na drewnianych listwach ponad ramieniem wbiły się w skórę aż do kości. Zawahał się i cofnął dłoń.

Próba wykonana prawą ręką wypadła tak samo.

- Sam się rani. Gdybym ja mu to zrobił, skaleczenia zrosłyby się natychmiast i byłby zdrow jak ryba. A to mu istotnie szkodzi, chociaż niewiele.

Crane nadal nie wierzył, że ta sztuczka się powiedzie.

Mag spróbował powoli wstać. Dwie igły osadzone w oparciu tronu ponad jego ramionami wbiły się w ciało.

Niepewnie usiadł z powrotem.

- Nie czuje bólu. Znajduje się pod wpływem własnych zakłęb, które podwyższają próg odczuwania bólu, poza tym umieściłem igły obok końcówek nerwowych i natarłem je bardzo silnym środkiem znieczulającym. Powiedziałbym, że nadal nie rozumie, co się dzieje. Wie tylko, że jego zasób sił witalnych spada. Uczył mnie inkwizytorskiego rzemiosła przez pół stulecia. Może być z siebie dumny.

Hendrix uśmiechał się sarkastycznie, nie spuszczać oczu z czarodzieja.

Czas upływał i pozornie nic się nie działo.

- Stara się zbadać okolicę za pomocą mocy, ale jest słaby, bardzo słaby - szepnęła Crane. - Myślę, że nawet ja ze swoimi umiejętnościami mógłbym go teraz zniszczyć.

- To by była nasza ostatnia pomyłka.

Nagle Dareag wstał energicznie. Nadział się przy tym na kilka haków. Ryknął z bólu i gwałtownie uskoczył w lewo. Dokładnie zauważyli moment, w którym przeczuł pułapkę. Skurczył się i ze wszystkich sił starał się wstrzymać swój ruch, ale było za późno. Długa, cienka igła wbiła mu się głęboko w bok. Na moment znieruchomiał, jakby walczył z wewnętrznym zranieniem i oceniał obrażenia, jakich doznał, szybko jednak postawił wszystko na jedną kartę. Machnął rękami i wyrwał z nich haczyki wraz z kawałkami mięśni. Oswobodził się. Widzieli, że trzęsie się z bólu, ale mimo to panuje nad sobą. Nie zmieniając położenia ciała, pozbywał się jednego raniącego narzędzia za drugim. W końcu została tylko igła w lewym boku. Czoło Hendrixa było mokre od potu.

- Sześć, pięć, cztery - liczył.

- Moc, przeklęta moc - mamrotał Crane. - Za chwilę nas odkryje i będzie po wszystkim.

- Jeden, zero.

Dareag zawył, złamał się w pół, chwiejnie uklęknął i wbił się kolanem w jeden z przygotowanych gwoździ. To go pozbawiło ostatnich resztek samokontroli, poderwał się na nogi i potylicą nadział na żelaznego jeża. Jego ruchy były już nieskoordynowane, związał się z bólu i coraz bardziej wikłał w pułapki zastawione przez Hendrixa.

W końcu postanowił przedrzeć się za wszelką cenę. Parawan z ostów morskich zdarł mu skórę z twarzy, tor przeszkód wykonany z naostrzonych płyt stalowych pozbawił stóp. Podwójny, dwukierunkowy haczyk przeniknął przez mięśnie i uwiązał we wnętrznościach. Dareag pobiegł przed siebie na kikutach i jak odpustowy klaun rozrzucający cukierki pozostawiał za sobą strzępy podskórnego tłuszczu, kawałki gładkich mięśni brzusznych, żołądek, woreczek żółciowy, wątrobę, kłęby jelit, strzępy płuc. W końcu pozostał tylko obciążony skórą korpus z jakimiś resztkami wewnątrz. Jeszcze żył, ale moc szybko go opuszczała, a wraz z nią życie.

Pobladły Hendrix wyszedł z ukrycia.

- Użyłem specjalnego metalu z pamięcią kształtu. W zimnej wodzie możesz go wygiąć, a w ciepłe wraca do pierwotnej formy. Dareag przegrał, ponieważ igła skręciła się znowu w spiralę. Był jeszcze zbyt słaby, żeby opanować ból - wyjaśnił kat.

Crane nie poświęcał mu jednak zbyt dużej uwagi, ponieważ klęczał i wymiotował na stos trupów.

- Czy uwierzyłybyś, że czegoś podobnego miałem po raz pierwszy spróbować na twojej matce?

Hendrix pochylił się nad resztkami czarodzieja.

- Szczęśliwej drogi, panie. I dziękuję za mapę.

Z pękniętego żołądka wydobyl ostrożnie zawinięty w cienką błonę zwój pergaminu.

Rozłożył go, przez chwilę mu się przyglądał, a potem rozczarowany zwrócił się do Crane'a.

- Taki sam galimatias jak w tamtych częściach. Spójrz, może ty coś z tego wyczytasz?

Crane wytarł ręce o spodnie i ostrożnie chwycił pergamin. Dłuższy czas obracał go między palcami, mamrocząc coś do siebie niewyraźnie. Wyjął z zanadru pozostałe mapy i próbował dopasować je do siebie. Bez powodzenia. Każda wyglądała na samodzielny obraz i nie widać było żadnego powiązania między nimi. W końcu wzruszył ramionami i zaczął zwijać pergaminy w rulon.

- Nie mamy czasu. Powinniśmy jak najszybciej stąd zniknąć.
- Zmieniły się - powiedział Hendrix.
- Co się zmieniło?
- Mapy, kiedy położyłeś je na sobie. Pergamin stał się przejrzysty, a linie się wzajemnie dopełniły.

Crane posłuchał raczej sceptycznie, rozwinął zwoje i położył je przed sobą na podłodze.

- Trzeba jeszcze na nie poświecić.

Strzelił palcami i rozświetlił jedną z kulistych lamp wiszących u stropu.

- Tutaj - nakazał.

Ukierunkowany promień srebrzystego światła oświetlił rysunki. Nagle pojawił się przed nimi niepełny, w niektórych miejscach niewyraźny przestrzenny przekrój pałacu. Przez część schematu wiło się czerwone włókno.

- Och, mamy to! Zdobyliśmy to! - wykrzyknął Crane. - Pokazuje około jednej piątej pałacu, jeszcze nie wszystko. Potrzebujemy więcej fragmentów.

Hendrix ze zdumieniem przyglądał się obrazom. Wiedział, że pałac jest ogromny, ale dopiero teraz uświadomił sobie, co stanowi budowla rozciągająca się na powierzchni czterech na osiem mil i sięgająca tysiąca stóp od podziemi do szczytu. Znał tylko najbliższą okolicę sali tronowej i izby tortur i już dawno pogodził się z tym, że nigdy nie zobaczy świata zewnętrznego. Teraz zaświtała mu taka nadzieja.

- Bogowie, my się stąd wydostaniemy!

Crane ukucnął, aby lepiej zobaczyć szczegóły.

- Jeden z nas może tak. Bramy otworzą się dopiero dla ostatniego - odpowiedział półgłosem, równocześnie patrząc z ukosa na Hendrixa.

Ich oczy się spotkały, stary mężczyzna się zasępił.

- Mamy trzy zwitki z czternastu, wokół nas wałęsają się potwory, które na kolację schrupałyby z tuzin takich jak my. A ty już przemyślisz nad tym, jak się mnie pozbyć.

- Ciężko mi było przeżyć. Matka szybko umarła, a po jej śmierci nikt nie trzymał nade mną ochronnej ręki. Musiałem wszystko planować długo naprzód i przywykłem do tego. Obaj jesteśmy zmęczeni. Powinniśmy odpocząć i lepiej się uzbroić. Dziesięć pięter wyżej mam tajną bazę, znajdzie się tam nawet coś do jedzenia.

- A potem co masz w planach?

- Potem rozejrzemy się za kolejnymi częściami mapy.

- Po co? Twierdzisz, że nie jesteś synem Dareaga. W takim razie klątwa ciebie nie dotyczy i możesz spokojnie odejść.

Crane utracił część pewności siebie i w zadumie przyglądał się Hendrixowi.

- To prawda. Ale kiedy ostatnim razem spróbowałem ucieczki, o mało przy tym nie umarłem.

- On jest martwy i wszystko się zmieniło. Spróbować, czy możesz odejść, będzie o wiele łatwiej, niż polować na Caniba. A z tych, co pozostali, to nie on jest najniebezpieczniejszy. Pracowałem dla Dareaga długo i znam go, a właściwie znałem dobrze. Umiał wprowadzić słowami zamurować bramę w ogrodzeniu, ale zapominał o furtkach dla służby, odpływach kanalizacyjnych. Zniszczył cały legion ludzi, ale stracenie szpiega stanowiło dla niego problem. Jeśli będziemy chcieli, wydostaniemy się stąd.

Hendrix w trakcie przemowy uświadomił sobie, jak bardzo mu zależy na przekonaniu Crane'a. Nie chciał stanąć przed nim z mieczem w ręce, nie chciał zabijać go dla maga i po jego śmierci. Przez ostatnie kilka godzin dziwnie przyzwyczaił się do tego młodego człowieka.

Crane odwrócił wzrok.

- Nie mam pewności, czy matka mi nie nakłamała. Nienawidziła Dareaga i pewnie nie chciała, żebym uważał go za swojego ojca. W rzeczywistości mogłem być czarodziejem. Mam wprowadzić jaką taką zdolność do władania mocą, ale nigdy jej nie ćwiczyłem. Bałem się nawet o tym pomyśleć. - Mówił niewyraźnie i sucho, jakby samo

wysłowienie myśli było dla niego niełatwe.

- Ale nic nam nie wadzi spróbować. Mogłeś swoje zdolności odziedziczyć po matce.

Crane nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Wszyscy uważali, że była tylko jedną z jego nałożnic. Co o tym wiesz?

- Prawie przez miesiąc towarzyszyła mi w izbie tortur. Przez taki czas człowiek sporo o sobie opowie.

Tym razem to Hendrix odwrócił wzrok.

- Kiedy Dareag przysłał do mnie Genewę, była związana jedenastoma zakłęciami i artefaktami. A on sam leżał chory, wycieńczony, na wpół martwy. Była silna.

Stali zatopieni w myślach.

- Jest jeszcze jedna rzecz - przerwał ciszę Crane z błyskiem w oczach. - Skarb. Nie zapominaj o skarbie dla ostatniego.

Hendrix splunął ze złością.

- Skarb? To jego mistrzowski wabik. Jak myślisz, co to jest? Kamień filozoficzny? Elixir młodości? Odpowiedź na wszystkie tajemnice świata? Każdy mówi tylko o skarbie! O skarbie przez wielkie S, ale nikt nic dokładnie o nim nie wie. Wielu z nich przesłuchałem. Głupcy! Przychodzili jak kurczaki do lisiej nory. Czy wiesz, ile mu to zaoszczędziło trudu? Zanim nauczyli się dosyć, żeby stać się naprawdę niebezpieczni, uwierzyli w bajeczkę o skarbie. Twoja matka też do nich należała. Ale nie puściła pary z ust, czego właściwie szukała. Skarb! Skarb! To może być kupa gnoju, jakaś błyskotka. A może złoto? Sam cię do niego zaprowadzę, a będzie go tyle, że do końca życia tego nie wyniesiesz. Góry złota, diamenty, szafiry. W pałacu możesz znaleźć wszystko. To cię nęci?

- Nie idzie mi o złoto! Ten skarb to musi być coś cenniejszego. Założę się, że Adriana wie, o co toczy się gra! A jeśli z tego powodu umarła moja matka, to ja tego tak nie zostawię.

- Jesteś głupcem! - wybuchnął Hendrix. - Takim samym jak ona! To coś ją zabiło i ciebie też dostanie! Umarła przez to, a teraz, po dwudziestu pięciu latach, słyszę podobne głupoty od jej syna. Zdychaj sobie sam!

Hendrix prawie stracił nad sobą panowanie, poczerwieniał na twarzy, a na byczym karku nabrzmiały mu niebieskie żyły. Już nie sprawiał wrażenia starca stojącego nad grobem. Lawina zdarzeń pozbawiła go starczej niepewności i ostrożności, przejawiał teraz zaciętość godną buldoga, wydawało się też, że jego ruchy stały się bardziej sprężyste. Crane doszedł do wniosku, że gdyby stał z katem twarzą w twarz z mieczem w dłoni, nie byłby tak pewny swego jak na początku.

- To nie może być pułapka. Uwierzyło w to zbyt wielu sprytnych i silnych ludzi. Dareag miał coś, za co warto umrzeć. A ja się dowiem, co to takiego.

Hendrix nagle się uspokoił, jakby jego wściekłość sama się rozplynęła.

- Ja chcę tylko umrzeć. Zwyczajnie umrzeć. Szybko czy powoli, na tym mi nie zależy. Umrzeć tak, żeby moja dusza rozpyliła się w przestrzeni, a ciało zmieniło się w proch. - Mówił cicho, w jego głosie brzmiała rezygnacja. - W ostatnim czasie zapomniałem, że właśnie ta najprostsza rzecz na świecie została mi odebrana. I wszystko jedno, jeśli skończę w krypcie. Wieczność bez dziesięciu lat nadal jest wiecznością. Pomogę ci znaleźć skarb Dareaga, czymkolwiek by był.

Skrzypnęły drzwi, w chwilę później odgłos powtórzył się jeszcze parę razy. Po przeciwnej stronie sali pojawili się ludzie. Z daleka widzieli ich tylko jako niewyraźne figurki. Podłoga zawibrowała, rozległ się głośny trzask i fioletowa poświata zgasła. Sala pogrążyła się w ciemności.

- Uciekajmy stąd! - warknął Hendrix.

- Połóż mi rękę na ramieniu i idź za mną. Znam drogę - syknął Crane. - Po cichu.

Nie biegli, ale starali się iść jak najszybciej. Z ulgą opuścili salę tronową, przeszli przez troje drzwi i siedmiokrotnie zmienili kierunek na skrzyżowaniach korytarzy. Hendrix porzucił pomysł zapamiętywania drogi, zamiast tego skupił się na dźwiękach. Wydawało mu się, że ktoś ich śledzi, że jest tuż za plecami i wciąż się zbliża.

- Idziemy już długo. Zaczynam się gubić. Muszę choć na chwilę poświecić - powiedział Crane, zatrzymując się.

Pstryknął palcami, lecz nic się nie stało.

- Światło! - zawołał głośno, mając nadzieję, że przynajmniej jedna z kul oświetleniowych jest w pobliżu, ale bez rezultatu.

Hendrix wyjął z woreczka ogarek świeczki i zapalił go. Płomień wprawdzie się pojawił, jednak jego światło nie sięgało dalej niż ramiona Hendrixa.

- Komu nie przeszkadza ciemność?

- Ślepcom. Przed piętnastu laty Dareag miał taki okres, że potomków, których nie lubił, oślepiął i zamykał w katakumbach pod pałacem. Chyba oni też zapragnęli wziąć udział w grze.

Hendrix, mówiąc to, wy dobył miecz.

- Są przed nami - powiedział spokojnie.

W ciemności ostrze było niewidoczne. Korytarz przepełnił odgłos niezliczonych kroków.

- Są wszędzie! Uciekajmy! W lewo! - ryknął Crane.

Znał na pamięć schemat skrzyżowań w pałacu i bez wahania wbiegł do jednego z korytarzy.

Hendrix zwrócił się pod złym kątem i wpadł na ścianę, ale za drugim razem mu się udało. Niedaleko od nich słychać było odgłosy utarczki. Dźwięk odbijał się od ścian i dochodził ze wszystkich kierunków, wyglądało na to, że znaleźli się w samym środku bitewnej wrzawy.

- Skrzyżowanie prosto, potem znów w lewo!

Głos Crane'a dobiegał z tyłu. Hendrix zaklął bezgłośnie. Zmylił drogę.

Nagle wpadł na kogoś. Zanim ten ktoś zdążył zareagować, kat odtrącił go ramieniem i uciekł. W powietrzu unosiła się słodka, lawendowa woń.

- Dziwki Feili! - krzyknął, żeby ostrzec Crane'a. Coś uderzyło go w lewe przedramię. Machnął mieczem na oślepl, a mimo to trafił.

- To nie oni - odezwał się w ciemności kobiecy głos. - Tych nie potrzebujemy żywych!

Ktoś złapał Hendrixa za kark, ostrze noża zazgrzytało na drucianym kołnierzu. Hendrix poczuł pchnięcie w bok. Lewą ręką uchwycił dłonie zaciskające się na gardle, ściągnął je w dół, obniżył punkt ciężkości i

przerzucił napastnika przez bark. Sądząc po wadze, walczył z kobietą. Wymierzył kopniaka w kierunku, w którym powinno upaść ciało, szeroko ciął poza siebie, przykucnął i odskoczył w bok. Trafił dobrze, znalazł się pod ścianą.

- Stójcie, bo podziurawimy się nawzajem! Gdzie jest ten zdechlak? Światło, niech któraś zrobi światło! - Dowodząca miała autorytet, ruch w ciemności natychmiast ustał.

Hendrix nie czekał, szybko popętlł w przeciwnym kierunku. Wpadł na kilka trupów, z którymi nie miał nic wspólnego, ale nie zatrzymał się przy nich. Czołgał się na czworakach pod ścianą. Wydała mu się nieskończenie długa, wciąż nie mógł natrafić na boczny korytarz.

Ktoś zaczął śpiewnym głosem recytować formułę zaklęcia, momentalnie dołączył do niego cały chór. Feila zdołała częściowym przekazaniem myśli rozszerzyć swoim zwolenniczkom zdolność manipulowania mocą. W tym właśnie przejawiała się jej siła, ponieważ połączonemu czarowaniu tylko niewielu zdołałoby się przeciwstawić. Hendrix wcześniej uważał takie działanie za ociężałe i niezgrabne, teraz jednak zmienił zdanie. W końcu znalazł wyjście do korytarza. Wstał i pobiegł najszybciej jak potrafił. Kręciło mu się w głowie, musiał skupić się na tym, żeby biec prosto, nie zataczając się.

- Ślepcy już weszli w pułapkę! Potrzebuję gońca! Niech Feila wie, że może przywrócić światło w całym pałacu.

Głos był przytłumiony odległością, ale Hendrix mimo to jeszcze przyspieszył.

Blask światła uderzył go w oczy jak młot kowalski. Zmrużył powieki i wyprostował się. Przez cały czas instynktownie biegł pochylony. Rozejrzał się. Stał w pustym korytarzu, za nim ciągnął się krwawy ślad. Zbroja ochroniła go przed najgorszym, lecz mocno krwawił z boku, lewa ręka, poraniona na przedramieniu, zwisała mu bezsilnie. Zaciśnął zęby i szedł dalej, ale stopniowo zawodził go zmysł równowagi i musiał opierać się o ściany. W końcu znów opadł na czworaka i czołgał się przed siebie jak chory pies. Niezależnie od tego, co mówił do Crane'a, nie chciał umierać. Bał się wieczności w pustej krypcie.

Z oddali dobiegały głosy.

- Hendrix! Wstań i podaj mi ręce!

Kat popatrzył w górę. Z otwartego przełazu wychylony do połowy zwiślał Crane.

- Dobrze, że znacysz drogę. Bez tego bym cię nie znalazł. Pospiesz się!

Hendrix wstał chwiejnie.

- Ręce! Podnieś ręce!

Odgłos pogoni zbliżał się. Hendrix powoli uniósł ramiona.

- Nie wciągniesz mnie. Jestem za ciężki - wybełkotał.

- Hej! Tam są!

Na zakręcie korytarza pojawiła się wysoka kobieta ze sztyletem w jednej ręce i mieczem w drugiej. Puściła się biegiem. Hendrix patrzył na jej piersi pod skórzaną kamizelką. Bujały się w rytm biegu na lewo i na prawo. Pomyślał, że chociaż ma duże dłonie, na pewno nie dałby rady tych piersi nimi objąć. Wszystkie dziwki Feili były takie. Piersiaste, długonogie i piękne. A także niebezpieczne. Przypomniał sobie jedną z nich i zaśmiał się głupkowato.

- Podskocz, do licha!

Crane aż zacharczał z wysiłku, Hendrix poczuł, że wznosi się ku stropowi, już połową ciała był wewnątrz, ostatkiem sił przewalił się przez krawędź. Crane odciągnął go nieco dalej i zamknął klapę.

- Zbierz się do kupy, Hendrix. Nie szukałem cię po to, żebyś tutaj zdechł. Musimy się stąd wynosić, jesteśmy na ich terenie, więc na pewno znaję inne wejścia do tej nory!

- Nie mogę. Naprawdę nie mogę - wychrypiał Hendrix, dalej leżąc na podłodze.

Crane odgarnął przeciętą kolczugę kata i obejrzał ranę. Nie uszkodziła żadnego organu wewnętrznego, ale prawdopodobnie naruszyła dużą żyłę. Pogrzebał w pamięci. Kiedy był chłopcem, matka zmusiła go do przyswojenia sobie kilku użytecznych zaklęć, wśród których znajdowało się także zaklęcie zasklepiające rany. Skupił się. Pomału, niepewnie tworzył strukturę czaru. Dostrzegał każdy niedostatek, ale poprawić go było ponad jego siły. W końcu skontrolował czar. Powinien zadziałać, ale Crane pomyślał, że nie chciałby go wypróbować nawet na swoim ulubionym psie. Uwolnił moc. Hendrix drgnął, rana zaczęła się zamykać. Nowa skóra przypominała

wprawdzie łuski jesiotra, ale Crane był zadowolony. Lepsze to niż nic. Zdjął kolczyk, czubkiem sztyletu wydobyl z niego przezroczysty kryształ i położył go Hendrixowi pod powieką na tęczówce. Kryształ zaczął się natychmiast rozpuszczać.

Hendrix otworzył jedno oko. Był żywy. Po chwili nie miał już tej pewności. Wymiotował tak silnie, że obawiał się zobaczyć własne wnętrzności pomiędzy wymiocinami.

Crane przyglądał mu się zamyślony.

- To silne lekarstwo. Kogoś słabszego zabije. Miałeś szansę jeden do jednego.

Hendrix pokonał ostatnie skurcze żołądka, po czym wstał. Miał sine wargi i białą twarz, ale próbował się uśmiechnąć.

- Nie doceniłeś mnie. Idziemy?

Crane przytaknął.

- Myślę, którędy pójść. W kilku miejscach będziemy musieli się czołgać, ale poza tym droga powinna być wygodna.

Po całych godzinach pełzania rurami kanalizacyjnymi Hendrix zwątpił w wygodę drogi. Tyle tylko, że nikt ich tu nie zatrzymywał. Sądząc po rodzaju odpadków, rzeczywiście znajdowali się na terenie Feili. W rurach i zbiornikach poniewierały się zużyte szminki, grzebyki, całe sterty starej damskiej bielizny, wkładki higieniczne. Crane zamierzał przebrodzić sporą kałużę nieciekawego koloru, ale Hendrix go powstrzymał, wskazując na szklane naczynia leżące na brzegu. Większość z nich popękała i zawartość się rozlała.

- Nie czujesz tego?

- Czego?

- Mieszaniny piżma i kobiecych zapachów. To silniejsze od smrodu. Tę kałużę musimy obejść.

- A w czym tkwi problem?

- Czy ty myślisz, że to normalne, że wszystkie wojowniczkki Feili są podobne jak jajko do jajka i wyglądają jak boginie miłości? Niektóre z nich kiedyś były mężczyznami. Stosowano specjalną kurację, a to są resztki surowców. Jeśli chcesz zmienić płeć, idź przez jeziorko. Ja nie muszę mieć wszystkiego.

Kałuża była większa, niż przypuszczali. Musieli wrócić i okrążyć ją

wąską rurą. Dopiero po godzinie dotarli do kanału, którym mógł przejechać jeździec na koniu. O ile koniowi nie przeszkadzałyby głęboka na pięć stóp rzeka woniejącą szlamem.

Crane owi najwyraźniej nie przeszkadzała.

- Główny ciek kanalizacyjny. Przechodzi przez cały pałac, ale w niektórych miejscach są zapory. Mimo to to wygodna droga. Dla kogoś, kto nie jest zbyt delikatny - powiedział z zadowoleniem.

Hendrix pomyślał, czy młodzieniec nie jest w jakiś sposób odmienny. Kat był pewny, że nie ma delikatnego nosa, a cały czas musiał walczyć z mdłościami.

Odgłosy zwróciły ich uwagę na to, że znaleźli się bezpośrednio pod siedzibą wojowniczek Feili. Hendrix spojrzał na Crane'a i obaj równocześnie wpadli na ten sam pomysł - rozejrzeć się w sytuacji. Przez wąskie przełazy z metalowymi kłami przemieścili się do systemu wentylacyjnego. Hendrix początkowo obawiał się, czy nie zdradzi ich smród, jakim przesiąkła, ale na szczęście znajdowali się w tej części wentylacji, która odprowadzała powietrze z pomieszczeń. Po krótkich poszukiwaniach znaleźli odgałęzienie wychodzące wprost nad główną kwaterę Feili. Leżeli w korytarzu za ozdobną miedzianą kratą umieszczoną w narożniku stropu, skąd mieli doskonały widok. Pokój był duży, na podłodze leżał pastelowy brązowy dywan, który nawet z tej wysokości wyglądał na długowłose i przyjemny w dotyku. Na ścianach znajdowały się makaty przedstawiające pary we wszystkich możliwych i niemożliwych pozycjach. Oprócz kominka, wielkiego łóża powleczonego czarnym jedwabiem i nocnego stolika z lustrem w pomieszczeniu nie było innych mebli.

- Spotkałeś ją już kiedyś? - zapytał szeptem Hendrix.

- Tylko z daleka, ona należy do elity. Ale wiem, co się o niej mówi.

- Uważaj. Co się mówi, to zaledwie połowa prawdy. Jeśli nabierze takiej ochoty, to omami cię jak królika i sam wleiesz do jej paszczy. Jest tak samo niebezpieczna jak Adriana.

- Przyślijcie go do mnie za dziesięć minut. Przygotuję się.

Dopiero teraz zdali sobie sprawę z obecności Feili. Makaty zakrywały również drzwi i z daleka nie dało się poznać, którędy weszła.

Crane z ciekawością przyglądał się czarodziejce. Wysoka, z długimi

czarnymi włosami uczesanymi w kunsztowną fryzurę. Ubrana była w ciemnoczerwoną satynową suknię do ziemi. Ramiona pozostawały nagie. Materiał ciasno opinał piersi, talię i biodra, uwypuklając klasyczne piękno jej sylwetki. W połowie ud rozcięta suknia układała się w kształt szerokiego dzwonu. Crane westchnął. Była uwodzicielska i oczywiście niebezpieczna, ale w inny sposób, niż to sobie wyobrażał. Myślał, że zobaczy wulgarną wścieklicę, a ona okazała się elegancką kobietą z wysmakowanym gustem. Hendrix raczej odwracał od Feili wzrok, przyglądając się makatom.

- William - niewidoczna dworka zaanonsowała gościa.
- William Elegant - uzupełnił Hendrix, dodając przyzwisko.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w ciężkiej stalowej zbroi. Nie zdjął hełmu i kiedy przechodził przez drzwi, zawadził pstrym czubem o futrynę. Crane znieruchomiał i starannie przyjrzał się przybytemu. W pancerzu, w mieczu, nawet w ciele umieszczone były dziesiątki czarów. Rozpoznawał wyrafinowaną strukturę zaklęć oczekujących na najmniejszy choćby przypływ energii. Pod tym względem rycerz przypominał lustro, każdy atak magiczny odbiłby się od niego jak światło od wypolerowanej tarczy. Crane powątpiewał, że coś tak doskonałego William stworzył osobiście. Dzieło nosiło cechę mistrza.

- Nie lubię, kiedy ktoś zmusza mnie do wyczekiwania, Feilo - powiedział William.
- To ty chciałeś ze mną rozmawiać.

Głos Williama brzmiał głucho i arogancko, w tonie kobiety pobrzmiwała pogarda.

- Nie mam czasu na długie rozmowy. Dowiedziałem się, że posiadasz dwie części mapy. Daj mi je.
- Z jakiego powodu? Albo lepiej: co w zamian?
- Zostawię cię w spokoju.
- Ale dobrze wiesz, braciszku, że pozostać może tylko jeden.
- Dam ci słowo, że zostawię cię w spokoju.

Feila zaśmiała się i rozbawiona zmierzyła Williama wzrokiem. Jej śmiech przypominał Hendrixowi odgłos struny zdzierającej ludzką skórę.

- Musiałbyś mi zaferować jeszcze coś innego. Może byś chociaż

zdjął hełm? Porozmawiamy o tym.

Czubkiem języka lekko oblizała wargi. Crane uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech i ma boleśnie nabrzmiałego penisa.

- Nie jestem aż tak głupi, jak ci się wydaje. Bez niego byłbym narażony na zranienie, o czym dobrze wiesz. Nie będziemy tracić czasu. Daj mi mapy.

- Hm. - Feila przymknęła oczy. - A czy jesteś pewny, że naprawdę nic mi za to nie zaoferujesz?

Crane poczuł, jak pomiędzy Feilą a Williamem przeskoczyła iskra.

- Właśnie zajrzała mu do podświadomości - wyjaśnił szeptem Hendrix. - Gdyby był mądrzejszy, odwróciłby się i pędem uciekł.

- Może szklaneczkę wina, panie?

Zmieniła się momentalnie. Jej dumna i wyniosła postawa zniknęła, wargi przybrały nagle agresywny, czerwony kolor, piersi powiększyły się i prześwitywały przez suknię.

- Nie wiem, co z tego jest iluzją, a co prawdą, i nawet nie chciałbym tego sprawdzić - wyszeptał Hendrix.

William podszedł do nocnego stolika, nie spuszczać z Feili wzroku.

- Jeśli masz jakieś dobre. Cienkusze zostaw dla siebie.

Czarodziejka pstryknęła palcami, na stoliku pojawiła się taca z butelką wina i dwie czarki.

- Proszę, panie, za wasze zdrowie.

Nalewając wino, spuściła oczy i lekko dygnęła.

William wypił szklaneczkę jednym haustem, rzucił szkło na podłogę i napił się prosto z butelki.

- Niezłe - zarechotał.

Schwycił Feilę za włosy, odciągnął jej głowę do tyłu i brutalnie pocałował prosto w usta.

Crane nawet nie zauważył, kiedy kunsztowna fryzura czarodziejki zmieniła się w prosty czepiec, a włosy przybrały kolor przesuszanej słomy. Wyglądała jak dziewczka z gospody, która za kilka miedziaków zabawia się z gośćmi. William rozerwał górę jej sukni i zaczął ugniatać oswobodzone piersi.

- Uklęknij, dziwko, uklęknij! Chcę cię.

Ściągnął ją w dół na kolana, przerzucił suknię przez głowę i ukląkł za nią. Jedną ręką odpinał rzemyki ochraniające genitalia, a drugą przyciskał Feilę do podłogi.

- Będziesz krzyczała, dziwko!

Crane obserwował twarz Williama. Była to twarz człowieka niepoczytalnego, ze szklanym spojrzeniem, śliniącego się.

- Piękny tyłeczek, piękny! Ale ja ci go rozerwę, dziwko!

Feila jęknęła, William sapnął.

- Ruszaj się! Ruszaj się! Teraz! Teraz!

Już nie mówił, tylko pochrząkiwał. Jak szalony ściągał z niej resztę odzienia.

Wstrząsnął się raz, drugi, trzeci. Niepohamowany orgazm owładnął nim zupełnie.

Mała śmierć, pomyślał Crane. William jęknął, zakrzyczał. Jakby z bólu. Inicjatorką dalszej części stosunku stała się Feila.

Ani na moment nie przerywając zespoleń, ściągnęła rycerza pod siebie. Crane widział teraz jej twarz. Oczy miała przymknięte, zamglone rozkoszą, jej czerwone wargi drżały. William podparł się, Feila mocniej zwarła nogi wokół jego bioder, nieregularne sapanie zagłuszył trzask pękających kości.

- Wytrzymaj jeszcze, wytrzymaj! - wyrzuciła z siebie chrapliwie.

William poruszył się kurczowo po raz ostatni, jego skomlenie ucichło. Feila odrzuciła głowę do tyłu i głęboko westchnęła.

- Tak źle mi z tobą nie było, braciszku. Szkoda, że nie będziemy mogli tego powtórzyć. Niech ci ziemia lekką, a raczej ciężką będzie - zachichotała.

Nie wstając, zaczęła obszukiwać Williama. Pergamin znalazła w torebce przy pasie.

- Dokładnie taki dureń, jak przypuszczałam.

Wstała, przeciągnęła się z zadowoleniem i popatrzyła na rycerza. Z jego penisa i jąder pozostała tylko czerwono-żółta miazga.

- Jednorazowego użytku - mruknęła. - Wynieście go!

Do pokoju weszły dwie kobiety. Wyglądały jak bliźniaczki. Pierwsza niosła długi drąg, druga rulon czarnego materiału. Na wygląd swojej przywódczyni nie zwracały uwagi. Rozłożyły płótno na podłodze i

sprawnie zawięły w nie Williama razem z drągiem. Drąg umieścili na ramionach i wyszły. Za chwilę jedna z nich wróciła i starła z podłogi krwawe plamy. Feila rozłożyła pergamin na nocnym stoliku i uważnie mu się przyglądała. Nalała sobie wina, ale kiedy podniosła czarę, zauważyła tusty ślad ust Williama na szyjce butelki i ze wstrętem odstawiła puchar.

Hendrix patrzył na pergaminy. Prawdopodobnie te dwa, po które przyszedł William, znajdowały się w nocnym stoliku. Wystarczyłaby kusza albo dmuchawka ze strzałkami posmarowanymi trucizną, a mogliby zgarnąć wszystkie trzy. Plan wyglądał na prosty i możliwy do wykonania.

Crane rozmyślał nad tym, jaka Feila jest w rzeczywistości. Wyłączając jej pozy i wytworny sposób wyrażania się, sprawiała wrażenie służącej, która właśnie zaspokoiliła rotę wojaków.

Hendrix uściślał ostatnie szczegóły planu i otrząsnął się z zamyślenia. Natychmiast zauważył, że Feila znów zaczyna się przemieniać.

- Nie myśl o niej, zareaguje na to!

Ostrzeżenie przyszło za późno.

- Nie lubię, kiedy ktoś obserwuje mnie z ukrycia. Chętnie się zaznajomię. Na przykład przy filiżance herbaty.

Jej głos brzmiał melodyjnie. Hendrix spojrzał na czarodziejkę przelotnie i szybko odwrócił wzrok. Myślał, że jest już stary i podobne rzeczy mu nie zagrażają. Ale to nie była prawda. Spróbował zatrzymać Crane'a,

lecz ten wywinął się zgrabnie, nogami wypchnął kratę, wy dostał się przez otwór i zwinnie wskoczył do pokoju.

- Proszę mi wybaczyć. Zaszło nieporozumienie.

Hendrix zawahał się. Czy powinien skoczyć za Crane'em, pchnąć go od tyłu i pozostać sam na placu? Zresztą najpierw chciał pchnąć Feilę, ale ten zamiar szybko się zmienił.

- Pewna jestem, że wszystko się wyjaśni. Moje zaproszenie nadal jest aktualne. Panie...?

Crane przedstawił się pełnym nazwiskiem po matce, a Hendrix szybko odpetł do tyłu.

Crane odłożył filiżankę, nie spuszczać oczu z Feili. Była wspaniała, zdumiewająca, porażająca. Jego najśmielsze wyobrażenia w porównaniu z nią wypadły blade. Stała przed nim jak uosobienie urody, powabu i elegancji. I namiętności. Czytał to w jej oczach. Były czarne, głębokie i obiecywały rozkosz. Walczył z pokusą zerwania z konwenansami i przegrywał. Chciał ją pojąć natychmiast. Zdawkowa konwersacja ustała. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie pozwolił jej na to. Podszedł do Feili, wsunął ręce pod luźno spływającą z niej, śnieżnobiałą suknię. Ciepło i miękkość jej ciała odebrały mu oddech. Pocałował ją, ale nagle osłabła w jego dłoniach. Crane poczuł chłodny dotyk na podbrzuszu. Spojrzał na dół. Na bieli sukni rozlewała się czerwona plama. Osłupiały puścił czarodziejkę i cofnął się. Stała z wyrazem zaskoczenia w oczach i lekkim rozbawieniem na twarzy. Hendrix wyrwał klingę i popatrzył na krople krwi ściekające po stali. Feila upadła na podłogę.

Crane miał łzy w oczach. Podniecenie mijało i zaczął sobie uświadamiać, że od śmierci w kobiecym uścisku dzielił go tylko jeden krok. Mimo to wydawało mu się, że stracił coś, co miał w zasięgu ręki. Coś, o czym nie zdołał nawet śnić.

- Poczekaj, aż odwróci się do mnie plecami, ale wahałem się, czy powinienem zabić ją, czy ciebie. To było trudne - odezwał się Hendrix.

- Co się ze mną właściwie stało? Zachowałem się jak wariat. - Crane nic nie rozumiał.

- Zrobiła z tobą to, co z innymi. Znalazła w twojej podświadomości obraz kobiety twoich marzeń i zamieniła się w nią. A trzeba przyznać, że masz cholernie dobry gust.

Hendrix uśmiechnął się niewesoło.

- A jak naprawdę wygląda?

- Spójrz, jeśli się odważysz.

Nie odważył się ani jeden, ani drugi.

Zwoje Feili rzeczywiście znajdowały się w nocnym stoliku. Przeszukali jeszcze łóżko i wrócili do wylotu wentylacji. Po chwili udało im się umocować kratę na poprzednim miejscu i jak najszybciej odczłgali się z tego rejonu.

Do głównego ścieku dotarli dosyć łatwo. Smród, brud i kałuże wydawały im się teraz gwarancją bezpieczeństwa. Crane po kilku próbach znalazł przejście do jednego z szerokich pionowych tuneli, ciągnących się przez dziesiątki pięter. Bez zastanowienia zaczęli się wspinać. Crane szedł pierwszy i musiał wykazać niemałą zręczność, żeby utrzymać się na gładkich i śliskich ścianach. Hendrix mimo wieku i wagi zdumiewająco łatwo trzymał tempo. Popędzał ich strach przed prześladowcami, cały czas nasłuchiwali, czy nie mają kogoś za plecami. Nie spostrzegli, kiedy cisza wokół nich się skończyła, wydawało się, że kamienne ściany pękają, a z pięter pod nimi dochodzi głucho dudnienie.



Minęli kilka ciemnych otworów wiodących do poziomych korytarzy, ale zatrzymywali się w nich tylko dla nabrania tchu.

- Już nie dam rady. Muszę porządnie odpocząć. Wskrobaliśmy się chyba z pięćset stóp - wychrypiał zmęczony Hendrix, kiedy po raz kolejny wracali do pionowego szybu. Dłonie i przedramiona miał otarte do krwi, śluz ze ścian wżerał się w skórę i sprawiał, że krew przybrała nienaturalnie jasną barwę.

Crane pokręcił głową.

- Też ciągnę ostatkiem sił, ale coś się szykuje. W przepływach mocy panuje zupełny chaos. Podejrzewam, że ktoś nas ściga. Nie zapominaj, że mamy już siedem zwitków. Możemy się schować w zbrojowni. Nikt o niej nie wie, a ponadto jest chroniona przed czarami poszukiwawczymi.

Jakby na potwierdzenie jego słów, wszechobecna poświata osłabła i zmieniła barwę z fioletowej na niebieską. Crane wpasował się między ściany, ale ręka mu się ześliznęła i gdyby Hendrix go nie podtrzymał, spadłby.

- Ślisko tu, chłopie.

Wspinali się dalej.

Hendrix był tak wyczerpany, że przestał się bać przepaści pod sobą. Nie skupiał się już na tym, co robi, tylko piął się w górę szybu odruchowo, samą siłą woli. To był najlepszy sposób, żeby nie spaść. Na długim odcinku, jaki mogli dostrzec, komin nie wydawał się już prosty, lecz wił się jak spirala. Najgorsze okazały się odcinki, na których przeciwległe ściany oddalały się od siebie. Tam nieraz wisieli na przysłowiowych koniuszkach palców.

- Kłapa - oznajmił Crane. - Pomóż mi, sam nie dam rady jej otworzyć.

Hendrix wspiął się nieco wyżej i aby zapewnić Crane'owi stabilne podparcie, zaparł się o ściany rękami i nogami. Crane jedną nogę postawił mu na ramieniu i zaczął pomału podnosić kamienną płytę. Hendrix czuł, że mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa i zaczyna się ześlizgiwać. Na szczęście nagle ciężar spychający go w dół zniknął. Crane uchwycił krawędź otworu i podciągnął się do wnętrza pomieszczenia. Spojrzał wokół i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Wreszcie był naprawdę w domu. Zmęczony obserwował Hendrixa gramolącego się za nim. Wystarczyłoby lekkie potrącenie, może nawet dotyk. Myśl nasunęła się nieoczekiwanie, jakby umysł sam umiał ocenić pojawienie się okazji. Nie poświęcił czasu na rozważania, czy mu się to podoba, czy nie. Napotkał spojrzenie Hendrixa, który balansował na krawędzi, zbierając się do ostatniego wysiłku. Crane podał katu rękę i wciągnął do środka.

Leżeli zmęczeni na chłodnym marmurze. Hendrix wkrótce przyszedł do siebie i zaczął się rozglądać.

Duża kwadratowa sala wypełniona była skrzyniami, pakami i stojakami z bronią. Nie zauważył żadnych drzwi.

- Nie wygląda tu zbyt przytulnie. Miałem nadzieję, że znajdzie się tutaj coś do jedzenia i miejsce do spania.

- To tylko zbrojownia. Pomieszczenia dla gości znajdują się piętro wyżej - odparł Crane. - Ale w tej czerwonej skrzyni powinny być suszone mięso i wino.

- Ile tu jest wejść?

- Cztery, po jednym w każdej ścianie. Wszystkie są zamaskowane, wiodą do niemieszkalnego pokoju, do składziku narzędzi i przyborów gospodarskich, do starej kuchni i na schody, po których można zejść aż do obszaru zakazanego.

Hendrix wstał i ze wskazanej skrzyni przyniósł wielki kawał wędzonego mięsa i cztery butelki wina. Jedli długo, w milczeniu.

Kiedy zaspokoił pierwszy głód i pragnienie, Hendrix zaczął przeglądać zgromadzone wyposażenie zbrojowni. Zainteresował go ogromny topór bojowy. Ostrożnie zdjął broń ze stojaka i zważył w ręce.

- Za ciężki. Nie da się nim walczyć - skostatował.

Crane się zaśmiał.

- Znalazłem go w magazynie Dareaga, który znajduje się obok jego prywatnych komnat. Jesteś wielkim chłopem, ale to zostało zrobione dla kogoś jeszcze większego.

Hendrix machnął toporem na próbę.

- Musiałby być o wiele cięższy ode mnie i znacznie silniejszy.

- Należał do Kyboga. Widziałem jego szkielet. Myślę, że niedźwiedzia mógł zadusić gołymi rękami.

Hendrix odłożył topór i podszedł do miecza leżącego na półce. Był czarny, wydawało się, że pulsuje ciemnoniebieską poświatą.

- Tę zabaweczkę znam. Przekazałem miecz jako dar gwahrickiemu królowi. Nie wiedziałem, że znów tu wrócił.

Crane wyglądał na rozbawionego.

- Słyszałem, że to miecz nazywany „Wszystkie głowy na ziemię”.

Hendrix z powagą przytaknął.

- To prawda. Ale nie próbuj go. Dareag trochę go ulepszył. Zetnie tylko tego, kto trzyma miecz w dłoni. W ogóle masz tu mnóstwo ciekawych rzeczy. Mógłbyś nawet otworzyć handel starzyzną. Magiczne artefakty z drugiej ręki. Bogowie, a to do czego?

Hendrix przystanął obok ogromnej skrzyni wypełnionej metalowym złomem, gwoździami różnych rozmiarów, elementami żelaznych narzędzi.

Crane zrobił zabawną minę.

- To jest amunicja do mojego własnego wynalazku.

Wskazał na skrzynkę z lejkowatym wyspem, przypominającym młynek, i dwucalową rurką w miejscu rynny wyspowej.

- Tutaj sypiesz żelazo, a tędy jest ono wystrzeliwane. Dziesiątki kawałków naraz.

- Nie widać żadnej cięciwy. Jak to się naciąga?

- W ogóle się nie naciąga. Jest w tym schowany czar. Nazywam to gwoździomiotem. Zrobiłem go, kiedy miałem trzynaście lat. To miał być napój miłosny, ale mi nie wyszedł.

Hendrix zaśmiał się.

- Wiedziałem, że jesteś szalony. A jak się skończyło z tą dziewczyną?

- Nic nie mówiłem o dziewczynie. Chciałem sparować kobrę z papugą. Nie udało się.

- Na bogów, po co?

- Mój opiekun kochał papużki. Chciałem mu sprawić jedną jadowitą. Ale wyszło inaczej.

Hendrix podniósł gwoździomiot.

- Ta skrzynka waży zbyt wiele, a żelastwo do tego jeszcze dziesięciokrotnie więcej. To jest do niczego.

- Pokażę ci, jak się z tym obchodzić.

Coś huknęło. W ścianie po prawej pojawiły się trzy otwory wejściowe, a w ścianie po lewej Hendrixa jeszcze cztery.

- Mówiłeś, że jest tylko czworo tajnych drzwi - zawołał kat, dobywając miecza.

Do zbrojowni weszli pierwsi napastnicy, za nimi tłoczyli się następni.

- Dziwki Feili! Pomóż mi! - ryknął Crane, szybko dopadając gwoździomiotu. - Nasyp tego złomu jak najwięcej!

Wskazał na lejek wysypy. Hendrix natychmiast zaczął ładować amunicję. Crane ukląkł na jedno kolano.

- Odsuń się!

Pierwsza z atakujących znajdowała się już o pięć kroków od nich. Hendrix gotów był przysiąc, że ją zna. Na lewej piersi wyłaniającej się spod skórzanej kamizelki miała znamię.

Gwoździomiot jęknął. Garść żelaza wystrzelona z minimalnej odległości wybiła w ciele dziurę o średnicy talerza. Crane przestawił urządzenie w kierunku pozostałych wojowniczek. Żelazo zarysowało marmur szeroką smugą, kamienne odłamki zmieszały się z krwią i strzępami mięsa.

Prask. Prask. Prask.

Hendrix nie zdołał policzyć pojawiających się otworów, ściany zaczęły przypominać ser. Wydawało się, że wojowniczki rzuciły się na nich ze wszystkich stron. Ale tak nie było. Z prawej w wyrównanej linii nadchodzili zakuci w stal rycerze Oswalda.

- Dosypuj! - jęknął Crane i w tejże chwili się zatoczył. W wewnętrzną stronę uda wbił mu się sztylet. Hendrix pełnymi garściami napełniał gwoździomiot, obserwując Crane'a spod oka. Cios nie trafił w tętnicę, więc kat miał nadzieję, że młodzieniec jeszcze przez jakiś czas wytrzyma.

- Tam! - wskazał rycerzy.

Ci posuwali się w formacji klina, z dwójką na czele. Wojowniczki odbijały się od nich jak woda o kamienną tamę i na jakiś czas przestały zwracać uwagę na Crane'a i Hendrixa. Znów odezwał się gwoździomiot. Żelazo zadzwoniło o stal. Jeden z rycerzy się zachwiał, ale pochylił się i

szedł dalej. Okrywał się teraz małą okrągłą tarczą.

- Za nami! - ryknął Hendrix.

Crane w ostatniej chwili zatrzymał trzy wojowniczeki i szybko zwrócił się znów przeciw rycerzom. Jeden z nich nie zdołał zapanować nad bólem, jaki sprawiały mu kawałki żelaza uderzające w pancerz nogi, i spróbował poszukać ulgi, okrywając się tarczą. Crane wycelował zatem wyżej. Ochrona szyi nie wytrzymała, głowa rycerza odchyliła się pod nienaturalnym kątem, zachwiał się, a potem chmara żelaza obaliła go do tyłu, pomiędzy towarzyszy broni. Wojowniczeki wykorzystały załamanie się linii rycerzy i zaatakowały. Zwarta formacja rozpadła się na kilka grup.

- Aaa! - zawył Crane, padając na kolana.

W jego boku tkwił sztylet, krew płynąca z rany miała jasnoczerwony kolor. Hendrix bez rozkazu uzupełnił amunicję. Skrzynia była w połowie pusta. Rozległa się nowa seria uderzeń. Wydawało się, że ściany zupełnie zniknęły, że zostały tylko wejścia do niezliczonych korytarzy, w których pojawiali się kolejni napastnicy. Dwóch rycerzy przedarło się niebezpiecznie blisko. Hendrix zostawił Crane'a i zaatakował ich. Ten z lewej był zbyt powolny i Hendrix trzecim atakiem trafił go w bok. Trysnął strumień jasnej krwi. Hendrix przestał zwracać na niego uwagę i ruszył na drugiego. Natychmiast otrzymał drobne cięcie w ramię. Pierwszy rycerz nadal żył i atakował. Hendrix fintą sprowokował przeciwnika do długiego wypadu i tnąc bezpośrednio z krycia, uciął mu rękę. Wystrzeliła fontanna krwi. Rycerz powoli, niechętnie padł na podłogę.

- Są chronieni zakłębieniem krwi! - sapał kłęczący Crane, nie przerywając strzelania. - Umrą, kiedy się wykrwawią! Czar wytwarza w nich krew.

Hendrix ciął z obrotu i pozbawił przeciwnika głowy. Gorący czerwony gejzer go osłepił, ale rycerz w końcu padł.

- Dosyp!

Hendrix położył miecz, ukląkł, złapał skrzynię z żelastwem i zaczął sypać wprost z niej. Żelazna zamieć zgęstniała. Crane wymierzył w najgęstsze miejsce i błyskawicznie zmienił tuzin ludzi w brudną masę. Krwi na podłodze przybywało. Rycerze krwawili, ale kontynuowali

walkę. Pomędzy nimi, jak stalowy kolos, wznosił się samotny Oswald. Hendrix odłożył pustą skrzynię i zabezpieczał Crane'owi plecy.

Prask. Mury zatrzęsyły się i przez pęknięcie w podłodze zjawił się Canib. Górował nad pozostałymi jak posąg, a jego oczy przypominały dwa słońca. Jeden z rycerzy natychmiast go zaatakował, ale Canib tylko wpił w niego wzrok. Zbrojny zaczął krzyczeć, stał poczerwieniała, żółkła i za chwilę rozżarzyła się do białości. Jedna z wojowniczek zaatakowała od tyłu. Canib, nie odwracając się, złapał ją ogromną dłonią, podniósł i odgryzł jej głowę. Więcej Hendrix nie zobaczył, zmuszony przez jednego z oficerów Oswalda do obrony. Napastnik był tak wysoki jak on, ale zbroja go spowalniała. Hendrixowi udało się trafić rycerza w wewnętrzną stronę uda, ale siła odpowiedzi zaskoczyła kata, nie zdołał całkiem odwrócić uderzenia, które trafiło go w ramię i przewróciło. Bezsilnie patrzył na klingę przeciwnika. W powietrzu mignął czarny cień, chmara żelaza ciężko uderzyła w rycerza, ale nie wyeliminowała go całkiem z walki. Hendrix przetoczył się na brzuch, podniósł na kolana i w klęku szaleńczo bódł i siekł przed sobą. Z rycerza leciała krew jak z sita, ale mimo to starał się kontynuować walkę.

- Kończy się amunicja!

Crane siedział z gwoździomiotem położonym na nodze. Twarz miał rozciętą i był na wpół oskalpowany. Jeszcze strzelał, ale tylko dzięki nieludzkiemu wysiłkowi woli.

- Uciekniemy! Pomogę ci, wytrzymaj!

Hendrix pozostawił rycerza jego powolnej agonii.

Pełzł ku Crane'owi, starając się nie połykać krwi, która sięgała po kolana i utrudniała poruszanie się. Musiał stąd zabrać Crane'a. Nagle to stało się dla niego najważniejsze. Kątem oka dojrzał Caniba stojącego naprzeciw Oswalda. Długi szpon zacisnął się na chronionym stałą ramieniu, przeniknął przez nią i wbił się w ciało. Buchnął kolejny czerwony gejzer. W powietrzu mignęła klinga, Canib ryknął. Strop zawalił się, głowy w mgnieniu oka pogrzebały dziesiątki ludzi, ale z korytarzy nadal nadchodzili kolejni. Uderzenie belty z kuszy zważyło Crane a na plecy. Z wysokości do bitwy wkraczała Adriana. W nieskazitelnie białych szatach wyglądała jak widmo. Walczący w jej

poblizu rozpadali się w proch, na kogo spojrzęła, ten zniknął w jednym rozbłysku. Canib z Oswaldem zataczali się w ciasnym uścisku, strumienie krwi tryskające z ran Oswalda obalały znajdujących się w poblizu i przecinały im kości. W końcu Oswald padł na podłogę, a Canib zwrócił swój palący wzrok ku Adrianie. Ta zaśmiała się pogardliwie i lekkim ruchem ręki skierowała żar na stronę. Ściana za nią poczerwieniała i pokryła się siecią pęknięć, kamień zaczął się topić. Canib zaryczał, powietrze napełniło się żółtą lawą. Ognista masa przylgnęła do twarzy Crane'a, ale Hendrix rzucił się do młodzieńca i ugasił ogień we krwi zalewającej podłogę. Adriana krótko spojrzęła na Caniba, na swoją dłoń, a potem zacisnęła ją w pięść. Canib jęknął i uległ implozji. Oswald podźwignął się niemrawo i podniósł swój ogromny miecz. Adriana odwróciła się ku niemu. W momencie kiedy czarodziejka znów skupiła się na dłoni, Hendrix ostrzegawczo jęknął. Zwarła palce w pięść. Czar natrafił na czar, implozja przemieniła się w krwawą eksplozję. Czerwona fala uniosła się, kruszyła kości, burzyła ściany. Hendrix w ostatniej chwili kurczowo objął Crane'a.



W ciemności słychać było przerywany oddech i ciche jęki. Hendrix otworzył oczy. Leżał na plecach. W lewej ręce ścisnął strzęp materiału i patrzył prosto w sufit. Strop był wysoko, słabo widoczny w półmroku. Rozejrzał się. Nagrobki ciągnęły się we wszystkie strony aż do granicy widzialności. Kamienne obeliski z wrytymi rycinami, owinięte czarno-zielonymi wstęgami materiału, na których widniały ołowiane pieczęcie. Hendrix nigdy tutaj nie był, ale natychmiast pojął, gdzie się znajduje. Fala krwi spływająca po schodach splukwała ich aż do zakazanego obszaru, na cmentarz znakomitości i moczary. Jęki przybrały na sile. Na pobliskim grobie leżał Crane. Ciemna plama pod jego ciałem połyskiwała nawet w tak słabym świetle. Nadal krwawił. Hendrix wstał i chwiejnie przeszedł alejką pomiędzy grobami aż do młodzieńca.

- Powinieneś stąd zniknąć. Naruszyłem pieczęć i kogoś wypuściłem. Zaraz się tu pojawi - szepnęła niewyraźnie Crane.

Hendrix dopiero teraz zauważył, że wstęga jest przzerwana, a pieczęć przełamana. Nie sprawdził, czyj to grób, tylko ukląkł przy rannym.

- Zwariowałaś chyba, mnie już nikt nie pomoże. Znikaj stąd.

Hendrix wyjął sztylet i szybkimi, pewnymi ruchami przecinał ubranie Crane'a. Znalazł pół tuzina ran. Trzy z nich silnie krwawiły, najgorsze jednak było zranienie piersi. Potrzebował bandażu, dużo bandażu. Oderwał pieczęć i szybko pociął wstęgę na długie pasy.

- Zapominasz, z kim mówisz. Znam ludzkie ciało prawie jak ten, kto je stworzył.

Mówiąc to, zaczął masować Crane'a palcami. Nie był to masaż w całym tego słowa znaczeniu, raczej ugniatał i naciskał pewne punkty na ciele mężczyzny. W niektórych miejscach robił to tak silnie, że Crane jęczał, innych tylko dotykał. Mięśnie napinały się i rozluźniały, krwawienie wyraźnie się zmniejszyło. W końcu Hendrix ujął w dłoń głowę rannego.

- Nazywa się to akupresura. Teraz wszystko powinno cię przestać boleć.

Szybko masował i poklepywał skronie i potylicę, dużo czasu poświęcił nasadzie nosa i mięśniom wokół tętnic szyjnych. Jego palce poruszały się szybko i pewnie, jak u doświadczonego złodzieja albo muzyka.

- Potomkowie Dareaga mają mocne korzenie. Wytrzymasz.

Crane spróbował się zaśmiać, ale zamiast tego wykaszał spory skrzep krwi.

- Nie jestem jego synem.

Hendrix tylko przytaknął. Szybko zabandażował rany, zastanawiając się, jak przenieść Crane'a do izby tortur. Tam mógł mu skutecznie pomóc. Z zamyślenia wyrwały go kroki. Lekkie, a jednocześnie pewne i energiczne. Nie wyglądało to na mieszkańca grobu. Hendrix odwrócił się, unosząc miecz. Crane spróbował sięgnąć po sztylet zza pasa. Spomiędzy grobów nadchodziła Adriana. Jej szata była czerwona, z wielkimi ciemnymi plamami. Szła ostrożnie, zwracając uwagę, żeby nie zawadzić o którąś z pieczęci.

- Ta broń nie jest potrzebna, Crane. Przysłałam tylko po mapy.

Nigdy bym nie przypuszczała, że właśnie ty zdobędziesz aż cztery fragmenty. To ostatnie, jakich mi brakuje.

Czarodziejka nie zwracała uwagi na Hendrixa. Spróbował przenieść ciężar ciała na nogę zakroczną i przygotować się do zaskakującego wypadu, ale jej uwaga natychmiast skupiła się na nim.

- Powiedziała, że broń nie jest potrzebna, cudzoziemcze. Kim właściwie jesteś? I jak się tu dostałeś? Uważałam, że wiem o obecności każdego człowieka w pałacu.

Hendrix uniósł brwi ze zdumieniem. Jak to możliwe, że go nie poznała?

- Bądź zdrowa, Adriano - odezwał się zza Hendrixa miękki głos.

Kat nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, kto przemówił. Adriana z zaskoczeniem głęboko wciągnęła powietrze.

- Genevo! Jak to? - Skierowała wzrok na złamaną pieczęć. - Ci dwaj wariaci cię uwolnili?

- Dlaczego wariaci?

Hendrix obejrzał się powoli. Unosiła się nad nagrobkiem i już na pierwszy rzut oka było jasne, że nie jest istotą z krwi i kości. Zarysy innych grobów prześwitywały przez jej postać. Ale oprócz tego wyglądała dokładnie tak jak w jego wspomnieniach. Opuścił głowę i zagryzł wargi. Przeszłość wróciła i nadal była nadzwyczaj pociągająca. Tak jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.

- Dlaczego wariaci? - powtórzyła pytanie Geneva. - Crane, daj jej te mapy.

- Nie rób ze mnie głupiej, Genevo. Pozostać może tylko jeden i mimo że twój syn jest poważnie ranny, zalicza się do wszystkich pozostałych. - Głos Adriany był niecierpliwy i podrażniony.

Crane spojrział na Hendrixa ostrzegawczo.

- Zbiera siły - szepnął.

- Nie rób tego, Adriano. Oni są pod moją ochroną. - Geneva cały czas mówiła spokojnie, jakby nic się nie działo.

- Obaj? Jednego z nich musisz zabić z powodu pieczęci. Dlaczego miałabyś ich brać pod ochronę?

- Bo tak chcę. Crane nie jest synem Dareaga. Nie liczy się w grze. Dam ci mapy, a ty zostawisz ich w spokoju. Oszczędzi ci to mnóstwa

pracy.

- No to czym jest synem?

Hendrix z trudem stłumił okrzyk. Naraz wiedział. Crane był jego synem. Coś go jednak ostrzegło. Ge-neva grała z Adrianą w grę, której nie rozumiał.

- Hendrixa.

- Tego łajdaka z izby tortur? Pfff... Jesteś większą ładacznicą, niż mówiono.

Zapadło milczenie. Adriana zwróciła swoją uwagę na kata. Nie odważył się nawet poruszyć, tylko z ukosa obserwował Crane'a. Jego stan się pogorszył, oddychał ciężko, z ust wydobywały mu się bąbelki krwi. Wymagał lepszej pomocy niż bandaż i lekkie spowolnienie funkcji życiowych. Czaru zasklepiającego wewnętrzne rany, żeby odegnąć od niego śmierć. Czuł, że z młodzieńca ulatuje życie.

- A ty kim jesteś, cudzoziemcze? Jak się nazywasz?

Hendrix wiedział, że jakkolwiek odpowie, będzie źle. „Mle, mle”. Wydało mu się, że słyszy Genewę w myślach. Wzruszył ramionami, wskazał palcem na usta i bezgłośnie je otworzył, a potem zamknął.

- Niemy - wycodziła Adriana przez zęby. - Wierzę ci, Genevo. Dajcie mi mapy, a pozwolę wam odejść.

Zaufam wam, a gdybyście byli mi przypadkiem potrzebni, to was znajdę.

Hendrix schylił się nad Crane'em i zaczął wyjmować zwoje, kiedy Adriana zasyczała:

- Hendrix! Poznałam cię! Wy bękarty! Ukradliście mi skarb!

Kata zaczęła otaczać zimna otoczka zaklęcia, ale obca moc ją rozproszyła.

Widmo Genevy rozżarzyło się, aż trudno było na nią patrzeć.

- Każdy słabnie po śmierci! Dopadnę cię i będziesz żałować, że mi się sprzeciwiłaś - zawyła Adriana.

- Nie wiesz, jak silna byłam za życia!

Czarodziejki stały pozornie bez ruchu. Hendrixowi jednak zatrzęsły się kolana. Opadł na ziemię i odpełził daleko od nich. Odezwał się ostry trzask, kamienna podłoga pękła, kamień zajęczał i jeden rząd nagrobków się rozsypał. Powietrze w krypcie zaczęło opalizować na

fioletowo. Genewę otoczyła świetlna sieć, powoli koncentrując się wokół niej. Rozległ się dźwięk przypominający uderzenia o siebie sopli lodu. Powietrze wokół Adriany ochładzało się, skraplało, ściekało po niej stróżkami i z cichym syczeniem parowało na posadzce. Pojawiły się pierwsze kryształki lodu. Adriana zamarzała. Koncentracja mocy niemal oślepiła Hendrixa. Po omacku sięgnął po miecz i zaczął się cofać. Sieć już dokładnie odtwarzała sylwetkę Genevy i zaczęła przenikać do prześwitującego ciała. Bezcielesna czarodziejka jęknęła boleśnie. Adriana triumfalnie wykrzyczała zaklęcie, rozbijając lodowy pancerz.

- To ostatnia chwila twojej świadomości. Roztargam cię na kawałki, które zaklnę w kamieniach, zwierzętach i ludziach. Pozostanie ci tylko jedna zdolność, odczuwanie bólu! - zawyła zwycięsko.

Uwięziona w sieci Geneva upadła. Adriana rozłożyła ręce, aby rzucić czar, ale wydała z siebie tylko nieartykułowany bulgot. Półślepy Hendrix ciął niedokładnie i miecz uwiązał pomiędzy kręgami. Kat puścił rękę, podszedł do czarodziejki i jednym ruchem złamał jej kręgosłup.

Stał, czekając, aż moc ustąpi i wróci mu wzrok. Trwało to długo. Gdy w końcu z powrotem mógł widzieć, dostrzegł Genewę znów unoszącą się nad nagrobkiem. Czy jej błyszczały, powiedziałyby, że płacze, gdyby to było możliwe.

Popatrzył na Crane'a.

- Nasz syn nie żyje. Nie muszę nikogo zabijać - powiedział tylko.

Stali, patrząc na siebie. Hendrix nie wytrzymał i opuścił głowę. Już od ponad dwudziestu lat Geneva nie żyła. A on miał w tym swoją część winy.

- Dlaczego Adriana nagle zaatakowała? - zapytał, kiedy zyskał pewność, że panuje nad głosem.

- Nie wiesz? Obaj nie wiedzieliście? Popatrz w lustro.

Nagrobek nagle rozbłysnął jak polerowane srebro.

- Skarbem, o który wszyscy się bili, był eliksir młodości. Wypiliście go w komnacie, do której spadliście. Umrzesz tylko wtedy, jeśli ktoś lub coś cię zabije.

- Jestem stary. Szukałem czegoś zupełnie innego. Chciałem

umrzeć i nadal chcę.

Geneva uśmiechnęła się niewesoło.

- Kłątwa Dareaga zawsze trwa. Kiedy umrzesz, wrócisz do krypty, do kościotrupów, i pozostaniesz tam na wieki. Nie unikniesz tego.

- Czy mogę w jakiś sposób ci pomóc? - zapytał w końcu Hendrix. Obserwowała go w milczeniu.

- Teraz już nie.



Słońce właśnie zachodziło i żdźbła trawy rosnącej na osmalonej równinie rzucały długie cienie. Opuszczony pałac wznosił się ku niebu jak obrazą praw natury i wyglądał jeszcze mniej gościnnie niż wyschnięta sawanna. Czarna żelazna brama otworzyła się i z półmroku wyszedł mężczyzna. Mógł mieć czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Był wysoki i potężny, w słabym wieczornym słońcu dłuższy czas mrużył oczy. Były stare i puste. Wspiął się na siodło i pozwolił koniowi samemu wybrać drogę. Nie obejrzał się ani razu.

KONIEC